

CANDICE PROCTOR

Harba

1

Nowa Południowa Walia, wrzesień 1808

Kapitan Hayden St. John stał pod okapem brzydkiego bloku więziennego w Parramatta i patrzył, jak nadzorczy i strażnik wloką ku niemu kobietę wśród ulewnego deszczu.

Gwałtowna wiosenna burza szybko zmieniła niebrukowany dziedziniec więzienia w zdradzieckie grzęzawisko żółtego błota. Deszcz siekł kryty gontem dach i opadał na mokrą ziemię, wypełniając powietrze zapachem stęchlizny.

Błoto oblepiało postrzępioną czerwoną pelerynę kobiety i zadartą do kolan brzydką, niemodną suknię z taniego brązowego materiału. Kobieta miała pochyloną głowę, jej ciemne włosy w pozlepianych strąkach opadały na bladą zapadniętą twarz. Wyglądała, jak wyciągnięta z rynsztoka - z którego bez wątplenia tu przybyła.

Niespodziewanie szarpnęła się z całej siły.

- Puść mnie, ty zawszona, pijana jędzo!

Hayden oparł się o skruszały ceglany mur i wyjął cygaro z kieszeni kamizelki. Jak na tak wychudzone stworzenie miała w sobie zaskakująco dużo siły. Jakimś cudem udało jej się wyrwać rękę z uchwytu nadzorczyńni, by natychmiast wolną dłonią wpić się w ramię strażnika. Zaskoczony mężczyzna zawył z bólu i zwolnił uchwyt.

Odwróciła się i popędziła ku otwartej bramie.

Hayden włożył cygaro do ust i wydał odgłos będący czymś pośrednim pomiędzy wypuszczanym powietrzem a chichotem.

Nadzorczy Sarah Gooding rzuciła się w pogoń za dziewczyną,

lecz na odgłos śmiechu Haydena przystanąła. Deszcz skapywał z jej bulwiastego czerwonego nosa i przekrzywionego czepka.

- Mówiłam panu, że jest szalona! - zawołała, machnąwszy tłustym ramieniem. - Zachowuje się tak, jakby nigdy przedtem żadna kobieta nie pochowała dziecka. Chce ją pan, kapitanie? To niech ją pan bierze.

Kobieta dobiegła przez ten czas do połowy dziedzinka fabryki. Hayden zastanawiał się, dokąd tak pędzi. Nawet gdyby udało jej się wybiec z dziedzinka, nie miała szans na ucieczkę z kolonii. Cała karna kolonia była więzieniem.

Oficjalnie Kobięca Fabryka w Parramatta była zarówno miejscem pracy, jak i więzieniem kobiet zesłanych z Brytanii do Nowej Południowej Walii. Lecz dla mężczyzn, którzy przychodzili tu, by wybrać sobie kobietę, pełniła rolę czegoś pomiędzy domem publicznym a targowiskiem niewolników.

Tyle że te kobiety otrzymywało się za darmo.

Podmuch wiatru załopotał rozpiętymi polami płaszcza Haydena i omal nie zerwał mu z głowy szerokoskrzydłego kapelusza. Oderwał się od ściany, z niezapalonym cygarem w zębach, i szybko ruszył długimi krokami przez grzaski dziedziniec.

Kobieta dobiegała już do bramy, kiedy nagle pośliznęła się i rozpaczliwie machając rękami, upadła twarzą w błoto...

Bryony Wentworth leżała oszołomiona, ciężko oddychając. Kiedy spróbowała wstać, jej ręce i kolana głęboko zapadły się w zimne, lepkie błoto. Krople deszczu spływały jej do oczu. Otarła twarz wierzchem dłoni. Myślała teraz tylko o jednym - o tym, by wrócić do swego dziecka. Spróbowała wstać, ale musiała zaczepić o coś spódnicą i nie mogła się podnieść.

Odwróciła się i z całej siły pociągnęła materiał spierzchniętą dłonią, lecz po chwili znieruchomiała, zauważywszy czarny but na ubłoconym kraju sukni pomiędzy jej nogami.

Był to wysoki czarny but wypucowany na wysoki połysk pod rozbryzganym błotem, but człowieka piastującego ważne stanowisko. Miał srebrne ostrogi, zazwyczaj noszone przez oficerów kawalerii.

Nad błyszczącymi butami zobaczyła potężnie umięśnione uda w skórzanych spodniach do konnej jazdy. Musiała unieść głowę, by zobaczyć więcej. Peleryna mężczyzny rozchyliła się, odsłaniając niepokojąco duży i groźny nóż przypasany do wąskich bioder. Przełknęła z trudem, powoli przesuując wzrok w górę, ku jedwabnej kamizelce i niezwykle szerokim ramionom, okrytym płócienną koszulą z rozchylonym kołnierzykiem i chustką, zamiast bardziej oficjalnego krawata.

Mężczyzna był tak wysoki, że od zadzierania głowy rozboleła ją kark. Nad białym kołnierzykiem koszuli zobaczyła szyję opaloną na ciemnozłoty kolor, nadającą mu dziki wygląd. Miał również ciemne włosy, tak długie, że kędziory opadały mu z tyłu na kołnierz. Twarz wydawała się złożona z surowych płaszczyzn i ostrych krawędzi. Była to groźna twarz, z mocnymi wargami o nieco okrutnym wyrazie.

Najbardziej jednak przeraziły ją jego oczy. Były przenikliwe i zimne jak zimowe niebo. Pomyślała, że jest to najokrutniejszy, najpodlejszy mężczyzna, jakiego widziała.

Gdy się uśmiechnął, utwierdziła się w swoim przekonaniu.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał, wykrzywiając usta, w których wciąż trzymał cygaro.

Bryony z drżeniem zaczerpnęła tchu i popatrzyła na rozmięktą ziemię. Deszcz siekł jej głowę i plecy. Zagryzła wargę; poczuła smak wody, słonych łez i gryzącego błota.

Usłyszała uderzenie hubki o krzesiwo i zobaczyła, że mężczyzna spokojnie zapala cygaro - co wymagało nie lada zręczności przy takiej pogodzie. Zaciągnął się, jego policzki zapadły się na chwilę. Nawet na nią nie popatrzył.

Schował krzesiwo do kieszeni i wydmuchnął dym.

- Jestem Hayden St. John i właśnie zostałeś mi przydzielona jako moja służąca. Zaraz zdejmę but z twojej spódnicy. - Wypuścił smużkę niebieskawego dymu. - Bądź rozsądna i nie próbuj uciekać.

Bryony zebrała wszystkie siły. Nie zdążył jeszcze odstawić nogi, kiedy zerwała się do biegu.

Jednak ledwie zdążyła wstać, zacisnął dłoń na jej ramieniu i szarpnął tak mocno, że wpadła na niego. Krzyknęła z bólu,

gdy jej piersi, nabrzmiąte i twarde od mleka dla dziecka, które nigdy już nie będzie ich ssać, uderzyły o mocny tors.

Przysunął twarz do jej twarzy i spojrzał jej w oczy swoim stalowym wzrokiem. Deszcz nie przestawał padać.

- Posłuchaj mnie uważnie, bo nie zamierzam niczego powtarzać - powiedział przez zęby, z cygarem w ustach. - Należysz teraz do mnie, a jeśli jeszcze raz spróbujesz uciec, każę cię wychłostać. Zrozumiałaś?

Wciąż wrzały w niej strach, gniew i nienawiść, lecz nie była głupia, a dwanaście miesięcy w więzieniu nauczyło ją zapominania o poczuciu godności i skrywania niechęci. Zaciśnęła szczęki i pokiwała głową.

Ściągnął ciemne brwi i mocniej zaciśnął palce na jej chudym ramieniu.

- Odtąd będziesz odpowiadać: „Tak, proszę pana”.

Bryony była wysoka, dorównywała wzrostem mężczyznom, a czasami nawet patrzyła na nich z góry. Lecz sięgała ledwie ramienia tego człowieka i musiała odchylić głowę, by spojrzeć na jego groźną, odpychającą twarz. Przełknęła ślinę, nienawidząc jego i siebie samej.

- Tak... proszę pana.

Jeszcze przez chwilę przyglądał się jej przenikliwym wzrokiem, jakby dostrzegając w jej oczach nienawiść i bunt, płonące we wnętrzu, i chcąc ją sprowokować do dania im wyrazu. Lecz strach - a może zwykły rozsądek - sprawił, że słowa uwięzły jej w gardle.

Zauważyła jakiś błysk w jego przejrzystych, niewiarygodnie błękitnych oczach. Po chwili odwrócił się w stronę więziennych budynków i wciąż mocno ściskając jej ramię, pociągnął ją za sobą.

Nadzorczym Gooding stała na kawałku drewna zanurzonym w błocie przed drzwiami do niewielkiego, prymitywnie skleconego baraku i przykładała brudną ścierkę do zakrwawionego, pooranego gwoździami ramienia strażnika.

Bryony nienawidziła tego strażnika. Wyglądał jak wrak człowieka. Przygarbiony, o wąskich ramionach, miał twarz tak brudną, że nawet deszcz nie był w stanie jej domyć. Lecz to nie jego wygląd, a wzrok, jakim ją mierzył, sprawiał, że Bryony pokrywała się gęsią skórą. Dobrze znała już ten błysk w oczach i wiedziała, co oznacza.

Wysoki mężczyzna w czarnych butach zatrzymał się tak gwałtownie, że Bryony straciła równowagę i kurczowo chwyciła jego ramię wolną ręką, by znów nie upaść. Szybko jednak ją cofnęła, jakby nagle odkryła, że ściska jadowitego węża.

Strażnik uniósł wzrok i ją zauważył.

- Ej, ty! - zawołał, pryskając śliną na rozczochrane żółtawe bokobrody. - Ty wstrętna dziwko! Zobacz, co mi zrobiłaś. - Wyciągnął zakrwawione ramię. - Chcę ją podać do sądu. Chcę, żeby ją wychłostano. Zobaczymy, czy będzie taka buntownicza, kiedy dostanie bity.

Strażnik wyciągnął rękę. Bryony instynktownie się cofnęła, lecz zanim zdołał jej dosięgnąć, Hayden St. John chwycił go za nadgarstek tak mocno, że mężczyzna skrzywił się z bólu.

- Auu! - krzyknął, kurcząc się pod bezlitosnym uściskiem. - Dlaczego pan to robi?

- Ta kobieta należy teraz do mnie. - St. John wolno rozprostował palce, uwalniając brudną rękę strażnika. - I nie chcę, żeby doznała tu jakichś obrażeń.

Nadzorczyńni Gooding zarechotała i jej wydatny brzuch zatrzęsł się pod brudnym fartuchem.

- Racja, racja. Na nic się panu nie przyda, kapitanie, jeśli nie będzie nawet mogła leżeć pod panem na plecach. Ha, ha!

Bryony poczuła ściskanie w żołądku. Ogarnęło ją przerażenie. Spojrzała na surowy, zdecydowany profil towarzyszącego jej mężczyzny i szybko odwróciła wzrok, ponieważ patrzenie na niego czyniło wszystko jeszcze bardziej realnym.

Ależ tak właśnie będzie, powiedziała do siebie.

Od kilku miesięcy wiedziała, że ta chwila nadejdzie, była tego świadoma, odkąd usłyszała, co dla skazanych kobiet oznacza zesłanie do Zatoki Botanicznej. Jeszcze zanim statek wypłynął z Anglii, dowiedziała się, że mężczyźni biorą sobie zesłane kobiety za konkubiny. Podobno dawniej kazali im ustawiać się w szeregu, gdy tylko statek zakotwiczył w zatoce. Oficerowie pierwsi wchodzili na pokład, by dokonać wyboru. Potem wpuszczano zwykłych żołnierzy. A potem całą resztę.

Teraz kobiety zazwyczaj trafiały najpierw do Fabryki, lecz była to jedyna zmiana. Słyszała, że niektórzy mężczyźni trzymali

te same kobiety całymi latami... nawet mieli z nimi dzieci, lecz większość uprawiała handel wymienny lub sprzedawała je za rum.

Wiedziała o tym wszystkim od wielu miesięcy, ale ta świadomość wcale nie przygotowała jej na zmierzenie się z rzeczywistością. Czuła, jak ogarnia ją paniczny strach. Jakiś wewnętrzny głos krzychał w niej: „Nie, to niemożliwe”. Podobny krzyk rozdzierał jej duszę, gdy wtrącono ją do mrocznej, przepełnionej, śmierdzącej celi w Penzance, i potem, kiedy dozorca więzienny chwycił ją za piersi swymi tłustymi łapskami.

Usłyszała śmiech nadzorczyńni poczuła jej oddech cuchnący rumem i zepsutymi zębami. Ten ohydny zapach mieszał się z innymi zapachami więziennymi - odorem wilgoci, butwiejącego drewna, moczu, niemytych ciał i strachu.

Zrobiło jej się niedobrze.

Zobaczyła, że Hayden St. John pogardliwie wydyma wargi.

- Jeśli ma jakieś rzeczy, które warto zabrać, proszę je przynieść - zwrócił się do nadzorczyńni. - A ty - dodał, przenosząc wzrok na strażnika - przyprowadź mi konia. I przynieś sznur.

Oparła się plecami o brudną pobielaną ścianę baraku i patrzyła, jak St. John ponownie zapala cygaro. Wypuścił długą smugę dymu w chłodne powietrze i szacującym wzrokiem popatrzył na Bryony. Odchyliła głowę i zamknęła oczy.

Otworzyła je na odgłos człapania kopyt w błocie. Strażnik przyprowadził dużego gniadego wałacha. Hayden St. John chwycił wodze i zaczął podciągać popręgi, kiedy wróciła nadzorczyńni niosąc niewielki tobołek z ubraniami Bryony. Przytroczył go do siodła, po czym sięgnął po sznur i odwrócił się do Bryony.

- Wyciągnij ręce.

Popatrzyła na sznur, przełknęła ślinę.

- Proszę... Nie będę już uciekać. Ja tylko... próbowałam tylko wrócić na grób Philipa. Nie dali... nie dano mi czasu na to, żeby się z nim pożegnać.

Zmrużył oczy.

- Philip to twój syn?

- Tak.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, po czym przytroczył sznur do siodła.

- Dobrze. - Ujął jej podbródek długimi zgrubiałymi palcami i zmusił, by na niego spojrzała. - Ale pamiętaj, jestem szybszy, silniejszy i dużo bardziej zdecydowany od ciebie, więc nawet nie próbuj uciekać.

Nie odpowiedziała „tak, proszę pana”, gdyż nie była w stanie wykrztusić ani słowa. Nie nalegał jednak na to. Mierzył ją spojrzeniem wystarczająco długo, by upewnić się, że zrozumiała, po czym uwolnił ją i wskoczył na siodło.

Był już w połowie drogi przez podwórze, kiedy zdała sobie sprawę, że ma za nim iść. Musiała się pośpieszyć, by, potykając się i ślizgając, dogonić go, zanim wyjedzie za bramę.

Droga obok więzienia była właściwie błotnistą ścieżką pozłobioną głębokimi koleinami wypełnionymi wodą. Prowadziła w dół zbrocza, wzdłuż wezbranej rzeki, z którą spotykała się przy odległej o milę nadbrzeżnej gospodzie.

Poza wysokimi murami więzienia wiatr był silniejszy, siekł deszczem w twarz Bryony i szarpał peleryną, wydymał ją wokół niej, gdy brnęła przez błoto.

Dookoła rozciągały się niskie wzgórza, gdzieniegdzie upstrzone plamami zieleni i rzadko porośnięte dziwnymi cienkimi drzewami. Ich szczyty ginęły wśród ciężkich szarych chmur. Była to rozległa, pusta kraina - surowa, dzika i niegościnna.

Po prawej stronie stały rzędem nędzne chaty z posplatanych gałązek, pokrytych gliną dla wypełnienia ścian, z prymitywnymi, nieudolnie wykonanymi dachami. W pobliżu, po drugiej stronie drogi, znajdował się cmentarzyk. Miejsca pochówku nie oznaczono żadnymi znakami, tylko otoczono namiastką płotu z gałęzi i kawałków drewna. Za jakieś dwadzieścia lat większość ludzi zapewne zapomni, że kiedykolwiek istniał. W końcu byli tu chowani jedynie zesłańcy.

I ich dzieci.

Bryony przystanąła, wpatrzona w maleńki, świeży grób.

Jadący przed nią Hayden St. John zatrzymał konia i popatrzył tam, gdzie ona.

- To tutaj pochowano twoje dziecko?

Przytaknęła.

Zaciągnął się cygarem i rzucił je w błoto.

- Mamy chwilę czasu... jeśli chcesz się pożegnać.

Odchyliła głowę i popatrzyła na niego przez strugi deszczu. Miał zdumiewająco zimne, niebieskie oczy. Nie dostrzegała w nich współczucia ani litości. Trudno było jej uwierzyć, że się nie przesłyszała.

Skinął głową.

Na sztywnych nogach podeszła do kopczyka żółtej ziemi, którą rzucono na jej Philipa. Leżał tam w zimnie i ciemnościach. Nie dano mu nawet przyzwoitej trumny, tylko owinięto go w korę, złożono w ziemi i przysypano piachem.

Znajdował się poza jej zasięgiem. Już nigdy nie będzie mogła go przytulić. Nigdy już nie przyłoży policzka do brązowych jedwabistych włosów ani nie wciągnie w nozdrza słodkiego, mlecznego zapachu synka. Już nigdy nie zobaczy szerokiego, bezzębego uśmiechu, nie usłyszy szczęśliwego pisku. Nie zobaczy, jak będzie dorastał, uczył się biegać, skakać i wołać. Nigdy nie pozna mężczyzny, którym miał się stać.

Uklękała w bujnej mokrej trawie. Miała ochotę rzucić się na zimną, nieprzyjazną ziemię, wyć i płakać, by dać wyraz rozdierającemu bólowi, jednak bała się, że jeśli zacznie krzyczeć, już nigdy nie przestanie.

Wyprostowała się i zacisnęła dłonie w pięści, by nie wołać w stronę szarego, bezlitosnego nieba: Jak długo jeszcze? Ile jeszcze muszę wycierpieć za to, co zrobiłam? Czy to już nie wystarczy? Czy moje dzieci także muszą cierpieć? Najpierw Madeline, a teraz Philip. Dlaczego? Dlaczego musiałeś zabić moje dziecko?

Łzy napłynęły jej do oczu, zapiekły w nos i zaczęły dusić w gardle. Zacisnęła powieki, wiedząc, że jeśli się rozpłacze, nie będzie w stanie się opanować. A wtedy wszyscy dowiedzą się, że gdzieś w głębi duszy, w samym środku, oszalała.

Za nią na brzydkim gniadoszu siedział mężczyzna, któremu została oddana. Kiedy znudzi mu się czekanie, będzie musiała wstać, odwrócić się i posłusznie pójść za nim. Nawet dojmujący ból po stracie Philipa nie był w stanie uczynić jej obojętną na to, co ją czekało. Miała gotować mu posiłki, prać ubrania, sprzątać w domu i spełniać męskie zachcianki. W końcu to

właśnie po to kobiety takie jak ona były zsyłane do tego zapomnianego przez Boga zakątka świata.

Z trudem stanęła na drżących nogach. Jeśli stąd nie odejdzie, jej właściciel przyjdzie tu i ją odciągnie, a tego nie potrafiłaby znieść.

Oddalenie się od grobu Philipa okazało się jedną z najtrudniejszych rzeczy w jej życiu. Nie miała pojęcia, dokąd zabierze ją ten nieznamy mężczyzna ani czy kiedykolwiek będzie mogła tu wrócić. Z czasem deszcz rozmyje smutny kopczyk, trawa porośnie ziemię i będzie tak, jakby Philip nigdy się nie urodził.

Bryony przystanęła i niespokojnie rozejrzała się dookoła, popatrzyła na wzgórza tonące we mgle, na żółtą, wezbraną rzekę, na pobliskie drzewo z liśćmi smętnie zwisającymi w ulewnym deszczu. Jak zapamięta miejsce pochówku synka, maleńki grób na cmentarzu bez żadnych oznaczeń?

Jej pierś unosiła się i opadała gwałtownie w rytm ciężkich oddechów. Odwróciła się i bezradnie popatrzyła na Haydena St. Johna. Siedział na koniu z ręką wspartą o biodro. Miał kapelusz naciągnięty na czoło i nie widziała jego oczu.

Dłuższą chwilę się jej przyglądał, po czym zeskoczył na ziemię i przywiązał gnadosza do drzewa rosnącego przy otworze w cmentarnym płocie. Był to prymitywny płot spleciony z gałązek, traw i kawałków drewna. Znajdowały się w nim nawet paliki z czyjegoś starego płotu. Wyciągnął kilka z nich i ruszył w jej stronę przez chwasty i błoto.

Nic nie mówiąc, wyciągnął myśliwski nóż z pochwy u biodra i użył jego trzonka do wbicia kołków głęboko w ziemię na obu końcach grobu.

Patrzyła na niego w milczeniu.

- Dziękuję - powiedziała cicho, gdy chował nóż.

Nawet na nią nie spojrział. Odwrócił się w stronę konia.

- Chodź - powiedział szorstko. - Chcę wrócić do Sydney przed nocą.

Wyjął z kieszeni chustkę i wytarł z rąk ziemię z grobu dziecka Bryony.

2

Gospoda u podnóża góry mieściła się w naprędcie skleconym budynku z surowego szarego drewna. Była tak niska i przysadzista, że sprawiała wrażenie skulonej przed deszczem, który zalewał kryty gontem dach szerokiej werandy otaczającej dom. Podwórze było jednym wielkim grzęzawiskiem. Nieco dalej, za niewielkim obwałowaniem, płynęła rzeka Parramatta. Bryony zobaczyła przystań i płaskodenną łódź, podskakującą na cętkowanej deszczem, szarobrazowej wodzie.

Hayden St. John skierował konia na błotniste podwórze i zatrzymał się przy werandzie.

- Łódź do Sydney odpływa za godzinę - powiedział, rzuciwszy jej niewielki tobołek, jak monetę ulicznemu żebrakowi. - Chodź ze mną.

Bryony powlokła się za nim na brukowaną kamiennymi płytami werandę i weszła do zimnego, ciemnego korytarza. Podłoga we wnętrzu budynku była wykonana z takich samych kamieni jak na werandzie, niepobielane ściany poczerniały od dymu i brudu. W pomieszczeniu po lewej stronie migotał ciepły, zapraszający ogień. Usłyszała głośny męski śmiech i poczuła słodki zapach piwa dolatujący zza otwartych drzwi. Nie weszli jednak do tej sali.

St. John skierował się ku krótkiemu, wąskiemu korytarzykowi prowadzącemu do pokoi z tyłu budynku. Deszcz ściekał mu z ciemnych kędziorów na kołnierz. Bryony patrzyła, jak poły peleryny unoszą się i opadają mu na uda. Mimo zmęczenia

poczuła strach przyprawiający ją o ściskanie w żołądku. Stłumiony płacz dziecka w oddali sprawił, że zaczęła się trząść. Z trudem łapała powietrze i miała wrażenie, że jej peleryna jest zbyt mocno związana przy szyi i zaraz ją udusi. Chwyliła troczki starając się rozluźnić węzeł, były jednak mokre i tak mocno związane, że nie potrafiła ich rozsupłać drżącymi, zdrętwiałymi palcami.

Otworzył drewniane drzwi na końcu korytarza. Skrzypnęły zardzewiałe zawiasy.

Weszli do pokoiku mrocznego tak jak korytarz, jako że weranda za wąskim opuszczanym oknem zagradzała dostęp światłu, wyjątkowo słabemu w tym ponurym dniu. W niewielkim kominku rozpalono ogień, palił się jednak leniwie i syczał.

Wielkie łóżce z czterema kolumnami stojące na środku wypełniało niemal cały pokój. Przy kominku stało krzesło z prostym oparciem, a obok łóżka dostrzegła stary taboret z białą miednicą i dzbankiem. Jednakże jej uwagę przyciągnął przede wszystkim drobny jasnowłosy mężczyzna stojący przy oknie. Patrzył na zalane deszczem podwórze, lecz usłyszawszy, że nadeszli, odwrócił się i obdarzył ją miłym uśmiechem.

- Dzień dobry - powiedział śpiewnym irlandzkim akcentem, tak mocnym, że dobrą chwilę zajęło jej rozszyfrowanie jego słów.

Miał na sobie niebieską kamizelkę z szorstkiej wełny, surdut, rozciągnięte płócienne spodnie i grubo tkaną koszulę, z czego łatwo było się domyślić, że jest zesłańcem i został przydzielony kapitanowi jako służący. Miał dwadzieścia parę lat, chociaż piegi na zadartym nosie i duże uszy nadawały mu wygląd przerosniętego uczniaka.

Bryony zapatrzyła się na piszczące zawiniątko, które trzymał w ramionach. Niemowlę. On trzyma dziecko, pomyślała niezbyt przytomnie. Spodziewała się różnych rzeczy w tym pokoju, ale z pewnością nie przewidziała, że zobaczy tu czerwone na buzi, kwilące niemowlę.

- Jestem Gideon - powiedział młody mężczyzna. - Gideon Shanaghan, z hrabstwa Kerry. A ten chłopiec to młody panicz Simon St. John. - Uniósł płaczące niemowlę, by mogła je zobaczyć.

Simon St. John?

- Jestem... nazywam się Bryony Wentworth. - Chciała odzajemnić uśmiech Irlandczyka, ale miała ściągniętą twarz, jakby zapomniała, jak to się robi. - Z Kornwalii - dodała. W tym kraju było bardzo istotne, skąd kto pochodzi. Kiedy „Indispensable” zakotwiczył w Zatoce Sydney, wokół nich zaroiło się od łódek, w których ludzie, przechylając się przez burty, krzyczeli: „Czy jest ktoś z Cork?! Czy jest ktoś z Chester?! Czy jest ktoś z Aberdeen?!” Wszyscy chcieli usłyszeć jakieś wiadomości z rodzinnych stron. Często była to jedyna możliwość dowiedzenia się tego, że umarli rodzice albo żona lub że urodziło się dziecko.

Popatrzyła na niemowlę. Było małe i skurczone, nie sprawiało wrażenia kwitnącego. W pewien sposób przypominało jej Philipa, chociaż Philip miał ciemne włoski, a ten chłopczyk - wyjątkowo jasne.

Tak jak Madeline.

Jak zawsze myśl o córeczce, którą musiała zostawić, sprawiła, że otworzyła się stara, bolesna rana.

Hayden St. John zdjął ociekającą wodą pelerynę i przerzucił ją przez oparcie łóżka. Popatrzył na dziecko w ramionach Gideona Shanaghana i wyraziste, surowe rysy jego twarzy natychmiast złagodniały. Uśmiechnął się do synka tak łagodnie, że zrobiło jej się ciepło na sercu.

- Jak się czuje? - zapytał cicho.

- Jest bardzo głodny. - Gideon uśmiechnął się do Bryony. - Mam nadzieję, że przywiózł pan prowiant.

- Prowiant? - Bryony szarpała duszące ją tasiemki peleryny. Rozległ się trzask, znoszony materiał rozdarł się i mokre, znieprawione okrycie ześliznęło się z ramion i opadło na podłogę.

St. John oderwał wzrok od dziecka i popatrzył na nią spod zmrużonych powiek. Jego twarz była tak surowa i pozbawiona emocji, jakby wcześniejszy łagodny wygląd był tylko przywidzeniem. Powoli wodził po niej szacującym wzrokiem, tak że z zakłopotania zrobiło jej się gorąco.

- Wielki Boże. Ależ jesteś brudna.

Bryony popatrzyła w dół. Jej suknia, cała mokra tak jak peleryna, była ubrudzona błotem od dołu po kołnierz.

- Przede wszystkim musisz zdjąć tę suknię - powiedział.

Miała wrażenie, że jej żołądek unosi się i gwałtownie opada. Była w stanie wydać jedynie chrapliwy skrzek ze ściśniętego gardła.

- C.co?

- Słyszałaś. Zdejmij tę suknię. - Ruchem głowy wskazał taboret z miednicą. - W dzbanie jest woda. Musisz umyć ręce i twarz, zanim będziesz go karmić. Pośpiesz się. Jest bardzo głodny.

Nagle zrozumiała, co miał na myśli młody Irlandczyk, mówiąc o prowiancie.

- Czy to znaczy, że chce pan, żebym była mamką pańskiego dziecka?

Hayden St. John stał z biodrami nieznacznie wysuniętymi do przodu, na szeroko rozstawionych nogach. W jego oczach pojawił się niebezpieczny błysk. Bryony poczuła się zagrożona.

- Tak, to będzie twój główny obowiązek.

Zesztywniała. Spodziewała się, że ten mężczyzna może ją zgwałcić; wciąż mógł to uczynić, jeśli nie zadowoli go w łóżku matka tego wrzeszczącego niemowlęcia. Lecz z jakiegoś powodu myśl o tym, że on wykorzysta jej ciało dla nakarmienia synka, przeraziła ją tylko odrobinę mniej niż to, że użyje jej dla zaspokojenia swojej chuci. Było to wciąż naruszenie jej prywatności, czegoś niezwykle dla niej ważnego, bardzo osobistego i intymnego.

Zawrzała w niej złość. Jej mleko należało do Philipa, nie do tego chłopca! Niech matka niemowlęcia, niezależnie od tego, czy jest żoną czy konkubina tego mężczyzny, radzi sobie sama. Głęboko zaczerpnęła tchu.

- Nie zrobię tego.

Usłyszała zduszony okrzyk zdziwienia Irlandczyka, nie miała jednak czasu, by nań spojrzeć. Była zbyt pochłonięta wpatrywaniem się w Haydena St. Johna.

Pomyślała, że musiała chyba oszaleć, skoro przeciwstawiła mu się w taki sposób.

W ciszy, która zapanowała w pokoju, usłyszała trzaśnięcie drwa w kominku. Zapłonął żywszy ogień, rzucając krąg światła, w którym dostrzegła mocne kości policzkowe Haydena. Zmrużył

oczy i patrzył na nią przez wąskie szparki tak przenikliwym wzrokiem, że miała wrażenie, iż przewierca ją spojrzeniem na wskroś. Nie odezwał się, tylko gwałtownym ruchem głowy wskazał drzwi.

Gideon położył dziecko w zagłębieniu poduszek i wyszedł, cicho zamknawszy drzwi. Milczenie przeciągało się.

- Nie radzę mi się przeciwstawiać. Zdejmij suknię.

Poczuła dławienie w gardle, ale nie uległa. Była pewna, że Hayden St. John i tak w końcu zwycięży, lecz duma, a może zwyczajne poczucie własnej godności i wartości kazało jej stawić opór. Pokręciła głową.

Podszedł do taboretu z miecnicą, uniósł dzbanek i nalał wody do miski. Czujnie obserwowała jego poczynania. Poruszał się miękko, z gracją.

- Powtarzam ostatni raz - powiedział spokojnym, lecz złowróźbnym tonem. - Zdejmij to.

- Nie mam zamiaru karmić pańskiego dziecka. Nie jestem... krową.

Gwałtownie odstawił dzbanek i w dwóch szybkich krokach pokonał dzielącą ich przestrzeń. Zanim zdążyła się zorientować, co może się stać, chwycił kołnierz jej sukni i mocno szarpnął. Wydała okrzyk zdumienia, chciała się cofnąć, ale suknia była stara i znoszona, podobnie jak peleryna, toteż stanik natychmiast rozdarł się aż po talię.

Pod spodem miała jedynie koszulkę. Odruchowo uniosła ramiona, by zasłonić piersi, lecz on jeszcze nie skończył. Chwycił jej suknię w pasie. Kolejne szarpnięcie i suknia rozdarła się na dwie części. Odrzucił ją tak mocno, że uderzyła w przeciwległą ścianę. Bryony stała przed nim w samej koszulce i halce.

Chwycił ją za nagie ramiona i przyciągnął do siebie tak, że dostrzegła leciutkie zmarszczki na jego opalonych policzkach, poczuła jego gniew, zdała sobie sprawę z pierwotnej, męskiej siły.

- Kiedy wydaję ci jakieś polecenie, masz je spełnić. Zostałaś mi przydzielona. Rozumiesz, co to tutaj oznacza? To znaczy, że mogę z ciebie zrobić moją krowę albo kochankę, a nawet mogę sprawić, że będziesz dla mnie uprawiać nierząd. A jeśli ci się

wydaje, że możesz poskarżyć się na mnie do sądu, to tylko spróbuj. Natychmiast każą cię wychłostać za zuchwałość. A zaraz potem odeślą cię do mnie.

Popatrzyła na jego twarz. Strach sprawił, że poczuła ucisk w żołądku.

- Widziałas kiedyś chłostaną kobietę? - zapytał ostrym tonem. Bryony otworzyła usta, ale nie była w stanie się odezwać.

- Widziałas?

Z drżeniem zaczerpnęła tchu.

- T...tak.

Kapitan „Indispensable” kazał wychłostać kobietę za nieposłuszeństwo, w to, co delikatnie nazwał jej „gołym siedzeniem”. Zmusił inne skazane do przyglądania się tej scenie. Bryony nigdy tego nie zapomni. Kobieta została skazana na piętnaście batów, ale zemdląła po dziesięciu. Kiedy dziewięć skórzanych rzemieni zakończonych matalowymi kulkami przecinało jej nagą skórę, przeraźliwie krzyczała i miotała tak potworne przekleństwa, że kapitan rozkazał, by zakneblowano jej usta.

Podobno mężczyźni mieli sobie za punkt honoru, by nawet nie pisać w czasie chłosty, lecz po tym doświadczeniu Bryony pomyślała, że gdyby bardziej krzyczeli, rzadziej wymierzano by tę karę. Kapitan już nigdy potem nie ukarał kobiety chłostą, nawet po tym, jak któraś powiedziała, że gotowa się założyć, iż jego fiut jest cienki jak pręcik. Poszedł dalej, udając, że tego nie słyszał. Mówiono, że puścił jej to płazem dlatego, że krzyki chłostanej kobiety wprawiły go w przerażenie. Być może jednak powodem było to, iż widok nagiej kobiety tak podziałał na marynarzy, że kilku wdarło się tamtej nocy na pokład dla kobiet i następnego dnia sami musieli zostać wychłostani.

Na staku często rozlegały się odgłosy uderzeń dyscypliną. Bryony potwornie jej się bała.

- W tej kolonii bardzo często skazuje się ludzi na karę chłosty - mówił Hayden St. John. Był tak blisko, że czuła na policzku jego gorący oddech. - Mogę doprowadzić do tego, że będziesz wychłostana za impertynencję, jeśli nie przestaniesz odzywać się do mnie tym swoim nieprzyjemnym tonem. A jeśli

kiedykolwiek znajdę powód do przypuszczeń, że zaniedbujesz moje dziecko, bity na pewno cię nie miną. Zrozumiałaś?

Boże, jak ona go nienawidziła. Brakowało jej tchu.

- Tak... proszę pana.

Uwolnił ją i podał jej ściereczkę, którą uniósł z taboretu. Popatrzyła na jego szczupłą, silną dłoń, jako że nie była już w stanie znieść okrutnego wyrazu jego twarzy.

- No, to zamierzasz wreszcie się umyć? Czy mam to zrobić za ciebie?

U myła się. Zrobiła to szybko, używając ściereczki do wyszorowania twarzy. Zadrzała polawszy brudne ramiona zimną wodą.

Hayden oparł się o masywne łóżko i patrzył, jak Bryony myje się nad miednicą, a jej biodra wychylają się w przód i w tył przy każdym ruchu.

Chryste, ależ była chuda. Przez cienki materiał koszuli dostrzegał jej sterczące łopatki i żebra. Pomyślał, że ma niezłą figurę - długie plecy aż po wąską talię, wdzięczną krzywiznę bioder. Był pewien, że gdyby nie niedożywienie, uznałby ją za silną i zdrową. Była wysoka, o wiele wyższa niż Laura. Laura była wyjątkowo mała i delikatna, niemal jak dziecko. Należała do tego typu kobiet, które wzbudzają w mężczyznach chęć chronienia ich i opiekowania się nimi.

Bryony Wentworth była zupełnie inna. Jej ciemne tajemnicze oczy błyszczały dumą i siłą. Z pewnością niełatwo będzie mu ją okiełznać, ale był absolutnie zdecydowany, że musi tego dokonać.

Wyprostowała się, wytarła twarz i ramiona drugim końcem ściereczki, po czym odłożyła ją na taboret i odwróciła się.

- Skoro mam go karmić, powinnam zostać sama - powiedziała. Miała uniesioną głowę, ale opuszczony wzrok. Skrywała nienawiść, która musiała być widoczna w jej oczach.

Ta kobieta należy do kasty zwycięzców, pomyślał z niechętnym podziwem. W ciągu ostatniego roku musiała przeżyć prawdziwe piekło, ale nawet makabryczne przejścia - a wiedział, że było ich niemało - nie zdołały jej złamać.

Doświadczenie mówiło mu, że na świecie są trzy rodzaje ludzi, a system panujący w kolonii karnej w Nowej Południowej Walii bezlitośnie zgniatał dwa z nich.

Ci, którzy byli słabi, którzy poddawali się i dawali się miażdżyć, zazwyczaj szybko umierali. Były też ich przeciwieństwa – buntownicy, którzy opierali się władzom. Ci również skazani byli na zagładę. Karne kolonie wydawały się przyciągać nieprawdopodobną liczbę sadystów na ważne stanowiska; zawsze można było liczyć na to, że każą chłostać i głodzić rebeliantów, dopóki ich nie złamią albo nie zabiją.

Tylko ci, którzy zajmowali miejsce w środku, tacy jak ta kobieta, którzy potrafili zachować dumę i poczucie własnej wartości, ale mieli wystarczająco dużo rozsądku, by wiedzieć, kiedy należy je ukryć, mogli to przeżyć.

- Czy może nas pan zostawić? - zapytała.

Hayden pokręcił głową.

- Nie. Na razie nie mam zamiaru zostawiać cię samej z Simonem.

Patrzył, jak fala gorąca barwi jej szyję i policzki. Nie był w stanie powiedzieć, czy sprawił to strach, czy zakłopotanie. Przypuszczał, że po trosze i jedno, i drugie. Jej klatka piersiowa uniosła się przy szybko wziętym oddechu, przyciągając jego uwagę.

Bryony była chuda, ale miała kształtne, pełne piersi. Były teraz tak nabrzmiałe od pokarmu, że mleko aż z nich ściekało. Widział coraz większą plamę na jej koszuli. Cienki mokry materiał przywarł do ciała, co pozwoliło dostrzec ciemne brodawki sutkowe.

Zauważywszy jego spojrzenie, przyłożyła dłonie do piersi, jakby starając się powstrzymać wyciekanie pokarmu. Czerwień na jej policzkach pogłębiła się.

Dumnie wyprostowana i aż do bólu opanowana, minęła go, by unieść dziecko z łóżka i usiąść na krześle przy kominku. Hayden uważnie patrzył, jak układa Simona w zagłębieniu ramienia i rozwiązuje postrzępioną wstążkę przy koszuli. Uniosła głowę i napotkała wzrok Haydena. Nie odwracając oczu, rozchyliła cienki materiał koszuli, odsłaniając pierś.

Była tak obrzmiała od mleka, że musiała ją boleć. Zastanawiał

się, jakiego rodzaju duma kazała jej odmawiać nakarmienia jego syna, skoro jej własne ciało domagało się ulgi, którą mogło jej dać tylko ssące dziecko.

Simon poczuł zapach mleka, zwrócił ku niej główkę i otworzył usta. Jednak pierś była tak pełna i twarda, że nie potrafił chwycić brodawki. Zmarszczył twarzyczkę i poczerwieniał, krzycząc chyba głośniej niż kiedykolwiek. Dopiero po kilkunastu próbach udało jej się włożyć ociekającą mlekiem brodawkę w usta dziecka.

Krzyk i płacz natychmiast ustały. W nagiej ciszy Hayden usłyszał pluskanie kropeł deszczu o dach werandy za oknem, łapczywe mlaskanie synka i trzaskanie ognia w kominku. Kobieta nie patrzyła teraz ani na Haydena, ani na Simona. Wpatrywała się w ogień, jakby nie życząc sobie widoku ojca ani syna, którego została zmuszona przystawić do swojej piersi.

Hayden przez dłuższy czas patrzył, jak syn chciwie żłopie życiodajne mleko. Zauważył, że Bryony ma delikatną, niemal przezroczystą skórę, dostrzegł niebieskawą sieć żyłek tam, gdzie Simon trzymał swą malutką rączkę, przytulony policzkiem do białej piersi.

Nagle zdał sobie sprawę, że skazana nie patrzy już w płomienie, tylko obserwuje go, wpatrzonego w jej piersi. Popatrzył jej w oczy, mając nadzieję, że odwróci wzrok, zakłopotana swą nagością, ale nie zrobiła tego.

- Musiał być bardzo głodny - odezwała się niespodziewanie. - Kiedy ostatnio był karmiony?

Hayden wyprostował się.

- Trzy dni temu. Może cztery... odkąd pił ludzkie mleko. Próbowaliśmy dawać mu mleko krowie i kozie, ale wymiotował.

Zatrzymała się na chwilę w trakcie przenoszenia dziecka do lewej piersi, jej wymizerowana twarz rozjaśniła się trudnym do określenia uczuciem.

- Jego matka straciła pokarm?

- Jego matka umarła przy porodzie. - Podeszedł do okna i niewidzącym wzrokiem zapatrzył się w przestrzeń.

- Przy porodzie? - zapytała zdziwionym głosem. - Jest małeńki, ale nie wygląda na nowo narodzone dziecko.

- Nie jest noworodkiem. - Głos Haydena zabrzmiał głucho nawet w jego własnych uszach. - Ma cztery miesiące. - Oparł dłoń o parapet i przeniósł na nie ciężar ciała, aż zbieleły. - Nająłem kobietę z Green Hills. Żonę osadnika, która urodziła córeczkę. Ale znów zaszła w ciążę i straciła pokarm.

- Green Hills? - powtórzyła pytająco.

Hayden usłyszał przerażenie w jej głosie i domyślił się, że wynikało ono z obawy przed życiem w buszu. Większość kobiet bała się buszu.

- Green Hills to osada odległa o jakieś dwa, trzy dni podróży na północ stąd, nad rzeką Hawkesbury. - Odwrócił się. - Leży niedaleko Jindabyne, mojej posiadłości. Pojedziemy tam, gdy tylko dokonam wszystkich niezbędnych zakupów w Sydney.

Znów zapatrzyła się w ogień. Dopiero po dłuższej chwili odezwała się cichym głosem:

- Powinien był pan mi powiedzieć, że jego matka nie żyje. Nigdy nie odmówiłabym nakarmienia go, gdybym o tym wiedziała.

- Czy to miałyby aż tak wielkie znaczenie? - zapytał ostro.

- Oczywiście. - Odwróciła głowę. Zauważył, że jej blada twarz wyraża uczucia, których nie potrafił nazwać. - Za kogo pan mnie uważa?

Przyjrzał się jej uważnie, oparty o parapet.

Nie miał pojęcia, co to za kobieta. Stanowiła dlań prawdziwą zagadkę. Mówiła z lekkim kornwalijskim akcentem, ale wysławiała się poprawnie i bez wątpienia odebrała staranne wykształcenie. Pod uporem i zuchwałością kryły się duma i godność, dowodzące szlchetnego urodzenia i dobrego wychowania.

Zastanawiał się, za co została tu zesłana. Nie ulegało wątpliwości, że nie zaczynała w rysztoke, nawet jeśli tam się w końcu znalazła. Poczłł dziwne ożywienie, będące wynikiem zainteresowania, podziwu, lecz także i czegoś jeszcze.

Pomyślał, że dla nich obojga byłoby chyba lepiej, gdyby okazała się tanią prostytutką, za jaką ją najpierw uważał.

3

Bryony miała wrażenie, że podróż rzeką Sydney nigdy się nie skończy, podobnie jak deszcz.

Skulona na ławeczce pod prowizorycznym daszkiem z tyłu łodzi, trzymała dziecko Haydena St. Johna w zdrętwiałych ramionach.

Deszcz padał nieprzerwaną kurtyną, niemal całkowicie zasłaniając szarozielone wzgórza po obu brzegach rzeki. Nawet nieliczne skupiska drzew wyglądały jak nie z tej ziemi. Na chwilę wyłaniały się z mgły, ukazując srebrzyste liście, po czym znów znikwały w ciemności. Ten kraj wydawał się Bryony dziki, obcy. Był także rozległy i pusty jak jej dusza.

Przełknęła z trudem, czując dławienie w gardle, i popatrzyła na śpiące niemowlę. Wydawało się ssać przez sen, zupełnie tak jak Philip. Na wspomnienie synka poczuła tak wielki ból, że omal nie krzyknęła.

To dziecko może wypełniać jej ramiona, ale nigdy nie zdoła zapełnić miejsca w jej pustym sercu. Simon nieustannie przywodził jej na myśl dwoje innych, utraconych dzieci, które niegdyś tuliła do siebie.

Przeniosła wzrok z dziecka na ojca i jej ból natychmiast się spotęgował, przyprawiając ją o strach. Hayden wydawał się nie zwracać uwagi na deszcz siekący jego kapelusz z szerokim rondem i mocne ramiona. Stał na dziobie łodzi na szeroko rozstawionych nogach w butach z ostrogami, z rękami założonymi na piersiach, w swojej charakterystycznej, zuchwale męskiej

pozie. Wiosłujący powiedział coś do niego i na chwilę na twarzy St. Johna zagościł uśmiech, a potem odchylił głowę do tyłu i roześmiał się głośno, serdecznie.

Szybko odwróciła wzrok, zaniepokojona natłokiem emocji, które czuła nawet gdzieś głęboko w brzuchu. Boże, wiedziała o tym mężczyźnie tylko to, że jest twardy, sprytny i niebezpieczny, i że przyprawia ją o lęk. A przecież do niego należała.

Mogę z ciebie zrobić moją kochankę...

Przypomniała sobie ciężar jego dłoni na swoich nagich ramionach i przeniknął ją dreszcz. Znów, jak zafascynowana, popatrzyła na Haydena St. Johna.

Ubierał się i wystawiał jak człowiek szlachetnie urodzony, ale mimo to sprawiał raczej wrażenie awanturnika, poszukiwacza przygód, człowieka, który uznawał tylko ustanowione przez siebie prawa, który sięgał po to, na co miał ochotę. Był mężczyzną tak dzikim i nieposkromionym jak niegościnnie kraj, który sobie wybrał.

- Może gorącej herbaty?

Bryony odwróciła się w stronę Gideona Shanaghana, który trzymał blaszany kubek z herbatą.

- Chętnie, bardzo dziękuję. - Z wdzięcznością podała mu śpiące dziecko i sięgnęła po kubek.

Gideon usiadł obok niej. Trzymał Simona z taką pewnością, że uśmiechnęła się do niego.

- Albo miałeś mnóstwo młodszych sióstr i braci, albo własne dzieci.

Odwzajemnił uśmiech.

- I jedno, i drugie. Byłem najstarszy z całej naszej siódemki, a Mary i ja mamy dwóch fajnych chłopaków... - Spoważniał. - Ale potem mnie zesłano.

Bryony wpatrzyła się w parujący płyn. Herbata była niesmaczna, ale przynajmniej gorąca.

- A ja zostawiłam trzyletnią córeczkę w Kornwalii.

Popatrzyła w jego łagodne szare oczy. Przez chwilę dzielili ból po utracie bliskich.

- Mam nadzieję, że jej ojciec dobrze się nią opiekuje.

Bryony pokręciła głową.

- Mieszka z moim wujem. Jej ojciec nie żyje.

Poczuła znajome, bolesne poczucie winy w związku ze śmiercią Olivera. Już od tak dawna nosiła je w sobie jak brzemień. Przez cały ten czas ani na chwilę nie straciło choćby części swego ciężaru, musiała nauczyć się z nim żyć. Jednakże nawet teraz czuła się bardzo dziwnie, wspominając Olivera. Miała wrażenie, że stał się częścią życia kogoś, kto umarł wraz z nim.

Popatrzyła na Haydena St. Johna stojącego na dziobie łodzi. Wiatr szarpał połami jego peleryny i chłostał nimi jego uda. Hayden wsparł jedną rękę na biodrze i zacisnął palce na rękojeści swego przerażającego noża.

- Gideon? - zwróciła się do Irlandczyka, wychylając się w jego stronę. - Czy kapitan zawsze nosi przy sobie ten nóż?

Gideon popatrzył na swego pana.

- Tak, prawie cały czas. Chyba że ma przy sobie pistolet. Ale raczej ma i jedno, i drugie.

- Ale... dlaczego?

Gideon roześmiał się.

- A jak myślisz, skoro żyje w kolonii zamieszkaną przez samych złodziei i morderców? W zeszłym tygodniu trzech rozbójnicy napadli go na drodze z Green Hills do Jindabyne. Od razu zabił dwóch, a trzeci też nie dożył powieszenia.

- Zastrzelili ich?

- A skąd! Nie było na to czasu.

Oderwała wzrok od przerażającego noża i nieulekłego, bezdusznego mężczyzny, który go nosił. Na samą myśl o tym, że mogłaby być zmuszona do dotykania takiego mężczyzny czy leżenia pod nim i przyjmowania go w siebie, przeniknęła ją dreszcz nie mający nic wspólnego z pogodą, przenikający aż do szpiku kości.

Popatrzyła na dziecko spokojnie śpiące w ramionach Gideona, zastanawiając się nad tym, jak wyglądała kobieta, która umarła, dając życie synkowi.

- Czy matka Simona była służącą Haydena St. Johna? - zapytała, lekko zmieszana. - Przydzieloną mu skazaną?

- Pani St. John? Och, nie. To była prawdziwa dama. Córka wicehrabiego. - Na twarzy Gideona odmalował się zachwyty. -

Była piękna jak anioł. Krucha, słodka istota. Kapitan ją uwielbiał... rozpieszczał... chyba wiesz, co mam na myśli.

Bryony pokręciła głową. Bez trudu wyobrażała sobie Haydena St. Johna gwałcącego kobietę, ale rozpieszczającego ją? Wielbiącego? Szalejącego na jej punkcie?

- Kapitan bardzo się zmienił po jej śmierci - mówił Gideon. - Bardzo to przeżył. Myślę, że obwinia się o to, że ją tu przywiózł. Kiedyś słyszałem, jak mówił, że nigdy nie powinien był tego robić. No, na pewno nie jest to odpowiednie miejsce dla damy.

Na pewno, pomyślała Bryony. Ale ten dziki, surowy kraj nie był odpowiednim miejscem dla żadnej kobiety.

Nie chciała już patrzeć na St. Johna, ale nie potrafiła się temu oprzeć. Poddając się kołysaniu łodzi, spoglądał w stronę wzgórz za mgłą. Wiatr rozwiewał jego długie, ciemne włosy. Wyglądał równie przerażająco i surowo jak kraina, której się przyglądał.

A jednak wziął sobie za żonę córkę wicehrabiego, damę o twarzy anioła i odpowiadającym temu temperamentem. Zastanawiała się, co też może myśleć sobie o kobiecie takiej jak ona - zesłanej przestępczyni. Jak będzie ją traktował?

Prawdę mówiąc, znała już odpowiedzi na te pytania. W ciągu kilku godzin zdążył rozedrzeć jej ubranie, obnażając ją do połowy, i dwukrotnie zagroził karą chłosty. Bryony dopiła gorzką herbatę, westchnęła.

- Sprawiasz wrażenie zmęczonej - powiedział Gideon, wstając. - Spróbuj się trochę zdrzemnąć. Zajmę się Simonem.

Próbowała oponować, ale Gideon tylko się roześmiał, powiedział, żeby nie była głupia, po czym odszedł z dzieckiem w ramionach.

Bryony oparła się o skrzynię i z ulgą zamknęła oczy. Czowała potworne zmęczenie. Kilka dni i nocy - ile ich było? dwie? trzy? - walczyła o życie Philipa po tym, jak zachorował, tuląc go do siebie, zbyt przerażona, by zasnąć nawet wtedy, gdy on spał, bojąc się, że po przebudzeniu zostanie go martwym.

Lecz w zimnym świetle wczesnego poranka Philip i tak umarł na jej oczach. W jednej chwili żył i oddychał, a zaraz potem umarł i trzymała już tylko jego ciało. Nie pomogła jej troska, opieka i czujność.

Bryony zanurzyła się w ciepłej, słodko pachnącej kąpieli i westchnęła z rozkoszą.

Spodziewała się, że zostanie ulokowana na strychu, w pokoiku dla służących, albo będzie zmuszona dzielić sypialnię - i łożę - ze swoim panem. Tymczasem St. John polecił, by zanieśiono dla niej siennik do osobnego pokoju w gospodzie w Sydney, w której się zatrzymali.

W przeciwieństwie do surowego zajazdu nad rzeką Parramatta, gospoda „Pod Trzema Rybakami” mieściła się w schludnym piętrowym budynku z piaskowca, stojącym wysoko na zachodnim brzegu zatoki. Pokój był bardzo przytulny i ładnie umeblowany, z szerokim kwaterowym oknem wychodzącym na kręte, poźłobione koleinami ulice miasteczka i wzburzoną, okrytą mgiełką zatokę w dole.

Bryony zamknęła oczy, czując miłe ciepło wody, kojące jej duszę i przynoszące ulgę ciału. Była to jej pierwsza kąpiel od roku. Nie wliczała w to zdarzenia w Gravesend, kiedy to kazano im rozebrać się do naga, wejść do wody i dopiero potem rozdano im przygotowane przez władze ubrania, które miały im starczyć na podróż i na później. Wtedy chodziło raczej o upokorzenie niż o wymogi higieny. Starła się wymazać to z pamięci, ale wątpiła, czy kiedykolwiek jej się to uda.

Otworzywszy oczy, popatrzyła na Simona St. Johna, bawiącego się swymi stopami na kocu, który rozłożyła na podłodze. Pomyślała, że teraz, po kilku zaledwie karmieniach, malec wygląda lepiej. Chuda, jakby zasuszona twarzyczka, którą zobaczyła w gospodzie nad rzeką Parramatta, straciła swój smutny wyraz. Bryony pomyślała, że Simon jest bardzo ładnym dzieckiem, ma duże zielone oczy, jasne włoski i delikatne rysy. Nie był podobny do Haydena St. Johna. Mogła jedynie przypuszczać, że przypomina zmarłą matkę.

Pani St. John musiała być bardzo piękną kobietą.

Myjąc się delikatnym mydłem o różanym zapachu, przypomniała sobie sztywne ramiona Haydena i sposób, w jaki ścisnął parapet okienny, kiedy mówił o śmierci żony. Czyżby rzeczywiście tak bardzo ją kochał? Uwielbiał, jak powiedział Gideon?

Głębiej zanurzyła się w wodzie. Z rozmarzeniem zastanawiała

się, jak może czuć się kobieta tak kochana przez mężczyznę. Pomyślała o Oliverze i przez chwilę poczuła się tak bardzo zazdrosna o piękną, rozpieszczaną matkę Simona St. Johna, że aż ją to zaskoczyło. Z poczuciem winy przypomniała sobie, że ta kobieta nie żyje. Usiadła, zanurzyła głowę w wodzie i namydliła włosy, potem kilkakrotnie je spłukała, i powtórzyła te czynności jeszcze wiele razy.

Kąpiel była tak cudowna, że z trudem zmusiła się do wyjścia z balii. Wytarła się miękkimi ręcznikami, po czym włożyła znoszoną, ale czystą koszulę i halkę. Nie mogła jednak zdecydować się na włożenie jedynej sukni. Była mokra i poplamiona, a Bryony czuła się cudownie czysta.

Przysiadła na chodniczku obok dziecka i zaczęła rozczesywać splecione mokre włosy, susząc je przy kominku. Simon zapomniał o swoich palcach u nóg i z zachwytem w rozszerzonych oczach przyglądał się powolnym, rytmicznym ruchom jej rąk, przesuwających grzebień w górę i w dół.

- Chce ci się spać, maluchu? - zapytała miękko i uśmiechnęła się do dziecka.

Simon wierzgnął nóżkami, pisnął i obdarzył ją szerokim, bezzębnym uśmiechem.

Patrzyła na szczęśliwą twarzyczkę, a uśmiech powoli gasł na jej wargach.

Nie, powiedziała do siebie w duchu. Nie będziesz troszczyć się o to dziecko. Wyrwano jej połowę serca, zabierając Madeline, a teraz pochowała to, co z niego zostało, w ziemnym grobie w Zatoce Botanicznej. Nie była pewna, czy będzie w stanie z tym żyć, nie mówiąc już o pokochaniu kogoś, szczególnie dziecka. I to w dodatku dziecka mężczyzny takiego jak Hayden St. John.

Nie mogła jednak powstrzymać się przed zmięgnięciem złocistych kędziorów nad czołem malca.

Tylko ten jeden, jedyny raz.

4

Haydenowi St. Johnowi nie przyszło do głowy, by zapukać do drzwi. Otworzył je i wszedł do pokoju.

Skazana kobieta siedziała na krześle przy kominku, z policzkiem przytulonym do wysokiego oparcia, z zamkniętymi oczami. Miała na sobie tylko cienką koszulę i postrzępioną starą halkę. Koszula była rozpięta, a Simon sennie ssał białą, kształtną pierś.

Ma bardzo ładne piersi, pomyślał Hayden, cicho zamykając drzwi. Takie, jakie mężczyzna lubi trzymać w dłoniach. Teraz, kiedy się umyła, cała reszta też nie wyglądała tak źle. Nie była klasyczną piękną jak Laura. Miała zbyt mocno zarysowany podbródek, a jej nos, lekko zadarty na końcu, nadawał jej wygląd psotnego dziecka. Jednak w jej wargach nie było niczego charakterystycznego dla dzieci, były to w pełni kobiece, pełne, zmysłowe usta.

Popatrzył na jej włosy i zdziwił się, że mógł uznać ich barwę za nieokreśloną. Miały wspaniałe kolor wina, a ogień wydobył z nich całą gamę odcieni. Okalały jej twarz burzą kędziorów, tak jakby przed chwilą wyszła z łóżka.

Ta myśl go zaskoczyła.

Jakby czując na sobie jego wzrok, zatrzepotała powiekami, zamknęła je na chwilę, po czym szeroko otworzyła oczy.

Wyprostowała się gwałtownie i popatrzyła na Haydena, który stał przy drzwiach, z ręką na gałce.

Poszukiwacz przygód w butach z ostrogami, z morderczym nożem u biodra, zmienił się w dżentelmena, ubranego do wyjścia. Miał na sobie dwurzędowy ciemny frak i kamizelkę z białego jedwabiu oraz białe jedwabne pończochy pod wieczorowymi spodniami. Niedbale zarzucił pelerynę na ramię, a w rękę trzymał *chapeau bras* i białe rękawiczki.

Mimo tej elegancji, wciąż emanował aurą dzikości i nieokiełznania, dziwnie kontrastującą z ubraniem.

Zakłopotana tym, że siedzi z obnażoną piersią, Bryony odstawiła śpiące dziecko i naciągnęła koszulę. Żałowała, że po kąpieli nie włożyła brudnej sukni.

Szybko związała wstążkę przy szyi. Uniósłszy głowę, zauważyła mroczny, dziwnie niepokojący wzrok skupiony na jej włosach. Mocne brwi Haydena były ściągnięte, jakby nie podobало mu się to, co zobaczył.

Jej włosy zostały krótko obcięte przed wejściem na statek, ale w ciągu ostatnich sześciu miesięcy odrosły na trudną do schłodnego utrzymania długość. Teraz, kiedy były czyste, okalały jej twarz dziką płataniną.

- Co zrobiłaś ze swoimi włosami?

Zamrugła, zdumiona.

- Umyłam je.

Podszedł do stolika i sięgnął do pudełka po cygaro. Nawet w wieczorowym stroju poruszał się z kocią zwinnością.

- Od tej pory - rzucił przez ramię - masz je związywać. Z tymi rozpuszczonymi włosami wyglądasz jak dziwka.

Poczuła, że się rumieni.

- Nie mam czym ich nakryć. Ktoś ukradł moje czepki na statku.

Odwrócił się, trzymając w zębach cygaro obcięte na obu końcach.

- Zaplanowałem sobie, że Gideon jutro pojedzie z tobą do miasta po sprawunki dla Simona. Będziesz mogła sobie kupić nową suknię i pelerynę. I kilka czepków.

- Tak... proszę pana.

Wstała i położyła Simona w kołysce przy kominku, świadoma, że Hayden obserwuje ją swym niepokojącym wzrokiem.

- Być może nie będziemy mogli wybrać się do miasta przez kilka miesięcy - powiedział, sięgając po hubkę i krzesiwo. - Więc kup wszystko, co tylko może być potrzebne Simonowi w tym czasie. Przypuszczam, że wiesz, co to ma być.

Popatrzyła na niego, uniółszy głowę znad kołyski. Oparł się o krawędź dębowego stołu przy oknie i zaczął niedbale wymachiwać nogą w jedwabnej pończosze. Zapalił cygaro, płomień oświetlił wydatne kości policzkowe. Pomyślała o ciągnącym się w dal paśmie ponurych wzgórz i przełknęła z trudem ślinę.

- Czy pańska posiadłość znajduje się aż tak daleko?

Wypuścił długą smugę niebieskawego dymu.

- Gdyby drogi były w dobrym stanie, bez trudu można by tam dojechać w ciągu jednego dnia. Ale nie zdarza się, żeby drogi w Nowej Południowej Walii były w dobrym stanie.

Strząsnęła popiół z cygara. Pomyślała, że Hayden ma ładne ręce; silne, ale kształtne i wąskie jak u artysty. Albo muzyka. Była ciekawa, czy gra na jakimś instrumencie.

Uniół cygaro do warg.

- Nie zamierzałem jeszcze zostawiać cię samej z Simonem, ale otrzymałem na dzisiejszy wieczór zaproszenie do rezydencji gubernatora i nie mogę odmówić. - Głęboko zaczerpnął tchu. Nie spuszczał jej z oczu ani na chwilę. - Powiedziałem ci już, co się stanie, jeśli dowiem się, że źle traktowałaś albo zaniedbałaś mojego syna. Czy muszę powtarzać?

Popatrzyła na jego surową, zuchwałą twarz i bezwiednie chwyciła koszulę przy szyi, jakby wymierzający chłostę zamierzał ją z niej zedrzyć.

- Nie... proszę pana - zmusiła się do odpowiedzi, myśląc, że chyba jeszcze do nikogo nie czuła tak silnej nienawiści jak do tego mężczyzny.

- Jeszcze jedno. - Zdusił cygaro jednym szybkim ruchem. Tego wieczoru wyczuwała w nim jakiś niepokój i nerwowość. Przyglądał jej się tak, że zrobiło jej się gorąco, jakby stała zbyt blisko ognia. Chciała, żeby jak najszybciej sobie poszedł. - Jeśli lubisz sobie wypić - powiedział krótko - to musisz o tym zapomnieć. Wiesz, co się stanie, jeśli poczyję od ciebie alkohol?

- Nie piję... proszę pana - powiedziała zdławionym szeptem. Zauważyła, że drgnęły mu nozdrza.

- Jeszcze nie spotkałem złodziejki ani dziwki, która nie lubiłaby zaglądać do kieliszka.

Rumieniec gniewu zabarwił jej policzki.

- Nie jestem dziwką. Ani złodziejką.

- Nie? - Odszedł od stołu. - W takim razie, kim jesteś? - zapytał, powoli idąc w jej stronę. - Co musi zrobić taka kobieta jak ty, żeby zostać zesłana?

Nie odpowiedziała.

- No - ponaglił, podchodząc bliżej. - Co to było? Oszustwo? Paserstwo? Fałszerstwo?

- Nie - odpowiedziała w końcu głosem drżącym z wściekłości. - Zabójstwo.

W pokoju nagle zapadła cisza. To słowo wydawało się wisieć w powietrzu. Bryony spojrzała w bezlitosne niebieskie oczy kapitana i pożałowała swego wyznania.

Stanął tuż przed nią. Był tak blisko, że czuła jego napięcie, widziała mięśnie drgające w opalonej twarzy. Górował nad nią swoimi co najmniej sześcioma stopami wzrostu i surową, gniewną siłą.

- Za co? - zapytał jeszcze raz, złowrogo ściszonego głosem.

Gwałtownie przełknęła ślinę, ale się nie cofnęła.

- Za zabójstwo - powtórzyła.

- Wielki Boże! - Rzucił wieczorową pelerynę i kapelusz na krzesło i odszedł od Bryony, jakby bojąc się, co się może stać, jeśli będzie znajdował się zbyt blisko. Oparł ręce o stół i pochylił się. Widziała, jak mięśnie pleców i ramion napięły się pod materiałem fraka, jakby czarny jedwab krył zwierzęcą siłę. - Przydzielono mi morderczynię do opieki nad synem?

- Nie jestem morderczynią - zaprotestowała słabo, tracąc dotychczasową odwagę. - To był wypadek.

Popatrzył na nią przez ramię.

- Naprawdę?

- Tak.

- A kogo zabiłaś przez przypadek?

Bryony zawahała się.

- Męża.

Zmrużył powieki.

- Myślałem, że w Anglii wciąż pali się zabójczynie mężów.

Głośno wypuściła powietrze. Panicznie bała się tego, że może zostać spalona, i wspomnienie tego potwornego lęku wciąż ją dręczyło.

- To... to był wypadek - wyjąkała z trudem.

Wyprostował się i podszedł do niej powolnym krokiem myśliwego skradającego się ku swej ofierze. Tym razem stanął jeszcze bliżej niej, tak blisko, że dostrzegła misterny splot jedwabiu jego kamizelki, wymyślne wiązanie krawata, opalenizną szczupłej twarzy, mocno wykrojone wargi. Położył swe silne dłonie na jej szyi.

Z najwyższym trudem zmusiła się do pozostania w miejscu.

- Jeżeli kiedykolwiek zrobisz jakąś krzywdę mojemu dziecku - powiedział cicho, nieznacznie zwiększając uścisk - nie dożyjesz szubienicy. Sam skręcę ci kark.

5

Kornwalia, dwanaście miesięcy wcześniej

M amusiu, kiedy papa wróci do domu?

Bryony zmusiła się do uśmiechu i odgarnęła splątane kędziory z czoła dwuletniej córeczki.

- Niedługo, kochanie. - Popatrzyła w okno pokoju dziecięcego, przez które sączyło się do środka złociste światło zachodzącego wrześniego słońca. - Już czas spać.

- Ale obiecał mi, że przyjedzie i przeczyta bajkę na dobranoc. - Madeline nie ustępowała.

- Wiem. — Bryony obwodziła palcem haft na dziecięcej pościeli. Kątem oka dostrzegła, że znów będzie musiała naprawić koronkę. - Coś go musiało zatrzymać.

Dolna warga Madeline drżała, ale dziewczynka była zbyt uparta, żeby pozwolić sobie na to, by łzy popłynęły z jej dużych brązowych oczu.

- Tylko tak powiedział, że mi poczyta, bo nie chciał mnie zabrać do wioski. Tak naprawdę to wiedział, że mi nie poczyta.

- Och, nie, Maddy. - Ale oczywiście było to prawdą i Bryony nie miała nadziei, że córeczka usłyszy obiecaną bajkę. Oliver zawiódł Madeline, więc jako matka nie powinna dodatkowo jej rozczarowywać.

Szybko wstała i zaciągnęła zasłony. Mewy krążyły wysoko nad zwietrzałymi skałami za domem, ich krzyki mieszały się z uderzeniami fali o kamienie u podnóża skał nad zatoką Cadgwith Cove w oddali. Bryony przystanąła z ręką na splecionej tkaninie

i patrzyła, jak światło zachodzącego słońca odbija się od powierzchni wody i rzuca długie, purpurowe cienie na skały i krzewy janowca.

Surowe piękno znajomej okolicy przepełniło ją radością, zaraz jednak ogarnęło ją uczucie samotności i niepokoju graniczącego ze strachem.

Odwrociła się do córeczki, przybierając jak najpogodniejszy wyraz twarzy.

- Zaśpiewać ci jakąś piosenkę? Jakaś byś chciała?

- „*Sześć białych koni*”.

Bryony uśmiechnęła się i przysiadła na krawędzi łóżeczka.

- *Drogie białe chmurki lecące nad morzem* - zaśpiewała cicho. - *Zmieńcie się w sześć koni z dużym białym wozem...*

Madeline zatrzepotała powiekami o policzki zaróżowione od zabaw na słońcu, w piasku nad błyszczącym morzem. Wkrótce zaczęła oddychać wolno, spokojnie i zapadła w sen.

Bryony skończyła śpiewać, ale jeszcze dłuższy czas siedziała na brzegu łóżka, patrząc na rozkosznie rozchylone wargi córeczki, na jedwabiste złote włoski rozsypane na spłowiełej pościeli. Jej serce wezbrało gwałtowną miłością do tego dziecka... i gniewem w stosunku do bezmyślnego mężczyzny, który je zranił. Który ciagle ranił uczucia małej i jej także.

Pocałowała Madeline w czoło i wstała, niespokojnie przesuwając dłońmi po lekko już zaokrąglonym brzuchu. Wiosną urodzi drugie dziecko. Ta myśl przyprawiła ją o niepokój, więc szybko ją odegnała.

Duży stary dom pogrążał się w mroku, kiedy Bryony zstępowała z drewnianych schodów. Odgłos wydawany przez jej niemodne twarde buty rozchodził się echem w panującej ciszy. Kiedy Bryony była małą dziewczynką, schody wznoszące się dumnie nad posadzką holu w Cadgwith Cove House były pokryte perskim dywanem w niebiesko-czerwono-złote esy-floresy i prowadziły do kilkunastu sypialni na piętrze. Wtedy żył jeszcze jej ojciec, kapitan, a wesoły, melodyjny śmiech jej matki wypełniał dom radością i miłością. Lecz kapitan Peyton i jego zawsze uśmiechnięta żona nie żyli już od sześciu lat. Zginęli razem, gdy łódź, którą płynęli, zatoneła w zdradzieckich wodach niedaleko

zatoki. W tym roku, w czerwcu, Bryony doszła do wniosku, że postrzępiony, poprzecierany dywan na schodach stanowi zagrożenie dla mieszkańców i go zdjęła.

Brzękanie naczyń w kuchni świadczyło o tym, że pani Pencarrow wkrótce zamierza wnieść obiad na stół. Pani Pencarrow również spodziewała się rychłego powrotu Olivera do domu. Pochlebstwami i żartobliwym przekomarzaniem się zdołał namówić starą kucharkę, a zarazem gospodynię, by przyrządziła pieczoną kurę w jego ulubionym sosie chlebowym. Bryony westchnęła, spodziewając się, że wkrótce kolejna osoba będzie szukała ukojenia po doznanym zawodzie.

Otworzyła wahadłowe drzwi prowadzące do starej kuchni wykładanej płytami piaskowca. Kuchnia stanowiła najstarszą część Cadgwith Cove House, miała grube ściany, niski sufit i była poczerniała od dymu, który wypełniał ją od wieków. Wspaniale pachniała pieczoną kurą i świeżą szarlotką, odstawioną do schłodzenia na kamienny parapet otwartego wykuszowego okna.

- Madeline zasnęła - powiedziała Bryony do krępej siwowłosej kobiety stojącej przy piecu i mieszającej sos chlebowy. - Wybieram się na skały. Chcę się trochę przejść przed obiadem. - Uniosła rygiel potężnych drzwi kuchennych i otworzyła je. - Niedługo wrócę.

- Na skały? - Pani Pencarrow odwróciła się i pogroziła Bryony drewnianą łyżką. - Na skały? Powinna pani iść na górę i przebrać się w strój przystający damie, tak jak życzyłby sobie pani ojciec, a nie wdrapywać się na skały jak jakaś łobuzica.

Bryony roześmiała się i zamknęła za sobą ciężkie drzwi, spłowiące od deszczu i wiatru.

Ciepłe, wilgotne powietrze pachnące solą miło owiało jej twarz, kiedy wyszła na zewnątrz i zstąpiła z dwóch popękanych kamiennych stopni, prowadzących na podwórze. Gdzieś wysoko rozległ się krzyk mewy. Bryony zadarła głowę i obserwowała, jak ptak przelatuje nad zbiełałym dachem domu i kieruje się w stronę morza.

Przeszła przez brukowane kocimi łbami podwórze, minęła gęste skupiska ziół i warzyw rosnących przy murze i weszła na

porośniętą chwastami ścieżkę pełną potłuczonych muszelek, prowadzącą na niewielkie wzniesienie.

Przystanąła na wzgórzu. Pod nią rozpościerało się wspaniałe niebieskie morze.

Bryony kochała morze, jego niepokój, pierwotną potęgę, wiatr, który owiewał jej uszy i trzepotał spódnicą. Głęboko zaczerpnęła tchu, wciągając w płuca słodki zapach wrzosu, przenikliwą woń słonej morskiej wody i tajemnicze zapachy odległych, cudownych i nieznanych miejsc.

Kiedyś myślała, że Cadgwith Cove House na zawsze będzie jej domem. Lecz potem nadszedł szary, mglisty dzień, w którym pochowano jej matkę i ojca. Tego dnia przybył po nią wuj, sir Edward Peyton. Zabrał ją do swego mrocznego, ponurego domu, znajdującego się daleko od morza, pośród wrzosiwisk. W tym okresie Bryony wydawało się, że słońce i radość na zawsze zniknęły z jej życia. Musiała znieść trzy smutne lata niekończących się krytycznych uwag na temat swojej osoby, niezadowolenia, umoralniających wykładów i kar cielesnych.

A potem spotkała Olivera Wentwortha.

Miał wtedy dwadzieścia jeden lat, był przystojny, czarujący i ciągle się uśmiechał. Któregoś wieczoru wymknęła się z tego mrocznego, ponurego domostwa i wzięła ślub.

Zgodnie z testamentem kapitana Peytona, Cadgwith Cove House po jej wyjściu za mąż przypadł Bryony - a raczej jej świeżo poślubionemu małżonkowi. Lecz Oliver traktował posiadłość raczej jako źródło dochodu niż dom rodzinny. Teraz ciągle napomykał o tym, że trzeba sprzedać dom wraz z ziemią. Twierdził, że wolałby mieszkać w Londynie, lecz Bryony przypuszczała, iż prawdziwym powodem było to, że potrzebował pieniędzy na swoje długi - był nałogowym hazardzistą. Z przerażeniem myślała o tym, że któregoś dnia Oliver naprawdę go sprzeda, niezależnie od jej woli. Na tę myśl ogarniał ją paniczny strach, złość i głębokie poczucie życiowej przegranej.

Już od dawna czuła się bardzo samotna. Teraz to uczucie powróciło ze zdwojoną siłą. Była bliska rozpacz. Ruszyła przed

siebie skalistą ścieżką, patrząc na gwiazdy migoczące do niej z purpurowego nieba.

Wciąż kochała Olivera, lecz już w inny, mniej szlachetny sposób. W jej uczuciu nie było już miejsca na zaufanie, szacunek, a nawet namiętność. Czasami dochodziła do wniosku, że jej miłość do Olivera jest pobłażliwą miłością do zepsutego, ale absorbującego i spragnionego uczuć dziecka. Nie był to ten rodzaj miłości, jakim kobieta pragnie obdarzać męża.

A jednak Oliver był jej mężem na całe życie.

W zatoczce o kilkaset stóp niżej tworzyły się wysokie ciemnozielone fale, rozbijające się i rozlewające pieniście u podnóża skał. Powietrze było wypełnione słoną mgiełką i ciągłym rytmicznym szumem morza.

Po chwili jednak u słyszała inny dźwięk, wysoki kobiecy śmiech dobiegający z za zwałowiska kamieni przy ścieżce, z prawej strony.

- O jejku, panie Oliver. - Kobieta chichotała. - Niech pan to zrobi jeszcze raz.

Odpowiedział jej znajomy głos Olivera, chrapliwy i intymnie ściszony.

- Lubisz to, lubisz, co?

Serce Bryony zaczęło walić w piersi jak oszalałe, krew tętniła jej w uszach, w oczach pociemniało z wściekłości. Na chwilę przyłożyła dłoń do piersi, jakby chcąc uspokoić serce, po czym zeszła ze ścieżki i okrążyła skałę.

Najpierw zobaczyła kobietę, w której rozpoznała Flory Dickens, żonę jednego z wieśniaków. Trudno było nie poznać ognistorudych włosów Flory, wymykających się spod czepka, i kragłego wydatnego, unoszącego się w rytm gwałtownych oddechów biustu, ledwie powstrzymanego głębokim dekoltem jej tandetnej, przeładowanej ozdobami sukni. Z pobudzoną spódnicą, zadartą aż po pas, z szeroko rozstawionymi nogami dosiadała Olivera leżącego na plecach w wysokiej trawie rosnącej pomiędzy kamieniami u stóp skały. Bryony widziała białe, nagie pośladki kobiety unoszące się i opadające w rytm pchnięć bioder Olivera. Trzymał jedną rękę pod jej spódnicami, pobudzając ją, a drugą ręką szarpał otoczony koronką brzeg stanika, ciągnąc

go w dół, dopóki okazała pierś nie wysunęła się z za dekoltu. Natychmiast objął ją dłonią.

- Oj, pan to wie, gdzie trzeba dotknąć kobiety, panie Oliver - jęknęła Flory. Oblizwała wargi, odchyliła głowę do tyłu...

I krzyknęła.

- Wynoś się stąd! - Bryony chwyciła ją za rude kędziory i mocno szarpnęła. - Jak śmiesz?! Jak śmiesz!

Jęcząc jak kot z przypalonym ogonem, Flory Dickens oparła się o kamień i skuliła się, osłaniając głowę rękami.

Oliver przyklęknął w trawie i szybko wciągnął spodnie.

- Bryony. - Wstał z niedopiętym rozporkiem. - Zaraz ci wszystko wyjaśnię.

- Co chcesz mi wyjaśnić?! - Bryony popatrzyła na niego, ciężko dysząc. Przez chwilę miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

Odgarnął zbłąkany złocisty kosmyk z czoła i uśmiechnął się do niej potulnie. Ta minka kruszyła serce każdej kobiety, z jaką Oliver Wentworth miał do czynienia, od piastunki, która kołysała go do snu, po starą kucharkę i gospodynię w jednej osobie, której Bryony nie pozwoliła mu odprawić.

- Bryony - powtórzył cicho, podchodząc do niej i patrząc na nią szarymi oczami, pozornie szczerymi, lecz kryjącymi w sobie diabelski błysk. - Flory nic dla mnie nie znaczy. Dobrze o tym wiesz. Przecież wiesz, jak bardzo cię kocham. Ale mężczyzna ma swoje potrzeby, a ponieważ jesteś w ciąży...

Bryony poczuła się tak, jakby coś w niej pękło.

- Przecież nigdy ci nie odmówiłam, Oliverze - powiedziała prawie szeptem. - Nigdy.

Delikatnie pogładził ją po policzku.

- Bryony, przecież wiesz, jak to było, kiedy byłaś w ciąży z Madeline. Kiedy kobieta spodziewa się dziecka, te rzeczy... to jest nieprzyzwoite.

- Chcesz mi wmówić, że moja ciąża usprawiedliwia to? - Głos jej się załamał, wskazała Flory Dickens, która wciąż siedziała skulona pod kamieniem i zawodziła płaczliwie.

Zrobił taki gest, jakby miał zamiar wziąć żonę w ramiona.

- Bryony...

- Nie dotykaj mnie! - Odwróciła się, stanęła na krawędzi skały i zapatrzyła się na rozkołysane morze i fale spienione tak, jakby zbliżał się sztorm. Rozhukane wody uderzały o brzeg, ciemne i niebezpieczne. Ogarnął ją smutek. Z trudem tłumiła szloch. Miała wrażenie, że za chwilę udusi się od wstrzymywanych łez.

Zawodzenie żony wieśniaka ustało. Bryony pomyślała z ulgą, że Flory Dickens w końcu sobie poszła. Ukradkiem otarła łzę wierzchem dłoni i odwróciła się do męża.

Pomagał Flory wstać!

Aż zatrzęsała się z oburzenia.

- Odejdź od niej! - krzyknęła, nie posiadając się z oburzenia i wstrętu. - Jak śmiesz jej dotykać?!

Kiedy odwrócił się w jej stronę, zaczęła walić go pięściami w tors. Przez chwilę sprawiał wrażenie zaskoczonego, po czym unieruchomił jej ręce i się roześmiał.

Wyrwała dłonie z jego uścisku i cofnęła się, potykając się o krąg kamieni wokół dawno wygasłego ogniska. Straciła równowagę i upadła, lądując w samym środku popiołów. Usiłując się podnieść, natrafiła ręką na poczerniały kawałek drewna. Chwyliła go i wtedy wreszcie udało jej się stanąć.

Oliver wciąż się uśmiechał. Zamierzyła się na niego drewnem.

Pierwszy cios wylądował w okolicy żeber.

- Au! - Schylił się, chwycił się za brzuch. - Do diabła, Bryony. To boli!

- Naprawdę, Oliver? Jakoś przestałeś się śmiać. - Znów go uderzyła, tym razem w ramię.

- Bryony, przestań. - Odskoczył, unikając następnego uderzenia. - To wcale nie jest zabawne, Bryony. Przestań.

- Zabawne! - Chwyliła drewno obydwoma rękami. - A nie wydaje ci się zabawne to, że siedzę w domu, starając się pocieszyć twoją córkę, którą haniebnie zawiodłeś, i noszę twoje drugie dziecko, a ty w tym czasie tracisz resztki naszych pieniędzy na gry hazardowe i zaspokajasz swoje chucie z cudzymi żonami?

Nie trafiła celu, uchylił się przed ciosem.

- Już dość, Bryony.

- Dość, Oliver? — Zamierzyła się jeszcze raz. - Dość?

Chciała zadać mu cios w ramię, ale kiedy uchylał się przed nim, jakimś cudem jego głowa znalazła się na linii uderzenia. Drewno z nieprzyjemnym głuchym stuknięciem uderzyło go tuż nad uchem. Zatoczył się w tył, oszołomiony. Dopiero wtedy Bryony zdała sobie sprawę, że dotarli na skraj urwiska.

- Oliver! - krzyknęła, odrzucając drewno i starając się go chwycić. Szarpnął się jednak, nie chcąc, by go dotykała.

I runął w tył, w stronę rozhukanych fal i ciemnych, zdradzieckich skał w dole.

M a pani dużo szczęścia, że sąd postanowił oskarżyć panią o nieumyślne zabójstwo - powiedział Felix. Fraser, machinalnie strzepując okruchy tabaki z wydętej kamizelki. - Gdyby uznali panią winną zamordowania męża, kazaliby panią spalić żywcem.

Pilnie przezeń obserwowana kobieta siedząca na krześle z prostym oparciem nawet nie drgnęła, prezentując nienaganne opanowanie. Nie była jednak w stanie ukryć strachu w ciemnobrązowych oczach.

Znajdowali się w niewielkim kamiennym pomieszczeniu, które władze więzienne przeznaczyły na potrzeby adwokatów i ich klientów. Był to dość schludny pokój, a ogień płonący w kominku mile rozpraszał zimno i wilgoć. Nic jednak nie było w stanie zlikwidować otaczającego ich zapachu więzienia. Powietrze było przesycone odorem brudu, zgnilizny i rozpaczy.

Po trzech miesiącach spędzonych w tym upiornym miejscu Bryony Wentworth wyglądała raczej jak ulicznica niż jak bratanica sir Edwarda Peytona z Peyton Hall. Jej ciemne włosy były matowe i skołtunione, suknia poplamiona, postrzępiona i opięta na wydatnym ciężarnym brzuchu. Zza spódnicy wyglądało drugie dziecko, dziewczynka z ogromnymi oczami, brudnymi jasnymi włoskami i palcem wiecznie tkwiącym w małych ustach. Felix nigdy nie mógł się pogodzić z tym, że dzieci wtrącano do więzienia razem z ich matkami. Dziewczynka sprawiała jednak wrażenie zdrowszej niż matka. Przypuszczał, że kobieta głoduje, by odpowiednio nakarmić córkę.

- Karą za nieumyślne zabójstwo jest jedynie powieszenie - oznajmił, marząc o tym, by dziewczynka przestała mu się przyglądać. - Ale z powodu pani... ehm... delikatnego stanu sąd koronny będzie musiał odłożyć egzekucję aż do rozwiązania, co oznacza, że wyrok najprawdopodobniej zostanie zamieniony na nakaz deportacji.

- Zesłanie?

- Tak. Do Zatoki Botanicznej. Być może na czternaście, ale raczej na siedem lat.

Przez chwilę wydawało się, że poczuła ulgę, jednak zaraz potem znów ogarnął ją lęk.

- A... ale czy pozwolą mi zabrać Madeline? - zapytała, mocno przytulając córkę, jakby ktoś chciał ją wyrwać z jej ramion.

- Będziemy się o to starać. - Felix zastanowił się przez chwilę, po czym uznał, że nie powinien niepotrzebnie wzbudzać nadziei. - Chociaż czuję się w obowiązku ostrzec panią, że bardzo rzadko otrzymuje się takie pozwolenie.

- Mówi pan tak, jakbym już została skazana.

Felix rozłożył ręce.

- Niestety, to raczej nie ulega wątpliwości. Jest kobieta, która była świadkiem... - Zmarszczył czoło i wyjął jakąś kartkę papieru ze stosu, który położył na zniszczonym stole. - Nazywa się Flory Dickens. Jest też mężczyzna z wioski, który całą noc szukał pani męża. Chyba nigdy nie zrozumiem, dlaczego pani wszystkim opowiedziała o tym, co się stało. - Zebrał papiery i włożył je do znoszonej skórzanej torby. - No, ale gdyby ludzie nie zachowywali się nierozsądnie, nie zarobiłbym na chleb.

- Oliver był doskonałym pływakiem - powiedziała cicho, wpatrując się w swoje dłonie zaciśnięte na kolanach. - Miałam nadzieję, że znajdą go żywego. Albo że przynajmniej znajdą jego ciało.

Uniosła głowę. Bładość jej twarzy nie była jedynie rezultatem kilkumiesięcznego pobytu w więzieniu, a w jej oczach krył się smutek i głębokie poczucie winy. Sprawiała wrażenie zdruzgotanej, zniszczonej.

Felix odchrząknął i odwrócił wzrok.

- Niewielka była szansa na znalezienie go żywego. Nie w tej części wybrzeża. Tym bardziej że zbliżał się sztorm. - Zaszurało odsuwane krzesło. Wstał. - Tak więc - powiedział z wymuszonym ożywieniem - do zobaczenia w przyszłym tygodniu, w sądzie.

Gdzieś w ponurych czeluściach więziennej celi krople wody uderzały o kamień. Ciągły głuchy odgłos był zawsze obecny, słyszalny zza szurania szczurów w słomie, pisku czyjegóż nowo narodzonego dziecka, jęków chorych, umierających i obłąkanych. Czasami Bryony myślała, że jeśli coś w końcu przyprawi ją o obłąd, przyczyną będzie to monotonne kap, kap, kap.

Zadrzała z zimna i naciągnęła brudny koc na szczupłe ramionka Madeline. Czuła ssanie w ciężarnym brzuchu - to odzywał się głód, rozpacz i potworny strach. Miała mnóstwo powodów, by się bać.

Były też inne odgłosy, ale starała się nie zwracać na nie uwagi. Słyszała głośne westchnienia kobiety i ciężki, przyśpieszony oddech mężczyzny - zatykała wtedy uszy, by nie słyszeć zwierzęcych odgłosów kopulacji odbywającej się tuż obok. Nie byłaby nawet w stanie powiedzieć, czy kobieta chętnie oddawała się mężczyźnie, który brał ją z taką gwałtownością; jeśli nawet nie sprawiało jej to przyjemności, była za słaba albo za bardzo bała się odmowy.

Było tu mnóstwo powodów do obaw.

Strach towarzyszył jej nieustannie, podobnie jak głód, cierpienia z powodu nieludzkiego, brutalnego traktowania i potworny brud. Któregoś dnia smród niemytych ciał, ekskrementów i nieleczonej chorób stał się tak dokuczliwy, że omal nie zaczęła wymiotować. Dawniej szczury, wszy i karaluchy przyprawiwały ją o drżenie, lecz z czasem przywykła do życia w złych warunkach... a przynajmniej przestała je zauważać. Miała niewiele możliwości wyboru. Można było przywyknąć, oszaleć albo umrzeć.

Madeline poruszyła się niespokojnie. Bryony przyłożyła rękę do rozpalonego czoła córeczki i ogarnęło ją przerażenie. Dziewczynka miała gorączkę.

Boże, nie każ cierpieć mojej Maddy. Nie mojej małej Maddy. Modliła się raczej z przyzwyczajenia niż z przekonania. Ostatnio Bóg pozostawał głuchy na jej prośby.

Nie, to nieprawda, pomyślała natychmiast, zdjęta strachem, że być może słucha jej w tej chwili i postanowi ukarać ją za brak wiary. Przecież nie spłonęła żywcem jako zabójczym męża. A chociaż została skazana na powieszenie za nieumyślne zabójstwo, w końcu otrzymała wyrok zesłania na siedem lat.

Inna kobieta, a raczej piętnastoletnia dziewczynka, była sądzona przez to samo kolegium sędziowskie co Bryony. Ukradła pięć jardów wstążki. Skazano ją na powieszenie, po którym jej ciało miało zostać udostępnione chirurgom do dokonania sekcji.

Czasami, kiedy Bryony, trzęsąc się na całym cieple, leżała na swoim pośłaniu ze słomy, wydawało jej się, że wciąż słyszy rozdzierające krzyki biednej dziewczyny, siłą wywlekanej z celi.

Kaszel Madeline wstrząsnął jej ciałością i przerwał tok rozmyślań Bryony. W celi panował okrutny ziąb. Zimą ciągle umierało tu jakieś dziecko. Ostatnio utrzymanie Madeline przy życiu stało się dla Bryony większym zmartwieniem niż otrzymanie pozwolenia na zabranie jej na statek dla zesłańców. Felix Fraser złożył w jej imieniu podanie do sądu, ale do tej pory nie otrzymali żadnej odpowiedzi. Był już koniec lutego i rozchodziły się pogłoski, że statek - „Indispensable” - jest już przygotowywany do wypłynięcia.

Usłyszała chrobotanie klucza w zamku ciężkich metalowych drzwi, lecz w celi przebywało wielu innych więźniów, więc odwróciła się dopiero na dźwięk swego imienia.

- Bryony Wentworth! - wywołał ja buldogowaty dozorca więzienny, stukający kółkiem z kluczami w brudny skórzany fartuch. - Ktoś chce się z tobą zobaczyć. I weź z sobą tego swojego dzieciaka.

Madeline była zbyt słaba, by iść o własnych siłach. Bryony uniosła drobne ciało córeczki i wyniosła ją na mroczny, wyłożony kamiennymi płytami korytarz. Przeszli przez niego, zstąpili z kilku stopni, znaleźli się w kolejnym korytarzu i wreszcie weszli do pokoju, w którym kiedyś rozmawiała z Felixem Fraserem.

W pomieszczeniu były już trzy osoby. Potter, służąca w średnim wieku, którą Bryony pamiętała z Peyton Hall, siedziała na krześle przy oknie. Trzymała sztywno ręce na wykrochmalonym uniformie. Jej skwaszona mina wyrażała pogardę.

Obok kobiety stali dwaj mężczyźni. Pograżeni w rozmowie, byli odwróceny plecami do wejścia. Na widok Felixa Fräsera Bryony poczuła, że odżyła w niej nadzieja. Na pewno otrzymał odpowiedź na podanie. Na pewno...

I wtedy mężczyzna rozmawiający z adwokatem odwrócił się, i jeszcze zanim uniósł uperfumowaną chustkę, by zakryć usta i niemal niezauważalnie zmarszczony nos, Bryony rozpoznała szczupłą, surową twarz wuja, sir Edwarda Peytona.

Nie widziała go od czterech lat, od dnia, w którym uciekła z Oliverem, gdy była szesnastoletnią dziewczyną. Poza poinstruowaniem adwokatów, żeby przekazali Cadgwith Cove House pod kontrolę Olivera i posłaniem do niej Felixa Fräsera po aresztowaniu, od dnia jej ślubu nie chciał mieć z nią nic wspólnego.

- Wuj Edward. - Przeniosła wzrok na prawnika. - Pan Fraser.

Madeline znów się rozkaszała. Bryony przytuliła ją mocniej.

- Już dobrze, kochanie. Tu jest cieplej, prawda? Wszystko będzie dobrze - powiedziała, lecz wuj znów się od niej odwrócił. Z rosnącym przerażeniem Bryony popatrzyła na poważną twarz adwokata. - Otrzymał pan odpowiedź na moje podanie?

- Tak. - Felix Fraser bawił się dewizką swego zegarka.

Zmieniła ułożenie Madeline, tak że nóżki dziewczynki otaczały powiększającą się talię Bryony, a główka spoczywała na jej ramieniu.

- Jaka?

- Prośba została odrzucona.

Przez chwilę Bryony jedynie wpatrywała się w niego w milczeniu. Przerażenie zmieszane z niedowierzaniem odebrało jej zdolność oddychania, miała wrażenie, że się dusi. Czuła, jak paniczny strach rozchodzi się po całym jej ciele, sięga ramion, nóg, przyprawia ją o odrętwienie, powoduje szum w uszach i zaburzenia widzenia.

- Rozmawiałem na ten temat z pani wujem, który zgodził się

zostać opiekunem pani córki - powiedział ożywionym głosem Felix Fraser, lecz w jego przezroczystych szarych oczach krył się smutek i niepokój. - Przyjechał tu, żeby ją zabrać do domu.

- Ale... - Bryony patrzyła to na prawnika, to na sztywne, szczupłe plecy wuja. - Ale przecież istnieje... Przecież chyba możemy coś jeszcze zrobić w tej sprawie? Nie możemy złożyć odwołania? Przecież poparłbyś je, wuju Edwardzie? Gdyby...

Adwokat pokręcił głową.

- Nie mamy czasu, droga pani., „Indispensable” w przyszłym tygodniu odpływa z Gravesend. Jutro zostaniecie przewiezione karetką do Londynu.

- Jutro! - Bryony tak mocno chwyciła córeczkę, że Madeline uniosła główkę i słabym głosem wyraziła protest.

Sir Edward Peyton odwrócił się i odezwał się do niej po raz pierwszy, odkąd znalazła się w tym pokoju.

- Oddaj dziecko Potter - powiedział głosem pozbawionym jakichkolwiek emocji.

Bryony cofnęła się.

- Nie. - Wolno pokręciła głową. - Nie pozwolę ci jej zabrać.

Oddech wuja Edwarda wydał chustkę, którą wciąż trzymał przy nosie.

- Nie masz wyboru. - Skinał na kobietę w sztywno wykrochmalonym czepku, wyglądającą, jakby napiła się octu. - Potter...

- Nie! - Bryony oparła się o ścianę, jakby samą siłą woli chcąc uczynić małą na powrót częścią swego ciała i zatrzymać bezpiecznie jak nienarodzone dziecko przebywające w łonie. - Nie możecie mi jej odebrać. Nie możecie. Nie. Och, Boże, nie. Nie!

Madeline przywarła do Bryony i zaczęła płakać.

- Mama! - zawodziła, kiedy odginano jej zbielełe palce, którymi otaczała szyję Bryony. - Ja chcę zostać z mamą. Puśćcie mnie! Mamo?!

- Madeline! - Bryony starała się wyrwać z uścisku Felixa Frasera, ale jej wuj i służąca wynosili już oszalałą, wrzeszczącą wniebogłoso dziewczynkę z pokoju. W korytarzu rozległ się odgłos ciężkich, oddalających się kroków.

- Mamusiu! Nie pozwól im mnie zabrać! Mamo, proszę! Będę grzeczna. Obiecuję, że będę *grzeczna*. Mamusiu...

Bryony jeszcze przez chwilę widziała zalaną łzami twarzyczkę dziecka, rozpaczliwie wierzgające nogi i rozcapierzone dłonie. Po chwili drzwi na końcu korytarza zamknęły się z głuchym łoskotem. Jeszcze długo po tym, jak Madeline zniknęła jej z oczu, Bryony słyszała jej rozdzierające krzyki i wołanie: „Mamusiu! Mamo!”

Czuła się tak, jakby wydarło jej serce. Z trudem łapała powietrze. Byłaby upadła, gdyby nie pomoc Felixa Fräsera. Wziął ją w ramiona i tulił, gdy jej ciałem wstrząsał szloch.

- Płacz, moje dziecko - powiedział, gładząc ją po włosach, jakby rzeczywiście była dzieckiem. - Musisz się wypłakać.

Nie wiedziała, jak długo ją tak przytulał. Kiedy uznał, że Bryony jest już w stanie słuchać, zaczął mówić. Z początku jego słowa spływały po niej jak deszcz, lecz po pewnym czasie zaczęły do niej docierać.

- Wiem, że teraz ciężko ci w to uwierzyć, ale to na pewno jest najlepsze wyjście. Dziewczynka jest chora. Mogłaby nie przeżyć podróży, nawet gdyby jakimś cudem udało nam się uzyskać dla niej pozwolenie na wyjazd. Wiem, że będzie pani jej brakowało, ale powinna się pani pocieszyć myślą o tym, że córka żyje i że pani wuj się nią zaopiekuje.

- Wuj Edward się nią zaopiekuje? - zawyła Bryony. - Boże! Kiedy pomyślę o tym, że będzie rosła w tym ciemnym, ponurym domu, ciągle karcona, bez czułości i miłości czy choćby...

Felix Fräser położył dłonie na jej ramionach i delikatnie nią potrząsnął.

- Ale przynajmniej będzie miała szansę dorosnąć, Bryony. Sir Edward w końcu zgodził się ją przyjąć, choć przyznaję, że uczynił to niechętnie. Widziałem dzieci w wieku pani córeczki, a nawet młodsze, wydzierane z ramion matek i zostawiane w dokach, bez żadnej opieki. Bez nikogo.

Potem znów ją przytulił; prawnik, który w żaden sposób nie był z nią spokrewniony, a rozmawiał z nią zaledwie parę razy w życiu, zabawny człowiek, który tulił ją i pocieszał, nie

zważając na brud, zapach i strach przed gorączką więzienną, strach, który powstrzymał jej wuja przed zbliżeniem się do niej.

- Och, nie słuchaj głupiego starca. Płacz, wypłacz się, moje złotko. Mamy wstrętny, okrutny system, w którym najbardziej cierpią niewinni.

- To dlatego, że... - Jej głos zadrżał, przełknęła z trudem. - Nie sądzę, żebym umiała bez niej żyć. Będę ciągle tęsknić, zastanawiać się, jak się czuje. Czy jest szczęśliwa. Czy jest zdrowa.

- Musisz, słoneczko, musisz sobie poradzić. Przecież masz drugie dziecko, którego nie mogą ci zabrać, jeśli statek odpłynie w przyszłym tygodniu, tak jak zaplanowano.

Bryony przyłożyła dłonie do brzucha i poczuła, że dziecko kopie, jakby przypominało jej o swym istnieniu. - Pokręciła głową. - Ale to nie Madeline - zaszlochała, czując się bardziej bezradna i rozpaczliwie samotna niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich strasznych sześciu miesięcy. - To dziecko nie będzie w stanie zastąpić mi Madeline.

- Nie, ale też ciebie potrzebuje - powiedział stary prawnik, mocno ściskając jej dłonie. - Nadal będzie przy tobie ktoś kochany - dziecko, które obdarzy cię swoją miłością. Z jego powodu, Bryony, nie wolno ci się poddawać. Wciąż masz powód, by żyć. Cokolwiek by się wydarzyło, nie wolno ci o tym zapominać.

W yjący wiatr szalał dookoła gospody i kierował strumienie deszczu na szyby skrzynekowego okna wychodzącego na Zatokę Sydney.

Leżąc na swoim sienniku przy kominku w osobnym pokoju, Bryony przyglądała się tańczącym złocistym płomieniom. Po raz pierwszy od dwunastu miesięcy było jej ciepło, była syta i czysta. Czuła się dziwnie, jakby poczucie fizycznego komfortu należało do przeszłości i nie powinna go zaznawać po okresie pełnego strachu i rozpacz.

Nie zasypiała przez kilka godzin, uważnie nasłuchując powrotu

kapitana St. Johna, przygotowując się do zniesienia gwałtu, który ją czekał. Lecz kiedy czas mijał, a kapitan nie nadchodził, strach powoli zaczął ustępować, a w jego miejscu pojawiło się uczucie opuszczenia i utraty tak silne, że niemal krzyknęła z bólu.

Cały dzień czekała na to, żeby móc w samotności opłakać Philipa. Zbliżał się świt, kiedy stała z suchymi oczami w szarawym świetle i słuchała szurania łopat, głuchych uderzeń błota o korę, w której chowano jej synka. Nie płakała. Zmusiła się do powstrzymania łez, czekając z żałobą do chwili, gdy zostanie sama.

Tyle że teraz, kiedy w końcu miała tak upragnioną chwilę samotności, w ogóle nie mogła płakać, tak jakby wyczuwała, że nie jest jeszcze w stanie pogodzić się z utratą Philipa. Ilekroć usiłowała skupić się na żałobnych wspomnieniach, jej myśli zaczynały krążyć wokół innych spraw. Czuła się tak, jakby zaglądała w przepastną, bezdenną otchłań. Wiedziała, że jeśli w nią wpadnie, nie znajdzie w sobie dość sił, żeby się z niej wydostać, więc ostrożnie trzymała się z dala od krawędzi.

Powróciła myślami do Madeline, lecz natychmiast tego pożałowała. Dawniej, kiedy ogarniała ją niebezpiecznie bolesna tęsknota za złotowłosą córeczką, Bryony tuliła do siebie Philipa, znajdując w tym ukojenie. Tyle że teraz straciła również i to dziecko. Była absolutnie, przeraźliwie samotna w tym rozległym, dzikim, nieznanym kraju.

Czasami miała ochotę się poddać, zaprzestać walki o przeżycie, wiedziała jednak, że musi wytrwać, choćby ze względu na Madeline. Musi poradzić sobie z samotnością i głodem. Zniesie gwałt i razy. Przeżyje wszystkie tortury, jakim podda ją Hayden St. John. A gdy minie sześć i pół roku, znajdzie jakiś sposób powrotu do Konwalii, do Madeline.

Starła się skupić na przyszłości, ale przeszkadzała jej w tym surowa, wyrazista twarz Haydena St. Johna.

Haydena St. Johna. Jej pana.

Była to myśl tak trudna do przyjęcia, że zmusiła się do wypowiedzenia tego słowa na głos w pustym pokoju. Jej pan. Te słowa dziwnie zabrzmiały w jej ustach. Utrata wolności i kontrolowanie życia były dla niej wystarczająco trudne do

zniesienia, ale przynajmniej nie dotyczyły tylko jej samej - była częścią systemu, jedną z wielu kontrolowanych przez wielu. Nic z tego, co przeżyła w ciągu minionych dwunastu miesięcy, nie przygotowało jej na tak wielkie upodlenie. Stała się całkowicie zależna od jednego człowieka. Była jego własnością.

Przewróciła się na bok i przytuliła poduszkę do piersi. Doszła do wniosku, że nie potrafi cieszyć się samotnością tego wieczoru, gdyż była to jedynie samotność tymczasowa.

Pozostał jej w pamięci obraz Haydena St. Johna takiego, jakim widziała go wcześniej tego wieczoru, opartego o stół i wymachującego umięśnioną nogą, z napiętą twarzą. Była pewna, że przyglądał się jej wtedy tak, jak mężczyzna przygląda się kobiecie, której pragnie. Poznawała to po sposobie, w jaki na nią patrzył. Czuła to. Nawet kiedy straciła opanowanie i powiedziała mu, dlaczego została zesłana, nawet kiedy zaciskał dłonie na jej szyi, wciąż to czuła.

Ile czasu zajmie mu przystąpienie do dzieła? Ile czasu?

Kilka godzin później wciąż jeszcze nie spała, kiedy Simon poruszył się niespokojnie. Westchnąwszy, uniosła go i przystawiła do piersi. Ciepło jego słodko pachnącego ciała, delikatne pociągnięcia łapczywych ust przyniosły jej ukojenie, które potrzebne jej było do zaśnięcia.

Obudziła się gwałtownie.

Usiadła i popatrzyła na kołyskę Simona, ale chłopczyk spał smacznie, w pozycji takiej, w jakiej położyła go po karmieniu. Miała już znów się położyć i zasnąć, kiedy usłyszała odgłos końskich kopyt i brzęk uprzęży.

Nie wiedząc, dlaczego to robi, wstała i podeszła do okna wychodzącego na teren przed gospodą. Ogień w kominku wygasł i w pokoju było chłodno. Usiadła obok okna i schowała kolana pod koszulę. Otoczywszy nogi rękami, by się rozgrzać, popatrzyła na ulicę w dole.

Przestało padać, chociaż nisko wiszące chmury wciąż zasłaniały gwiazdy i księżyc. W świetle latarni u wejścia wyraźnie dostrzegła elegancki powóz zaprzężony w czwórkę gniadoszy, który zatrzymał się przed gospodą.

Patrzyła, jak służący w liberii śpieszy, by otworzyć drzwi i wysunąć stopnie. Usłyszała jakieś głosy. W drzwiczkach powozu pojawił się wysoki mężczyzna w eleganckiej wieczorowej pelerynie i zawadiacko przekrzywionym kapeluszu.

Nie zwracając uwagi na opuszczone schodki, lekko zeskoczył na ziemię. Urodziwa młoda kobieta w wieczorowej sukni przystrojonej sznurem pereł wychyliła się z otwartych drzwi i powiedziała coś do niego. Odwrócił się do niej i roześmiał. Światło latarni padło na jego twarz, lecz Bryony już wcześniej zdołała rozpoznać Haydena St. Johna.

Młoda kobieta, blondynka, również się roześmiała i położyła rękę na ramieniu St. Johna. Nie mogła mieć więcej niż osiemnaście lat. Była zaróżowiona z emocji, odurzona męskimi komplementami i wyraźnie uszczęśliwiona uczestnictwem w jednym ze swoich pierwszych wieczorów w świecie dorosłych. Bryony usiłowała sobie przypomnieć, jak się czuła, będąc tak młoda i beztroska...

Ale jej się to nie udało.

Patrząc na promienny uśmiech kobiety, poczuła się nagle stara, zmęczona życiem i bardzo, bardzo samotna.

Kobieta znów wybuchnęła śmiechem. Skulona na ławeczce przy oknie, Bryony podświadomie musnęła palcami falistą szybę, jakby chcąc dotknąć sceny rozgrywającej się w dole. Miała wrażenie, że widzi obrazek z innego świata. Świata, w którym niegdyś żyła i uznawała za swój, a który teraz był dla niej zakazany. Na zawsze.

Ustawienie sceny wkrótce się zmieniło. Hayden St. John cofnął się, by lokaj mógł unieść stopnie i zamknąć drzwi. Stangret dał znak koniom i powóz powoli ruszył w ciemność. Lecz jeszcze długo po tym, jak turkot kół rozpląnął się wśród innych odgłosów nocy, Bryony pozostała na ławeczce przy oknie, z podciągniętymi pod brodę nogami i policzkiem przytulonym do kolan.

6

Bryony wyszła z gospody „Pod Trzema Rybakami” i zauważyła, że wiatr wiejący ostatniej nocy przegonił chmury. Nad nią rozpościerało się czyste niebo, ogromne błękitne sklepienie odbijające się w skrzących się wodach najpiękniejszej zatoki, jaką zdarzyło jej się widzieć. Miała wrażenie, że niebo i woda wzajemnie wzmacniają swoje barwy, pogłębiając odcień błękitu do tak żywego, że od patrzenia aż bolały oczy.

Czyste złociste światło opromieniało wszystko dookoła - nie tylko niebo oraz niezliczone zatoczki, ale także i pobielane domy, trawiaste zbocza i niekończące się lasy rozpościerające się ku zachodowi. Powietrze wydawało się wibrować intensywnym blaskiem, jakiego dotąd jeszcze nie widziała.

Był to widok, który mógł podnieść na duchu nawet najbardziej udręczonych. Przystanęła i aż westchnęła z zachwytu.

- Jak tu pięknie.

Gideon popatrzył na nią i roześmiał się.

- To prawda. Zachowujesz się tak, jakbyś nigdy czegoś takiego nie widziała.

Bryony oparła Simona o biodro i ruszyła błotnistą ulicą za Gideonem.

- Nie widziałam. Odkąd minęliśmy przylądki Heads, cały czas tu padało.

Pomyślała, że nawet gdyby nie padało, i tak by tego nie zauważyła, gdyż wtedy Philip był chory.

Przeszli długą ulicą biegnącą wzdłuż grzbietu wzgórza. Po obu jej stronach usadowiły się okazałe domostwa z kamienia i cegły. Ulica była szeroka, lecz poślóbia koleinami i pełna śmieci. Na środku znajdowały się nawet pnie drzew, wysokie na trzy stopy. Powozy po prostu je omijały.

Skęcili z Row w wąską boczną uliczkę biegnącą w dół z boczka w stronę dzielnicy portowej. W tej okolicy budynki były prymitywnie sklecone i przypominały chaty. Zbudowane z drewna, gliny i kryte strzechą, przyluliły się do z boczka tak strome, że ulica kończyła się biegiem schodów wykutych w skale. Kozy i świnie przechadzały się swobodnie pomiędzy walającymi się śmieciami i zaniedbanymi ogródkami. Bryony zauważyła, że jedna z kóz zjadła halkę wiszącą na sznurze z wypraną postrzępioną bielizną. Usłyszeli głośne przekleństwo i kocmołuchowata kobieta z krótką fajką w zębach rzuciła w zwierzę pustą butelką po rumie. Koza odskoczyła i zabezpieczyła. Kobieta usiadła, lecz Bryony jeszcze długo czuła na sobie jej wzrok.

Był taki czas, kiedy ludzie tacy jak ta kobieta budzili niepokój Bryony, ale po roku spędzonym w towarzystwie złodziei, prostytutek i morderców niemal ich nie zauważała. Fascynowały ją natomiast ptaki. Niemal w każdej chacie przy drzwiach wisiała klatka z jednym albo kilkoma dużymi, barwnie upierzonymi ptakami, które skrzeczały, kiedy je mijali. Jeden szczególnie okazały śnieżnobiały ptak z żółtym czubem otworzył zakrzywiony dziób i zagadał:

- Pięćset batów! Pięćset batów! Dawaj! Dawaj! - Krzyki towarzyszyły im przez całą drogę ze wzgórza.

W końcu skęcili w uliczkę, która wiała się wzdłuż dzielnicy portowej, aż dochodziła do rzeczutki o błotnistym dnie, której brzegi łączył kamienny mostek. Zmieniwszy ułożenie dziecka, Bryony oparła się o balustradę, by odpocząć i popatrzeć na rozpościerające się przed nimi wzgórze.

Znajdowało się tam tylko kilka schludnych domów z cegły. Stały w porządnym szeregu w pobliżu białej piętrowej rezydencji w stylu georgiańskim, która, wspaniale odizolowana od otoczenia,

mieściła się na środku rozległego, doskonale utrzymanego ogrodu, rozciągającego się aż po brzeg rzeki.

- Co to jest? - zapytała Gideona, ruchem głowy wskazując duży biały dom.

- To rezydencja gubernatora - odpowiedział z dziwnym wyrazem twarzy. - Mieszka tam gubernator Foveaux.

Bryony słyszała wiele opowieści o podpułkowniku Foveaux. Podobno kiedy był komendantem osady karnej na wyspie Norfolk, często kazał nowo przybyłym skazanym kobietom przechadzać się nago w kółku i sprzedawał je, jak na giełdzie, za rum.

- A tam... • - Gideon wskazał szereg masywnych składów u podnóża zbocza. - Tam znajduje się magazyn rządowy, do którego idziemy.

W grubych kamiennych murach magazynu było chłodno. Egzotyczne wonie drzewa sandałowego, cynamonu i przypraw z Indii i wysp południowego Pacyfiku mieszały się ze znajomymi zapachami konopi, kawy, terpentyny i rumu. Można tu było dostać wszystko - od herbaty, poprzez patelnie, do żagli, chociaż nie było dużego wyboru dziecięcych ubrań. W końcu Bryony kupiła duże ilości różnych materiałów, nici, wstążki i ozdoby, zorientowawszy się, że będzie musiała uszyć prawie wszystko, czego Simon będzie potrzebował.

Udało jej się znaleźć wełnianą pelerynę i prostą szarą suknię dla siebie. Suknia była bardzo staromodna, z dopasowanym stanikiem i wcięciem w pasie, ale Bryony już od tak dawna nie sprawiła sobie niczego nowego, że i tak bardzo się cieszyła z zakupu, nawet jeśli było to brzydkie i tandetnie wykonane. Wybrała też kilka czepków i posłusznie schowała włosy pod jednym z nich.

Podczas gdy Gideon prosił, by doręczono sprawunki do gospody „Pod Trzema Rybakami”, Bryony wyjrzała przez otwarte drzwi. Nocą do portu wpłynął nowy statek handlowy. Trzymając Simona na biodrze, Bryony wyszła na brukowaną alejkę, by się lepiej przyjrzeć.

Z brzegu usłanego kamyczkami wzbiła się w powietrze wielka biała chmura mew i świat wypełnił się znajomym krzykiem.

Słońce mieniło się w wodach zatoki i przez chwilę Bryony miała wrażenie, że znajduje się w porcie wioski Cadgwith Cove.

Po chwili jednak usłyszała szcęk łańcuchów i zobaczyła, że grupa skutych skazańców powoli zmierza w stronę przystani. Mężczyźni byli rozebrani do pasa i brudni, ich nagie plecy nosiły ślady wielokrotnego biczowania, w zapadniętych oczach kryła się rozpacz. Natychmiast przysło złudzenie sielskiej swojskości.

Podszedł do niej Gideon. Popatrzyła na niego, na zmarszczkę, która pojawiła się na jego czole, gdy obserwował skutych zesłańców.

- Co tu robi kapitan St. John, Gideonie? - zapytała nagle. - Przecież nie jest chyba oficerem Korpusu Nowej Południowej Walii?

Gideon pogardliwie poruszył nozdrzami.

- Korpusu Nowej Południowej Walii? Nie, nigdy nie należał do tej hołoty. Walczył z Francuzami w Europie. A potem był w Indiach z Wellesleyem, ale został ranny pod Assaye. W czasie rekonwalescencji w Anglii ożenił się z panią St. John.

- Więc co tu robi? - zapytała Bryony, ruszając powoli wzdłuż wybrzeża.

- Wystąpił z armii - odpowiedział Gideon, równając z nią krok. - Chciał wprawdzie wrócić z wojskiem do Indii na jakiś czas, ale tamtejszy klimat nie odpowiadał jego żonie. Biedaczka była słabego zdrowia.

- Tak? - Bryony odchyliła głowę i dostrzegła dwa wiatraki na szczycie wzgórza za rezydencją gubernatora. Patrzyła na ich obracające się ramiona, migające bielą na tle jasnoblękitnego nieba. Pomyślała, że ma ono teraz taką samą barwę jak oczy Haydena St. Johna. - Wydaje mi się, że skoro była zbyt słaba, żeby znieść tamtejszy klimat, kapitan powinien był ją zabrać z powrotem do Anglii.

- Naprawdę tak uważasz? A co taki mężczyzna jak kapitan robiłby w Anglii?

Bryony usiłowała wyobrazić sobie Haydena St. Johna jako statecznego angielskiego dżentelmena, dogładającego żyznych zielonych pól, w każdą niedzielę uczęszczającego do kościoła

ze swą posłuszną żoną i dziećmi, i rozdającego biednym jałmużnę z okazji świąt Bożego Narodzenia, tak jak czynił to jej wuj Edward. Tyle że zupełnie nie pasowało to do kapitana.

Simon ziewnął i oparł głowę o jej ramię. Bryony popatrzyła na jego płowe włosy i poczuła, jak ogarnia ją dziwny smutek.

- Może jest w tym sporo racji - przyznała. - Ale klimat Nowej Południowej Walii też nie był najlepszy dla żony kapitana.

- To prawda - powiedział Gideon. - To prawda.

Bryony otworzyła drzwi i gwałtownie zatrzymała się w progu.

Myślała, że pokój będzie pusty, tymczasem kapitan St. John i jakiś drugi mężczyzna siedzieli przy dębowym stole pod oknem i popijali wino. St. John odchylił głowę do tyłu i wypił łyk. Kiedy odstawił kieliszek, zauważyła, że ma wargi mokre od wina.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie chciałam przeszkadzać. Pójdę zaraz do kuchni i...

Miała zamiar się wycofać, lecz St. John podszedł do drzwi i otworzył je szerzej.

- Nie, wejź, Bryony. To jest doktor William Redfern. Poprosiłem go, żeby zbadał ciebie i Simona, zanim wyjedziemy z Sydney.

Bryony popatrzyła na około trzydziestoletniego mężczyznę o miłej twarzy, a potem znów na St. Johna.

W ciepłym świetle popołudniowego słońca jego twarz wydawała się zaskakująco pogodna i odprężona. Uśmiechnął się nawet do niej, ale Bryony natychmiast się zorientowała, że jest to taki uśmiech, jaki sama przywoływała na twarz, kiedy chciała udobruchać dziecko albo nakłonić szczególnie ociężałego umysłowo służącego do zrobienia czegoś, na co nie miał ochoty. Świadomość, że uciekł się do tej metody w stosunku do niej, była upokarzająca i przyprawiła ją o wściekłość.

- Poczekał na ciebie w jadalni na dole. - Skinął głową doktorowi i zanim miała okazję cokolwiek powiedzieć, zaniknął drzwi.

Bryony popatrzyła na lekarza, który wstał.

- No dobrze - odezwał się. - Zaczniemy od Simona.

Simon nie spał. Bez protestu zniósł zmianę ramion, które go trzymały, ale kiedy doktor położył go na twardym stole, zaczął płakać.

- Ciii, maluchu - powiedział lekarz ze śpiewnym irlandzkim akcentem. - Przypominasz mnie sobie, prawda? - Przemawiał do Simona ciepłym, uspokajającym głosem, a kiedy delikatnie zdjął mu ubranko i zaczął ostrożnie badać, Simon uspokoił się i popatrzył na doktora szeroko otwartymi, ufnyimi zielonymi oczami.

Bryony stała w pewnej odległości od stołu z rękami złożonymi na piersiach i w milczeniu obserwowała doktora. Lekarz zyskał uznanie w jej oczach. Podeszła bliżej.

- Czy jest zdrowy? - zapytała. - Jest taki maleńki jak na czteromiesięczne dziecko.

- Urodził się jako wcześniak. - Doktor Redfern popatrzył na nią. - Między innymi dlatego jest taki mały. Poza tym jego matka była bardzo drobną kobietą. Być może Simon odziedziczył budowę po Laurze.

Laura. Po raz pierwszy usłyszała imię złotowłosej żony Haydena St. Johna.

- Czy był pan... przy porodzie Simona? - Omal nie powiedziała: „przy śmierci Laury St. John”.

- Nie. - Delikatnie przewrócił dziecko na brzusek. - Kapitan zamierzał przywieźć mnie do Sydney, ale nie było na to czasu. - Umilkł na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał. - Laura St. John była niezwykle piękną, delikatną kobietą. Była damą w każdym calu. Myślę, że jej śmierć przepełniła bólem wszystkich, którzy ją znali. Ale kapitan... śmierć Laury bardzo go zmieniła. - Popatrzył jej w oczy. - Mówię to pani nie bez powodu. Hayden St. John zawsze był twardym człowiekiem, ale po śmierci Laury... Powiedzmy, że nie warto mu się teraz przeciwstawiać. Szczególnie jeśli chodzi o Simona.

Bryony przypomniała sobie palce Haydena St. Johna na swojej szyi, gdy groził jej uduszeniem.

Doktor Redfern wyprostował się i uśmiechnął.

- Simon wygląda teraz dużo lepiej. Kiedy badałem go kilka dni temu, nie dawałem mu wielu szans na przeżycie czterdziestu ośmiu godzin. Widzę, że pani doskonale się nim opiekowała.

- Po prostu był głodny.

- Na pewno. Ale widzę też, że dba pani o to, żeby był czysty. - Zaczął zawiązywać pieluszkę.

- Łatwo jest utrzymać dziecko w czystości, kiedy ma się dla niego ubranka na zmianę. I wodę do mycia - dodała z goryczą.

Lekarz znieruchomiał na chwilę. Popatrzył na nią widocznym współczuciem w łagodnych szarych oczach.

- Serdecznie pani współczuję z powodu śmierci dziecka - powiedział cicho. Czuła, że powiedział to szczerze. Wzruszyło ją to tak, że poczuła łzy napływające do oczu i musiała gwałtownie zamrugać, by je powstrzymać.

Doktor Redfern położył Simona w kołysce, po czym zwrócił się do Bryony.

- A teraz zajmijmy się panią.

Obejrzał jej oczy, uszy, a potem kazał otworzyć usta, żeby móc dokonać przeglądu zębów.

- Nie ma śladów szkorbutu - powiedział z zadowoleniem. - Musiała pani trafić na uczciwego kapitana statku. Kiedy ja zostałem zesłany, połowa mężczyzn na moim statku stała się przynętą dla rekinów, jeszcze zanim śołynęliśmy Przylądek Dobrej Nadziei. Ale dzięki temu kapitan zrobił doskonały interes w Sydney, gdzie sprzedał wszystkie zapasy żywności.

Bryony szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

- Został pan zesłany?

Uśmiechnął się krzywo.

- Kiedy jest się lekarzem i do tego Irlandczykiem, trzeba starannie wybierać rannych, którym chce się pomóc.

- Ale... nie jest pan już skazańcem?

- Nie, nie. Jestem już wolnym człowiekiem. - Sięgnął po coś do torby lekarskiej.

- W takim razie dlaczego... dlaczego wciąż pan tu mieszka? - Bryony, obsesyjnie pochłoniętej myślami na temat powrotu do

Kornwalii i Madeline, nie mieściło się w głowie, że ktoś mógłby dobrowolnie tu zostać. - To warunkowa amnestia?

- Nie, mógłbym wrócić, gdybym tylko chciał. Ale podoba mi się tutaj. Tu jest... - Szukał odpowiedniego słowa, w końcu uśmiechnął się. - Czuje się tu wolność. Poza tym jestem tu potrzebny. A teraz - powiedział, przybierając zawodowy ton - będę musiał panią poprosić o zdjęcie sukni. Może pani zostać w koszulce.

Odwrocił się uprzejmie, żeby nie musiała się rozbierać na jego oczach, chociaż nie wiedziała, dlaczego czyni mu to taką różnicę, skoro i tak miał ją obejrzeć.

Jakoś zniosła badanie piersi, ale kiedy poprosił ją, by się położyła, ostro zaprotestowała.

- Nie jestem prostytutką!

- Wcale tego nie sugeruję - odpowiedział łagodnie. - Ale niedawno urodziła pani dziecko w bardzo niesprzyjających warunkach. A jak długo była pani w więzieniu... rok? Dłużej? Kobietom mogą się przytrafić różne choroby.

Bryony poczuła, że płoną jej policzki, odwróciła wzrok.

- Nie ma się czego wstydzić - powiedział łagodnie. - A w każdym razie na pewno nie powinny się wstydzić kobiety, które są ofiarami, tylko ludzie odpowiedzialni za cały system. Mimo wszystko byłoby dobrze, gdyby pozwoliła mi pani się zbadać.

Wyraziła więc zgodę na badanie, uparczywie wpatrując się w grube świece w lichtarzach na ścianie, dopóki nie skończył.

Wyszedł z pokoju niemal zaraz po badaniu, by, jak przypuszczała, donieść o jego wynikach St. Johnowi.

Dopiero kiedy sznurowała stanik sukni, zorientowała się, jaki był najbardziej prawdopodobny powód tego, że kapitan St. John zlecił przeprowadzenie badań. Zacisnęła dłonie w pięści tak mocno, że niemal rozdarła tani materiał sukni.

Oliver powiedział jej kiedyś, że oficerowie bardzo uważają na to, by kobiety, z którymi śpią, nie miały żadnych chorób. Opowiedział jej jakiś dowcip, ale była wtedy taka młoda, że go nie zrozumiała. Śmiał się wtedy z jej niewinności.

Teraz nie była już niewinna.

Stała przy oknie z Simonem na rękach, kiedy kapitan St. John wszedł do pokoju.

Niedbale rzucił swój szerokoskrzydły kapelusz na stolik przy łóżku, uniósł karafkę i nalał sobie kieliszek wina, po czym wygodnie rozsiadł się w fotelu przy kominku.

Zauważyła, że w tym dniu uczynił zadość wymogom elegancji i włożył krawat, w którym jednak nie wyglądał ani trochę bardziej cywilizowanie.

Złożył głowę na miękkim oparciu i dłuższą chwilę przyglądał się jej znad krawędzi kieliszka.

- Doktor Redfern powiedział mi, że starannie zajmujesz się moim synem.

Nawet dwanaście miesięcy w więzieniu nie nauczyło Bryony powściągnięcia języka.

- Nie mam zamiaru karać dzieci za grzechy ojców.

Zmrużył oczy, lecz, ku jej zaskoczeniu, zaraz potem się roześmiał. Surowe rysy jego twarzy złagodniały, a w oczach pojawił się błysk rozbawienia. Pomyślała, że jego oczy mają niewiarygodny odcień błękitu, zupełnie jak zatoka za oknem. Po chwili przestał się śmiać i przyjrzał się jej włosom. Tym razem odebrała jego spojrzenie jak ciepły dotyk.

- Widzę, że kupiłeś czepek.

- Tak... proszę pana.

Rozprostował długie nogi w spodniach z kozłej skóry i wypił łyk wina.

- Dlaczego zawsze mówisz to w taki sposób?

Zmieszana, pokręciła głową.

- W jaki sposób?

- Jakbyś w ostatniej chwili przypominała sobie o „proszę pana” i jakby te słowa nie mogły ci przejść przez gardło.

Patrzyła na niego, zakłopotana. Znów uniósł kieliszek. Patrzyła, jak przy przełykaniu wina ruszają się mięśnie jego opalonej szyi.

Szybko się odwróciła.

- Kupiłam wszystko, o co pan prosił - powiedziała, kładąc śpiącego Simona do kołyski. - A także nową pelerynę i suknię.

- Tylko jedną? Trzeba było kupić dwie.

Przykleknąwszy przy kołysce, popatrzyła na niego przez ramię. Oparł kieliszek o muskularne udo. Sprawiał wrażenie odprężonego, wyczuwała w nim jednak jakieś napięcie.

Wstała.

- Kupiłam różne gatunki materiału, żeby uszyć parę ubranek dla Simona. Będę też mogła uszyć suknię, jeśli będzie potrzebna. - Sięgnęła po jeden z kocyków i zaczęła go składać. - Nigdy nie byłam doskonałą krawcową, ale...

- Bryony - powiedział miękko.

Znieruchomiała. Powoli uniosła wzrok, czując, że na jej policzki wpełza ognisty rumieniec.

Przyglądał się jej w milczeniu. Chciała przełknąć ślinę, lecz jej się to nie udało. Miała wrażenie, że wszystkie jej mięśnie nagle zeszywniały i że się dusi. Jakiś blask w jego oczach sprawił, że zdała sobie sprawę z tego, iż on jest mężczyzną, a ona kobietą, i że są sami w pokoju, mając przed sobą całą noc.

I że jest jej właścicielem.

Ruchem głowy wskazał drzwi.

- Idź coś zjeść. Popilnuję Simona.

Głośno odetchnęła.

- Tak, proszę pana. Dziękuję... proszę pana.

Szybko wyszła z pokoju.

Hayden trzymał pusty kieliszek i wpatrywał się weń niewi-
dzącym wzrokiem.

Zdawał sobie sprawę, że patrzy na nią tak jak mężczyzna patrzy na kobietę, która mu się podoba, co dziwiło go i dener-
wowało.

Na pewno jednak żałował, że kazał jej kupić ten przekłty czepek.

7

W zimnym, szarym świetle przed świtem zatoka w dole wydawała się płaska i bezbarwna jak kawałek blachy.

Bryony otuliła Simona drugim kocikiem i przysiadła na kamiennym bloku do wsiadania na konia, stojącym przed gospodą. W porcie niewielka łódź powoli płynęła w stronę małego żaglowca. Bryony była zbyt daleko, by słyszeć odgłos uderzeń wiosł o wodę, ale widziała rozwidloną smugę za łodzią, wolno rozchodzącą się po gładkiej, srebrzystej powierzchni wody.

Poranny spokój w porcie ostro kontrastował ze scenami rozgrywającymi się tuż obok niej. Mężczyźni przeklinali. Niepokojne zwierzęta płoszyły się i potrzęsały uprzężami, wypełniając chłodne powietrze parą oddechów.

Kapitan St. John zgromadził kilkunastu mężczyzn, cztery wozy i kilkanaście zwierząt na ulicy przed gospodą. Do jednego z wozów zaprzężono parę koni, dwa miały być ciągnięte przez woły. Para wołów została zaprzężona do powoziku, którym miała jechać Bryony z Simonem. Gideon nazywał go „wozem z budką”. Miał dwa koła, twarde drewniane siedzenie oraz brezentową budkę rozpiętą z tyłu.

Bryony nie potrafiła określić uczuć towarzyszących jej wyjazdowi z Sydney. Nie chodziło tylko o wyjazd z trochę już poznanego miejsca w nieznaną. Miała jednak wrażenie, że port i statki są ostatnim ogniwem łączącym ją z ojczyzną i przeszłością.

Wyjazd oznaczał jego zerwanie, a do tego dochodziły kolejne mile i przeszkody oddzielające ją od Madeline.

Gdzieś na ulicy zaryczał wół. Bryony odwróciła się w tamtą stronę i zobaczyła Haydena St. Johna przechadzającego się wzdłuż wozów. Sprawdzał uprzęże, zabezpieczenie ładunków, wydawał ostatnie polecenia swoim ludziom.

Bryony pomyślała, że dopiero na tle innych mężczyzn widać, jak jest wysoki i szeroki w barach. Tylko jeden mężczyzna dorównywał mu wzrostem. Był to potężny Szkot z rudą brodą pilnujący trzech wdzięcznych chartów, biegających wesoło dookoła wozów. Lecz Szkot miał posturę niedźwiedzia, podczas gdy St. John był bardzo proporcjonalnie zbudowany, szczupły i zabójczo przystojny.

Czarny kapelusz z szerokim rondem osłaniał jego groźnie wyglądającą, skupioną twarz. Tego ranka wydawał się jeszcze bardziej nieprzystępny niż dotychczas. Musiało jej się tylko wydawać, iż poprzedniego wieczoru przeżyli dziwne i niepokojące chwile porozumienia.

Jakby wyczuwając, że mu się przygląda, odwrócił się i popatrzył na nią swym lodowatym wzrokiem z drugiej strony ulicy pełnej parkujących i ryczących zwierząt oraz krzyczących ludzi. Tyle że w wyrazie jego twarzy nie było niczego chłodnego. Zrobiło jej się gorąco i poczuła, że się czerwieni.

Szybko odwróciła wzrok, przerażona własną reakcją i tym, co wyczytała z jego twarzy.

Nie mogła już dłużej udawać, że kapitan nie robi na niej żadnego wrażenia, gdyż było to oczywistą nieprawdą. Choć go nie lubiła i się go bała, to, co czuła w jego obecności, na pewno nie było tylko zwykłym strachem czy niechęcią.

Była to... świadomość jego obecności, jego siły i władzy jako jej pana, ale także jako mężczyzny. Bo tak naprawdę mógł ją posiadać w każdej chwili i oboje dobrze o tym wiedzieli.

Podszedł do niej.

- Poleciałem Gideonowi, żeby zatrzymał cię w gospodzie, gdzie jest ciepło, dopóki nie będziemy gotowi do wyjazdu.

Przechyliła głowę i spozjrzała na jego ocienioną twarz.

- Nie wiedziałam, że to rozkaz.

Przez chwilę napięte mięśnie jego twarzy drgnęły jakby w leciutkim uśmiechu.

- Czy zdarza ci się czasem zrobić to, o co cię proszą?

- Ja... - Zwilżyła językiem suche wargi, lecz pożałowała tego, gdy popatrzył na jej usta. - Staram się.

Oparł nogę o kamień i pochylił się tak, jakby chciał jej coś powiedzieć. Jednak w tym momencie z gospody wyszedł Gideon, niosąc czerwony dziecinny kufer. St. John natychmiast się wyprostował i podszedł do grupki mężczyzn.

Potem zobaczyła Haydena St. Johna dopiero wtedy, gdy z dzieckiem na kolanach usiadła obok Gideona na drewnianej ławce w powozie.

Siedział na gniadym wałachu, który sprawiał wrażenie niespokojnego i rozdrażnionego, podobnie jak dosiadający go jeździec. Był to okazały koń; musiał być odpowiednio duży, by unieść mężczyznę o gabarytach kapitana. St. John kierował dorodnym wierzchowcem z wielką łatwością i gracją urodzonego jeźdźca.

Widziała, jak unosi ramię i coś krzyczy, lecz jego głos utonął wśród przekleństw, strzelań z bata i skrzypienia powoli ruszających wozów. Powozik podskakiwał, turkocząc na poślubionej koleinami ulicy.

Okrzykli wzgórze i skierowali się ku przedmieściom. Z początku Bryony miała wrażenie, że jadą na południe, ale potem droga skręciła na zachód. Przed nimi, w oddali, roztaczały się niebieskawe poszarpane grzbiety górskie, groźne i niedostępne.

Wkrótce miejski krajobraz zmienił się. Rozległ się śpiew srokaczy. Złociste światło wschodzącego słońca rozlało się po pastwiskach z pniami drzew i polami, na których w rzędach rosła nędzna kukurydza i pszenica. W okolicy Bryony dostrzegła tylko nieliczne rozproszone drewniane domy. Większość z nich znajdowała się w opłakanym stanie i przypominała chaty w dzielnicy portowej Rocks. A potem, zdumiewająco gwałtownie, wykarczowane obszary skończyły się i znaleźli się w buszu.

Niczym niezmacona dzikość tych terenów wywarła ogromne

wrażenie na Bryony. Wyglądało na to, że wkroczyli na dziewicze obszary. Mijali dziwne, cienkie drzewa i porośnięte trawą wzgórze, które po pewnym czasie zaczęła spowijać niebieskawa mgiełka, otaczająca poszarpane górskie szczyty na horyzoncie.

Ta kraina przerażała odludnością i pustką, lecz zarazem fascynowała. Gdziekolwiek spojrzeła, dostrzegała coś zdumiewającego. Lilie skalne sprawiały wrażenie wyrastających prosto z kamieni. Szare walacie i kangury pasły się na górskich stokach jak daniela, przemieszczając się dziwnymi skokami. Nawet drzewa były tu inne, srebrnozielonolistne. Niektóre z nich miały niewiarygodnie gładkie pnie, natomiast kora innych była tak postrzępiona, że zwisała podartymi płacami.

- Co to za drzewa? - zapytała Gideona, wskazując drzewo o białej korze.

- To eukaliptusy. Kapitan mówi, że tutaj rosną prawie wyłącznie drzewa eukaliptusowe. Te są nazywane białymi gumowcami. A tamte... o, widzisz? To czerwone gumowce. Nawet te krzewy po obu stronach drogi też są odmianami eukaliptusa. - Przez chwilę wpatrywał się w grzbiety wołów, opierając łokcie o kolana, po czym dodał: - Pani St. John nie cierpiała drzew gumowych. Mówiła, że są przerażające.

Bryony odchyliła głowę i w zamyśleniu popatrzyła na blade, zwisające liście drzew nad ich głowami, starając się wyobrazić sobie, co też musiała czuć piękna, delikatna córka wicehrabiego, która nagle znalazła się w samym sercu dzikiego, surowego kraju.

- Myślę, że w pewien sposób są niesamowite. - Zauważyła żywe barwy czerwieni, żółci i błękitu wśród górnych gałęzi jednego z drzew. Zorientowała się, że to ptak. - Popatrz! - zawołała, wskazując go. - Co to za ptak?

Gideon zmrugał oczy.

- To? To papuga z Rose Hill, niektórzy nazywają je rosellami. - Mówił to tak, jakby nie było to nic nadzwyczajnego, lecz Bryony wiedziała, że niezależnie od tego, ile razy zobaczy tak wspaniałego ptaka na wolności, zawsze przeniknie ją dreszczyk emocji.

Ranek był pogodny i słoneczny, na niebie pojawiło się tylko kilka obłoczków, jednak w miarę upływu czasu chmury gęstniały, aż w końcu niebo pociemniało tak, jakby zanosilo się na deszcz.

Nawet ze swojego miejsca na przodzie kawalkady Hayden słyszał ciągle popłakiwania Simona. Skazana kobieta robiła, co mogła, by go uspokoić, tuliła go, lecz malec ciągle kwilił, zaniepokojony podskokami powozu. W końcu przeniosła się z nim na miejsce okryte budką. Płacz natychmiast ustał. Hayden domyślił się, że przystawiła dziecko do piersi.

Wśród przydrożnych drzew rozległ się nagle potężny grzmot. Gwałtowny podmuch wiatru zerwał suche liście i małe gałązki. Jeden z koni zakwiczał, przerażony. Niebo otworzyło się i lunęło.

Hayden mocno naciągnął kapelusz na głowę i skulił ramiona przed deszczem. Ulewa była gwałtowna, ale trwała krótko. Po dziesięciu minutach deszcz ustał, a zza rozstępujących się chmur ukazało się błękitne niebo.

Mimo iż burza nie trwała długo, wyrządziła wiele szkód. Pofałdowana, sucha droga stała się śliskim grzęzawiskiem. Rozległo się strzelanie z batów, ryk bydła, przekleństwa wóźniców. Dwa pierwsze wozy ugrzęzły w błocie. Mężczyźni, woły, konie potykali się, ślizgali i wielokrotnie upadali, aż wszyscy byli oblepieni błotem.

Gideon bardzo namęczył się ze swoimi wołami. Najpierw jeden, a potem drugi położyły się i nie chciały ruszyć. Smagał je batem i krzyczał, ale to nie pomagało. Dwukrotnie Hayden przysyłał mu na pomoc McDuffa i jego charty. Psy szczekały na woły i gryzły je w nosy. Woły wyciągały szyje, żałośnie ryczały, po czym podnosiły się i ruszały.

Kiedy McDuff musiał interweniować trzeci raz, Hayden sam podjechał, by zobaczyć, co się dzieje. Zatrzymał konia przy powozie i popatrzył na Bryony Wentworth. Simon spał w kołysce z tyłu powozu. Bryony rzuciła kapitanowi szybkie, nerwowe spojrzenie, po czym spuściła wzrok, sztywno wyprostowana na twardym drewnianym siedzeniu.

- Musimy odciążyć ten powóz - powiedziała. - Będiesz musiała wysiąść i iść pieszo.

Spodziewał się, że będzie narzekała, a nawet spierała się z nim. Nie przewidział jednak, że się do niego uśmiechnie.

Był to delikatny uśmiech, który uniósł kąciki jej ust, wydobył różne odcienie z jej pięknych brązowych oczu i rozjaśnił całą twarz. Po raz pierwszy zobaczył jej uśmiech i wcale nie spodobało mu się, że wywarł na nim aż tak wielkie wrażenie. Poczuł żywszy bieg krwi w żyłach i mrowienie w łądźwiach. Zaczekał, aż Bryony wyjdzie z powozu, po czym zawrócił konia i pogalopował naprzód.

Nie był jednak w stanie wymazać jej obrazu z pamięci, nawet wtedy, gdy musiał pomagać przy popędzaniu koni i wołów.

Niedługo potem wyrzało słońce, stojące już wysoko na niebie. Zrobiło się gorąco, wszyscy się pocili, para unosiła się z mokrej drogi i sierści zwierząt. Potem nadleciały muchy. Jedyną rzeczą, której Hayden nie cierpiał w Australii, były muchy. Siadały na ustach, krążyły przed oczami i doprowadzały zwierzęta do szaleństwa. Jeden z koni ciągnących pierwszy wóz tak się przestraszył roju much, że podskoczył i zaplątał się w uprząż. Wszyscy musieli się zatrzymać, koniowi zdjęto uprząż, a potem ponownie mu ją nałożono.

Hayden dał sygnał do ruszenia w drogę i wskoczył na siodło, kiedy zobaczył Bryony. Szła skrajem drogi, starając się omijać błoto, chociaż trawa i krzewinki nie wyschły jeszcze po deszczu, a spódnica jej nowej szarej sukni była mokra do kolan. Zostawiła Simona w kołysce w powozie i szła energicznym krokiem kobiety urodzonej i wychowanej na wsi.

Było oczywiste, że jest zadowolona, że nie musi siedzieć w trzęsącym powozie. Sprawiała wrażenie zachwyconej wszystkim, co zobaczyła, niezależnie od tego, czy była to kwitnąca banksja, czy przestraszona jaszczurka, umykająca z nagrzanego słońcem skały. Stado papug wzbiło się w górę jak wielka różowo-szara chmura gnana wiatrem. Bryony przystanęła, osłoniła dłońią oczy przed blaskiem słońca i patrzyła na ptaki. Uśmiech zadowolenia na chwilę odgonił smutek z jej twarzy, co, ku jego zaskoczeniu, poruszyło go do głębi.

Zawrócił konia w jej stronę, lecz zaraz zmienił zdanie, popędził

gniadusza i wysforował się naprzód, w stronę wzgórz. Zamierzał wybrać miejsce przeprawy przez rzekę, ale gdy zatrzymał konia pod eukaliptusem o twardej korze, by przez chwilę popatrzeć, jak światło słoneczne sączy się przez liście i pstrzy powierzchnię wody małymi plamkami, zaczął myśleć o zesłanej kobiecie.

Lubił sposób, w jaki unosiła podbródek, i błysk w jej oczach, kiedy mówiła „tak... proszę pana”. Podobały mu się jej ciemne włosy z odcieniem rudości, okalające jej twarz i sprawiające, że wyglądała, jakby przed chwilą wyszła z łóżka. A kiedy zobaczył, jak karmi jego syna, miał ochotę dotknąć jej piersi. Tak, chciał jej dotykać.

Pragnął swojej nowej służącej.

Zsiadł z konia i rozluźnił popręgi, by wierzchowiec mógł napić się wody, a sam w tym czasie odszedł o kilka jardów w górę rzeki i spryskał twarz zimną wodą, jakby mogło to ostudzić żar w jego lędźwiach.

Śmierć Laury napełniła go bólem, był jednak młodym zdrowym mężczyzną i miał męskie potrzeby. Spodziewał się, że z czasem dadzą o sobie znać. Nie przypuszczał jednak, że stanie się to tak szybko.

Nigdy nie przyszyłoby mu też do głowy, że może być tak podniecony niezłomnym duchem i dojrzałym ciałem skazanej kobiety, której czujny, przepełniony nienawiścią wzrok wydawał się mu towarzyszyć, gdziekolwiek się znajdował.

8

Po południu Bryony była już bardzo zmęczona. Ledwie zauważała złociste akacje, niebieskie dzwonki i inne kolorowe kwiaty polne czy barwnie upierzone papugi na zwisających gałęziach drzew gumowych. Szła z pochyloną głową, koncentrując się już tylko na tym, by posuwać się naprzód.

Na chwilę uniosła głowę, by odgarnąć włosy ze spoconej twarzy, kiedy zauważyła kapitana St. Johna kłusującego w jej stronę. Zdjął pelerynę i kamizelkę, podwinął rękawy białej koszuli na opalonych, muskularnych ramionach. Lekki wiatr wzniesiony biegiem konia spowodował, że delikatny batysta koszuli przywarł do mocnego torsu i barków, sprawiając, iż tego dnia bardziej niż kiedykolwiek dotąd przypominał niepokornego poszukiwacza przygód.

Podjechawszy do niej, zawrócił gniasosza, by znaleźć się z nią w jednej linii. Przez chwilę przyglądał się jej z nieprzeniknioną twarzą, po czym zatrzymał się i powiedział:

- Jesteś zbyt zmęczona, żeby iść dalej, a droga jeszcze nie wyschła na tyle, żebyś mogła wrócić do powozu. Lepiej usiądź za mną.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Ja... czuję się doskonale.

W jego oczach pojawiły się niebezpieczne błyski.

- Do diabła, kobieto, kiedy nauczysz się mówić: „tak, proszę pana” i bez sprzeciwu spełniać polecenia?

Uniosła podbródek i wzięła głęboki oddech, ale rozsądek

nakazał jej powstrzymać gniewną ripostę, którą miała już na końcu języka.

- Bardzo roztropnie - powiedział, zbliżając się do niej. Wsunął nogę ze strzemienia i wyciągnął lewą rękę. - Wskakuj.

Był to okazały wierzchowiec. Uniosła spódnicę i halkę, by jak najwyżej zadrzeć nogę i sięgnąć strzemienia stopą. Wolała nie myśleć o tym, że pokazuje nogi i że w budżecie rządowym na ubrania dla zsyłanych kobiet nie przewidziano wydatków na bieliznę poza tradycyjnymi halkami i niemodnymi koszulkami. Nie patrząc na niego, wsunęła bladą, szczupłą rękę w mocną dłoń zbrązowiałą od słońca. Chwycił ją i wciągnął na koński grzbiet.

Usiadła za kapitanem, zaniepokojona tym, że musi dotykać jego bioder udami i przyciskać brzuch do jego pleców. Starła się trzymać prosto i jak najdalej od niego, ale gdy tylko ponaglił konia stopami i ruszyli, nie była w stanie uniknąć dotykania piersiami jego szerokich pleców. Próbowwała się go nie trzymać, ale gdy gnidosz uniósł się do skoku przez jakąś kłodę leżącą na drodze, natychmiast objęła St. Johna w pasie.

Zaraz potem go puściła, ale powiedział:

- Radzę ci się mnie trzymać.

Spełniła jego polecenie.

Starła się nie myśleć o jego szczupłych biodrach, twardym, płaskim brzuchu i szerokich, muskularnych plecach pod tkaniną koszuli. Wciągała w nozdrza zapach skóry, konia i rozgrzanego, ciężko pracującego mężczyzny. Musiała przyznać, że była to całkiem przyjemna woń.

Słońce paliło niemiłosiernie. Ciężka halka przywarła do nóg. Czuła kropelki potu spływające po plecach i wsiąkające w sztywny, gryzący materiał sukni. Tymczasem siedzący przed nią mężczyzna, którego obejmowała w pasie, wydawał się chłodny, jakby upał i wiele godzin spędzonych w siodle nie zrobiło na nim żadnego wrażenia.

- Czy panu nigdy nie jest gorąco? - zapytała w końcu.

Zaśmiał się cicho.

- Przecież jeszcze wcale nie ma upału. Poczekaj do stycznia,

kiedy przez cały miesiąc nie pada deszcz i zaczyna wiać wiatr z północy. Wtedy dopiero robi się naprawdę gorąco.

- Już teraz jest gorąco - upierała się.

Znów się roześmiał.

- Przyzwyczaisz się do tego.

- Ile czasu zajęło... panu przyzwyczajenie się do tutejszego klimatu? - Chciała zapytać: „pańskiej żonie”, ale nie była w stanie wypowiedzieć tych słów.

- Nie musiałem się przyzwyczajać. Wychowałem się w Indiach Zachodnich. Pułk mojego ojca został tam skierowany, zanim się urodziłem, więc do czasu, kiedy zostałem wysłany do szkoły do Anglii, znałem tylko takie warunki. Ktoś, kto nie może znieść upału, nie przetrwa długo w tej części świata.

Indie Zachodnie. Było to jedno z cudownych, odległych miejsc, o których marzyła będąc małą dziewczynką. „Kiedy dorosnę, będę pływać po morzach i oceanach, tak jak papa”, oznajmiła, mając pięć lat. „Zawsze się zastanów, zanim wypowiesz jakieś życzenie”, powiedziała wtedy jej mama, uśmiechając się łagodnie. „Może ci się spełnić”.

Przejeżdżali przez bagnistą równinę. Błoto kłapało pod kopytami wołów i obrygiwało koła wozów. Uwagę Bryony przyciągnął jakiś szelest. Zauważyła małą zieloną żabkę, z pluskiem wskakującą do pobliskiego stawu.

- Czy kiedyś potem odwiedził pan Anglię? - zapytała nagle. Milczał tak długo, że wydawało jej się, iż nie odpowie.

- Moi rodzice i dwie młodsze siostry zmarli w czasie epidemii tyfusu, która wybuchła na wyspie w rok po moim wyjeździe.

- Serdecznie panu współczuję.

Wzruszył ramionami.

- Prawie w ogóle ich nie pamiętam.

Popatrzyła na jego ściągniętą bólem twarz odwróconą do niej profilem i pomyślała, że kapitan może nie pamiętać członków swojej rodziny, ale na pewno dobrze wie, jak się czuł po ich stracie.

Zatrzymał konia.

- Popatrz. - Wskazał dwa duże kruczocharne ptaki dostojnie płynące po stawie. - Widzisz? To łabędzie.

- Łabędzie? - Bryony patrzyła, jak dwa wytworne ptaki, przerażone odgłosami nadjeżdżających wozów, niezgrabnie zrywają się do lotu. - Ale te ptaki są czarne.

Odwrócił się do niej. Zauważyła, że koniuszki jego ust uniosły się w uśmiechu.

- W Nowej Południowej Walii łabędzie są czarne. Te drzewa tracą korę zamiast liści, a dzień Bożego Narodzenia jest jednym z najgorętszych dni w roku.

Bezwiednie odwzajemniła uśmiech.

- Wszystko tutaj jest takie inne. Takie... - Szukała odpowiedniego słowa. - Ekscytujące.

Jego oczy przybrały dziwny wyraz.

- Myślisz, że to jest ekscytujące?

- Tak. A pan tak nie uważa?

- Uważam. - Dał koniowi znak do dalszej jazdy. - Ale z mojego doświadczenia wynika, że większość ludzi nie lubi odmienności.

Po tych słowach wytworzył się między nimi jakiś dystans, chociaż nie byłaby w stanie powiedzieć, na czym dokładnie polega.

Późnym popołudniem Hayden zmusił gniadosza do kłusa i w krótkim czasie minęli wozy jadące długim, stromym podjazdem. Kiedy znaleźli się na szczycie wzgórza, zatrzymał konia.

Przed nimi rozpościerała się szeroka dolina, na dnie której wiała się rzeka, powoli tocząca swe wody w stronę morza. Była to żyzna dolina, ze starannie uprawianymi polami i niezliczonymi akrami pastwisk. Gdzieś nad wodą rozsiadły się domy, wśród których wyróżniała się okazała posiadłość u stóp wzgórza.

Długi podjazd prowadził szpalerem sosen norfolkskich przez rozległe pastwiska, pola i ogrody, i kończył się przed solidnym piętrowym budynkiem z cegły, z licznymi zabudowaniami gospodarskimi skupionymi za nim wokół podwórza.

Bliska obecność Bryony przez całe popołudnie była dla Haydena straszliwą, niemal bolesną próbą. Czuł na sobie dotyk jej pełnych, jędrnych piersi, ud, a jej oddech delikatnie muskał jego

szję. Przeklinał błoto i mizerne umiejętności powożenia Gideona, a także swoje z trudem kontrolowane pożądanie.

- Boże - powiedziała nagle Bryony, niechcący przesuując dłońią wzdłuż jego biodra. - Czy to pańska posiadłość?

Niespodziewane poruszenie ręką znów wystawiło go na ciężką próbę.

- Nie - odpowiedział krótko. - Jindabyne znajduje się o dobre półtora dnia drogi stąd i absolutnie nie robi tak imponującego wrażenia. To Priscilla Pines. Właścicielem jest sir D'Arcy Baxter, który poprosił mnie, żebym zatrzymał się u niego w drodze do Hawkesbury. Łączą nas interesy... hodowla owiec.

Popatrzyła na rzekę za domem. Zauważył, że zaczęła bardzo uważać, żeby jak najrzadziej go dotykać.

- To nie jest Hawkesbury?

- Nie, to Parramatta. Widzisz to miasteczko? - Wskazał duże skupisko domów po drugiej stronie rzeki. - To tam właśnie znajduje się Kobięca Fabryka.

Gwałtownie zacerpnęła tchu.

- Czy to znaczy, że jechaliśmy przez cały dzień, żeby wrócić do Parramatta?!

Hayden zawrócił konia i roześmiał się.

- Przecież ci mówiłem, że tutejsze drogi są w fatalnym stanie.

Stół w jadalni w Priscilla Pines był ogromny. Został wykonany w Anglii na specjalne zamówienie z najlepszego gatunku mahoni. Bezwiednie licząc krzesła i odległości, Hayden pomyślał, że zmieściliby się tu wszyscy wolni ludzie z kolonii, i jeszcze zostałyby sporo miejsca. A tylko nieobciążeni więzienną przeszłością mogli dostąpić zaszczytu otrzymania zaproszenia do Priscilla Pines.

- Kapitanie St. John! - zwróciła się do niego z ożywieniem panna Amanda Baxter, uśmiechając się prowokująco. - Coś mi się wydaje, że nie usłyszał pan ani słowa z tego, co do pana mówiłam.

Hayden popatrzył na kobietę w białej muslinowej sukni, siedzącą obok niego. Osiemnastoletnia córka gospodarza była

bardzo atrakcyjna. Dwa dni temu przyciągnęła jego uwagę w rezydencji gubernatora, głównie dlatego, że jej drobna buzia i jasne włosy przywodziły mu na pamięć piękną zmarłą żonę. Niestety, jego zainteresowanie natychmiast zauważyła matka dziewczyny.

Panna Amanda Baxter niedawno powróciła do kolonii po ukończeniu szkoły w Anglii. Była już gotowa do wyjścia za mąż, i Hayden zaczynał nabierać podejrzeń, że został uznany za odpowiedniego kandydata. Wprawdzie dopiero gromadził majątek, ale miał doskonałe koligacje. Jego dziadek wyróżnił się jako generał w wojnach z Francją w minionym wieku, a zmarła żona była córką wicehrabiego.

Fakt, że żona zmarła zaledwie przed kilkoma miesiącami, wcale nie zniechęcał ambitnej lady Priscilli Baxter. W kolonii było bardzo niewielu odpowiednich kandydatów na męża i zapewne chciała połączyć go z córką, zanim weźmie sobie skazaną kochankę, co było powszechnym zwyczajem. Ta myśl, niestety, sprawiła, że przypomniał sobie błyszczące brązowe oczy i mocny podbródek Bryony Wentworth i nie bez wysiłku uśmiechnął się do swej towarzyszki przy stole.

- Krzywdzi mnie pani, panno Baxter. Pani Marsden wyrażała swą opinię na temat propozycji Elizabeth Fry dotyczącej reformy więziennictwa, a pani przecież była na jednym z jej wykładów w Londynie. Czy jest pani zainteresowana reformą?

- Ależ nie! - zaprzeczyła panna Baxter i roześmiała się perliście. - Poszłam tam z siostrą mojej mamy, która mnie zachęciła do wysłuchania wykładu. Uważa, że kobiece wymysły nie mają sensu, ale że należy znać aktualne trendy.

Hayden przyjrzał się jej znad krawędzi kieliszka.

- Myśli pani, że te propozycje nie mają sensu? Na przykład te, żeby więźniarki były oddzielane od więźniów i nadzorowane przez strażniczki?

- Tego nie jestem pewna. Ale Elizabeth Fry do znudzenia powtarzała, że przestępstwa biedaków są rezultatem ich ubóstwa... jakby nikt nie zdawał sobie z tego sprawy.

Hayden wypił łyk wina.

- Myśli pani, że naprawdę wszyscy zdają sobie z tego sprawę?

- Oczywiście. - Rozeźmiała się znowu. - Nie rozumiem jednak, dlaczego powinnam współczuć tym biednym ludziom tylko dlatego, że lenistwo doprowadziło ich do nędzy.

- No tak. Ale, o ile wiem, pani Fry twierdzi, że ich ubóstwo wynika nie z lenistwa, tylko z braku możliwości.

- To niedorzeczne - odezwał się wielebny Samuel Marsden, siedzący po drugiej stronie stołu. Pastor Marsden, zażywny łysy mężczyzna z oczkami jak paciorki i krzywymi ustami, był zarówno sługą Bożym, jak i sędzią, nie widząc w tym niczego niestosownego. - Wszyscy wiemy, że kryminaliści to zupełnie inna rasa ludzi. Są genetycznie skłonni do lenistwa i przemocy.

Hayden odchylił się w krzesło.

- I to właśnie dlatego - uśmiechnął się - chce pan oczyścić świat z takich ludzi?

Gospodarz, zajmujący honorowe miejsce przy stole, odchrząknął, chcąc udzielić pastorowi poparcia. Sir D'Arcy Baxter był potężnie zbudowanym, przystojnym mężczyzną o wyrazistej szczupłej twarzy i przyprószonych siwizną czarnych włosach.

- Samuelu, ile osób wasz sąd skazał w zeszłym tygodniu na powieszenie? - zapytał D'Arcy. - Siedem?

- Pięć. - Pastor nałożył na talerz kolejną porcję pieczeni wołowej. - Pozostałych dwóch wypuściłem, skazując ich tylko na pięćset batów.

- Drogiego Samuela zaczęto nazywać teraz wieszającym pastorem, a nie chłoszczącym, jak dawniej - wtrąciła niska kobieta o pospolitej twarzy, żona pastora. Uśmiechnęła się do męża, najwyraźniej z niego dumna.

- Powinno się powiesić wszystkich siedmiu - powiedział Marsden i skinął na służącego, by podał mu półmisek z galantyną z gęsi. - Na pewno wszyscy nie rokowali nadziei na poprawę. A przede wszystkim powinno się ich wszystkich powiesić w Anglii i oszczędzić podatnikom kosztów deportacji.

- Gdzie w takim razie znalazłby pan pracowników do karczowania pańskiej famy, wielebny? - wtrącił Hayden.

- Racja - zgodził się sir D'Arcy Baxter, wypiwszy łyk wina. - To rzeczywiście sytuacja bez wyjścia. Uważam, że władze

popęłniły błąd, zsyłając tych wszystkich łajdaków jedynie na siedem lat... albo na czternaście. Powinni dostać dożywotni wyrok. Tymczasem w szybkim tempie przybywa nam wyzwolonych.

- I zaczynają zadzierać nosa - zauważyła lady Priscilla Baxter ze swojego końca stołu. Była jasnowłosa, czterdziestoparoletnią kobietą, która zachowała szczupłą sylwetkę i urodę. Ściągnęła wargi w wyrazie zgorznienia, co podkreśliło długość jej twarzy i uczyniło ją zdecydowanie mniej atrakcyjną. - Kiedy ostatni raz rozmawiałam z doktorem Williamem Redfernem, zachowywał się tak, jakby nigdy nie został zesłany i w pewien sposób dorównywał mi pozycją. Czułam się w obowiązku przypomnieć mu, że mój ojciec był ziemianinem w Devonshire.

Hayden uniósł dłoń do ust, zakaszła. Lady Priscilla Baxter zawsze znajdowała jakiś pretekst do przypomnienia zgromadzonym, że jest córką posiadacza ziemskiego z Devonshire.

Kobiety wkrótce opuściły pokój, zostawiając mężczyzn, by mogli raczyć się wybornym portem. Przez pewien czas rozmawiali o cenach pszenicy i stanie ich trzód, a potem sir D'Arcy Baxter powiedział:

- Zanim dołączymy do pań, Samuelu, chciałbym przywołać jednego z moich służących i poprosić cię, żebyś go osądził. Oszczędzi mi to kłopotu wysyłania go jutro do Parramatta.

- Oczywiście - zgodził się wielebny Marsden. - Zawsze chętnie pomagam przyjacielom. Każ go przyprowadzić.

Sir D'Arcy skinął na służącego, który został posłany po zesłańca.

- Trochę to niezgodne z przepisami - zauważył Hayden, unosząc brwi.

Pastor wciągnął policzki tak, że stał się podobny do wyciśniętej cytryny.

- A to niby dlaczego? Jestem sędzią i jeśli podoba mi się rozpatrzenie tej sprawy tutaj, a nie jutro w Parramatta, to jaką to czyni różnicę? Szczerze mówiąc, uważam, że niepozwalanie, by panowie wymierzali karę chłosty służącym, jest nonsensem. Dawniej to wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

Wprawdzie Hayden uważał, że wcale się tak wiele nie zmieniło, ale zachował tę uwagę dla siebie.

W tym momencie do jadalni wszedł mężczyzna o twarzy buldoga i nieprzyjemnym spojrzeniu, ciągnąc za sobą przerażonego młodzieńca wyglądającego najwyżej na osiemnaście lat.

Marsden otaksował zesłańca szacującym wzrokiem i wyduł wąskie wargi.

- Kto to jest? - zapytał donośnie, przybierając oficjalny ton.

Buldog, który, jak Hayden się domyślił, był nadzorcą Baxtera, odpowiedział:

- Człowiek sir D'Arcy'ego Baxtera, wysoki sędzie.

- Jak się nazywa i jakie popełnił wykroczenie?

- Nazywa się Paddy O'Neal, wysoki sędzie. Jest oskarżony o zaniedbanie obowiązków.

Wielebny sędzia Samuel Marsden nalał sobie kolejny kieliszek porto.

- Czy jest pan gotów złożyć zeznanie pod przysięgą?

Nadzorca odchrząknął i chwycił zniszczoną księgę w czarnej oprawie, którą wręczył mu sędzia.

- Ja, John Flood, aktualnie zamieszkały w Priscilla Pines w...

Pastor zamachał pulchną białą ręką.

- Mniejsza o to. Po prostu powiedz, dlaczego więzień został przyprowadzony przed oblicze sądu.

- Tak, wysoki sędzie. Paddy O'Neal jest świniopasem u sir D'Arcy'ego Baxtera. W zeszłym tygodniu uciekła mu jedna świnia, a w tym tygodniu druga. Szukaliśmy ich, wysoki sędzie, ale ich nie znaleźliśmy.

Wielebny Marsden patrzył na nieszczęsnego Irlandczyka w ten sposób, że jego koralikowe oczy zniknęły w fałdach nalanej twarzy.

- Co masz do powiedzenia na swoją obronę?

Młody człowiek przełknął z trudem.

- Bardzo mi przykro, proszę pana... wysoki sędzie. N...nigdy wcześniej nie pasłem świń, proszę pana... wysoki sędzie. Zostałem wysłany do buszu z całym stadem, a one po prostu rozbiegły się we wszystkie strony. Ja... ja... - Głos mu się załamał.

- W takim razie nie zaprzeczasz oskarżeniu? Przez zaniedbanie

doprowadziłeś do utraty dwóch świń sir D'Arcy'ego Baxtera, powierzonych twojej pieczy?

- Ja nie chciałem! Próbowałem... Naprawdę się starałem... - Urwał, gdy pastor spojrział na niego potępiającym wzrokiem.

- W takim razie - oznajmił powoli pastor - zetknięcie się z dziewięciorzemiennym batem sprawi, że następnym razem będziesz się bardziej starał. - Westchnął. - Dwieście batów.

Paddy O'Neal pobladł i zaczął się trząść na całym ciele tak mocno, że przez chwilę Hayden bał się, iż służący upadnie. Sir D'Arcy energicznym ruchem głowy wskazał drzwi.

- Wyprowadzić go i wychłostać. - Uśmiechnięty, odwrócił się w stronę gości. - A teraz, skoro mamy już za sobą tę nieprzyjemną historię, proponuję dołączyć do pań.

Salon był dużym, eleganckim pomieszczeniem w modnym chińskim stylu, o dominujących barwach błękitu i zieleni. Podobnie jak większość pokoi na parterze, miał podwójne drzwi wychodzące na werandę. Chłodny wiatr wiejący od rzeki niósł słodki zapach kwitnących drzew owocowych.

Wszedłszy do pokoju, zastali trzy panie skupione w półkolu i zajęte haftowaniem. Na widok Haydena panna Baxter odłożyła tamborek i uśmiechnęła się promiennie.

- Co zatrzymało panów tak długo?

- Mały problem z jednym ze służących - odpowiedział jej ojciec. - Pastor zajął się tą sprawą na moją prośbę.

Pani Marsden z zadowoleniem pokiwała głową.

- Samuel uważa, że świeżo przydzielony służący nie jest nic wart, dopóki nie zostanie trzykrotnie wychłostany, prawda, Samuelu?

- Tak mi mówi doświadczenie - odpowiedział pastor, wypinając tors. - A jeśli to nie pomaga, należy ich wieszać jako nierokujących nadziei na poprawę.

Hayden spojrział w stronę otwartych drzwi werandy. Wiatr znad rzeki niósł teraz coraz donośniejszy gwar głosów. Ktoś krzykiem wydał jakiś rozkaz, po czym Hayden usłyszał dźwięk,

którego nie mógł nie rozpoznać ktoś, kto spędził osiem lat w wojsku albo jakikolwiek okres w Nowej Południowej Walii. Był to trzask dyscypliny o dziewięciu rzemieniach, które spadały na plecy skazanego.

Potem rozległo się zbiorowe westchnienie wszystkich gapiów, zgromadzonych na podwórzu.

Lady Priscilla Baxter także musiała usłyszeć ten odgłos.

- Amando, zagraj nam coś na fortepianie - zwróciła się do córki. - Kapitanie St. John, czy mógłby pan zamknąć drzwi?

Panna Baxter posłusznie usiadła przy instrumencie, stanowiącym symbol przynależności młodej damy do elity, i bez wahania zagrała menueta. Grała wprawnie - i głośno, siła dźwięku nie była jednak na tyle duża, by Hayden, który zamknął już jedne drzwi, a teraz zamykał drugie, nie usłyszał przerażonego krzyku dziecka.

Swojego dziecka.

Przeprosił zgromadzonych i wyszedł na werandę, zamykając za sobą drzwi. Księżyc, który niedawno pojawił się na niebie, mżył srebrzystym światłem tworzącym jasną smugę na ciemnej, wolno płynącej rzece. Gdzieś w drzewach gumowych nad jej brzegami rozległ się samotny, przejmujący krzyk kulika, stanowiący osobliwy kontrapunkt przerażającego trzasku bata. Usłyszał jęk, lecz jeszcze nie rozległy się krzyki. Najwyraźniej Paddy O'Neal postanowił przyjąć karę chłosty jak mężczyzna.

Hayden przeszedł werandą do łukowato sklepionego przejścia prowadzącego na ogromne podwórze z tyłu domu, wyłożone płytami piaskowca i otoczone stajniami, powozowniami, różnymi pomieszczeniami gospodarskimi i kwaterami służących. Na środku podwórza ustawiono pal na podwyższeniu z kamiennych bloków tak, by nieszczęsna ofiara mogła być dobrze widziana przez wszystkich zgromadzonych.

Młody Paddy O'Neal był rozebrany do pasa, z ramionami i klatką piersiową tak mocno przywiązany do słupa, że nie miał żadnej możliwości poruszenia się i uniknięcia razów. Dyscyplina raz po raz bezlitośnie spadała na chude plecy biedaka, przecinając skórę i rozrywając mięśnie, aż w krwawej masie ukazały się kości.

Hayden rozejrzał się wśród tłumu. Baxter zapewne wydał rozkaz, by wszyscy służący przyglądali się chłóście, jako że miała ona służyć nie tylko ukaraniu Paddy'ego O'Neala, ale także stanowić ostrzeżenie dla innych zesłańców. Służącym Haydena również nakazano stawić się na podwórzu.

W końcu zauważył Gideona, stojącego z tyłu, ze zbielełą twarzą i gniewnie zmrużonymi, choć zazwyczaj tak łagodnie spoglądającymi, oczami. Hayden odniósł wrażenie, że Gideon chce zasłonić widok najstraszniejszych chwil potwornego widowiska kobiecie, trzymającej dziecko.

Gideon był blady, lecz Bryony miała wręcz białą twarz. Chociaż Gideon robił, co mógł, żeby oszczędzić jej straszliwego widoku, rozszerzonymi z przerażenia oczami wpatrywała się w zakrwawioną, wijącą się z bólu postać na podwyższeniu. Mocno trzymała w ramionach Simona wyjącego niezwykle głośno. Hayden nie był pewien, czy syn krzyczy dlatego, że udziela mu się zdenerwowanie Bryony, czy też dlatego, że ta ścisza go zbyt mocno.

Przedarł się przez tłum, patrząc na swe dziecko i trzymając je kobietę.

- Bryony - powiedział cicho.

Nie usłyszała go.

- Bryony! - Chwyił ją za ramiona i obrócił w swoją stronę, tak że patrzyła teraz na niego, a nie na sceny rozgrywające się na środku podwórza.

Był przerażony jej wyglądem. Drobne rysy wyostrzyły się, piękne brązowe oczy stanowiły dwie ciemne plamy na tle białej twarzy. Przez chwilę patrzyła na niego tak, jakby go nie rozpoznawała. W jej oczach kryło się cierpienie i strach. Po chwili wydała cichy, chrapliwy okrzyk i opadła na niego.

Udało mu się wyjąć krzyczące, wierzgające dziecko z jej ramion.

Podał dziecko Gideonowi.

- Zabierz stąd Simona.

Poprowadził ją sklepionym przejściem do ciemnego ogrodu.

Potężne szlochanie wstrząsało ciałem Bryony. Nie była w stanie się opanować, bezradnie przywarła do twardego potężnego torsu, prawie nieświadoma tego, że obejmujące ją mocne ręce należą do Haydena St. Johna. Płakała z powodu Paddy'ego O'Neala, Philipa, Madeline, z żalu nad samą sobą, z powodu świata, w którym trzeba było znosić tyle bólu i rozpaczy.

Płakała, nie mając pewności, czy potrafi to wytrzymać.

Nie miała pojęcia, jak długo szlochała w ramionach Haydena St. Johna. W pewnej chwili Paddy O'Neal nie był już w stanie dłużej znosić tortur w milczeniu i zaczął krzyczeć.

Był to potworny, wysoki, zwierzęcy krzyk nieopisanego bólu, przecinający słodkawo pachnące wieczorne powietrze. Przerażona Bryony przestała szlochać.

Czuła równy rytm serca Haydena St. Johna pod swoją skronią. Jego frak był gładki i przyjemnie chłodny, lecz trzymające ją ramiona - mocne i zdolne do przemocy. Głęboko wciągnęła powietrze i poczuła zapach krochmalonego płótna, dobrego tytoniu i silnego mężczyzny.

Był przecież częścią tego systemu, przedstawicielem miejscowych władz, podtrzymujących barbarzyński rytuał, którego świadkiem była przed chwilą. Groził nawet, że może ukarać ją w ten sposób.

Cofnęła się, przerażona, znów ogarnięta strachem. Odchyliła głowę i zobaczyła jego twarz.

Patrzył na nią w skupieniu, które wystrzyło rysy jego twarzy, miał rozdęte nozdrza i zmrużone oczy. Znała to spojrzenie, wiedziała, co ono oznacza.

- Przepraszam - powiedziała cicho, przerażona tym, co przed chwilą zrobiła. - Nie wiem, co mnie napadło.

- Widziałem już coś podobnego - odpowiedział zaskakująco łagodnie, a jego twarz straciła niepokojący wygląd. - W Indiach.

Chwyił ją za ramię i poprowadził z dala od domu, w głąb ogrodu, gdzie stała opleciona dzikim winem altanka, z której widać było srebrzyście lśniąca rzekę, ledwie widoczną zza ciemnego skupiska eukaliptusów rosnących wzdłuż jej brzegów. Wiał lekki wiatr, niosący słodki, odurzający zapach róż i powojników. Słychać było bulgotanie, szum i pluskanie wody w niewidocznej fontannie i donośniej sze odgłosy uderzeń bicia.

- Był tam pewien młody oficer - powiedział kapitan St. John. - Tuż po swoim przyjeździe wziął udział w dwóch potwornie krwawych, brutalnych bitwach, ale nie wywarły one na nim większego wrażenia. A potem któregoś dnia zobaczył na drodze martwego psa i zupełnie się załamał.

Bryony ukradkiem spojrzała na stojącego obok niej mężczyznę, świadoma tego, że widzi go w zupełnie innym świetle.

- Ten chłopak *to nie pies*.

- Nie. - Przystanął w łukowatym wejściu do altany. - Choć jest traktowany gorzej niż pies.

Opadła na ławkę i zapatrzyła się na oświetloną światłem księżycy rzekę za koronkową plataniną liści, nieświadoma tego, że po jej policzkach płyną łzy. Ku jej zdumieniu, oparł nogę o ławkę, pochylił się, objął jej twarz dłońmi i zaczął ocierać łzy kciukami.

- Przeżyjesz to, Bryony - powiedział ciepłym tonem. - On też.

Ustały potworne trzaski dyscypliny. Paddy O'Neal wydał ostatni żałosny krzyk. W nagłej ciszy dzwonięcie cykad wydawało się nienaturalnie głośne.

- Tak? - Nagle zdała sobie sprawę, że Hayden St. John stoi bardzo blisko, a w dodatku wciąż trzyma swą twardą, ciepłą dłoń przy jej policzku. Przeniknął ją zaskakująco przyjemny

dreszcz. Starła się wskrzesić w sobie gniew, lecz nie była w stanie go wywołać.

- Przynajmniej tym razem - powiedział Hayden, opuścił rękę i odwrócił się. - Mogło być gorzej. Chłopak miał szczęście, że Marsden wypił już sporo wina. Zazwyczaj każe wymierzyć trzysta batów.

- Jego plecy wyglądały strasznie.

- Tak. - Stał w wejściu do altany, oparł ręce o framugę. Patrzył w stronę rzeki płynącej u podnóża zbocza, jednak Bryony miała wrażenie, że spogląda w głąb siebie. - Widziałem mężczyznę, któremu wymierzono osiemset batów.

- Boże - wydyszała Bryony. - Co takiego zrobił?

St. John pokręcił głową, a jego wargi wykrzywiły się w parodii uśmiechu.

- Był żołnierzem. Miał za sobą długi, forsowny marsz i zasnął na służbie wartowniczej. Myślę, że Wellesley chciał go ukarać dla przykładu. Kiedy jego plecy nie były już w stanie przyjąć większej liczby razów, chłostano go po pośladkach, a kiedy i one zmieniły się w galarete, biczowano mu nogi. Został kaleką na całe życie.

Popatrzyła na profil St. Johna i przypomniała sobie, co powiedział jej Gideon, kiedy Paddy O'Neal był przywiązywany do pala.

- Gideon powiedział mi dziś, że pan raczej nie każe chłostać swoich ludzi.

Popatrzył na nią. W cieniu altany jego twarz była ciemna i nieprzenikniona.

- Nie. Myślę, że są skuteczniejsze sposoby kierowania nimi.

- Na przykład?

Wzruszył ramionami i oparł się o narożny słupek altany, z biodrami wysuniętymi w przód i założonymi na piersiach rękami.

- Moim zdaniem, ludzki żołądek jest znacznie bardziej wrażliwy niż plecy.

Poczuła rozczarowanie.

- Pan ich głodzi?

- Skądże - powiedział kwaśno. Odchylił głowę do tyłu i popa-

trzymał na nią spod półprzymkniętych powiek. - Zawsze daję moim ludziom więcej jedzenia, niż wynosi ustalona racja. Uważam, że dzięki temu lepiej pracują. A im lepiej pracują, tym więcej daję im cukru, herbaty i mąki. - Wyjął z kieszeni cygaro. - Co oznacza, że mam im co zabierać, kiedy przysparzają mi kłopotów.

- A jednak groził mi pan karą chłosty - zauważyła cichym głosem.

Skrzesał ognia. Płomień oświetlił wyraziste rysy jego twarzy. Wciągnął dym i opuścił wzrok.

- Gotów jestem na wszystko, by mój syn był zdrow i cały. Wydała jakiś nieartykułowany dźwięk.

- Posłuchaj, Bryony - powiedział. - Kiedy byłem dzieckiem i mieszałem w Indiach Zachodnich, wszyscy byliśmy wychowywani przez czarnych służących. Niewolników. Wiem aż za dobrze, że większość niewolników chce wykonać swoją pracę jak najmniejszym nakładem sił, a kobiety, które są tu zsyłane, wcale się od nich pod tym względem nie różnią. Słyszałem o dzieciach wpadających do studni, ponieważ kobiety, które miały się nimi opiekować, akurat wstępowały do sklepów nielegalnie sprzedających alkohol. - Ruchem głowy wskazał rezydencję. - Żona pastora Marsdena straciła dwoje dzieci... zginęły w wypadkach! Połowa dzieci w tej kolonii regularnie dostaje rum, żeby spały spokojnie, nie marudziły i nie sprawiały opiekunom zbyt wielkiego kłopotu.

- Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła! - Kurczowo chwyciła się krawędzi ławeczki i wychyliła w przód. Ten ruch sprawił, że suknia opięła jej nabrzmiałe piersi. Zauważyła, że kapitan na nie patrzył, i szybko zasłoniła je rękami.

- Wiem - powiedział. Oparł stopę o ściankę altany. - Jesteś zupełnie inna, niż myślałem na początku.

- To znaczy, że nie jestem dziwką i złodziejką? - Wyzywająco uniosła podbródek. Ku jej zaskoczeniu, Hayden uśmiechnął się.

- Nie jesteś.

Popatrzyła mu w oczy.

- W ciągu ostatnich dwunastu miesięcy poznałam wiele złodziejek i prostytutek. Wcale nie są takie okropne, jak pan myśli.

Wypuścił cienką smużkę dymu.

- Zostałaś aresztowana rok temu? - Popatrzył na nią uważnie, badawczo.

Opuściła wzrok.

- Tak. We wrześniu.

Bała się, że zacznie ją wypytywać o różne szczegóły, lecz usłyszeli odgłos otwieranych drzwi. Bryony popatrzyła na okazały dom. W przeszklonych drzwiach między salonem a werandą stała lady Priscilla Baxter, wypatrując w ciemności zaginionego gościa.

Odepchnął się od słupa i rzucił cygaro na ziemię.

- Robi się późno.

Bryony wstała i podeszła do łukowatego otworu altany. Nie mogła dostrzec wyrazu twarzy kapitana, stojącego na tle księżyca, lecz wciąż towarzyszyło im napięcie, przyśpieszające jej oddech i powodujące skurcz mięśni w dole brzucha. Byli teraz nie tylko panem i służącą, ale również mężczyzną i kobietą, stojącymi w oplecionej różami altanie.

Zdała sobie sprawę, że przez ostatni kwadrans obserwowała grę światłocieni na jego twarzy.

Następny ranek powitał ich bezchmurnym niebem. Słońce szybko wysuszyło błoto, ale silny wiatr rozproszył niezwykle jak na tę porę roku upał panujący poprzedniego dnia.

Obecna pogoda bardziej pasowała do wyobrażeń Bryony o wiosnie. Po nakarmieniu Simona położyła go do łóżeczka z tyłu powozu i postanowiła się przespacerować.

W dniu takim jak ten była w stanie prawie zupełnie zapomnieć o ciągłym bólu serca. Postanowiła choć na chwilę pozostać głucha na wewnętrzny krzyk cierpienia i smutku. Zmusiła się do tego, by nie myśleć o tym, co stało się z Oliverem, ani o Philipie, leżącym w ziemnym grobie, ani o Madeline, samotnej i zagubionej w mrocznym, ponurym domu na wrzosowiskach.

Wsluchiwała się w szelest traw rozgarnianych spódnicą. Cieszyło ją wspaniałe, rześkie powietrze wypełniające jej płuca,

ciepło słońca na twarzy, wiatr szeleszczący liśćmi w drzewach nad jej głową... proste przyjemności, tym silniej odbierane, że przez rok nie mogła ich doznawać. Odchyliła głowę i z radością zapatrzyła się na pierzaste białe chmurki na błękitnym niebie.

Chciałaby być taka lekka i swobodna jak one.

Rano widziała Haydena St. Johna tylko przez chwilę i z dużej odległości. Odniosła wrażenie, że jej unika, i wmawiała sobie, że jest z tego zadowolona. Jego obecność i spojrzenia dziwnie ją niepokoiły. Wciąż jednak pamiętała jego ciepłe, silne ramiona, które obejmowały ją poprzedniego wieczoru w geście pocieszenia, i chmurny, mocny wzrok, którym przyglądał się jej, kiedy siedzieli w altanie. Nie była w stanie powstrzymać się od rzucania ukradkowych spojrzeń na jego szczupłe, lecz mocne ciało.

Przekroczyli rzekę i zostawili Parramatta za sobą. Droga prowadziła na północny zachód. Powoli zbliżali się do zasnutych mgiełką niebieskawych gór. Na szczycie wzgórza Bryony przystanąła, przysłoniła oczy dłonią i wpatrzyła się w odległy łańcuch górski.

Nigdy jeszcze nie widziała tak wysokich gór. Ich poszarpane krawędzie wyglądały jak rozdarcie w niebie. Majestatycznie wznosiły się nad równinami i wzgórzami u stóp, dzikie i groźne, intrygujące i przerażające zarazem. Nawet w silnym świetle południa wydawały się niebieskie, tajemnicze i jak nie z tego świata.

Wciąż patrzyła na góry, kiedy nadjechał kapitan Hayden St. John. Zatrzymał przed nią swego gniadosza. Tuż po wyjeździe z Priscilla Pines zdjął pelerynę i kamizelkę. Nie miał też krawata. Rozpiął koszulę, spod której wyłoniła się opalona szyja i fragment torsu.

- Hej. - Pochylił się i podał jej słomiany kapelusz z szerokim rondem, podobny do tego, jaki nosił Gideon i inni mężczyźni. - Radzę ci go włożyć. Masz czerwony nos.

Wyjęła kapelusz z jego wyciągniętej ręki, zdumiona tym, że się o nią zatroszczył. Kapelusz okazał się trochę za duży, ale osłaniał jej twarz przed promieniami słońca.

Odchyliła głowę i popatrzyła na kapitana spod szerokiego ronda. Uśmiechnął się, na jego twarzy pojawiły się zmarszczki mimiczne, a oczy rozblęły tak, że poczuła zakłopotanie.

- Musi ci wystarczyć, zanim znajdziemy coś bardziej odpowiedniego - powiedział.

W jego uśmiechu było coś, co sprawiło, że Bryony zabrakło tchu. Szybko odwróciła wzrok i popatrzyła na góry. Czując gwałtowną potrzebę przerwania chwili milczenia, zapytała:

- Jak się nazywają te góry?

Odwrócił głowę w stronę niebieskawych szczytów.

- Ktoś kiedyś nadał im jakąś oficjalną nazwę, ale już jej nie pamiętam. Ludzie nazywają je po prostu Górami Błękitnymi.

- Jesteśmy już chyba blisko nich.

- Tak. Jakieś dwadzieścia mil. - Wolno jechał na koniu obok niej.

- A co jest po drugiej stronie tych gór?

- Aborygeni mówią, że po drugiej stronie najwyższych łańcuchów są wielkie doliny porośnięte soczystą, bujną trawą...

Popatrzyła na niego, zaskoczona.

- To znaczy, że tak naprawdę to nikt tego nie wie?

Wzruszył ramionami.

- Nie. Nikt jeszcze się przez nie nie przedostał. Ilekroć ktoś wyprawia się wzdłuż rzeki i wchodzi do jednej z takich dolin, po pewnym czasie staje przed wodospadem wysokim na czterysta - pięćset stóp. Myślę, że aborygeni wiedzą, jak przez nie przejść, ale dotąd nikomu nie zdradzili tej tajemnicy.

Z zachwytem patrzyła na poszarpane górskie krawędzie.

- To znaczy, że tysiące ludzi żyje na wąskim pasie wybrzeża tego wielkiego kontynentu i nawet nie wie, co znajduje się po drugiej stronie gór? Przecież tam może być wszystko!

Wyraźnie zaintrygowała go ta wypowiedź.

- Niektóre... niektóre kobiety nienawidzą tych gór, nie lubią, kiedy coś zupełnie nieznanego i tajemniczego znajduje się tak blisko miejsca ich zamieszkania. Czy to cię nie przeraża?

Pokręciła głową i uśmiechnęła się do niego.

- Nie. Ale mam ochotę zobaczyć, co jest po drugiej stronie.

Przyglądał się jej przez chwilę ze zmrużonymi oczami i ustami zaciśniętymi w wąską kreskę.

A potem nagle zawrócił konia i odjechał.

Nie zobaczyła go aż do popołudnia.

Siedziała w powozie obok Gideona, czekając, aż nadejdzie ich kolej na przeprawę przez rzekę, kiedy wóz jadący przed nimi niespodziewanie ugrzązł w piaszczystym dnie.

Wóznica krzyknął coś do jadących na przodzie i cała kawalkada stanęła. Kapitan St. John wysłał konie na pomoc wołom zaprzężonym do uwięzionego wozu, lecz nie przyniosło to żadnego efektu.

Bryony rozłożyła jeden z kocyków Simona na porośniętym trawą brzegu rzeki. Usiadłszy obok dziecka, podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ramionami, ciesząc się ciepłem słońca grzejącego jej plecy i lśniącego w bulgoczącej wodzie.

Wokół wozu zgromadziła się spora grupa mężczyzn, spierających się o to, jak najlepiej poradzić sobie z problemem. St. John podjechał do nich. Po chwili ktoś pobiegł w stronę pierwszego wozu. Sześciu mężczyzn usiadło na brzegu i zaczęło zdejmować buty i koszule.

Wśród nich był Hayden St. John.

Patrzyła, jak zdejmuje swoje błyszczące wysokie buty, odrzuca je na bok i zaczyna rozpinąć koszulę. Był odwrócony do niej tak, że widziała tylko jego plecy. Zauważyła jednak mocne, pięknie wyrzeźbione mięśnie, gładką opaloną skórę, szerokie bary i wąskie biodra. Po chwili odwrócił się, by krzyknąć coś do swoich ludzi. Zobaczyła wtedy jego mocny tors pokryty ciemnym poskręcany owłosieniem, biegnącym w dół, przez brzuch, i znikającym za pasem spodni.

Mocniej ścisnęła kolana, patrząc, jak wchodzi do wody. Wiedziała, że nie powinna mu się przyglądać, była jednak tak zafascynowana jego ciałem, że nie mogła odwrócić wzroku.

Mężczyzna, który chwilę wcześniej został po coś posłany, wrócił niosąc długie deski, które położył przed kołami wozu.

Pozostali mężczyźni weszli do rzeki i stanęli przy kołach oraz z tyłu wozu, by wspomóc zwierzęta.

Trzasnął bat. Konie i woły wychyliły się w swoich chomątach. Mężczyźni wyteżyli siły i napanarli na wóz. Hayden, stojący z tyłu wozu, pchał koło. Bryony zobaczyła, jak mięśnie jego barków i ramion napinają się z wysiłku. Słońce złotawym blaskiem oświetliło jego nagie, spocone plecy i zajaśniało w ciemnych włosach, gdy odchylił głowę.

Rozległo się głośnie kłamięcie. Uwolniony wóz podskoczył i z turkotem wjechał na przeciwległy brzeg.

Mężczyźni wydali okrzyk triumfu i zaczęli się śmiać. Ktoś pochylił się, by wyjąć deski z dna rzeki. Hayden poklepał najbliższej stojącego mężczyznę po ramieniu i powiedział coś, czego nie dosłyszała.

Odwrocił się w stronę rzeki. Jego spodnie były mokre aż po uda. Widziała ciemną linię, do której sięgała woda. Kropelki potu perliły jego czoło i skapywały do oczu. Machinalnie wytarł je wierzchem dłoni, wszedł do rzeki i spryskał wodą twarz i ramiona.

Kiedy się wyprostował, miał zamknięte oczy. Odchylił głowę i przecesał palcami ciemne włosy, odgarniając je z czoła. Wysoko unioś ramiona, szeroko rozstawił łokcie. Mokra skóra napięta się na mięśniach, rozbiły w słońcu. Ciemne, mokre włosy otaczały jego brodawki piersiowe. Małe kropelki wody ciekły po brzuchu na pas spodni. Dostrzegła włosy pod jego pachami, krople wody ściekające po policzkach. Nagle otworzył oczy i zobaczył, że mu się przygląda.

Ich spojrzenia się spotkały. Powolnym ruchem otarł wodę z twarzy, co spowodowało, że oblała ją gorąca fala. Czuła ciepło słońca na swojej skórze, jej nabrzmiałe piersi napierały na stanik sukni, brakowało jej tchu.

Wiedziała, że powinna odwrócić wzrok, ale pomyślała, że jeśli to zrobi, będzie to wyglądało tak, jakby wcześniej przyglądała mu się w jakiś szczególny sposób. I wtedy zdała sobie sprawę, że tak właśnie było, ponieważ w strumieniu stało kilku półnagich mężczyzn, a ona patrzyła tylko na niego.

10

Bryony siedziała z dzieckiem na kolanach i patrzyła, jak Gideon wbija szpikulce z plastrami kangurzego mięsa w ziemię obok ogniska.

Podczas gdy pozostali mężczyźni byli zajęci rozkładaniem obozowiska, Hayden St. John zarzucił strzelbę na ramię i zniknął w gęstwinie drzew. Gideon powiedział jej, że kapitan poszedł na polowanie. Kilka razy usłyszała huk wystrzału w oddali.

W powietrzu unosił się zapach płonących gałęzi eukaliptusa i apetyczny aromat pieczonego mięsa. Bryony nigdy dotąd nie spędziła nocy pod gołym niebem. Fascynowały ją nowe doświadczenia i odmienność niemal wszystkiego, z czym się stykała na tym kontynencie. W cieniu drzew na skraju polany latały egzotyczne ptaki, napełniając wieczorne niebo swoim śpiewem. Niektóre śpiewały wdzięcznie i melodyjnie, inne miały niskie, skrzeczące głosy, wszystkie jednak brzmiały obco. W zapadającym mroku otaczające ich eukaliptusy wydawały się bardziej przerażające i niesamowite niż zazwyczaj, prezentując ciemne, rozłożyste parasole swoich liści na tle czerwonego nieba.

Wkrótce zrobi się zupełnie ciemno.

Spojrzała w stronę drugiego ogniska, oddalonego o jakieś pięćdziesiąt stóp, wokół którego skupili się pozostali mężczyźni. Gdy tylko wróci kapitan, Gideon również tam odejdzie i zostawi ją samą z Simonem i Haydenem St. Johnem. W osobnym namiocie, ustawionym za jej plecami.

- Opowiedz mi o posiadłości kapitana - zwróciła się nagle do Gideona.

- O Jindabyne? - Uniósł wzrok. Był zajęty pieczeniem placzków z mąki i wody, które, jak powiedział, nazywano podpłomykami. - To... - Urwał, chcąc zastanowić się nad odpowiedzią. - To niezwykle miejsce. Większość pól kapitana oczywiście znajduje się w dolinie, ale Jindabyne zbudowano na zboczu wzgórza nad rzeką Hawkesbury. Roztacza się stamtąd widok na całą okolicę.

- To dzikie tereny?

- Tak.

Trzasnęła jakaś gałązka. Bryony odwróciła się i zobaczyła kapitana St. Johna wyłaniającego się zza drzew, ze strzelbą na ramieniu i sznurem z dzikimi kaczkami zwisającym wzdłuż uda.

Biała koszula jaśniała w świetle ognia, sprawiając, że skóra kapitana wydawała się ciemniejsza niż zwykle. Pomyślała, że St. John wygląda jak dzikus, jak człowiek pierwotny. Czując miłe ciepło w żołądku, patrzyła, jak podchodzi do nich swoim sprężystym krokiem, lekko kołysząc biodrami.

Gideon wstał i wziął ptaki od kapitana. Zamienili kilka słów, po czym Hayden St. John odwrócił się i popatrzył na Bryony nad strzelającymi w górę płomieniami. Na dworze robiło się coraz chłodniej, ale nagle poczuła, że jest jej gorąco. Pochyliła głowę i zaczęła coś mówić do Simona. Przestała dopiero, gdy usłyszała, że kapitan wchodzi do namiotu.

Po chwili znów się pojawił i usiadł po drugiej stronie ogniska, naprzeciwko niej. Uważała, by na niego nie patrzeć. Przesunęła Simona tak, że miał główkę opartą o jej kolana, i zajęła się zabawianiem malca. Dziecko chichotało, zachwycone, co chwila otwierając usta w bezzębnych uśmiechach, które z radością odwzajemniała. Po chwili podświadomie spojrzała na ojca dziecka i uśmiech zamarł jej na wargach.

Siedział ze skrzyżowanymi nogami i czyścił strzelbę. Tańczące płomienie ognia rzucały tajemnicze cienie na jego wyrazistą twarz i złociście oświetlały nagie ramiona. Czyścił strzelbę w sposób, który przywodził jej na myśl miłosne pieszczoty.

Patrzyła na męską sylwetkę i męskie zajęcie. Nie była w stanie wyobrazić sobie Olivera w samej koszuli, spodniach i butach, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami przy ognisku, w środku pierwotnego lasu.

Oliver nigdy nie lubił wsi, nawet spokojnych, cywilizowanych wiejskich okolic w Brytanii. Nie lubił też niewielkich miasteczek, takich jak Penzance. Zawsze chełpił się, że jest człowiekiem, który dobrze czuje się tylko w wielkim mieście, w Londynie. Uwielbiał kluby, salony... i buduary, pomyślała z goryczą.

Był szczupły i niezbyt dobrze umięśniony, i miał białą, a nie brązową skórę.

Poza tym myśl o ciele Olivera nigdy nie przyśpieszała biegu jej krwi tak jak teraz, gdy przypomniła sobie półnagiego kapitana St. Johna stojącego w wodzie, która zmoczyła mu spodnie aż po łądźwie i spływała jak krople rosy po mocnym, nagim torsie.

Z trudem oderwała się od myślenia o kapitanie. Gideon strząsnął popiół z podpłomyka, który upiekł w żarzącym się popiele.

- Gotowy - oznajmił z satysfakcją. Placek był zaskakująco smaczny - chrupiący i lekki. Mięso nie wydawało się jej tak smaczne, ale po roku na więziennym wikcie i tak zjadłaby wszystko.

Po kolacji wypili herbatę podaną w blaszanych kubkach. Wodę zagotowali w blaszanym kociołku. Piła herbatę powoli, małymi łykami, patrząc, jak Gideon wkłada upieczone kaczki do garnków ze szczelnymi pokrywkami, by zachować je na posiłek następnego dnia. Potem włożył umyte talerze i kubki do skrzynki, życzył dobrej nocy kapitanowi i Bryony, i odszedł, by dołączyć do mężczyzn skupionych przy drugim ognisku.

Bryony odprowadziła go wzrokiem i poczuła, że zaczyna się trząść. Zaszło słońce i nastała zaskakująco zimna noc. Popatrzyła na Simona. Malec spał.

- Podaj mi go; położę go w kołysce w namiocie.

Uniósłszy wzrok, zobaczyła obok siebie parę czarnych butów. Przewędrowała wzrokiem wzdłuż długiej linii jego ud, po czym szybko spojrzała na twarz.

Nie była w stanie wyczytać z niej żadnych emocji.

- Tak... proszę pana.

Delikatnie uniosła i podała mu Simona, dotykając przy tym dłonią nagiego ramienia kapitana. Było to najzupełniej przypadkowe dotknięcie, lecz sprawiło, że zabrakło jej tchu.

Szybko wstała i nalała sobie herbaty. Kapitan wszedł do namiotu. Ręce drżały jej tak, że wylała część ciemnego, gorzkiego napoju do ognia. Zasyczał, pojawiła się smuga dymu.

Usłyszała, że kapitan wychodzi z namiotu.

- Weź to - powiedział, okrywając jej ramiona peleryną.

- Dziękuję.

Stanął po drugiej stronie ogniska. Narzucił na siebie pelerynę, ale jej nie zapiaął. Bryony popatrzyła na jego napiętą twarz i z zakłopotaniem poczuła, że drży. Ich spojrzenia spotkały się ponad płonącym ogniem. Po chwili wybuch śmiechu przy męskim obozowisku sprawił, że odwróciła głowę.

Ktoś przyniósł skrzyпки. Gideon i rudowłosego mężczyzna, McDuff, tańczyli dookoła ogniska. Pomarańczowy blask płomieni na tle ciemnego lasu oświetlał ich białe koszule i twarze, gdy wirowali dookoła, z wysoko uniesionymi ramionami, przytupując, z głowami odchylonymi do tyłu, roześmiani.

Znów popatrzyła na St. Johna. Uniósł płonącą gałąź z ogniska i zapalił nią cygaro. Płomienie na końcu gałęzi zamigotały, rzucając czerwonawe, niemal złowieszcze światło na jego przystojną twarz.

Zaledwie pięćdziesiąt stóp od niej znajdowało się kilkunastu innych mężczyzn, lecz nagle Bryony zdała sobie sprawę, jak bardzo jest samotna mimo obecności kapitana.

Wrzucił kawałek drewna z powrotem do ognia. Posypały się skry. Spojrzawszy na nią zauważył, że mu się przygląda. Zmrużył powieki i wydmuchnął chmurkę dymu, która wydała się biała na tle nocnego nieba.

Stała, trzymając się za łokieć i patrząc, jak dym cygara miesza się z dymem ogniska. Dookoła dzwoniły cykady. Gdzieś poza kręgiem światła rzuconym przez ogień parsknął koń, nieporadnie poruszający się ze spętanymi nogami. Zawodziły skrzyпки,

mężczyźni śmiali się, lecz noc wydawała się niepokojąco cicha i pusta.

Odchyliła głowę i zapatrzyła się w czyste ciemne niebo usiane miriadami nieznanych gwiazd, które wydawały się do niej mrugać. Ogarnęło ją dojmujące poczucie samotności.

Przez całe swoje życie patrzyła na gwiazdy przesuwające się według ustalonego rytmu po nocnym niebie. Tutaj wszystko było inne, nieznane, obce. Chyba jednak nic tak bardzo nie uświadamiało jej, jak daleko znajduje się od ojczystego kraju i wszystkich bliskich i kochanych, jak wpatrywanie się w południowe niebo.

Poczuła pieczenie łez pod powiekami. Przełknęła z trudem, by się nie rozpłakać.

- Rzeczywiście wszystko tu jest inne. - Usłyszała jego szorstki, niemal okrutny głos, który wdarł się w jej rozmyślenia. - Ale nie sprawiasz teraz wrażenia podekscytowanej tym faktem. Jesteś... - urwał, szukając właściwego określenia - przerażona.

Popatrzysz mu w oczy, dostrzegła w nich wyzwanie... i coś, czego wolała nie zauważać.

Pokręciła głową. Czuła dławienie w gardle, z trudem wydobyła z siebie głos.

- Nie. Nie jestem przerażona.

Nie było to zupełnym kłamstwem. Owszem, bała się, ale przerażało ją nie australijskie niebo, lecz kapitan.

Głęboko zaciągnął się cygarem, nie spuszczać wzroku z jej twarzy.

- Co czujesz w takim razie?

Machnęła ręką.

- Czuję się... rozdarta. Oderwana od mojego kraju, od córeczki, od siebie samej... to znaczy od osoby, którą byłam wcześniej.

- Myślałem, że miałaś syna.

- Mam jeszcze drugie dziecko, córkę. Musiałam ją zostawić w Anglii, kiedy statek odpływał. - Wypiła łyk zimnej już herbaty. Resztę wylała szybkim, gwałtownym ruchem.

- Bryony.

Nie chciała na niego patrzeć, nie potrafiła jednak się powstrzymać. Czerwony blask płomieni uwydatniał wyraziste rysy

jego twarzy. Zaciągnął się cygarem, przyglądając się jej przez smużkę dymu.

Zabrakło jej powietrza, jej pierś zafalowała. Na chwilę opuścił wzrok, a potem popatrzył na jej twarz. W jego oczach czał się głód, który budził jej przerażenie, mimo że odwoływał się do jej skrywanych pragnień.

Po chwili wszystko się skończyło. Jego twarz nie wyrażała już żadnych emocji. Bryony pomyślała, że być może jej wcześniejsze wrażenia powstały jedynie wskutek gry światłocieni.

Wrzucił cygaro do dogasającego ogniska.

- Kładź się spać.

Wiatr przybrał na sile. Bryony leżała na wąskim pościeliu z wrzosu przykrytego brezentem, słuchając, jak wiatr szeleści liśćmi pobliskich drzew. Blask księżyca przedostawał się przez grubą tkaninę do wnętrza namiotu, wyraźnie oświetlając Simona śpiącego w swojej kołysce i puste łóżko.

Gdzieś w oddali rozległ się niski, smutny krzyk nocnego ptaka. Potem usłyszała jakby wycie psa i pomyślała, że gdzieś w pobliżu musi być jakieś gospodarstwo. Widziała odległy blask ogniska, słyszała szmer męskich głosów, wybuchy śmiechu. Mężczyźni zachowywali się jednak coraz ciszej. Było już późno.

Nieznacznie zmieniła pozycję i popatrzyła na wejście do namiotu. Kłapa nie została zasznurowana i łopotała na coraz silniejszym wietrze.

Kapitan wciąż stał przy ognisku. Widziała jego szeroko rozstawione nogi. Rzucił cygaro na ziemię i zdusił obcasem.

Przez chwilę wydawało jej się, że St. John ma zamiar wejść do namiotu. Z trudem łapała powietrze, serce waliło jej w piersi jak oszalałe. Po chwili usłyszała jego głos dochodzący od strony drugiego ogniska. Zorientowała się, że poszedł porozmawiać ze swoimi ludźmi.

Mijały kolejne minuty. Dookoła panowała niewiarygodna wprost cisza, przerywana jedynie chwilami przez szmer głosów, dobiegający od strony obozowiska mężczyźni, i skrzek żaby.

Ciało Bryony stało się nagle cudownie ciężkie. Zatrzepotała powiekami.

Mimo że od czasu zejścia ze statku minął już prawie tydzień, zamykając oczy miała wrażenie, że czuje ciągle kołysanie, którego doświadczała przez sześć miesięcy.

Te myśli ukołysały ją do snu.

Jindabyne.

Wzgórze nazwane przez aborygenów Jindabyne wylaniało się z dna żywej doliny, zmuszając rzekę Hawkesbury do ominięcia go w drodze do morza. Łagodny wiosenny wiatr szeleścił w gałęziach czerwonych drzew gumowych, gęsto rosnących u podnóża wzniesienia. Zwisające zielone liście kołysały się na tle niewiarygodnie błękitnego nieba. Widoczna zza gęstwiny liści rzeka mieniła się srebrzyście w świetle słońca.

Hayden zatrzymał konia i kazał wozom przejechać. Przyglądał się swojej ziemi z radością i dumą posiadacza. Trawiaste zbocza góry porośnięte były kilkunastoma gatunkami eukaliptusów - czerwonymi, białymi, o łuszczącej się i o twardej korze, a także złocistymi akacjami. Były też duże skupiska pięknie teraz kwitnących banksji, polnych bratków, dzikich pelargonii i ubiorków. Oczywiście musiał wykarczować całe połacie ziemi, by móc zasiać pszenicę i kukurydzę, a także założyć pastwiska dla bydła, owiec i koni. Nie miał jednak zamiaru karczować jej całej, gdyż przede wszystkim podobała mu się dzikość i surowość tej krainy. Zamierzał na niej gospodarować, ale nie chciał podporządkować jej sobie całkowicie.

Jeśli tak będzie postępował, za pięćdziesiąt lat wciąż powinny tu żyć walabie skalne, późnym popołudniem skaczące nad rzeką. Kuliki wciąż będą tu kwilić o zmierzchu, a dzikie psy dingo wyć nocami. Jego wnuki będą mogły zachwycać się lotami czapli i obserwować stada kakadu z żółtymi czubami wzbijające się w błękitne australijskie niebo jak opromieniona słońcem chmura.

Oparł dłoń o udo i z dumą objął wzrokiem swoją ziemię w całej krasie. Zastanawiając się nad tym, jak będzie wyglądać

za wiele lat, poczuł nagle ogromną, bolesną pustkę, której nie mogło wypełnić nawet piękno tego kraju.

Nieopodal ktoś strzelił z bata, wzbudzając przerażenie stada niebiesko upierzonych muchołówek, które siedziały w jakimś zacisznym miejscu przy drodze. Gwałtownie zerwały się do lotu. Przywodziły na myśl pajęczynę niesioną wiatrem. Odchylił rondo kapelusza, by je lepiej widzieć...

I wtedy zorientował się, że gdzieś w pobliżu jest Bryony.

Obejrzał się przez ramię i zobaczył, że powozik zatrzymał się tuż za nim. Gideon strzelił z bata i krzyknął na odporne woły. Lecz Bryony siedziała nieruchomo. Z głową odchyloną do tyłu patrzyła na niebieską wstęgę oświetloną słońcem, jej pięknie wykrojone wargi były wygięte w uśmiechu pełnym zachwytu. A potem, powoli, jakby poczuwszy na sobie rozplamieniony wzrok Haydena St. Johna, odwróciła głowę.

Popatrzyli na siebie. Jej brązowe oczy błyszczały tajemniczo. Poczuli bolesną tęsknotę, która po chwili przybrała na sile. Bryony rozchyliła wargi i gwałtownie zaczerpnęła tchu.

Pragnął jej.

Miał ochotę ściągnąć ją z siedzenia powozu, rzucić w gęstą trawę pachnącą koniczyną i posiąść natychmiast pod słonecznym australijskim niebem. Chciał miażdżyć jej uśmiechnięte usta swymi spragnionymi wargami. Chciał nakryć jej białe kobiece ciało swoim. Pragnął posiąść ją, uczynić swoją, zostać jej panem w każdym znaczeniu tego słowa. Marzył o tym, by usłyszeć jej jęk, poczuć, jak otacza swymi długimi, nagimi nogami jego biodra i błaga go, by w nią wszedł.

Być może przestałoby go wtedy dręczyć to rozpaczliwe uczucie pustki.

11

Na podwórzu w Jindabyne panowało wielkie poruszenie. Charty McDuffa czekały i goniły się w szale podniecenia, kręcąc się pod nogami ryczących wołów, spoconych koni i przeklinających, krzyczących mężczyzn. Jednak Bryony stała na uboczu, tuląc do siebie Simona, czując się samotnie, jakby trafiła w niewłaściwe miejsce.

Podwórze było długim, odrobinę nierównym prostokątem, w połowie wyłożonym kamieniami. Po jednej stronie znajdowały się duże stodoły i stajnie zbudowane z piaskowca. Za nimi zobaczyła ogrodzenia na bydło i padoki oraz kuźnię i stolarnię dobudowane do jednej ze ścian największej stodoły. Na końcu podwórza, naprzeciwko stajni i stodoły, znajdował się dom.

Dom Haydena St. Johna był zbudowany z tego samego rodzaju piaskowca co zabudowania gospodarskie. Szeroka, wykładana kamiennymi płytami weranda z ozdobnymi kolumnkami otaczała dom ze wszystkich stron, chroniąc go przed gorącym australijskim słońcem. Dom był zbudowany z dbałością o każdy szczegół, ale bezpretensjonalny. Stodoły i stajnie były bez porównania większe.

Bryony przeniosła wzrok z domu na jego właściciela. Zsiadł z konia przy kamiennym, przypominającym więzienie budynku z kratami w oknach, stojącym na północnej stronie podwórza. Obok St. Johna przystanął niechlujnie wyglądający mężczyzna o rzednących brązowych włosach przyprószonych siwizną, który co chwila z zaciekawieniem patrzył na Bryony.

Był wysoki, chociaż nie dorównywał wzrostem kapitanowi, a dużą część swej masy zawdzięczał tłuszczowi. Nie przystrzygane od tygodnia bokobrody rzucały cień na jego policzki, bardziej podkreślając niż ukrywając siną bliznę biegnącą po jednej stronie twarzy od skroni aż po brodę.

W sposobie, w jaki przyglądał się Bryony, było coś irytującego. Inni mężczyźni zgromadzeni na podwórzu rzucili jej szybkie spojrzenie, po czym starannie unikali spoglądania w jej stronę, ale ten człowiek patrzył na nią tak, jakby była dziewczyną, która za chwilę ma być przehandlowana na aukcji.

Czując, że się czerwieni, Bryony odwróciła głowę i popatrzyła na zatłoczone podwórze, szukając kobiet w tłumie kłębiących się zwierząt i rozkrzyczanych mężczyzn. Nie zobaczyła ani jednej.

- Zanieś Simona do domu.

Odwróciła się gwałtownie. Hayden St. John przestał rozmawiać z mężczyzną z blizną i stał obok niej.

Miał napiętą, pochmurną twarz, na widok której ogarnęło ją przerażenie. Przypomniała sobie, że tak właśnie wyglądał w Fabryce w Parramatta i domyśliła się, że to miejsce - jego dom - go zmieniło. Nie, nie zmieniło go, poprawiła się w myślach. Przypomniało mu Laure.

- Kiedy Gideon będzie wolny, przyślę go, żeby pomógł ci przygotować coś do zjedzenia.

- Przygotować coś do zjedzenia? - powtórzyła jak echo, zaskoczona.

- Chyba umiesz gotować?

Bryony przypomniała sobie wszystkie godziny spędzone w kuchni z panią Pencarrow, która starała się wtajemniczyć ją w arkan sztuki kulinarnej. Nie przykładała się wtedy do tych cierpliwie udzielanych lekcji. Czuła, że w niedługim czasie będzie tego żałować.

- Jak to jest z tym gotowaniem? - zapytał tonem domagającym się odpowiedzi.

Z przerażeniem spojrzała na podwórze wypełnione tłumem mężczyzn.

- Chce pan, żebym gotowała dla tych wszystkich ludzi?

Roześmiał się. Rysy jego twarzy natychmiast złagodniały.

- Nie. Ci mężczyźni mieszkają po czterech albo sześciu w tych chatach. - Skinieniem głowy wskazał rząd drewnianych chat z dachami z kory na południowej stronie podwórza. - Każda chata ma swojego gospodarza. Będziesz musiała gotować tylko dla mnie.

Zamierzał odejść, ale zatrzymała go pytaniem:

- To nie ma pan żadnych innych kobiet na służbie?

Popatrzył na nią przez ramię.

- Nie. Na początku przywozłem kilka z Sydney, ale po... - Spochmurniał, jego twarz przybrała nieprzenikniony wyraz, którego tak nienawidziła. - Po tym, jak Simon został zawieszony do mamki do Green Hills, odesłałem je do Fabryki.

Więc w tym domu nie było żadnych kobiet? Bryony poczuła się nieswojo i jeszcze raz objęła wzrokiem podwórze pełne brudnych, prymitywnych mężczyzn. Jak okiem sięgnąć, dookoła rozciągało się wiele mil łagodnie falistych pól i pastwisk z nieznanymi jej wcześniej, dziwnymi drzewami gumowymi. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jak bardzo jest tu odizolowana od świata. Poszarpane skały i niebosiężne szczyty Gór Błękitnych wydawały się ją przytłaczać, groźne, tajemnicze i nie dające zapomnieć o swojej obecności.

Do m Haydena St. Johna składał się jedynie z pięciu pokoi, lecz były one duże, proporcjonalne i przyjemnie urządzone. Trzymając Simona na biodrze, Bryony przechadzała się po jadalni i salonie, podziwiając obite jedwabiem kanapy i koronkowe firany, długi stół z mahoniu i masywne serwantki z rodową porcelaną, kryształami i srebrem.

Po drugiej stronie holu znajdowały się dwie sypialnie podzielone dużą garderobą. Oparwszy śpiącego Simona o ramię, Bryony przystanęła, by przez otwarte drzwi zajrzeć do środka pierwszej sypialni.

Był to pokój mężczyzny, z solidnymi meblami o ciemnych barwach, w większości orientального pochodzenia. Na ścianie nad biurkiem wisały dwie znakomite akwarele. Jedna przed-

stawiała Port Jackson, z całym zachwycającym pięknem zatoki, doskonale oddanym pewnymi liniami i delikatnymi odcieniami barw, a druga - Jindabyne, położone wysoko na zboczu wzgórza. W pokoju unosił się delikatny zapach tytoniu i skóry, nieomylnie oznaczający, że należy do Haydena. Instykt podpowiedział Bryony, że Laura St. John nigdy nie dzieliła tego pokoju z mężem.

Wypastowana podłoga z szerokich desek skrzybiała, gdy Bryony szła korytarzem. Minęła ciemną garderobę i doszła do ostatnich drzwi, prowadzących do sypialni Laury St. John. W głowie Bryony aż kłębiło się od różnych myśli. Była ciekawa, jak wygląda dom, ale ten pokój szczególnie ją fascynował, tak jakby miała obsesję na punkcie nieżyjącej żony Haydena St. Johna, jakby odczuwała potrzebę zrozumienia jej, wręcz poznania. I jakby musiały usprawiedliwić się przed Laurą, przeprosić.

Wmawiała sobie, że to śmieszne, niedorzeczne. Z jakiegóż to powodu miałyby przeproszać Laurę? Za to, że zajmuje się jej synkiem? Że troszczy się o Simona, w nadziei, że być może w jakiś sposób uśmierzy to ból spowodowany utratą dwojga własnych dzieci?

Odgoniwszy te myśli, Bryony stanęła w otwartych drzwiach pokoju Laury, trzymając w ramionach śpiące dziecko, i wciągnęła w nozdrza delikatną woń wody różanej, jedyny zapach, jaki pozostał po Laurze St. John. W sypialni stały znajomo wyglądające angielskie meble z mahoni i palisandru, podobne do tych, które Bryony widziała w jadalni i salonie. Nie było tu żadnych akwareli przedstawiających australijski krajobraz. Laura otoczyła się obrazami angielskich chat krytych strzechą, oplecionych różami i kapryfolium, i malowniczych wiejskich kościółków uwiecznionych w deszczowe poranki, z kamieniami błyszczącymi wilgocią.

Były też obrazki z Indii. Bryony podeszła bliżej, by przyjrzeć się im w słabym świetle. Zobaczyła eleganckich angielskich oficerów z żonami ubranymi w białe muslinowe suknie z wysokim stanem, siedzących na lekkich krzesłach wyplatanych trzcina, na starannie przyszytych trawnikach, śmiejących się i obsługiwanych przez ciemnoskórych służących. Inny obrazek przedstawiał młodego oficera siedzącego na barwnym czapraku na grzbiecie słonia i śmiejącego się do artysty.

Głęboko wciągnąwszy powietrze, przyjrzała się przystojnej, roześmianej twarzy młodego oficera. Był to Hayden St. John, tyle że młodszy i bardziej beztroski. Nagle zaświtała jej w głowie pewna myśl. Spojrzała na podpis pod malowidłem.

Laura St. John.

Nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymywała oddech, dopóki głośno go nie wypuściła. Rozejrzała się po pokoju, popatrzyła na starannie porozwieszane rzędy obrazków, przyglądając im się teraz innymi oczami. W czasach, kiedy edukacja młodych dam obejmowała także naukę malowania, Laura St. John ujawniła niepospolity talent. Wszystkie te akwarele, włącznie z wiszącymi w pokoju Haydena St. Johna - były jej autorstwa. Hayden zatrzymał i dał do oprawy obrazki z Australii, podczas gdy Laura...

Laura ozdobiła swoją sypialnię obrazkami ze świata, który kochała i który zostawiła za sobą.

Jakby czując, że Bryony go zaniedbuje, Simon cicho stęknął. Popatrzyła na jego skupioną buzię. Mogło to oznaczać tylko jedno.

Zmarszczyła nos, roześmiała się i jęknęła.

- Musiałeś to zrobić akurat teraz, Simon? - Podeszła do oszklonych drzwi wychodzących na podwórze, rozsunęła zasłony i otworzyła okiennice.

W drugim końcu czworokątnego podwórza mężczyźni wyładowywali prowiant i inne sprawunki z wozów i wnosili je do kamiennego budynku, który, jak się teraz domyśliła, był prywatną wersją rządowego składu w Sydney. Mąka, cukier, herbata, tytoń, skrzynki gwoździ, a także sterty roboczej odzieży znikwały we wnętrzu magazynu. A kiedy uzmysłowiła sobie, że wszyscy ci mężczyźni są skazańcami, a większość z nich z pewnością została zesłana za kradzieże, zrozumiała, dlaczego St. John wzniósł budynek przypominający więzienie. Tyle że w tym przypadku miało ono służyć trzymaniu skazańców z dala od jego murów.

Wypatrywała Gideona, myśląc, że jest gdzieś w gromadzie kręcących się po podwórku mężczyzn, ale go nie zobaczyła. Stała przy oknie, nie wiedząc, co począć. Powinna przebrać Simona, ale jego kufer wciąż znajdował się w powozie, a nie miała ochoty wracać na podwórze, by szukać Gideona w tłumie nieznanym mężczyznom i poprosić go o przyniesienie bagaży do domu.

Rozejrzała się po sypialni. Miała wrażenie, że w pokoju Laury nie zmieniono niczego od jej śmierci. Nie pościelono nawet ponownie łóżka z baldachimem z eleganckimi różowymi draperiami z jedwabiu. Z pewnością będąc w ciąży, Laura musiała przygotować jakieś ubranka dla mającego się urodzić dziecka, które powinny znajdować się w jednej z szuflad. Wciąż mogły tu gdzieś być.

Zwinawszy kocyk Simona w coś w rodzaju podkładki, którą wsunęła pod brudną pupę, Bryony położyła dziecko na grubym dywanie z kwiatowym wzorem i ostrożnie otworzyła górną szufladę wysokiej mahoniowej komody.

Znajdowała się w niej delikatna batystowa i płócienna bielizna, przybrana satynowymi wstążkami...

- Co tu robisz?

Podskoczyła i odwróciła się gwałtownie, czując, że na jej policzki wpełza szkarłatny rumieniec zakłopotania. W drzwiach stał Hayden St. John. Był zagniewany, ale zauważyła także ból w jego twarzy. Miała wrażenie, że zajrzała do jego prywatnego piekła.

- B...bardzo przepraszam. Chciałem zmienić ubranko Simonowi, a nie mam jego kufra. Pomyślałam, że jakieś jego rzeczy mogą być tutaj, więc...

- Niczego tu nie ma. - Myślała, że podejdzie do niej, zatrzaśnie szufladę i każe jej wyjść z pokoju, tymczasem obrócił się na pięcie i wyszedł na werandę. Usłyszała, że posyła kogoś po Gideona, z poleceniem, by przyniósł kufer dziecka i kołyskę.

Znów pojawił się na progu, w kapeluszu nasuniętym na oczy tak, że nie mogła zobaczyć jego twarzy.

- Teraz to będzie pokój Simona. - Jego głos nie zdradzał żadnych emocji, lecz Bryony wiedziała, jak wiele musiały go kosztować te słowa. - Dopóki nie podrośnie, będziesz go z nim dzieliła. Gideon pokaże ci, gdzie jest pościel. Powiem mu, żeby rano przyniósł tu kufer, do którego spakujesz wszystkie moje... wszystkie rzeczy, które nie będą potrzebne Simonowi.

Odwrócił się i zostawił ją, ze swym synem w ramionach, w pokoju zmarłej żony.

12

Pomiędzy magazynem a domem znajdował się ceglany, kryty gontem budynek. Okazało się, że to kuchnia.

Bryony stała w poczerńiałych drzwiach, czując zapach drewna i wilgotnego klepiska. Większą część ściany, pod którą stał krzywy kredens, zajmowały półki, a pod przeciwległą ścianą ustawiono długą ławę. Na środku pomieszczenia stał stół z surowego drewna. Tylną część zajmowało prymitywne palenisko, na którym zapewne Bryony miała przygotowywać posiłki dla St. Johna.

Popatrzyła na Gideona.

- Gdzie jest piec?

- Tutaj. - Wskazał metalowe pudło, otwierane z przodu, stojące na półce.

- Chodzi mi o prawdziwy piec.

Gideon zmarszczył czoło.

- Jest tu jakiś piec za budynkiem, ale już dawno nie był używany. - Poprowadził ją wokół budynku do zarośniętego chwastami rumowiska cegieł. - Chyba powinien zostać przebudowany.

- Na powietrzu? - zdumiała się, przerażona.

- Tak. Na pewno nie chciałabyś mieć go w domu, bo latem jest tu bardzo gorąco. W szczególnie upalne dni rozpalamy ognisko i pieczemy mięso na powietrzu.

- A jeśli ktoś będzie chciał upiec chleb w deszczowy dzień? -

Przeżyła wystarczająco silny wstrząs, odkrywszy, że kuchnia znajduje się w osobnym budynku, niepołączonym z domem. Ale żeby postawić piec pod gołym niebem?

Gideon rozłożył ręce.

- Jak już powiedziałem, ostatnio w ogóle się go nie używa. - Poprowadził ją z powrotem do kuchni.

Hayden St. John polecił Gideonowi pomóc Bryony w przygotowaniu obiadu. Lecz to Gideon rozpałił ogień i usmażył wieprzowinę, a także ulepił podpłomyki i upiekł je w prymitywnym piekarniku.

- Jakie tu macie warzywa? - zapytała Bryony, obserwując go i z całej siły starając się zapamiętać, co robi.

Uniósł wzrok, zaskoczony.

- Warzywa?

Roześmiała się.

- Przecież chyba nie jadacie tylko mięsa i podpłomyków?

- Właśnie to jadamy.

Myślała, że to żart, dopóki nie zobaczyła poważnego wyrazu jego piegowatej, chłopięcej twarzy. Przystała się śmiać i odwróciła się w stronę drzwi.

- Powiedz mi, gdzie jest mleczarnia, to przyniosę trochę masła i mleka do herbaty.

- Nie mamy mleczarni - powiedział, przewracając mięso.

Bryony przystanęła z ręką opartą o framugę drzwi i popatrzyła na niego.

- Nie macie mleczarni? Ale przecież widziałam tu całe stado krów.

- Tak, tu jest dużo krów. Ale nie ma mleczarni. - Po chwili coś sobie przypomniał. - Mieliliśmy kiedyś kozę i małe kozłatko. Jedna dziewczyna z Fabryki doiła ją, żeby pani St. John miała mleko do herbaty.

- Kozie mleko? Do herbaty?

- Tak. Pani St. John też za bardzo go nie lubiła - powiedział Gideon, dogładając podpłomyka. - Ale któregoś dnia kozy zniknęły. Kapitan podejrzewał, że to jego ludzie schwyтали je i zjedli, ale nikomu niczego nie udowodniono.

Bryony wróciła do kuchni i usiadła na ławce. Chciało jej się płakać. Wiedziała, że to śmieszne, wręcz absurdalne. Po tym, co przeszła, jakież to miało znaczenie, że nie było tu warzyw ani mleka do herbaty... ani masła do chleba, a nawet samego, prawdziwego chleba. Cóż więc z tego, że kuchnia była niewiarygodnie prymitywna, a Bryony miała bardzo mgliste pojęcie o przygotowywaniu posiłków, nie mówiąc już o gotowaniu na otwartym ogniu? Wyrzała na dwór. Wieczne słońce oświetlało podwórze i otaczające je budynki złotym blaskiem. Przeżyła sześć miesięcy, spodziewając się, że może zostać powieszona, i kolejne pół roku piekła na śmierdzącym pokładzie statku, obmywanym wodą z zęzy, cuchnącym uryną, wymiotami i ekskrementami. Z pewnością przeżyje i obecne, w końcu drobne niedogodności.

Westchnęła. Przeżyje. Zaczynała rozumieć, że ludzie są w stanie przeżyć niemal wszystko, i to wcale nie dlatego, że są silni i odważni, ale po prostu dlatego, że nie mają wyboru.

Kiedy Gideon skończył przygotowywanie posiłku, Bryony poszła nakryć do stołu w jadalni. W dolnej szufladzie przepastnej szafy znalazła płócienny obrus, po czym postawiła na stole srebra, porcelanę i kryształę Laury.

Cofnęła się o krok dla podziwiania efektu. Laura St. John miała piękną zastawę stołową. Teraz jednak stół był nakryty dla jednej osoby. Patrząc, jak wieczorne słońce zagląda do pokoju przez otwarte drzwi, złociście opromieniając swym blaskiem biały obrus i odbijając się od powierzchni kryształów lśniących jak diamenty, Bryony pomyślała, że wszystko wygląda jednak smutno i bezosobowo.

Pomyślała też, że Hayden St. John będzie siedział tu każdego wieczoru, patrząc na puste miejsce naprzeciwko i cierpiąc z powodu straty Laury lub dręczony przez jej ducha.

Bryony zjadła obiad w kuchni, siedząc na ławie. Simon leżał w starej skrzyni wymoszczonej kocami, stojącej na podłodze.

Po obiedzie Gideon przyniósł dwa kociołki, postawił je na stole na werandzie i wskazał Bryony źródło w pobliżu potoku za domem, z którego czerpano wodę pitną, oraz miejsca, w których potok był na tyle głęboki, że można było czerpać z niego wiadrami wodę do mycia. Potem należało podgrzać wodę w dużych kotłach nad ogniem i dopiero wtedy przystępowało się do mycia naczyń.

Stojąc nad parującym kotłem, usłyszała stukanie butów o kamienie. Obejrawszy się, zobaczyła St. Johna.

- Jeszcze jutro możesz tu przyjść i pomóc Bryony w przygotowywaniu śniadania i obiadu - zwrócił się do Gideona. - Ale potem będzie sobie musiała radzić sama. Od tej pory będziesz zajmował się inwentarzem.

Zbłąkany kosmyk włosów opadł Bryony na oczy. Uniosła rękę mokre od mycia naczyń i odgarnęła go ramieniem, ale po chwili opadł znowu. St. John oparł się o drewnianą kolumnkę werandy, skrzyżował długie nogi w kostkach i przyglądał się służącym. Jego twarz miała wciąż ten sam pochmurny, groźny wyraz, co po południu.

Jego obecność przyprawiała ją o niepokój. Chciała, żeby sobie poszedł. Po chwili jednak zorientowała się, że St. John wcale już się jej nie przygląda. Patrzył na niezapalone cygaro, które obracał w palcach.

Być może dlatego, że sama ostatnio doświadczyła bólu po stracie bliskiej osoby, dostrzegła w nim cierpiącego wdowca i jej serce wezbrało współczuciem. Miała ochotę podejść do niego i go pocieszyć, ukoić jego ból.

Chwyciła patelnię i zanurzyła w wodzie.

- Wiem już, jak się uprawia pszenicę, owies i kukurydzę - pochwalili się przed nią Gideon. Wziął od niej patelnię i osuszył ją płócienną ścierką. - Ale kapitan mówi, że przyszłością tej kolonii jest hodowla owiec, więc chcę się o nich jak najwięcej dowiedzieć. To mi się przyda, kiedy dostanę własny kawałek ziemi.

Bryony odwróciła się, z rękami w wodzie, i z niedowierzaniem przyjrzała się drobnemu Irlandczykowi.

- Naprawdę... naprawdę poważnie myślisz o tym, żeby tu zostać?

- A dlaczego by nie? - To pytanie zadał Hayden St. John. Popatrzyła w jego niebieskie oczy. - W Irlandii nie wolno mu mieć konia, którego wartość przekracza pięć funtów. Ale tutaj, kiedy odbędzie karę, może ubiegać się o przyznanie mu czterdziestu akrów ziemi. A jeśli będzie ciężko pracował i dobrze gospodarował, dostanie prawo rozszerzenia swojej posiadłości. Już niedługo ludzie tacy jak on będą płacić duże pieniądze, żeby tu przyjechać. Dlaczego miałyby myśleć o powrocie?

- A co z Mary? - zaniepokoiła się. - I z chłopcami...

- Planuję sprowadzić ich tu jak najprędzej - powiedział Gideon, wycierając ostatni garnek. - Oszczędzałem... - Uniósł balię, w której Bryony myła naczynia, i chlusnął wodą przez balustradę werandy. Bryony nie przyszło dotąd do głowy, że karnie przydzielony służący może mieć jakieś pieniądze, nie mówiąc już o ich oszczędzaniu. - Kapitan powiedział, że będziemy mogli zamieszkać w jednej z chat.

Bryony powoli wytarła ręce. Nie potrafiła powstrzymać się od spoglądania na mężczyznę stojącego plecami do kolumny, z biodrami wysuniętymi do przodu, w pozie budzącej oniesmielenie.

- Naprawdę nie mieści ci się w głowie, że ktoś może chcieć tu zostać? - zapytał.

Pomyślała o długiej podróży statkiem po rzece Parramatta do Fabryki, kiedy to marynarze i strażnicy zabijali nudę, nieustannie gwałcąc więźniarki, dopóki nie nasycili się tak, że ledwie mogli utrzymać się na nogach.

Popatrzyła mu w oczy.

- Jeśli znalazł się tu jako zesłaniec, to rzeczywiście nie mogę tego zrozumieć. Czy to w ogóle możliwe, żeby to miejsce kojarzyło mu się z czymś innym niż więzienie, upodlenie, zniewolenie i okrutne traktowanie?

Chrząknął.

- Chcesz przez to powiedzieć, że w brytyjskich więzieniach nie doświadczą się okrutnego traktowania i upodlenia?

Poczuła, że się rumieni, ale nie odwróciła wzroku.

- Oczywiście... więzienia są podobne. Ale tutaj nie znam niczego innego, podczas gdy myśląc o Konwalii, nie wspominam więzienia. Widzę wtedy mewy nad Cadgwith Cove i... - Urwała, czując łzy pod powiekami, po czym dodała już cichszym głosem: - I myślę o mojej córeczce. Nie wspominam chwil, kiedy widziałam ją po raz ostatni, gdy odbierano mi ją w więzieniu, ale śmiejącą się na plaży, gdy morska woda obmywa jej kostki...

Czując dławienie w gardle, szybko się odwróciła.

Słyszała, jak Gideon opróżnia drugą balie, po czym unosi oba naczynia i idzie z nimi do kuchni, była jednak zbyt bliska płaczu, by się odwrócić.

Bryony?

Hayden stanął za nią i położył rękę na jej ramieniu. Poczuł, że zadrżała pod jego dotykiem.

- Bryony - powtórzył delikatnie, przesuwając dłonią w geście pocieszenia, niebezpiecznie przypominającym pieśczołość.

Pokręciła głową. Jej ogniście mieniące się włosy omiotły jej ramiona.

- Nie mogę. Zaraz się rozpłaczę.

- Nie ma w tym nic wstydliwego.

- Tak pan uważa?

- Płakałaś z żalu nad Paddym O'Nealem.

- Nie. - Poczuł, jak sztywnieje pod jego palcami. Cofnął rękę, mimo że wcale nie miał na to ochoty. - Myślę, że płakałam z żalu nad sobą.

Wiedział, że to prawda, więc się z nią nie spierał.

- Ile lat ma twoja córka?

- Trzy. - Głos jej się załamał. Hayden nie wytrzymał, chwycił ją w ramiona i mocno przytulił. Odczuwał potrzebę okazania jej czułości, ale niepokoiło go to, że była też w tym potrzeba fizycznego kontaktu. - Ma tylko trzy latka - powiedziała Bryony. - Kiedy wrócę do Kornwalii... jeśli w ogóle to kiedyś nastąpi... będzie już dużą dziewczynką. Może mnie już nie pamiętać.

Odwróciła się i popatrzyła na niego. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak blisko niej się znajduje. Popatrzył na jej piękne brązowe oczy, mądre i cierpliwe, i na usta, miękkie i wilgotne jak płatki róż o poranku. Nie cofnął się.

Ciepły wieczorny wiatr wiejący od strony rzeki przylepiał mu koszulę do pleców. Słońce chowało się za górami, szybko ubywało światła. Gdzieś z gęstwiny eukaliptusów nad rzeką rozległo się wołanie kulika. Odwróciła się w stronę, z której dobiegał głos ptaka.

- Co to za ptak? - zapytała drżącymi wargami. - Słyszałam go już wcześniej, nocą. Ma taki smutny głos.

- To kulik - odpowiedział. Nie patrzył w stronę drzew nad rzeką, ciągle przyglądał się Bryony. - Aborygeni mówią, że dawniej kulik był kobietą. Miała ośmioro ślicznych dzieci: czterech wysokich, silnych synów i cztery dorodne córki. Pewnego dnia, kiedy poszła zdobyć coś do jedzenia na obiad, kilku mężczyzn z plemienia, które było w stanie wojny z jej plemieniem, wdarło się do obozowiska. Zabili jej silnych synów i uprowadzili dorodne córki. Po powrocie kobieta znalazła połowę swoich dzieci martwych, a pozostałych nie było. Oszalała z bólu rzuciła się na wygasłe ognisko i wymazała się popiołem, dopóki cała nie była brązowo-biała. Wtedy wstała i wyruszyła na poszukiwanie córek. Wiele dni przemierzała busz, nie jedząc i nie pijąc, aż w końcu tak osłabła, że nie była w stanie już dalej iść i mogła tylko wołać: ku-lik, ku-lik. Wtedy zmieniła się w ptaka, tak żeby mogła fruwać nad ziemią, wołając swoje dzieci aż do dnia, w którym je znajdzie.

Bryony wzięła głęboki oddech.

- To bardzo smutna opowieść.

Popatrzył na jej długą szyję, wygiętą w delikatny łuk. Miała przyśpieszone tętno. Widział pulsujące miejsce w uroczym zagłębieniu. Miał ochotę pogłodzić jej gładką skórę.

- Aborygeni uważają, że to nie tylko opowieść - zauważył.

Otworzyła usta, jakby miała zamiar coś powiedzieć, lecz tylko zwilżyła dolną wargę. Zajrzał w jej ciemne oczy, czując, jak ogarnia go pożądanie. Gwałtownie zaczerpnął tchu. Miły kobiecy

zapach wypełnił mu nozdrza. Pachniała czystością, jak świeżo zaorana ziemia w słońcu. Wyobraził ją sobie leżącą na polu i zdejmującą ubranie, by słońce mogło ogrzać jej bladą skórę swym ciepłem, a potem rozchylającą nogi, by mógł się w niej pograć.

Ten obraz tak silnie go podniecił, aż zadrzał.

Musiał szybko się odwrócić i odejść. Był o krok od tego, by ją posiąść, tu, natychmiast, pod ciemniejącym niebem.

I to niezależnie od tego, czy go pragnęła.

Bryony siedziała przed toaletką Laury, przyglądając się swemu odbiciu w lustrze w oprawie z mahoni, i czesała włosy połamany grzebieniem.

Na marmurowym blacie wciąż leżały szczotka ze srebrną rączką i grzebień Laury, ale Bryony nigdy nie ośmieliłaby się ich użyć.

Odłożyła swój stary grzebień i ostrożnie dotknęła matowego grzbietu srebrnej szczotki. Zauważyła dwa włosy tak jasne, że aż prawie białe.

Laura musiała mieć piękne włosy, pomyślała Bryony, odkładając szczotkę.

Nazajutrz Gideon przyniesie z magazynu kufer, do którego będzie mogła spakować wszystkie rzeczy Laury. Może wtedy przestanie czuć się w tym pokoju jak intruz.

Odwróciła się od lustra i zganiła w myślach za naiwność. Nigdy nie będzie czuła się tu jak u siebie. Przecież nawet pokój, w którym zamieszkała, należy do Simona, i będzie tu spać tylko do czasu, gdy chłopiec podrośnie na tyle, by mogła go zostawić. Potem prawdopodobnie przeniesie się do przybudówki przy kuchni, gdzie, jak jej powiedziano, spały dwie kobiety, które St. John przywiózł z Fabryki jako służące dla swojej żony.

Najprawdopodobniej tam trafi i ona, jeśli wcześniej nie zostanie odesłana do Fabryki.

Na tę myśl ogarnęło ją potworne przerażenie. Pamiętała swoją pierwszą noc w Parramatta, kiedy do Fabryki przyjechał jakiś mężczyzna, by wybrać sobie kobietę. Od razu zażyczył sobie

blondynkę. Kiedy nadzorczyzna Sarah Gooding pokazała mu Susan, drobną, złotowłosą dziewczynę z Brighton, kazał jej rozpiąć suknię i koszulę, by zobaczyć jej „cycki”, jak się wyraził. Susan miała dużo szczęścia; nie spodobały mu się jej małe, krągłe piersi.

Tak więc Sarah Gooding zaproponowała mu Polly, dorodną mleczarkę, która została przyłapaną na kradzieży masła z mleczarni jej pani. Mężczyzna był bardzo zadowolony. Tak bardzo, że posiadał ją od razu na podwórzu, pod ceglany murem. Bryony nigdy nie zapomni widoku brudnej, czarno owłosionej męskiej ręki, niecierpliwie ugniatającej pełne piersi Polly, podczas gdy drugą ręką zadzierał jej spódnice.

Nie, absolutnie nie chciała wracać do Fabryki.

Przypomniała sobie, w jaki sposób Hayden St. John przyglądał się jej tego wieczoru na werandzie. Widziała jego napiętą twarz, oczy błyszczące pożądaniem. Nie mogła mylić się co do tego spojrzenia. Przez chwilę wydawało jej się, że pchnie ją na mur i posiadzie tak, jak tamten mężczyzna wziął Polly.

Była pewna, że miał na to ochotę. A chociaż nie zrobił tego dzisiejszego wieczoru, czekało ją tu jeszcze całe mnóstwo nocy. Miała z nim spędzać kolejne noce pod jednym dachem, sama, nie licząc Simona śpiącego w kołysce przy kominku.

Jak długo jeszcze będzie w stanie się powstrzymać? Kiedy o tym myślała, z jej pulsem działały się dziwne rzeczy.

Sięgnęła po świecę i podeszła do śpiącego Simona. Leżał na plecach, trzymając małe piastki po obu stronach głowy. Miał teraz różowe, niemal pyzate policzki. Wydał małe usteczka i wykonywał ssące ruchy, jak często mu się zdarzało w czasie snu. Uśmiechnąwszy się, pogłaskała zmierzwiłone jasne włoski, delikatnie, tak by go nie obudzić.

Musiała przyznać, że istniał jeszcze jeden powód, dla którego trudno jej było znieść myśl o powrocie do Fabryki. Simon nie był jej dzieckiem, ale nie chciała go utracić.

Odwrociła się, osłoniła dłonią płomień świecy i zdmuchnęła. Wspinając się po stopniach na wielkie łożo Laury, usłyszała jakieś poruszenie na werandzie, tuż obok jej pokoju.

Odsunęła kołdrę i wyszła z łóżka. W pokoju znajdowało się dwoje oszklonych drzwi, jedno wychodziło na podwórze, z drugich, na przeciwległej ścianie, roztaczał się widok na wzgórze przy domu. Podeszła do tych drugich drzwi, nieznacznie odsunęła zasłonę z jedwabiu i koronkową firankę tak, by wyjrzeć przez szparę w okiennicach.

Jakiś mężczyzna przechadzał się po werandzie. Był to St. John. Poznała go po długich krokach, brzęku ostróg i stukaniu butów o kamienne płyty. Widziała żarzący się czerwono koniuszek jego cygara. Niestrudzenie chodził tam i z powrotem. Przystanął, odwrócony do niej tyłem, ze wzrokiem utkwionym w coś wysoko na wzgórzu. Uniósł rękę, mięśnie jego ramion napięły się. Rzucił cygare na posadzkę i zdusił podeszwą buta. W ciszy panującej dookoła usłyszała, jak St. John głośno, jakby z wysiłkiem, wypuszcza powietrze, wydmuchując smugę dymu bielejącego jeszcze przez chwilę na tle nocnego nieba, a potem rozwianego przez wiatr.

13

Batystowa nocna koszula Laury była tak wspaniała, że Bryony bała się, iż rozerwie delikatny materiał twardymi, splekanymi dłońmi.

Ostrożnie uniosła ją z szuflady i złożyła w kufrze obok koszulek, halek, chustek i chusteczek.

Mimo że był jeszcze ranek, czuła już zmęczenie. Została wyrwana z głębokiego snu o piątej rano głośnym biciem dzwonu za oknem sypialni. Gideon, który pomagał jej przygotowywać śniadanie, uśmiechając się szelmowsko powiedział, że ten dzwon rozlega się codziennie o tej samej porze.

Spod dachu werandy do wnętrza zaglądały promienie wiosennego słońca, kładąc się złocistymi smugami na wypastowanej podłodze. Odchyliła okiennice, odsunęła zasłony i otworzyła oszklone drzwi wychodzące na podwórze i na zbocze wzgórza przy domu, ciesząc się świeżym powietrzem pachnącym rozgrzanymi na słońcu trawami. Większość mężczyzn przebywała w polu i w obejściu panowała kojąca cisza. Słyszała uderzenia młota o żelazo w kuźni przy stodole. W jednej z zagród beczało maleńkie jagnię, a z eukaliptusów rosnących na wzgórzu dobiegał chichot kukabury. Simon spokojnie spał w kołyszce przy wygasłym kominku.

Sięgnęła po drugą nocną koszulę Laury, schludnie złożoną w szufladzie. Tym razem nie była w stanie oprzeć się pokusie rozłożenia jej i przyłożenia do swojej taniej, tandetnie uszytej sukni.

Bryony nigdy, nawet w Cadgwith Cove, nie miała czegoś tak wspaniałego. Zamknęła oczy, wciągnęła w nozdrza delikatny zapach wody różanej i wygładziła elegancką koszulę na piersiach i brzuchu.

Mogła podziwiać wspaniałe ubrania Laury, ale nie groziło jej to, że będzie chciała je włożyć – koszula ledwie sięgała jej kolan. Z westchnieniem położyła ją na łóżku i zaczęła składać.

Laura musiała być niezwykle drobna, niewiele większa od dziecka. Porządkowanie jej małych ubrań sprawiło, że Bryony poczuła się niezgrabną olbrzymką.

Włożyła koszulę do kufra i szybko opróżniła zawartość szuflady, unosząc całą stertę nienagannie złożonych nocnych koszul. Otworzywszy następną szufladę, przeżyła zaskoczenie. Połowę jej zawartości stanowiły szale z kaszmiru i innych pierwszorzędnych gatunków wełny; czerwone, niebieskie i kremowe. Lecz drugą połowę zajmowały szkicowniki.

Uniosła jeden z nich i zobaczyła nazwisko Laury St. John, napisane schludnym, starannym pismem w górnym prawym rogu. W podpisie Laury nie było niczego śmiałego ani agresywnego; był stonowany, elegancki. Zapewne taki jak sama Laura, pomyślała Bryony.

Pod nazwiskiem widniała data: styczeń 1808. Popatrzyła na inne szkicowniki. Wszystkie były oznaczone datami, poczynając od sierpnia 1804 roku, w którym Laura wyszła za mąż.

Uniosła całą stertę szkicowników i usiadła na krześle. Otworzyła pierwszy zeszyt i zobaczyła angielski port. Laura podpisała obrazek swoim ślicznym pismem. „Portsmouth”, głosiły zgrabne literki. Najwyraźniej Laura postanowiła rozpocząć nowe życie z nowym szkicownikiem.

Przewróciła stronicę. Kolejne obrazki przedstawiały wybrzeże, statki na morzu, z masztami na tle bladego, zachmurzonego nieba. Na kolejnym obrazku był marynarz toczący beczkę po pokładzie. Na następnym Bryony zobaczyła przystojnego młodzieńca w wojskowym mundurze, opartego o poręcz i śmiejącego się radośnie. Był to Hayden.

Laura często rysowała i malowała swego świeżo poślubionego

męża - na pokładzie, w ich ciasnej kajucie, w portach, do których zawijał statek. Można było odnieść wrażenie, że Hayden ciągle się śmiał, a jego oczy były tak pełne miłości do pięknej, subtelnej, utalentowanej żony, że Bryony poczuła dławienie w piersiach, przyglądając się jego podobiznom.

Odłożyła pierwszy szkicownik i sięgnęła po drugi, z okresu wspólnego życia w Indiach. Miała przed sobą obrazy bujnych egzotycznych ogrodów, schludnych małych bungalowów pod wysokimi, smukłymi palmami, pikników przy cichej lagunie, uśmiechniętych dam pod parasolami ozdobionymi koronką, przystojnych dżentelmenów w mundurach. Zdawała sobie sprawę, że oglądając te rysunki i akwarele, przekracza jakąś granicę, nie potrafiła się jednak powstrzymać. Czuła się tak, jakby samotnie stała na dworze w mroźną zimową noc i przez niedomkniętą okiennicę zaglądała do ciepłego wnętrza, skapanego w złotawym świetle ognia płonącego w kominku, do pokoju, w którym przebywali roześmiani, kochający się ludzie.

Właśnie. Ci dwoje musieli bardzo się kochać.

Przejrzała kolejne szkicowniki z okresu pobytu w Indiach. A potem była kolejna podróż, kolejny statek, tym razem wiozący Laurę do Nowej Południowej Walii.

Otworzyła kolejny szkicownik. Były tam rysunki i akwarele przedstawiające słynne cypłe Heads, widoki Port Jackson i Zatoki Sydney, a także samego Sydney, z błotnistymi ulicami pełnymi pni, wspaniałych murowanych budynków i wałących się chat. Był to jednak już przedostatni szkicownik. W Indiach Laura szybko zapełniała kolejne szkicowniki, tymczasem w Nowej Południowej Walii całymi miesiącami musiała nie brać do ręki ołówka ani pędzla. Dlaczego?

Bryony przewróciła stronicę. Ostatnia akwarela przedstawiała australijski busz. Trawa była żółta, sucha, szarzielone liście eukaliptusów smętnie zwisały w niemal namacalnym upale. W tle majestatycznie wznosiły się Góry Błękitne, groźne i tajemnicze. Był to widok tak niepokojący, że Bryony szybko odłożyła szkicownik.

Sięgnęła po ostatni już zeszyt, założony w styczniu 1808 roku i nigdy nie dokończony.

Pierwszy obrazek, utrzymany w tonacji różu, błękitu i zieleni, przedstawiał angielski ogród z całym bogactwem delikatnych kwiatów. Były tu okazałe malwy i dzwonki na tle szarego angielskiego nieba, pnące róże na murze z cegieł. Zmarszczywszy czoło, Bryony jeszcze raz sprawdziła datę na okładce, po czym przewróciła stronicę.

Następna akwarela przedstawiała Haydena na okazałym gniedym wałachu. W tle wznosiły się Góry Błękitne. Hayden się nie uśmiechał.

Kolejny rysunek znów przedstawiał angielski krajobraz, tak jakby Laura nie mogła się zmusić do rysowania australijskich widoków i odtwarzała wspomnienia ojczystego kraju.

Czyżby aż tak bardzo nie lubiła Australii?

Odwróciwszy stronicę, znieruchomiała, gdyż jej oczom ukazał się portret kobiety, którą mogła być tylko Laura.

Był to wspaniały autoportret. Bryony zabrakło tchu i poczuła ściskanie w okolicy serca. Słyszała, że Laura była urodziwą kobietą, nie przypuszczała jednak, że była aż tak piękna.

Miała włosy w kolorze słońca i ogromne oczy w kształcie migdałów, błyszczące szmaragdowym odcieniem zieleni, który Bryony codziennie widziała w dużych, ufnych oczach Simona, alabastrową cerę, wąski kształtny nos, delikatne kości policzkowe, wysokie, szlachetnie sklepione czoło, łukowate brwi i pięknie wykrojone wargi, które wydawały się drżeć z niewinności.

Była to nie tylko piękna, ale i łagodna, dobra twarz, która...

Bryony usłyszała delikatny dźwięk dzwonek, a potem odgłos ciężkich kroków na kamiennych płytach werandy. Wyprostowała się gwałtownie, przyciskając szkicownik do piersi, i szybko rozejrzała się dookoła, jakby szukając miejsca, w którym mogłaby go ukryć. Lecz drzwi wejściowe do holu otworzyły się z hałasem i usłyszała donośny, chrapliwy, ale bez wątpienia kobiecy głos.

- Halo! Jest tam kto? Przyszliśmy z wizytą.

Bryony położyła szkicownik na stercie pozostałych i wstała w chwili, gdy w drzwiach sypialni Laury stanęła potężna kobieta.

- No proszę - odezwała się od progu, a jej pospolitą twarz

wyrzywił uśmiech, ukazujący poważne braki w uzębieniu. - William powiedział mi, że pan przywiózł ze sobą kobietę, ale powiedziałam, że nie uwierzę, dopóki jej nie zobaczę.

Była wysoka i potężnie zbudowana, z brodawką na podbródku z dołkiem i siwymi włosami sterczącymi na wszystkie strony spod czepka. Lecz w tym momencie stanowiła dla Bryony najpiękniejszy widok, gdyż była kobietą!

Bryony wytarła ręce w fartuch i wyciągnęła prawą dłoń.

- Dzień dobry. Bryony Wentworth. Z Kornwalii.

Kobieta podała jej swoją tłustą rękę.

- Chwała Bogu, że tu jesteś. Louisa Carver z Dublina, a ta mała to Sarah. Ukłoń się pani, Sarey.

Dopiero wtedy Bryony zauważyła małą dziewczynkę, chowającą się za maminią spódnicą. Była drobna, miała najwyżej cztery latka, gęste jasne kędziory i jasnoniebieskie oczy. Trudno było uwierzyć, że ta mamucica urodziła takiego karzełka.

Serce Bryony ścisnęło się bólem, gdyż dziewczynka była mniej więcej w wieku Madeline, gdy Bryony widziała ją po raz ostatni. Zmusiła się do uśmiechu i przykucnęła przy Sarah.

- Dzień dobry, Sarah. Tak się schowałaś, że dopiero teraz cię zauważyłam.

Dziewczynka wpatrywała się w nią szeroko otwartymi niebieskimi oczami. Kąciki jej warg uniosły się w uśmiechu. Miała na sobie sukienkę, która zdradzała to, że kiedyś była workiem na mąkę, chociaż Louisa zrobiła, co mogła, żeby dopasować ją na drobne ciało córki. Suknia była ozdobiona szerokim pasem, do którego Louisa doszyła kilkanaście dzwoneczków. To właśnie one tak dźwięczały na werandzie.

- Bardzo podobają mi się twoje dzwoneczki - powiedziała Bryony. - Stale je nosisz?

Dziewczynka pokiwała główką, ale się nie odezwała.

- Tak, zawsze przyszywałam moim dzieciom dzwoneczki, odkąd Nathan, mój pierworodny, oddalił się, kiedy prałam, wpadł do rzeki i utonął, zanim go znalazłam.

Bryony wyprostowała się.

- Bardzo pani współczuję. Ile ma pani dzieci?

- Urodziłam pięcioro, ale została mi tylko Sarah.

Czworo dzieci. Ta kobieta pochowała czworo dzieci. Bryony zastanawiała się, jak Louisa mogła to przeżyć.

Po pewnym czasie przeszły do kuchni. Louisa usiadła na ławie. Bryony zaczęła przyrządzać herbatę, a Sarah trzonkiem starej łyżki rysowała jakieś wzory na klepsku.

- Z tego, co mi mówił kapitan St. John, odniosłam wrażenie, że w Jindabyne nie ma żadnych kobiet - powiedziała Bryony, napełniając imbryk wodą, którą Gideon przyniósł tego ranka.

- Nie ma żadnych poza mną. Ja nie pracuję dla kapitana, najwyżej pomagam od czasu do czasu. Mój mąż, Will Carver, pracuje tu jako nadzorca. Kiedyś mieliśmy małą farmę na wzgórzu. Ale kiedy kapitan dostał swój przydział ziemi, wykupił nasze tereny. Chciał mieć całe to wzgórze, żeby zbudować tu dom dla swojej żony. Powiedział, że to najlepsze miejsce w całej dolinie.

Bryony wkrótce zorientowała się, że to Will Carver był tym potężnym mężczyzną o twarzy oszpeconej blizną, który rozmawiał z St. Johnem, kiedy rozładowywano wozy. Louisa powiedziała, że zanim został farmerem, był sierżantem w Korpusie Nowej Południowej Walii. Lecz Bryony odniosła wrażenie, że Will niezbyt dobrze radził sobie w roli farmera, i Louisa poczuła ogromną ulgę, kiedy kapitan St. John wykupił ich ziemię i powierzył mężowi funkcję nadzorcy.

Louisa została zesłana w 1795 roku za kradzież kufła z tawerny.

- W sumie musiałam ich ukraść chyba ze trzy tuziny - powiedziała bez cienia skruchy. - Sprzedawaliśmy je takiemu jednemu Izraelicie, który je przetapiał. - Mówiła z irlandzkim akcentem wyraźniejszym niż u Gideona. - Wiadomo, że to było ryzykowne. W końcu musiałam zostać złapana.

Bryony zbyt szybko wypić łyk gorącej herbaty i zakrztusiła się.

- A za co ty zostałam zesłana? - zapytała, zwracając się poufale do Bryony, z całej siły walnąwszy ją w plecy.

- Za z...zabójstwo - wydyszała.

Louisa popatrzyła na nią z uznaniem.

Po wyjściu gościa Bryony zamknęła ostatni szkicownik Laury, nie przeglądając pozostałych rysunków. Nie była jednak w stanie zapakować go do kufra, podobnie jak i pozostałych. Skończywszy opróżnić komodę, włożyła wszystkie szkicowniki do dolnej szuflady, razem z materiałami i pasmanterią na ubranka Simona.

Szybko zrobiła pozostałe porządki w pokoju, uśmiechając się na wspomnienie Louisy Carver. Zdumiewająca postać. Zręczna złodziejka z Dublina była teraz kobietą w średnim wieku, grubą żoną kolonialnego farmera. W pewien sposób jej życie było równie dziwne i pełne zakrętów jak życie Bryony.

Po lunchu Bryony nakarmiła Simona, włożyła go do kołyski, by pospał, a potem odsunęła zasłony, otworzyła wszystkie okna w jadalni i przystąpiła do porządków.

Wyszorowała ściany i podłogę, nawoskowała meble, wyjęła z serwantki wszystkie naczynia należące do Laury i umyła je. Ten dom nie był domem Bryony i nigdy nim nie będzie, jednak robiąc porządki, czuła się tak, jakby zaczynała zyskiwać nad nim kontrolę.

Mimo wszystko drżały jej ręce, kiedy ustawiała na półkach delikatne, misterne wyroby ze srebra, kryształu i porcelany.

Zamknęła oszklone drzwi serwantki i zamierzała otworzyć okno w salonie, by ciepłe słońce miało do niego dostęp.

Wtedy właśnie zobaczyła harfę.

Stała przykryta w kącie, prawdopodobnie dlatego nie zauważyła jej poprzedniego dnia, kiedy pierwszy raz weszła do ciemnego pomieszczenia. Podekscytowana uniosła pokrowiec i aż westchnęła z zachwyty.

Była to piękna harfa, wykonana przez mistrza i pomalowana przez niezwykle utalentowanego artystę. Bryony nauczyła się grać na harfie, gdy miała pięć lat, ale nigdy nie miała w rękę tak wspianiałego instrumentu. Ta harfa była godna księżniczki. Albo córki wicehrabiego.

Delikatnie przesunęła dłonią po strunach. Instrument był nienastrojony. Traciła strunę i miała zamiar ją naciągnąć, kiedy kapitan brutalnie chwycił ją za ramię tak mocno, że się potknęła i byłaby upadła, gdyby nie szarpnął jej drugą ręką z taką siłą, że głowa Bryony odskoczyła do tyłu.

- Jak śmiesz? - warknął. - Jak śmiesz dotykać tej harfy? Drżąc, wzięła głęboki oddech.
- Chciałam...
- Nic nie mów. - Był wzburzony, jego głos drżał. - Nigdy nie dotykaj tej harfy. - Odepchnął Bryony i przykrył instrument pokrowcem.

Następnego ranka Bryony postawiła przed nim talerz z taką siłą, że Hayden był zdziwiony, iż naczynie nie pękło.

- Powiniennem już od pół godziny być na polu - powiedziała, sięgając po nóż. - Nie słyszałaś dzwonu?

Chwyliła krawędź stołu obydwoma rękami.

- Oczywiście, że go słyszałam. Jak mogłabym nie usłyszeć tego potwornego dzwonu, skoro wisi tuż przy moim pokoju? Niestety Simon również go usłyszał, a to oznaczało, że zanim mogłam przystąpić do przygotowywania śniadania dla pana, musiałam najpierw nakarmić pańskiego syna. A potem musiałam nanieść drzewa, wody i obiec całe podwórze, szukając jaj. Nie wiem, dlaczego nie może pan zbudować porządnego kurnika dla swoich kur, żeby nie znosiły jajek, gdzie tylko im się...

- Lubię dobrze wysmażony stek i niedosmażone jajka. - Odłożył nóż i widelec i popatrzył na nią. - A nie na odwrot. - Stała w takiej pozie, że suknia ciasno opinała jej pełne piersi. Przeleżał pół ostatniej nocy, nie mogąc zasnąć i myśląc o tych piersiach. Niepotrzebny był mu kłopot z nimi w czasie śniadania. Omal nie jęknął. - Gdzie jest podpłomyk?

- Nie upiekłam podpłomyka.

- Nie...

- Nie miałam czasu.

W jej głosie nie było przeproszającego tonu. W gruncie rzeczy mówiła tak, jakby to ona była zła na niego. Jeszcze nigdy nie miał takiej służącej, która nie bała się tego, że wzbudzi jego niezadowolenie.

Doszedł do wniosku, że naprawdę bała się go tylko wtedy,

na werandzie, o zachodzie słońca, i kiedy nie była kompletnie ubrana w jego obecności.

Była to niefortunna myśl, która przypomniała mu o tym, co kryje się pod brzydką suknią.

- Wielki Boże! - Odłożył serwetkę i wstał, odsuwając krzesło tak mocno, że zazgrzytało o podłogę. - Kiedy tu wrócę wieczorem, będę bardzo głodny. Jeśli nie przygotujesz czegoś porządnego do zjedzenia, poniesiesz przykre konsekwencje.

Wcisnął kapelusz na głowę i wyszedł z pokoju. Był zdziwiony, usłyszawszy za sobą przerażone westchnienie.

Powinno mu to było sprawić satysfakcję.

Ale nie sprawiło.

Zaczekała, aż duży gniadosz wyjedzie z podwórza, kierując się w stronę odległej zagrody dla owiec, po czym weszła do salonu i zdjęła przykrycie z harfy Laury.

Starannie stroiła instrument, nie przestając go podziwiać. Pomyślała, że na takim instrumencie powinno się grać, a nie nakrywać go i przechowywać jako swego rodzaj u pomnik zmarłej kobiety, która kiedyś siadywała tu, gdzie teraz Bryony, trącąc struny.

Zamknęła oczy i zaczęła grać. Nie grała już od tak dawna. Czuła, jak muzyka wzbiera w niej i znajduje ujście, dając jej ukojenie. Ta harfa była prawdziwym darem, prezentem od jednej kobiety dla drugiej.

Gdyby Laura grała na fortepianie, dla Bryony nie miałyby to żadnego znaczenia. Ale harfa... ach, jak sięgnąć pamięcią, zawsze grała na harfie. Miała wrażenie, iż to nie przypadek, że Laura także grała na harfie i że zostawiła ją dla niej.

Grała na harfie Laury z takim zapamiętaniem, że aż rozbolewały ją palce. A potem wciąż jeszcze grała, grała, grała.

Jeszcze przed południem Bryony skończyła sprzątanie. Sta-
nęła w otwartym oknie salonu, spoglądając na wartko płynącą
rzekę u podnóża góry. Poczowała ogromną ochotę zaczerpnięcia
świeżego powietrza i nacieszenia się słońcem. Przywiązała do
siebie Simona chustą i wyszła na spacer.

Pod stopami miała świeżą, wiosenną trawę. Ośłoniła oczy
dłonią i popatrzyła na cudownie błękitne niebo. Dzień wciąż był
rześki świeżością poranka, lecz przypuszczała, że po południu
zrobi się ciepło. Pomyślała o suchej trawie z rysunku akwareli
Laury i zastanowiło ją, jak długo będzie mogła cieszyć się świeżą
zielenią wiosny.

Pospacerowała po podwórzu, po czym skierowała się do
ogrodu. Nie był to jednak prawdziwy ogród. Wprawdzie wykar-
czowano tereny otaczające dom z trzech stron i można było
odnieść wrażenie, że ktoś kiedyś próbował założyć tu ogród,
jednak jego starania nie zostały uwieńczone sukcesem. Zauważyła
rachityczną, usychającą lawendę, tymianek, rozmaryn i piołun
w wydzielonej niegdyś pod uprawę ziół części ogrodu, a także
szerniałe łodygi róż, rosnących dawniej w zapomnianym teraz
kręgu, a nad potokiem dojrzała zaniedbaną, przerośniętą marchew.

Minąwszy wykarczowany teren, wspięła się w stronę drzew,
rosnących wyżej nad domem, i popatrzyła na Jindabyne. Zro-
zumiała teraz, dlaczego St. John kupił to wzgórze od Carverów
i obrał je na miejsce pod budowę domu. Ze wzgórza, wznoszącego

się nad doliną Hawkesbury, roztaczał się widok na wiele mil w górę i w dół rzeki. Dzikie, postrzępione grzbiety Gór Błękitnych wydawały się blisko, niemal na wyciągnięcie ręki.

Nad jej głową przeleciała papuga. Bryony uśmiechnęła się na widok niebiesko-czerwono-żółtego ptaka. Po chwili ruszyła w górę, przyglądając się roślinom. Niektóre wydawały się jej znajome, jednak większość z nich widziała po raz pierwszy w życiu. Znalazła dziki szczaw, ptasie ziele i mlecze. Zaczęła je zrywać, by po powrocie do domu przyrządzić z nich sałatkę do obiadu.

Myśl o gotowaniu kolejnego posiłku dla Haydena St. Johna sprawiła, że łzy napłynęły jej do oczu, szybko jednak otarła je dłonią. Nie pozwoli mu się pokonać. Udało jej się umknąć katu i rekinom, więc nie może się załamywać z powodu takich błahostek jak kangurze steki i niesforne kury.

W pobliżu krzewów dostrzegła coś, co przypominało jej swym wyglądem dziką kapustę. Pochyliła się, by przyjrzeć się dokładniej, i zorientowała się, że patrzy na ludzką stopę.

Była to czarna ludzka stopa na końcu czarnej nogi, nad którą wisiął męski członek, a nad nim rozpościerał się nagi brzuch i tors. Dalej była krótka szyja i czarna twarz z wymalowanymi krętymi białymi pasami. Nos był odrażająco płaski, policzki wydęte i rozciągnięte w szerokim uśmiechu.

Bryony krzyknęła, uniosła spódnicę i rzuciła się do ucieczki.

Biegła przed siebie, byle dalej od czarnego nagusa, co oznaczało, że posuwała się w górę, więc szybko zabrakło jej tchu i poczuła kłucie w boku. Mimo to się nie zatrzymała. Simon obudził się i zaczął płakać. Przytuliła go do siebie i biegła dalej. Jakaś gałąź boleśnie uderzyła ją w policzek, ale prawie tego nie poczuła. Nie wiedziała nawet, czy dzikus biegnie za nią. Po prostu uciekała.

Wybiegła spomiędzy drzew na wykarczowany teren i gwałtownie przystanąła. Na środku poręby, nieporośniętej nawet trawą, zobaczyła starą drewnianą chatę. W pobliżu miejsca, w którym się zatrzymała, zauważyła pnie, niektóre wysokie na trzy stopy, tam gdzie niegdyś ścięto wielkie eukaliptusy.

Oparła się o jeden z pni, tuląc do siebie Simona i walcząc o złapanie tchu.

- Bryony?

Usłyszała dźwięk dzwoneczków i zobaczyła Louise biegnącą w jej stronę przez porębę. Sarah drobiła nóżkami, by nadażyć za matką.

- Bryony, co się stało?

- Mężczyzna... czarny mężczyzna - wydyszała. - Tam, w drzewach. - Zadrżała. - Był zupełnie nagi, nie zasłonił nawet... - Pomachała ręką w pobliżu ud. - Jego nos wyglądał tak, jakby mu ktoś go złamał, i miał farbę...

- Farbę? - zapytała Louisa, wyraźnie zaniepokojona.

- Tak, białą farbę na twarzy i zygzakowate linie na ramionach. Wyglądał jak szkielet.

- Skoro to była biała farba, nie musimy się niczego obawiać - powiedziała Louisa, chwytając Bryony za ramię i prowadząc ją w stronę domu. - Dopiero kiedy malują się na czerwono, oczekują nas kłopoty.

- Ale to był dzikus!

- Tak. Coś mi mówi, że po raz pierwszy zetknęłaś się z aborygenem.

Wprowadziła Bryony do chaty i wskazała ławę wykonaną z przeciętego bala, wspartego na mocnych palach. Prymitywne ociosane deski tworzyły stół. Bryony zauważyła, że wszystkie meble w domu są własnej roboty. Za łóżka służyły skóry zwierząt, rozciągnięte na czterech słupach wbitych w ziemię i nakryte owczymi skórąmi.

- Wypij to. - Louisa podała Bryony blaszany kubek pełen płynu, który podejrzenie pachniał jak rum.

Bryony wypija łyk. To był rum.

- Przyznaję, że można się przestraszyć, kiedy widzi się ich po raz pierwszy, ale raczej nie ma się co obawiać tutejszych aborygenów. Co pewien czas jakiś osadnik robi im krzywdę, a wtedy oni roztrzaskują mu głowę albo podkładają ogień pod jego dom, ale kapitan zawsze się z nimi jakoś dogadywał. Czasem nawet zobaczysz ich, jak przyjdą na podwórze ostrzyć swoje noże i toporki. Musisz się do nich przyzwyczaić.

- Ostrzyć noże? - Bryony znów się zatrzęsała.

- Tak. - Louisa podsunęła jej kubek z rumem. - Wypij jeszcze trochę.

- Nie mogę. Kapitan St. John powiedział, że jeśli poczuje ode mnie alkohol, każe mnie wychłostać.

Louisa popatrzyła na Bryony ze zrozumieniem.

- W takim razie lepiej nie pij. - Opróżniła kubek jednym haustem i nalała Bryony wody.

Stała na werandzie i myślała naczynia, kiedy Hayden wyszedł z domu, by wypalić poobiednie cygaro w chłodnym wieczornym powietrzu. Słońce zniknęło już za czerwonymi drzewami gumowymi rosnącymi nad rzeką, barwiąc niebo na kolor cynobru i podkreślając ogniste pasma włosów Bryony. Nie patrzyła na niego.

Nie spojrzała na niego ani razu, podając mu obiad. Jej dumnie uniesiony podbródek i konsekwentne unikanie jego wzroku mówiły mu, że wciąż jest na niego zła. Gniewała się na niego za to, że wyrwał jej harfę Laury i skrytykował jej umiejętności kulinarne.

Dotąd prawie nie znał tej strony jej osobowości. Zawsze starannie ją ukrywała, co intrygowało go, a jednocześnie denerwowało. W ciągu minionego tygodnia poczuli do siebie ostrożnie wyrażaną sympatię, będącą szczególnym rodzajem przyjaźni. Teraz brakowało mu tego porozumienia. Chciał, żeby wróciło.

Podszedł do niej i powiedział pogodnym, niemal żartobliwym tonem:

- Więc upiekłeś swój pierwszy podplomyk.

Znieruchomiała, ale nie uniosła wzroku.

- Tak... proszę pana.

- Miał trochę zakalcowaty środek - zauważył jakby od niechcienia i zaciągnął się cygarem.

Nie odezwała się.

- Natomiast stek z kangura był naprawdę dobrze wysmażony. - Wypuścił dym. - Tak dobrze, że nie mogłem przebić się przez niego zębami. Ale nie zostanie zupełnie zmarnowany. Myślę, że zachowamy to, co z niego zostało, i użyjemy do podkucia wołu.

Nie podniosła głowy, ale się zaśmiała. Miała miły śmiech - niski i lekko zachrypnięty. Takie dźwięki wydaje czasem kobieta, kiedy mężczyzna dotknie jej wrażliwego miejsca.

Cholera.

Odgonił tę myśl, oparł się o kolumnkę werandy i zapatrzył na pole ciągnące się w ku rzece. Przyszedłem tu, żeby przywrócić dobre stosunki między nami, a nie po to, by ją uwodzić, napomniał się w myślach.

Zdusił cygaro obcasem i długo wwiercał w ziemię. Niemal każdy mężczyzna w kolonii posiadałby swą służącą natychmiast bez zastanowienia, uznając, że ma do tego prawo. Przez chwilę Hayden niemal żałował, że nie jest taki jak inni, że nie potrafi zaspokoić swej żądzy, nie zwracając uwagi na wolę czy cierpienia kobiety.

Lecz gwałt zawsze pozostawał gwałtem, nawet jeśli społeczeństwo, w którym żył, przyzwalało na takie postęпки, i nawet jeśli zgwałcona kobieta była przestępczynią zesłaną do Zatoki Botanicznej za zabójstwo męża.

- Widziałam dzisiaj aborygena - powiedziała.

Odwrocił się w jej stronę.

- Naprawdę?

Przyglądała mu się, ale kiedy na nią spojrział, szybko uciekła wzrokiem, jakby czytając w jego myślach.

- Louisa Carver powiedziała mi, że czasami przychodzi na podwórze.

- To prawda. - Przypomniał sobie, że kiedy Laura po raz pierwszy zobaczyła aborygena z bliska, zemdlała, a potem dostała ataku hysterii. Musiał dać jej laudanum, żeby się uspokoiła i zasnęła. - Często korzystają tu z tarczy szlifierskiej.

Patrzyła na niego swoim spokojnym, uważnym wzrokiem.

- Czy to rozsądne?

Rozłożył ręce.

- Oni mają inne podejście do dóbr materialnych. Jeśli coś istnieje, to znaczy, że wszyscy tego mogą używać. Uznałem, że nie warto tego zmieniać, dopóki nie zagraża to moim interesom.

- Czy oni zawsze są... nadzy?

Uśmiechnął się.

- Zawsze.

Patrzyła na niego szeroko rozszerzonymi oczami, zaskoczona, z wargami rozchylonymi ze zdziwienia.

Nie rozumiał, co to wszystko miało oznaczać.

Delikatnie dotknął jej policzka.

- Masz tu siniaka - powiedział, marszcząc czoło. - Czy ktoś cię uderzył?

- Gałąź. - Zadrżała pod jego dotykiem. Patrzył, jak mięśnie jej szyi napięły się, gdy przełknęła ślinę. Poczłł dławienie w piersi. Żywsze bicie serca. Pragnienie. - Wpadłam na gałąź.

Odwróciła się od niego i uniosła balię z wodą. Balia była tak ciężka, że Bryony zachwiała się. Woda zakołysała się, mocząc jej stanik, fartuch i spódnice. Nie potrafiła wziąć takiego zamachu jak Gideon, więc woda chlusnęła na werandę, rozbryzgując błoto na kraj jej sukni.

Parę kosmyków opadło jej na czoło. Odgarnęła je ramieniem, postawiła pustą balię na stole i sięgnęła po drugą, z wodą do płukania.

Hayden był pierwszy.

- Do diabła, ja to zrobię - powiedział chrapliwie.

Nie wiedziała, kogo bardziej tym zaskoczył - ją czy siebie.

Z podwórza, tuż zza jej okna, dobiegały jakieś hałasy.

Bryony, która szykowała się już do snu, przystanęła w połowie drogi do łóżka i wsłuchała się w niecodzienne odgłosy. Coś szurało na kamiennych płytach werandy, potem rozległ się jakiś brzęk, ktoś się roześmiał, ktoś inny szpetnie zaklął.

Zaintrygowana, zasznurowała stanik sukni i rozsunała zasłony, które niedawno zaciągnęła na noc.

Zobaczyła dwóch mężczyzn. Mieli lampę olejową, drabinę i zdejmowali dzwon.

Zanim dotarło do niej, że to St. John musiał polecić zdjęcie dzwonu, ktoś zapukał do drzwi.

Otworzywszy je, zobaczyła przystojnego szczupłego, ciemnowłosego chłopca w wieku około czternastu lat, stojącego

w kręgu światła rzucanego przez lampę naftową ze stolika w holu. Nie zdjął swego kapelusza z liści palmowych, tylko odchylił go do tyłu i popatrzył na nią spode łba.

- Kapitan powiedział, że mam pani powiedzieć, że zostałem przydzielony do noszenia wody i drzewa rano i wieczorem - oznajmił, przyglądając się jej szacującym wzrokiem, co ją zdziwiło u tak młodego chłopca.

- Cóż, dziękuję panu, panie...?

- Quincy.

- Panie Quincy.

- Nie, tylko Quincy. - Zauważył jej pytające spojrzenie, które zuchwale odwzajemnił. - Quincy to moje jedyne imię.

- W takim razie niech będzie Quincy. - Uśmiechnęła się do niego. Nie była pewna, jak ma traktować tego chłopca, który wyglądał jak dziecko, ale bez wątpienia lepiej znał życie niż wielu mężczyzn dwa razy starszych od niego. - W takim razie do zobaczenia rano.

- Od razu pani powiem, że wcale mi się to nie podoba - odpowiedział z błyskiem w wyrazistych oczach. - Oczywiście nie mam nic przeciwko pani. Ale wolałbym pracować na polu razem z innymi.

- Domyślam się, że byś wolał - przyznała, skrywając uśmiech. - Ale będę ci bardzo wdzięczna za pomoc.

- W porządku, przynajmniej wszystko sobie wyjaśniliśmy. - Naciągnął kapelusz na głowę i odwrócił się w chwili, gdy Hayden St. John wszedł frontowymi drzwiami.

Wniósł ze sobą zapach koni, tytoniu i niepokój, który sprawił, że Bryony zrobiło się nagle duszno i gorąco.

Quincy natychmiast spokorniał i stracił całą swoją zuchwałość.

- Właśnie mówiłem pani to, co pan polecił, kapitanie.

Hayden przytrzymał otwarte drzwi.

- Dziękuję, Quincy. Dobranoc.

W oczach St. Johna pojawiły się wesołe błyski, a kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu, gdy odprowadzał wzrokiem wybiegającego chłopca. Zdjął kapelusz z szerokim rondem, odgarnął ciemne włosy z czoła, po czym popatrzył na Bryony i natychmiast spowaźniał.

- Dziękuję, że przydzielił mi go pan do pomocy - powiedziała, zakłopotana z powodu dziwnego błysku w jego oczach. - I za to, że kazał pan zdjąć dzwon.

Nigdy jeszcze nie widziała u niego takiego uśmiechu, jakim ją teraz obdarzył.

- Nie dziękuj. W końcu zagrożone było moje śniadanie, prawda?

Wiatr załomotał otwartymi drzwiami, przynosząc świeże nocne powietrze z cytrynowym zapachem drzew gumowych. Kapitan zamknął drzwi i minął ją, kierując się do swego pokoju.

Zatrzymał go jej głos.

- Ile lat ma ten chłopak?

Ledwie to powiedziała, pożałowała swego pytania, gdyż mogło ono zostać odebrane jako zachęta do pozostania w jej towarzystwie. Przystanął, powoli się odwrócił i popatrzył na nią rozmarzonym, a jednocześnie pałającym wzrokiem. Poczowała nagle przyśpieszone bicie pulsu w zagłębieniu szyi, tuż nad kołnierzem brzydkiej sukni, pierś gwałtownie zafalowała pod stanikiem.

- Czternaście. Ale odkąd uciekł z przytułku w wieku sześciu lat, żył z kradzieży na ulicach i zadawał się z jakimś oszustem kutym na cztery nogi. Jest szybki, bystry i ma moralność i instynkt ulicznego kota. Nie jest chłopcem i lepiej o tym nie zapominaj.

Bryony przełknęła z trudem i zauważyła, że jego wzrok powędrował ku jej szyi. Czuła to rozpłomienione spojrzenie, jakby ją parzyło.

- Jest chłopcem.

Podszedł do niej powoli, lekko kołyszącym krokiem, podkreślającym szczupłość jego bioder, zwinność i siłę szerokich ramion. Światło lampy naftowej na stole w holu podkreślało jego wyraziste rysy twarzy i tworzyło cienie wokół oczu.

- Sześć miesięcy temu znalazłem go między nogami jednej z moich służących. Jest mężczyzną w każdym znaczeniu tego słowa.

Poczowała dziwne ciepło w dole brzucha, które rozchodziło się gorącą falą ku jej piersiom i kończynom. Hayden St. John

również bez wątpienia był mężczyzną w pełnym znaczeniu tego słowa. A teraz tylko oni dwoje byli w tym domu, pogrążonym w mroku nocy i wypełnionym delikatnym oddechem śpiącego dziecka.

Czy to, co czuła w brzuchu, to strach? Czy to lęk powodował, że serce waliło jej w piersi jak oszalałe i wydawało się wypełniać całą przestrzeń w klatce piersiowej, która powinna być zajęta przez płuca?

A ty? - miała ochotę zapytać. Czy też wchodziłeś między nogi swoich służących?

Oczywiście nie robił tego, gdy żyła Laura St. John... Tacy mężczyźni jak kapitan są wierni kobiecie, którą kochają, nawet wtedy, gdy nosi ona w łonie ich dziecko.

Nie, na pewno nie sypiał ze służącymi. Nie za życia Laury. Ale teraz...

Laura już nie żyła.

Bryony poczuła, że płoną jej policzki. Postąpił o krok i stanął tuż obok niej. Zauważyła, że jego oczy płoną pożądaniem, drgają mu skronie, a usta przybierają wyraz zdecydowania.

Zaraz mnie posiadzie, pomyślała, głośno wzdychając. Wepchnie mnie do sypialni i weźmie tak, jak mężczyzna bierze kobietę, której pożąda.

Przełknęła z trudem. Przeniósł wzrok na jej usta, pochylił się. Czuła, że ma zamiar ją pocałować, ale się nie cofnęła.

Westchnął rozzdzierająco i wyprostował się. Przeszedł obok niej i ruszył do wyjścia. Kiedy mijał stolik, płomień lampy zamigotał i omal nie zgasł. Przekreślił gałkę, szarpnął drzwi.

Jakby wyrwana z transu, Bryony szybko weszła do swego pokoju i zamknęła drzwi. Ciężko oddychając, oparła się o nie plecami i dłońmi.

Przypomniała sobie natłok doznań, który ogarnął ją, kiedy St. John się nad nią pochylił. Jeszcze długo po tym, kiedy odgłos jego kroków rozplynał się w nocnej ciszy, stała z głową opartą o drzwi, z dziko bijącym sercem. Nie wiedziała, które uczucie jest silniejsze, strach czy pożądanie.

Uczyni z niej swą kochankę.

Hayden stał oparty o kolumnienkę werandy i patrzył na rzekę posrebrzoną światłem księżyca, widoczną zza gęstwiny ciemnych drzew. Pomyślał, że ostatnio spędza tu zbyt wiele nocy, paląc cygara i czekając, aż rześkie powietrze ochłodzi go i zmniejszy napięcie w lędźwiach.

Istniało wiele powodów, dla których dotąd się powstrzymywał, ale żaden z nich nie wydawał mu się już wystarczający. To prawda, była jego służącą, a on czuł się winny, pożądając innej kobiety w tak krótkim czasie po śmierci żony. Lecz jego pragnienie zdobycia tej ciemnookiej skazanej o pełnych, kragłych piersiach i tajemniczej przeszłości zmieniało jego życie w prawdziwe piekło. Gdyby nie strach, który dostrzegł w jej oczach tego wieczoru, posiadłby ją na podłodze w holu. Zadarłby jej spódnice, szeroko rozłożył gładkie uda i głęboko się w niej pograżył. Natychmiast.

Niestety, bała się go. Wyraźnie sztywniała, kiedy jej dotykał, nawet jeśli czynił to delikatnie, chcąc ją pocieszyć, a poza tym, ilekroć spojrział na nią rozpłomienionym wzrokiem, jej twarz przybierała udręczony wyraz.

Zaklął i sięgnął do kieszeni po cygaro. Niełatwo będzie mu przekonać Bryony, by została jego kochanką. Był jednak zdecydowany ją do tego nakłonić. Chciał, żeby go zapragnęła, żeby cieszyła się nim.

Odgryzł końcówkę cygara i zapalił je drżącymi rękami. Skrze-

sany ogień przypomniał mu o blasku, który dostrzegł w jej ciemnych oczach, kiedy się nad nią pochylił.

Pomyślał, że mimo iż Bryony bez wątpienia odczuwa strach w jego obecności, bojąc się jego męskiej siły i władzy, jaką daje mu pozycja jej pana, to jednak jej reakcje wynikają nie tylko z obawy. Był tego pewien. Dowodził tego rumieniec, który barwił jej policzki, ilekroć z upodobaniem pochłaniał ją wzrokiem lub się do niej zbliżał; rozchylone wargi i przyśpieszony, płytki oddech.

Jej ciało go pragnęło, nawet jeśli o tym jeszcze nie wiedziała, jeśli kobieca ostrożność kazała jej się obawiać, dokąd to pragnienie może ją zaprowadzić. Była niespokojna, spłoszona, jak dziewczyna, która w przeszłości była źle traktowana przez gruboskórnych mężczyzn i teraz potrzebuje delikatności.

Będzie z nią postępował delikatnie. Da jej czas na przyzwyczajenie się do jego obecności, na to, by przestała się go bać.

A potem uczyni ją swoją.

Bryony uniosła wzrok znad stołu, przy którym siedziała, czyszcząc szklane klosze lamp naftowych, i zobaczyła, że St. John opiera krzesło o ścianę domu. Simon leżał na jego udach, z główką opartą o kolana, i bawił się zegarkiem ojca. Rozkoszny śmiech dziecka mieszał się z szelestem wiatru w drzewach gumowych i krzykami mężczyzn zaganiających konie do stajni. U stóp wzgórza wartko płynęła rzeka, która wezbrała po deszczu przyniesionym przez ciemne chmury z zachodu, znad Gór Błękitnych.

Minęło już kilka dni od wydarzenia w holu. W ogóle o tym nie rozmawiali. Bo niby o czym mieli mówić? Nie pocałował jej ani nawet nie dotknął. Starannie unikała go po zachodzie słońca, kiedy w gospodarstwie zapadała już cisza przed nocą, ale z tego powodu zaczynała już czuć się niezręcznie. Był dla niej miły, niemal czuły. Zapewne tak naprawdę nie miał zamiaru dzielenia z nią łoża. Gdyby tak było, to czy do tej pory już by jej nie posiadał? Chyba powinna już przestać się go obawiać, zapomnieć o dawnych lękach i się rozluźnić.

Słoneczne światło odbiło się od złotego zegarka, który wy-

śliznął się z palców Simona. Ojciec zdążył go złapać, zanim spadł na kamienne płyty. Uśmiech na twarzy malca zgasł, a jego wargi zaczęły drżeć, gdy zegarek zniknął w kieszeni kamizelki.

- Zaraz się rozpłaczę - powiedziała Bryony.

- Wcale się nie rozpłacziesz, prawda, synku? - powiedział Hayden, naśladowując irlandzki akcent Gideona. Bryony patrzyła, jak podnosi i tuli malca. Na widok jasnej główki dziecka przy ciemnej głowie ojca Bryony poczuła wzruszenie, zmieszane ze smutkiem.

W widoku niewinnego, maleńkiego dziecka tulonego tak delikatnie, z miłością, przez dużego, silnego mężczyznę, było coś tak poruszającego, że przez chwilę żałowała, iż to nie są jej mężczyźni.

Zła na siebie, zajęła się czyszczeniem kolejnej lampy. Tego wieczoru bardzo się starała, by przyrządzić jak najlepszy posiłek temu niewdzięcznemu tyranowi, a on nie powiedział ani słowa, ani jednego słówka.

- Podpłomyk nie był dzisiaj zły - odezwał się, jakby czytając w jej myślach.

Bryony popatrzyła na niego, zaskoczona. Jego oczy błyszczały rozbawieniem. Zaciśnęła dłoń na podstawie lampy.

- Co z nim było nie tak?

Sprawił wrażenie zaskoczonego.

- Nic. Przecież powiedziałem, że nie był zły.

- No właśnie. Nie powiedział pan, że był dobry.

Uśmiechnął się tak, że poczuła miłe ciepło w okolicy serca.

- W porządku, był smaczny. Ale mięso...

Gwałtownie odsunęła lampę.

- Wcale nie było za bardzo wysmażone.

- Nie było - przyznał.

Czekała, aż powie coś jeszcze, ale milczał. W końcu nie wytrzymała.

- A sałatka? Smakowała panu?

Wstał i oparł się o kolumnienkę werandy, trzymając Simona w zagłębieniu ramienia. Patrzył na nią z boku.

- Smakowałyby mi bardziej, gdybym wiedział, z czego ją zrobiłaś. O ile dobrze pamiętam, nie mamy ogrodu warzywnego.

Roześmiała się.

- Były w niej mleczce, dziki szczaw i ptasie ziele. Nie rozumiem, jak można jeść tylko mięso i podpłomyki.

Wzruszył ramionami i uniósł Simona.

- Większość mężczyzn w buszu tak się odżywia. To kobiety troszczą się o takie rzeczy jak warzywa i sałatki.

- W takim razie szkoda, że w buszu nie ma więcej kobiet.

- Większość kobiet nie lubi buszu.

Jego twarz znów przybrała chłodny, odpychający wygląd, którego tak nie znosiła... wyglądał wtedy, jakby jego twarz wykuta była z kamienia. Zawsze posepniał, kiedy zdarzyło się, że powiedziała coś, co przypominało mu zmarłą żonę. A Laura z pewnością była kobietą, która nie lubiła buszu.

Nie był to zapewne najlepszy moment na poruszanie tego tematu, postanowiła jednak spróbować.

- Chciałabym, jeśli pan mi pozwoli, założyć tu ogród. Nic wielkiego, uprawiałabym tylko jakieś warzywa i zioła. Myślałam, że gdyby pozwolił mi pan zatrzymać Quincy'ego trochę dłużej kilka razy w tygodniu i dał nam łopaty, nasiona i sadzonki...

Zauważyła, że nie zwraca na nią uwagi. Odwrócił się i patrzył na kogoś idącego w stronę domu.

Bryony wytarła ręce w fartuch i zobaczyła, że Will Carver chwytając słupek swą dużą dłońią i wspina się na werandę.

- Dobry wieczór, kapitanie - powiedział, dotykając runda kapelusza. Nie odezwał się do Bryony, ale czuła, jak przesuwa po niej wzrokiem. Miała wrażenie, że pełźnie po niej wąż.

- Will? - St. John podał Simona Bryony. - Co cię tu sprowadza?

- To - odpowiedział nadzorca, rozwijając coś, co dotąd trzymał w mięsistej dłoni.

Wyglądało to jak kawałek świeżej skóry, jeszcze z sierścią.

Hayden nie poruszył się.

- Gdzie to znalazłeś?

- McDuff przyniósł mi to przed chwilą. Razem ze swoimi psami polował na kangury, kiedy natknął się na pańskiego cielaka, leżącego na boku i głośno beczącego. Jego matka stała nad nim, nie wiedząc, co robić. Podeszedł bliżej i zobaczył, że

cielę wpadło do jakiejś dziury i złamało nogę, więc poderżnął mu gardło. Dopiero wtedy zauważył, że chociaż krowa była ocechowana SJ, to ktoś wypalił Q&J na SJ u cielęcia.

St. John zmrugał oczy i spochmumiał.

- Wejdz z Simonem do domu - rzucił przez ramię do Bryony.

- Dlaczego? Co to znaczy? - Pochyliła się, by dokładnie obejrzeć kawałek skóry.

- Mniejsza o to - powiedział ponuro. - Po prostu idź do domu.

Bryony pokryła się ognistym rumieńcem. Oczywiście, nie powinno jej to obchodzić. Gdyby była Laurą, z pewnością by z nią o tym porozmawiał.

Ale nie była Laura.

Zapaliła świecę przy łóżku i wsunęła się pod koce. W domu panowała cisza. Hayden St. John wyjechał gdzieś z nadzorcą i dotąd nie powrócił, mimo że już dawno zapadła ciemność.

Otworzyła szkicownik i oparła go o zgięte kolana. Był to ostatni szkicownik Laury. Nie obejrzała go jeszcze do końca. Przewracała kartki, dopóki nie dotarła do autoportretu Laury. Z uwagą wpatrzyła się w akwarełę.

Pomyślała, że Laura nie była dla siebie szczególnie łaskawa, malując swój portret. Twarz była wprawdzie niezaprzeczalnie, olśniewająco urodziwa, lecz artystka zasugerowała, że za pięknem kryje się coś, czego w sobie nie lubi, nie akceptuje. W przejrzystych zielonych oczach Laury Bryony dostrzegła tęsknotę i melancholię, łukowato wygięte wargi i delikatny podbródek zdradzały słabość. Dziwnie zaniepokojona, Bryony przewróciła kartkę.

Patrzyła teraz na ogród. Nie był to jednak rysunek ogrodu, tylko jego plan. Obróciła szkicownik w różne strony, uważnie studiując projekt. Były na nim czerwone eukaliptusy i rzeka u stóp wzgórza. Na środku stał dom z werandami, kolisty ogród różany, z którego teraz pozostały już tylko sterczące czarne badyły, był też potok, nad którym Bryony zobaczyła przerośniętą marchew.

Z westchnieniem opadła na poduszki. A więc Laura również chciała założyć ogród. Zapewne siedziała tu, w tym łóżku,

i rysowała swój plan. Z wyobraźni artystki wyłaniały się łuki oplecione pnąciami róż i kapryfolium, schludne klomby lawendy i tymianku, starannie wydzielone rzędy melonów i dyń, kępy złocieni, tojadu i kozłka. Laura zaprojektowała wszystko z niezrównanym wdziękiem i talentem, który nie był dany Bryony.

Pani St. John brakowało jednak wiedzy i doświadczenia, by urzeczywistnić swój projekt. Nie była w stanie zrobić tego bez pomocy całej armii ogrodników swego ojca wicehrabiego.

Jeszcze raz westchnąwszy, Bryony popatrzyła na drugi plan, szczegółowy projekt ogrodu zielarskiego. Każda część, każda grządka była starannie oznaczona. Bryony poczuła piekące łzy pod powiekami. Zrobiło jej się żal tej delikatnej kobiety, która marzyła o założeniu pięknego ogrodu, a zebrała jedynie śmierć.

Dzwoniąc dzwoneczkami, roześmiana Sarah goniła motyle, które latały nad kwiatami rosnącymi w wysokiej trawie.

- Nie odbiegaj za daleko, Sarey! - zawołała Louisa, unosząc głowę znad balii.

Lecz Sarah tylko się roześmiała. Jej jasne kędziory opadały na plecy, wiatr unosił jej śmiech i dzwonienie dzwoneczków.

Znajdowały się nad rzeką i robiły pranie. Bryony odkryła, że w buszu znacznie łatwiej było zanieść ubrania do wody, niż nosić wodę do domu. Tak więc razem z Louisa zaprzęły klacz do starego wozu, załadowały ubrania, balie, tary i drewniane mieszadła, i pojechały nad rzekę.

Bryony sięgnęła po kolejną koszulę Haydena, by wyprać ją na tarze.

- Nic się jej nie stanie. Obie jej pilnujemy.

Louisa pokręciła głową.

- Czasami wystarczy chwila nieuwagi. Moją Mary ukąsił jadowity wąż, kiedy gotowałam obiad. Zawsze jej mówiłam, żeby trzymała się z daleka od stosu drzewa, ale lubiła wyciągać stamtąd drewnienka i robić z nich domki... mówiła, że to domki dla duszków.

Bryony popatrzyła na Simona śpiącego w skrzyni pod wielkim eukaliptusem. Jak łatwo jest stracić dziecko, jak przerażająco łatwo, pomyślała.

Przypomniał jej się Philip, wstrząsany potwornym kaszlem, i Madeline w zimnym domu na chłostanych wiatrem wrzosowiskach. Ogarnął ją paniczny lęk o jedyne dziecko, poczuła ściskanie w dołku. Nie powinna, nie może o tym myśleć.

- A mój Joseph - powiedziała Louisa, mieszając prześcieradła w kociołku na ogniu - umarł na odrę. A mały Thomas na czerwone. Chciałabym kiedyś zabrać cię na ich groby. Wszyscy śpią w jednym rzędzie, tam, na szczycie wzgórza nad domem, gdzie nie dosięgnie ich powódź. Trudno ci pewnie w to uwierzyć, kiedy patrzysz teraz na tę rzekę, ale widziałam ją już podchodzącą prawie pod dom.

Bryony popatrzyła na rzekę i uśmiechnęła się. Nie mieściło jej się w głowie, że ta rzeka mogła podnieść się aż tak wysoko.

- Mówiłam kapitanowi, żeby dobrze wybrał miejsce na grób swojej ślicznej żony, ze względu na powódzie. Więc pochował ją tuż obok moich maleństw.

Bryony znieruchomiła z ręką przy tarze.

- On... on bardzo ją kochał, prawda?

- O, tak - powiedziała Louisa z westchnieniem. - To była taka słodka, łagodna, delikatna kobieta. Prawdziwa dama.

Ciepły wiatr wiejący przez polanę przyniósł zapach rozgrzanej ziemi i dojrzewających pól. Bryony poczuła ciarki biegnące wzdłuż kręgosłupa i jeszcze zanim uniosła wzrok, wiedziała, że Hayden jest blisko.

Siedział na koniu, na skraju poręby, z ręką opartą o biodro w miejscu, z którego zwisał nóż. Naciągnął kapelusz tak nisko na twarz, że widziała tylko jego usta, była jednak pewna, że się jej przygląda. Wyprostowała się, odgarnęła włosy z wilgotnego czoła i poczuła, że robi się jej gorąco. Hayden zawrócił konia i odjechał.

Louisa posłała jej wymowne spojrzenie.

- Już z nim spałaś?

- Co?! - wykrzyknęła Bryony. Pochyliła się nad tarą i gwałtownie zaczęła trzeć koszulę, by ukryć ognisty rumieniec barwiący jej policzki.

Louisa uśmiechnęła się szeroko, ukazując szczerbate uzębienie.

- Widziałam, jak na ciebie patrzy.

- Nie... nie zmusił mnie- odparła Bryony, sięgając po następną koszulę.

- Nie podejrzewałam go o to. - Louisa obróciła prześcieradła mieszałem. - Ale widziałam, że i ty na niego patrzysz.

Bryony mocno zacisnęła rękę na płóciennej koszuli. To była jego koszula. Głęboko zaczerpnęła tchu i jej nozdrza wypełniły się zapachem koni, tytoniu i... jego. Popatrzyła na Louise. Chciała zaprzeczyć, ale nie była w stanie tego zrobić.

Rzeczywiście mu się przyglądała.

JL ego wieczoru, kiedy położyła już Simona w kołysce i siedziała w łóżku, przyglądając się rysunkom ogrodu zaprojektowanego przez Laure, znalazła portret kapitana.

Przeglądała szkicownik, kiedy nagle jakaś luźna kartka, która najwyraźniej została wyrwana, a potem umieszczona pomiędzy czystymi stronicami, wypadła z niego i sfrunęła na podłogę. Bryony pochyliła się, by ją podnieść i zaparło jej dech w piersiach.

Był to portret Haydena St. Johna. Laura narysowała go, kiedy stał zupełnie nagi przy kominku. Bryony zobaczyła mocne pośladki, długie, umięśnione uda. Światło ognia lśniło na pokrytych potem szerokich plecach i silnych ramionach. Domyślała się, że gdyby mogła go dotknąć, poczułaby mocne mięśnie pod gładką skórą.

Był zwrócony tyłem do żony, ale odwrócił głowę i spoglądał przez ramię. Ciemne włosy opadały mu na szyję, na torsie widoczna była gra światłocieni. Wargi miały zdecydowany, niemal okrutny wyraz. A oczy...

Oczy były gwałtownym, nienasyconym, przerażającym żarem.

Był to niepokojący portret. Bryony czuła, że kobieta, która go narysowała, musiała być onieśmielona i przerażona zuchwałą męskością tego człowieka. Tą samą męską siłą, która tak pociągała Bryony.

Ostrożnie dotknęła na rysunku linii tych warg o okrutnym wyrazie i cicho jęknęła.

Już z nim spałaś?

Czuła, jak pożądanie ogarnia ją gorącą falą. Przycisnęła poduszkę do obolałych piersi, po czym włożyła ją między nogi.

Pragnęła go. Nie zmuszał jej do współżycia, a zgodnie z tym, co powiedziała Louisa, nie był typem mężczyzny, który posiadłby ją gwałtem, lecz chciała, by nakrył ją swym ciałem. Marzyła o tym, by dotykać jego twardych, spoconych ramion. Pragnęła wsunąć palce w ciemne owłosienie torsu i złączyć się z nim w pocałunku. Chciała, by jego oczy błyszczały pożądaniem, lecz by ten wzrok nie był skierowany w stronę Laury, tylko jej, Bryony.

Jeszcze nie spała, kiedy wrócił do domu. Usłyszała jego długie kroki w korytarzu, odgłos otwieranych i zamykanych drzwi.

Wyobrażała sobie, że stoi przy kominku w swoim pokoju i zdejmuje ubranie. Wiedziała, że sypia nago, ponieważ nigdy nie zostawiał jej nocnych koszul do prania. Mogła sobie wyobrazić, jak wygląda, kiedy przewraca się, sam, w ogromnym łóżu, ozdobionym rzeźbionymi ptakami i kwiatami.

Popatrzyła na różowe jedwabne draperie łóża Laury i zaczęła się zastanawiać, jaką kobietą była żona Haydena.

Laura narysowała wyrazisty, emanujący zmysłowością portret męża, a jednak wolała spędzać noce w swoim pokoju i swoim łóżku; garderoba oddzielała ją od sypialni męża, który powinien leżeć obok niej.

Dwa dni później poprosił Bryony, by została jego kochanką.

Podszedł do niej wczesnym popołudniem. Właśnie zdążyła przyciągnąć ciężkie, mahoniowe krzesło z miękkim oparciem i stała na nim, usiłując zdjąć pudło z materiałami, które umieściła na szafie. Miała już je nad głową, kiedy poczuła jakieś ożywienie, które powiedziało jej, że Hayden jest gdzieś obok.

Rozejrzała się na boki i zobaczyła go w drzwiach sypialni, opartego o framugę i przyglądającego się jej w milczeniu. Wydała okrzyk zaskoczenia i straciła równowagę.

Pudło z materiałami wysunęło jej się z rąk i upadło na podłogę. Próbowwała chwycić się szafy, ale to nie pomogło.

- Cholera! - zaklął i rzucił się w przód, by ją złapać.

Osunęła się na niego, sprawiając, że się przewrócił. Mocno trzymał ją w ramionach i przyciskał do torsu tak, by wziąć na siebie całą siłę uderzenia. Stęknął, tłukąc sobie ramię i biodro. Wylądowała na nim, ale obrócił ją w ramionach tak, że znalazła się pod nim.

Znieruchomiała. Wypuściła powietrze i popatrzyła na jego twarz, znajdującą się tuż nad nią. Zauważyła, że jego źrenice rozszerzają się, a niebieskie tęczęwki giną pod morzem czerni błyszczącej pierwotną żądzą, która wyostrzyła jego rysy i sprawiła, że otworzył usta.

Leżała pod nim w tradycyjnej pozycji do odbycia stosunku. Oboje doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Przyciskał ją swoim ciałem do podłogi, czuła jego twardy członek w miejscu zetknięcia jej nóg. Wystarczyło już tylko zdjąć spodnie, zadrzeć jej spódnicę i w nią wejść.

Wpatrywali się w siebie w napięciu. Czekala, bojąc się wykonać jakikolwiek ruch, prawie nie oddychając. Czuła jego rozpalenie, męski, piżmowy zapach. Wszystkie jej doznania były skupione wokół tego człowieka, jego silnego ciała, gotowego ją osiąść...

Pożądanie sprawiło, że jej piersi nabrzmiały i stały się bolesne. Przeżywała prawdziwe męki, nie mogąc wygiąć się pod nim w łuk, otrzeć piersiami o szeroki tors, mocno przywrzeć brzuchem do jego twardej męskości. Upadając, chwyciła go za ramiona, a teraz zdała sobie sprawę, że wciąż mocno go ściska. Nie mogła zmusić się do oderwania od niego rąk, a choć powinna to uczynić, myślała raczej o tym, by dotykać go i pieścić. Bała się jego i tego, czego od niej chciał, co mógł jej zrobić, a jednak jej ciało pragnęło się z nim zespolić.

- Nic ci się nie stało? - zapytał, owiewając jej twarz ciepłym oddechem.

- Nic. - Z trudem wydobyła z siebie głos. Poruszył się, uniósł na łokciach, by ułatwić jej oddychanie, lecz pochylił przy tym głowę, tak że jego usta znalazły się tuż nad jej wargami.

Gwałtownie zaczerpnął tchu i zadrzał. Pochylił głowę jeszcze niżej, wsunął palce w jej włosy, objął jej twarz i mocno przytrzymał, przygotowując się do pocałunku.

Zauważyła, że opuścił powieki, odchylił głowę i rozchylił

wargi. Pragnęła jego pocałunku, marzyła o złączeniu z nim ust, o dotyku jego warg, możliwości rozkoszowania się jego smakiem. Wiedziała jednak, że jeśli nastąpi to teraz, kiedy już leży pod nim, nie skończy się na pocałunku. Będzie to trwało, dopóki się w niej nie pograży i nie nasyci.

Zmusiła się do odepchnięcia go.

- Nie.

Powiedziała to szeptem, który jednak go powstrzymał, a przynajmniej spowodował zmianę planów. Zamiast pocałować ją w usta, delikatnie musnął wargami jej policzek, płatek ucha i szyję, wzbudzając w niej ogień.

- Ciii - wyszeptał. - Nie zrobię ci krzywdy, Bryony. Nie zrobię niczego, co by cię mogło zranić, czego nie będziesz chciała.

Przesunął wargami po jej szyi i nagle Bryony straciła opanowanie. Z jej gardła wydarł się cichy jęk, wpiła palce w jego tors i wygięła ciało w łuk, napierając na Haydena. Wydał zwierzęcy odgłos, pomruk triumfu, dotknął ręką jej szyi, piersi, a potem nakrył jej usta pocałunkiem.

Miała wrażenie, że napinają się jej wszystkie mięśnie. Westchnęła, oplatając ramionami jego szyję, przyciągając go do siebie i rozchylając wargi. Był gorący, mokry i podniecony. Kilkakrotnie obwiodł jej język swoim, wsunął go głęboko, błędząc w tym czasie rękami po jej ciele, wznecając w niej ogień, wzmagając pożądanie.

- Pragnę cię - wyszeptał jej do ucha. - Powiedz mi, że i ty mnie pragniesz.

Pragnęła go, aż drżała z pożądania, lecz kiedy dotknął jej uda i uniósł spódnicę, jakimś cudem, mimo oszołomienia natłokiem doznań, znalazła w sobie dość siły, by go odepchnąć i zatrzymać jego rękę.

- Nie. Och, Boże. Proszę, nie.

Zadrzał i boleśnie wpił palce w jej udo. Pomyślała: on nie przestanie. Boże, on się nie powstrzyma.

A jednak się powstrzymał. Głośno, chrapliwie wypuścił powietrze i pochylił głowę, dotykając jej czoła. Nie puścił jej nogi, a chyba wręcz chwycił ją jeszcze mocniej, lecz tylko zacisnęła zęby z bólu, wiedząc, że znacznie więcej kosztuje go opanowanie się w takiej chwili.

Leżała nieruchomo, napięta i przerażona, gdy jego pierwotny męski instynkt walczył z wychowaniem dżentelmena. Stopniowo opuszczało go napięcie. Uniósł głowę i popatrzył na Bryony.

Właśnie tej chwili obawiała się najbardziej. Spodziewała się, że będzie wściekły i wyładuje na niej cały swój gniew za to, że sprowokowała go, a potem odtrąciła. Tymczasem on tylko delikatnie pocałował ją w usta.

- Posłuchaj - powiedział tonem łagodnym jak pocałunek. - Nie musisz się mnie bać. Powiedziałem ci już, że nie zrobię tego, czego nie będziesz sobie życzyła, i dotrzymam obietnicy. Ale nie zmienia to moich pragnień. Pragnę cię, Bryony, i wiem, że i ty mnie pragniesz.

Chciała zaprzeczyć. Jeszcze wczoraj by jej się to udało. Nie była jednak w stanie zrobić tego teraz, po tym, jak jej ciało ją zdradziło, kiedy niespodziewanie znalazła się w jego ramionach. Popatrzyła na niego. Zawstydzona, z poczuciem winy i strachu, nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa.

Kiedy milczenie się przedłużało, a ona się nie odzywała, pochylił się i pocałował jej szyję, owiewając jej ucho ciepłym oddechem.

- Pragnę cię, Bryony. Chcę, żebyś została moją kochanką. Znieruchomiła.

- Zaopiekuję się tobą, maleńka. - Musnął językiem delikatną skórę płatka ucha i delikatnie nagryzł go zębami. - Sprowadzę inną kobietę z Fabryki, żeby pomogła ci w pracy, tak że nie będziesz już miała tak wielu zajęć. Kupię ci ładne suknie i...

- Proszę, niech pan przestanie! - Odepchnęła go z gniewnym prychnięciem, zaskakując go tak, że się odchylił i udało jej się wydostać spod niego. - Już dość! - Usiadła i zaczęła się cofać, odpychając się od podłogi rękami i nogami, dopóki nie uderzyła plecami o szafę. - Powiedziałam panu, że nie jestem dziwką, ale widzę, że pan mi nie uwierzył. Myśli pan, że skoro zostałam zesłana, to każdy mężczyzna może mnie wziąć. Otóż nie.

Usiadł, zmrużył oczy.

- Gdybym chciał cię posiąść, to, do diabła, zrobiłbym to już parę tygodni temu i dobrze o tym wiesz. Ale nie chcę cię posiąść tak po prostu. Chcę, żebyś oddała mi się z własnej woli, jako moja kochanka.

- Nie jestem dziwką.

Zauważyła, że mocno zacisnął szczęki. Wiedziała, że w ten sposób zmusza się do opanowania.

- Wiem, że nie jesteś prostytutką, Bryony.

- Naprawdę? - Gniewnie potrząsnęła głową. - Wcale nie jestem tego pewna, skoro zamierza mi pan zapłacić za dzielenie łóża ładnymi ubraniami i mniejszą ilością zadań do wykonania.

Pochylił się, niemal się kuląc.

- Nie zamierzałem traktować tego jako zapłaty - powiedział, starannie wymawiając słowa. - Mówiłem tylko, co chciałbym dla ciebie zrobić.

- Jeśli zostanę pańską kochanką.

Uniósł jej podbródek. Nie odwróciła głowy.

- Dobrze wiesz, co dzieje się między nami, kiedy tylko znajdziemy się blisko siebie. Próbowałem z tym walczyć, ale widzę, że to próżny trud. Boisz się tego, ale to niczego nie zmienia. Więc dlaczego nie mielibyśmy przyjąć tego do wiadomości i pozwolić, by to się stało?

- Dlatego, że nie jestem dziwką - powiedziała cicho.

- Do diabła! - Wyprostował się. - Chcę, żebyś została moją kochanką. Nie mam zamiaru robić z ciebie dziwki.

Wstała z wysiłkiem i cofnęła się.

- A kim jest kochanka, jeśli nie prywatną dziwką?

- Masz niewłaściwe podejście do tej sprawy, Bryony. - Postąpił krok w jej stronę. - Chcę, żebyś to przemyślała. Zastanów się nad tym.

Uniosła rękę, by go powstrzymać. Przystanął.

- Nie. Nie rozumie pan? Kiedy zostałam skazana, zabrano mi wszystko, co tylko było możliwe. Wolność. Dzieci. Dom. Ale nikt nie może pozbawić mnie mojej godności i zasad, bo one są tutaj. - Zacisnęła dłoń w pięść i przyłożyła do piersi. - Nikt nie może mi tego zabrać. - Opuściła rękę, z dłonią wciąż zwiniętą w pięść. - I nie mam zamiaru dawać ich panu. Może pan mnie wziąć gwałtem, ale nigdy nie oddam się panu z własnej woli.

Głośno westchnął.

- Nie chcę pozbawiać cię dumy ani godności, Bryony, nie

chcę też łamać twoich zasad. Chciałbym tylko sprawić ci przyjemność. Myślę, że byłoby nam dobrze ze sobą. Przemysł to.

- Nie.

Wydawało jej się, że widzi błysk złości w jego oczach, lecz wyciągnął rękę i pogładził jej szyję wierzchem dłoni.

- Przemysł to - powiedział łagodnie i zanim zdążyła drugi raz odmówić, odwrócił się i wyszedł.

Usłyszała, jak zatraskują się za nim drzwi frontowe. Opadła na łóżko, drżąc na całym ciele.

Była bardzo bliska tego, by mu się oddać. Wciąż nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Jak mogła dopuścić do tego, by tak reagować na jego obecność i pokazać mu, jak bardzo go pragnie?

Usprawiedliwiała się przed sobą tym, że to wszystko stało się zbyt szybko. Przesuwała dłońmi po ramionach, jakby nagle zrobiło jej się zimno. Właśnie. Straciła opanowanie z powodu szoku po znalezieniu się w jego ramionach, z powodu niezwykle silnego požądania, które nim zawładnęło. Nie była na to przygotowana. Następnym razem nie popełni już tego błędu.

Znieruchomiała. Następnym razem. Postanowił, że zostanie jego kochanką, a Hayden St. John nie był typem mężczyzny, który się łatwo poddaje. Na pewno będzie jakiś „następny raz”, potem następny i następny, mogła być tego pewna. A za każdym razem będzie odczuwała coraz silniejszą pokusę i będzie musiała walczyć nie tylko z nim, ale i z sobą.

Nie chciała mu się oddać. Ale to jeszcze nie znaczyło, że tego nie zrobi.

Nie wrócił na obiad.

Gideon przyszedł do domu kilka godzin później i powiedział, że pan wyjechał do Green Hills i wróci dopiero nazajutrz. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo obawiała się kolejnego spotkania, dopóki nie poczuła ogromnej ulgi po tej wiadomości.

Następnego ranka postanowiła zacząć przyzwyczajając Simona do stałych pokarmów.

Jej decyzję przyspieszyła burzliwa rozmowa z ojcem dziecka. Nie wiedziała, jak jej odmowa wpłynie na jej przyszłość w Jin-

dabyne, lecz skoro zaistniała groźba, że zostanie odesłana do Fabryki, należało jak najszybciej przyzwyczaić Simona do stałych pokarmów.

Siedziała przy stole w jadalni z Simonem wiercącym się na jej kolanach. Chłopiec włożył jedną ze srebrnych łyżeczek Laury do miseczki z lekkostrawnym kleikiem.

- Świetnie, Simon - zachęcała go. - Otwórz buzię.

Simon podejrzliwie popatrzył na nieznany produkt sztuki kulinarnej. Przyłożyła łyżeczkę do warg chłopca, malec wciągnął jej zawartość...

Po czym szeroko otworzył oczy i wydał odgłos brzmiały podejrzenie jak „ble”.

Bryony roześmiała się.

- Nie mów, że jest aż tak niedobry.

Długi cień padł na wypolerowany blat stołu.

- Jeśli ty to przyrządziłaś, to jak najbardziej może być aż tak niedobry.

Uniosłszy głowę, Bryony napotkała niewiarygodnie niebieskie oczy Haydena. Były zmrużone, kryły wspomnienia tego wszystkiego, co zdarzyło się, kiedy ostatni raz byli sami. Mówił lekkim, żartobliwym tonem, ale miał poważną minę. W jadalni zapanowało napięcie.

Podszedł do niej, zatrzymując się dopiero, gdy już prawie dotykał jej spódnicy kolanami. Zajrzał do miseczki i zmarszczył nos.

- Co to jest?

- Sproszkowany ryż zmieszany z mlekiem. - Wolała, żeby nie stał tak blisko niej. - Przyrządziłam kleik dla Simona. Nie spodziewam się, że go zje, ale pomyślałam, że może należałoby mu pokazać, że jedzenie nie musi pochodzić tylko z jednego źródła i może przybierać różne formy.

Popatrzył na jej piersi.

- A co złego jest w obecnej formie? - zapytał cicho i trochę szelmowsko.

- N...nic. - Uniosła drżącą dłoń do piersi, jakby chcąc osłonić się przed jego rozognionym spojrzeniem, lecz po chwili ją cofnęła.

Popatrzył na miseczkę z kleikiem.

- Skąd wzięłaś mleko?

- A jak pan myśli?

Nie od razu ją zrozumiał, jednak po chwili zorientował się, o co jej chodzi. Szkarłatny rumieniec zabarwił mu policzki. Popatrzyła na niego, wzruszona tym, że mężczyzna tak silny i zuchwale męski jak St. John czerwieni się na myśl o kobiecie odciągającej pokarm z piersi.

Zaniepokojona własnymi odczuciami, odsunęła miseczkę, wstała i podeszła do otwartych drzwi, by popatrzeć na wstęgę rzeki u stóp wzgórza.

Popołudniowe powietrze wydawało się ciężkie i gęste. Zanościło się na burzę. Ołowiane, groźne chmury wisiały nisko, a chłodny wiatr szeleszczący suchymi liśćmi na werandzie niósł zapach deszczu.

- Byłoby dobrze, gdyby Simon miał dostęp do krowiego mleka - powiedziała, usilnie starając się nie patrzeć na ojca dziecka. - Tak żeby z czasem mógł się do niego przyzwyczaić. Byłam zaskoczona, kiedy tu przyjechalśmy i Gideon powiedział mi, że tu nie ma mleczarni.

- Staram się zbudować stado. - Minał ją i wyszedł na werandę, gdzie zapatrzył się na dolinę i burzowe chmury.

Wyszła za nim, ale zatrzymała się w bezpiecznej odległości kilku stóp. Z niepokojem popatrzyła na ciemniejące niebo.

- Wystarczyłoby kilka krów, a mielibyśmy nie tylko mleko, ale także ser, masło, i...

Odwrócił się. Miała wrażenie, że przewierca ją wzrokiem na wskroś.

- Nikt tu nie ma pojęcia o mleczarni.

- Ja mam.

Uniósł ciemne brwi. Oparł się o kolumnkę werandy i wyjął z kieszeni cygaro. Cały czas podziwiała jego męską sylwetkę, długie, mocne, ale smukłe nogi, długie opalone palce, delikatnie obracające cygaro. Pamiętała, jak gładził nimi jej ciało. Ciska panująca między nimi była nabrzmiąta od emocji.

- Co pan o tym sądzi? - spytała w końcu.

Włożył cygaro między zęby, ale nie spuszczał z niej wzroku.

- O czym?

Wzięła głęboki oddech.

- Czy mogę mieć mleczarnię?

Zapalił cygaro.

- Zastanowię się nad tym.

Odwrociła się, przerażona natłokiem doznań, których natury nawet nie próbowała się domyślać.

- Przyszedłem tu, żeby ci powiedzieć, że jutro jadę do Sydney. - Wolno wypuścił smugę dymu. - Zabawię tam przez jakiś czas.

Poczuła dławienie w piersiach. Nie chciała, żeby był blisko niej, niepokoiła się, co się może stać, kiedy będą razem, ale teraz odkryła, że wcale nie chce, żeby wyjechał.

- Jutro? - powtórzyła, nie potrafiąc nawet dobrze ukryć przerażenia.

Pokiwał głową, patrząc na Bryony przez smugę dymu.

- Otrzymałem wiadomość. Muszę dopilnować pewnej sprawy. Pomyślałem, że ci o tym powiem, bo może będziesz chciała napisać... do kogoś list. Dopilnuję, żeby został wysłany do Anglii.

- Dz...dziękuję - wyjąkała. - Tak, bardzo chciałabym napisać list.

Wyprostował się i zeskoczył z werandy, kierując się w stronę stajni. Przystanął jednak na chwilę i obejrzał się przez ramię.

- Napisz go jeszcze dzisiaj - powiedział. - Wyjeżdżam jutro o świcie.

Coś w jego sylwetce przypomniało Bryony portret narysowany przez Laure, ukryty teraz bezpiecznie w dolnej szufladzie komody. Już sama myśl o tym zmysłowym portrecie wystarczyła, by Bryony zrobiło się gorąco i duszno. Była w stanie jedynie kiwnąć głową.

Pomyślała, że mimo wszystko może jednak dobrze się składa, iż St. John nazajutrz wyjeżdża.

16

Świeca stojąca na marmurowym blacie stolika przy łóżku dopalała się już, kiedy Bryony skończyła pisać list i sięgnęła po bibułę.

Od wyjazdu z Anglii napisała tylko jeden list do wuja Edwarda, który udało jej się wysłać z Kapsztadu. Marynarz, który nie umiał pisać, podyktował jej list do swojej matki, a w zamian za to obiecał dopilnować, by ich listy zostały wysłane. Nie była jednak pewna, czy przyrzeczenie zostało dotrzymane.

Trudno jej było napisać ten pierwszy list. Nie chciała opisywać swoich cierpień i straszliwych warunków życia na statku, więc poświęciła całą stronę Philipowi, donosząc Madeline, że ma braciszka. Prawdę mówiąc, jej list był skierowany właśnie do Madeline. Nie chciała dopuścić do tego, by córeczka o niej zapomniała. Cały czas mając przed oczami twarzyczkę córki, pisała teraz o pięknym porcie w Sydney, o barwnym upierzeniu ptaków w gałęziach eukaliptusów, o wyglądającym jak przytulanka zwierzątku, które, jak powiedział jej Hayden, nazywało się koala, a które Bryony zobaczyła śpiące w rozwidleniu drzewa.

Znacznie łatwiej było jej pisać do Madeline o czystym australijskim niebie, niż powiadamiać o ziemnym grobie, w którym spoczywał braciszek, łatwiej było opowiedzieć wujowi Edwardowi o merynosach, które tu hodowano, niż o mężczyźnie, któremu została oddana i który mógł ją wykorzystać w każdym znaczeniu tego słowa.

Zapieczerowała list i odłożyła go, po czym zdmuchnęła świecę i leżała w ciemności, myśląc o wszystkich tych sprawach, o których nie mogła napisać do nikogo.

Na przykład o tym, że czasami czuła się tak, jakby w ogóle siebie nie znała. Zmienił się nie tylko otaczający ją świat, nie tylko jej życie, ale i ona sama. Może gdyby mogła opowiedzieć komuś o dręczącym ją poczuciu winy, o przytłaczającym brzemieniu samotności i żalu, o swoim strachu, byłoby jej łatwiej.

Nie miała tu jednak nikogo. Zwinęła się w kłębek i długo płakała, aż usnęła ze zmęczenia.

Ujrzała twarz Olivera, upiornie bladą na tle niespokojnego szarego tła.

Uciekał od niej i opadał, opadał, znikał w gęstej mgle. Ktoś głośno się śmiał. Miała wrażenie, że był to jej własny śmiech. Ale wszystko źle się ułożyło, ponieważ wcale nie chciała, by spadł.

Zawołała go. Popatrzył na nią i wtedy zdała sobie sprawę, że to on się śmiał i że nie spadał sam. Miał jej dzieci... Boże, zabierał z sobą jej dzieci.

Zobaczyła zalaną łzami twarzyczkę Madeline, jej chude ramionka wyłaniające się z wirującej szarej mgły. Jednak Philip miał zamknięte oczy i wyglądał jak...

Jak martwy.

Bryony krzyknęła i pochyliła się nad przepaścią. Madeline starała się wyrwać z uścisku ojca. Słyszała wołania córeczki.

„Mamusi! Nie pozwól im mnie zabrać! Mamo, błagam! Będę grzeczna. Obiecuję, że będę grzeczna. Mamusiu...”

- Bryony!

Ktoś chwycił ją mocno za ramiona i udaremnił kontakt z Madeline. Walczyła...

- Bryony!

Otworzywszy oczy, ujrzała przed sobą potrząsającego nią Haydena.

Musiał w pośpiechu odsunąć zasłony na drzwiach. Białe światło księżyca wypełniało pokój. Hayden siedział na brzegu łóżka i trzymał ją za ramiona ciepłymi, mocnymi dłońmi.

- To był tylko sen, Bryony - powiedział miękko.

Trzęsa się tak, że aż dzwoniła zębami. Pokręciła głową.

- Nie. To była prawda.

Rozluźnił uścisk, przesunął dłońmi po jej plecach, przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił do swego ciepłego torsu.

Me w pełni zdając sobie sprawę ze swoich poczynań, Bryony przywarła do niego, wpijając palce w mięśnie jego barku. Chyba płakała, ponieważ jego tors był mokry pod jej policzkiem i miał słony smak. Gwałtowny szloch wstrząsnął jej ciałem. Uniósł rękę, znieruchomiał na chwilę, po czym dotknął nią jej głowy i zaczął delikatnie gładzić ją po włosach.

Rozluźniła się, nie wstrzymywała już łez. Znajdowała ukojenie w jego ciepłe i sile, wsłuchując się w równy rytm jego serca i ciesząc się jego pieścizotami.

- Kto to jest Madeline?

Odchyliła głowę i popatrzyła na jego mroczną twarz, napiętą podobnie jak pozostałe mięśnie jego ciała.

- Kto to jest Madeline? - powtórzył.

Zwilżyła wargi czubkiem języka.

- Madeline... Madeline to moja córeczka. - Zaczerpnęła tchu, jej pierś uniosła się gwałtownie.

Popatrzył na nią. Nie miała na sobie nocnej koszuli, a ponieważ nie zasnurowała koszulki po ostatnim karmieniu Simona, spod materiału wyłaniały się pełne, nabrzmięte piersi.

Przez chwilę zdawało się jej, że zadrżał. Gwałtownie ją puścił, wstał. Podeszedł do drzwi i oparł się o framugę.

- A Oliver? - Popatrzył na nią, odwróciwszy się przez nagie ramię.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jest rozebrany do pasa. Wprawdzie miał na sobie spodnie, ale były one zasnurowane tylko do połowy. Był bez koszuli.

- Oliver był moim mężem.

Minęło kilka sekund. Gdzieś w oddali zawył pies. Nie, to nie

był pies. Teraz wiedziała już, że to dingo. Hayden patrzył na nią z napiętą twarzą i błyszczącymi oczami.

- Powiedz mi, jak doszło do tego, że go zabiłaś.

Zamrugła i odwróciła wzrok. Podciągnęła kolana pod brodę i objęła je dłońmi.

- Proszę mnie do tego nie zmuszać - wyszeptwała.

- Muszę to wiedzieć, Bryony.

Chciała zapytać dlaczego, ale sama mogła sobie odpowiedzieć na to pytanie. Przycisnęła kolana do piersi, jakby chcąc uspokoić dziko bijące serce. W drugim końcu pokoju Simon poruszył się w kołysce.

Hayden oderwał się od drzwi i podszedł do łóżka. Popatrzył na nią, stojąc na szeroko rozstawionych nogach, z rękami złożonymi na piersiach. Była niepokojąco świadoma jego męskiej siły, jego bliskości i swej nagości pod cienką koszulą.

Ściągnął wargi.

- Powiedz mi.

- Powiem panu - oznajmiła, mając wrażenie, że ból za chwilę rozsadzi jej klatkę piersiową. - Ale nie tutaj. Nie teraz.

- Teraz.

- W takim razie nie tutaj.

Był a ciemna, chłodna noc, chmury całkowicie przesłaniały księżyc. Drzewa na wzgórzu sprawiały wrażenie niespokojnych cieni. Wyszedłszy na werandę, Bryony szczelniej otuliła się peleryną. Dookoła panowała cisza, przerywana jedynie dzwonieniem cykad i westchnieniami wiatru w gałęziach eukaliptusów. Hayden głęboko zaciągnął się dymem. Koniuszek cygara rozżarzył się, a nozdrza kapitana wypełnił ostry zapach palonego tytoniu.

Odepchnął się od słupka werandy i podszedł do Bryony. Przed wyjściem na dwór włożył buty i koszulę, nie wziął jednak peleryny. Wiatr trzepotał rękawami koszuli i smagał zimnymi podmuchami jego ciało, ale nie było mu zimno. Trawiła go wewnętrzna gorączka.

- Powiedz mi.

Nie patrzyła na niego. Odwróciła się i podeszła na skraj werandy, zapatrzona przed siebie.

- Znalazłam go... - Urwała, wzięła głęboki oddech i zaczęła opowiadanie jeszcze raz. - Znalazłam Olivera z inną kobietą. - Zakryła oczy dłońmi, jakby chcąc zasłonić obraz, który odżył w jej pamięci. - Mieszkaliśmy w domu na nadmorskiej skale. Wyszedłam wtedy na spacer i ich zobaczyłam. Byłam... - Znow zaczęła wzdychać. - Byłam wściekła. Uderzyłam go. Potem waliłam go jakimś kawałkiem drewna. Cofał się, aż spadł ze skały. Nie chciałam, żeby to się zdarzyło.

Stanała za nią. Trzęsała się na całym ciele. Nie wiedział, czy jest to reakcja na jego obecność, czy też drży ze strachu, nie wiedząc, jakie są jego zamiary.

- Bardzo go kochałaś?

Uniosła głowę. Nocny wiatr zarzucił kosmyk ciemnych włosów na jej policzek. Przełknęła z trudem ślinę. Patrzył, jak poruszają się mięśnie jej szyi, i czekał na odpowiedź.

- Kochałam go. Miałam szesnaście lat, kiedy się poznaliśmy. Był taki beztrocki, wesoły, ciągle się śmiał... a tego właśnie tak bardzo brakowało mi w domu wuja. Pomyślałam, że przy nim będę wolna, szczęśliwa. Więc uciekłam z domu i wyszłam za męża.

Wolna i szczęśliwa, pomyślał Hayden Wolna i szczęśliwa.

Wsunęła zbłąkany kosmyk włosów za ucho. Patrzył, jak wolno przesuwa dłońią wzdłuż policzka.

- Przez jakiś czas rzeczywiście byłam szczęśliwa. Och, oczywiście, miewał napady złego humoru, ale zawsze z jakiegoś powodu. A potem znow był wesoły i beztrocki. Czasami tak beztrocki, że się trochę martwiłam, ale wyśmiewał mnie wtedy... albo się złościł i zarzucał mi, że w niego nie wierzę.

Przez chwilę milczała.

- Starałam się mu ufać. Naprawdę bardzo się starałam. Ale pomalutku zaczynało do mnie docierać, że Oliver jest jak dziecko... zepsute dziecko, które nie ma ochoty dorosnąć. Musiał mieć wszystko, czego chciał... uważał, że to mu się należy. Niezależnie od tego, jakie miał długi, był zawsze przekonany, że wkrótce

z nich wyjdzie. - Jej piękne wargi wygięły się w smutnym uśmiechu. - Zdumiewało mnie to, że najczęściej rzeczywiście mu się udawało. Zawsze miał dużo szczęścia. - Jej uśmiech zbladł. - Myślę, że dlatego nie mogłam uwierzyć w to, że naprawdę nie żyje.

- To nie była twoja wina.

Odwrociła się gwałtownie z pobiełałą, ściągniętą twarzą i oczami przepełnionymi żalem. Hayden pomyślał, że nienawidzi Olivera Wentwortha za to, co zrobił tej kobiecie.

- To była moja wina - powiedziała głosem spokojnym i mocnym jak ona sama. - To był los, przeznaczenie, było w tym też sporo jego winy. Ale ja także jestem winna. Pogodziłam się z tym, a nawet nauczyłam się sobie z tym radzić. Nie mogę tylko znieść myśli, że moje dzieci ucierpiały z powodu tego, co zrobiłam.

Patrzył na nią w milczeniu, czując dławienie w piersi, spowodowane wzruszeniem i czułością. Miał ochotę wziąć ją w ramiona, ukoić jej ból i żal, sprawić, by na jej twarzy znów zagościł uśmiech. By znów poczuła się wolna.

Niestety, pragnął nie tylko tego. Chciał poczuć smak jej drżących warg, chciał pieścić jej szczupłe, białe ciało i dotykać nabrzmiałych piersi. Pragnął rzucić ją na łóżko i posiadać. I nie byłoby to łagodne zespolenie, ponieważ mimo ciepłych uczuć, jakie miał dla niej, nie kochał jej, a tylko silnie, szaleńczo jej pożądał.

Tego wieczoru był już niebezpiecznie bliski zdobycia jej w sypialni, mimo iż wiedział, że Bryony się go boi, że obawia się tego, co może zająć między nimi, że nie oddałyby mu się dobrowolnie.

Jeszcze nie.

Bardzo więc uważał, by jej nie dotykać. Był pewien, że nie skończyłoby się na pocieszcielskim tuleniu w ramionach. Głęboko zaciągnął się cygarem, lecz wydało mu się dziwnie gorzkie. Ostatnio stanowczo za dużo palił.

Przypuszczał, że działał się tak dlatego, że musiał coś zrobić z rękami, którymi chciał jej dotykać.

Kapitanie St. John!

Biegła ku niemu przez podwórze, trzymając w ręku kraj spódnicy i flanelowej halki. Zobaczył jej zniszczone buciki i grube pończochy, zakrywające kostki i łydki. Złote promienie wschodzącego słońca mieniły się ognście w jej gęstych włosach wystających spod czepka. Miała rozchylone wargi.

- Kapitanie St. John!

Zatrzymał konia. Dobiegła do niego i wysunęła rękę, w której trzymała białą kopertę.

- Mój list - wydyszała. - Powiedział pan, że zabierze mój list.

Popatrzył na jej zarumienioną twarz. Poczł żal, że musi ją zostawić i że minie sporo czasu, nim zobaczy ją znowu. Wyjął list z jej dłoni, popatrzył na kopertę.

- Sir Edward Peyton - przeczytał. Popatrzył na nią surowym wzrokiem. - Kim jest dla ciebie sir Eduard Peyton?

Cofnęła się o krok, jakby bojąc się stać zbyt blisko niego.

- Wujem.

- To ten wuj, u którego jest twoja córka?

- T...tak.

Wsunał list do kieszeni, spiął konia ostrogami i odjechał.

Nawóz! - Quincy patrzył na stertę za stajniami, wydzielającą przykrą woń. Jego piękne czarne oczy płonęły oburzeniem. - Chce pani, żebym rozrzucił nawóz?

Bryony popatrzyła na niego spokojnym wzrokiem.

- Kapitan St. John zlecił ci pomaganie mi w ogrodzie dwa razy w tygodniu.

- Ale nie mówił nic o nawozie.

- W ogrodzie potrzebny jest nawóz. - Podała mu widły. - Załaduj go na wóz, tak żebyśmy mogli rozrzucić go, zanim znowu zacznie padać.

Klatka piersiowa Quincy'ego szybko unosiła się i opadała. Bryony czuła, że chłopak ma ochotę odmówić.

Stukot kopyt o brukowaną część podwórza sprawił, że odwrócili głowy. Przy stajni zobaczyli Gideona, prowadzącego okulałego konia. Gideon zatrzymał się i rzucił Quincy'emu karcące spojrzenie. Chłopak wymamrotał pod nosem jakieś przekleństwo, którego większość czternastoletnich chłopców nawet nie słyszała, i chwycił widły.

Bryony pochuchała w zdrtwiałe dłonie i szczelniej okryła się peleryną. W ciągu ostatnich tygodni było wilgotno i zimno. Taka pogoda była charakterystyczna raczej dla angielskiej zimy; spodziewała się, że wiosna w Nowej Południowej Walii będzie ciepła i słoneczna. Długo przyglądała się Quincy'emu, by wie-

dział, że zależy jej na solidnej pracy, po czym weszła do stajni, w której Gideon rozsiadł się na swą szarą klaczkę.

- Zjawiłeś się w samą porę. - Pogładziła aksamitny pysk klaczkę. - Przez chwilę bałam się, że mi odmówi.

- Zrobiłby to, zrobił, nawet bez mnie - powiedział Gideon, zdejmując siodło. - Chciał tylko dać do zrozumienia, że przydzielono mu zadanie poniżej jego godności.

Rozprostowała kędziór na grzywie klaczkę i zawahała się. Miała ochotę zadać Gideonowi pewne pytanie. Nie potrafiła się już dłużej powstrzymać.

- Nie wiesz, kiedy wraca kapitan St. John? - zapytała jakby od niechcenia.

Gideon popatrzył na nią znad łba klaczkę.

- Nie.

Była pewna, że nie dał się zwieść. Na pewno nieraz widział, jak z nadzieją unosiła wzrok, kiedy ktoś wjeżdżał na podwórze lub kiedy rozlegały się czyjeś kroki na werandzie. Domyślała się, że czekała na St. Johna.

Odwróciła się, czując, że płoną jej policzki. Nie wiedziała nawet, co sprawiło, że tak niespodziewanie wyjechał do Sydney. Była pewna, że Gideon wie, ale brakowało jej odwagi, żeby o to zapytać.

Jakby czytając jej w myślach, powiedział:

- Przygotowanie statku do rejsu musi trochę potrwać.

Odwróciła się gwałtownie.

- Statku? Jakiego statku?

Gideon zaczął czesać konia zgrzebłem.

- „Lady Laura”. Statek przewoził węgiel do Indii i wrócił wcześniej, niż zaplanowano. Teraz kapitan zamierza wysłać go w rejs do Anglii, z ładunkiem wełny.

- To znaczy, że jest właścicielem tego statku?

- Tak. „Lady Laury” i paru innych. A kiedy tym razem przypłynie z Anglii, przywiezie moją Mary i chłopców.

- Och, Gideonie! - Zarzuciła mu ręce na szyję i mocno uściskała, uradowana. - Myślałam, że jeszcze nie zdołałeś zebrać odpowiednich funduszy na bilety.

Zdażyła się już dowiedzieć, że rząd wyznaczył limity godzin, które służący zesłańcy musieli przepracować w ciągu tygodnia, i że uczciwi panowie, tacy jak Hayden St. John, płacili swoim ludziom za dodatkową pracę. Gideon podejmował się wielu dodatkowych zajęć, wykonując wszystkie prace, od okopywania pól motyką po wypłatanie kapeluszy z liści palmowych. Lecz zarabiając około szylinga za dziesięć godzin, musiałby długo oszczędzać, by zgromadzić kwotę wystarczającą na opłacenie podróży żony i dwóch synów.

- Bo nie zdażyłem. Ale kapitan wypłacił mi resztę z góry.

Bryony przytuliła twarz do ciepłej końskiej sierści. Nikt nigdy nie ustalił żadnych norm pracy dla zesłanych kobiet służących, tak więc nie miała szans na zarobienie jakiegokolwiek sumy. Musi odbyć karę i dopiero później będzie mogła zacząć zarabiać na powrotną podróż do Anglii.

- Bardzo się cieszę, Gideonie. - Uśmiechnęła się do niego drżącymi wargami. - Naprawdę.

- Ach, Bryony... - Na jego pogodnej twarzy małego chłopca pojawił się wyraz zatroskania. - Na pewno znajdziesz sposób...

Urwał, gdyż od strony padoku dobiegł ich potężny ryk. Bryony podbiegła do wejścia do stajni i zeszywniała.

Przy stercie gnoju stał Will Carver. Jego kapeusz leżał w zrytym kopytami błocie, włosy, bokobrody i koszula były obryzgane nawozem. Nadzorca trząsał swoją wielką głową jak wściekły byk i spluwał, jakby nawóz dostał się i do jego ust.

- O cholera, panie Carver! - zawołał wesoło Quincy. - Nie zauważyłem pana. Czyżbym zrzucił część tego... nawozu na pana?

Carver odrzucił głowę do tyłu i zawył, zaciskając dłonie w pięści. Był potężnym mężczyzną, przy drobnym chłopcu prezentował się jak olbrzym.

- Ty cholerny jebako, skurwysynu! Chyba sam czort cię tu przysłał! Wiesz, co ci zrobię? Urwę ci te jaja, z których jesteś taki dumny, i rzucę je świniom na pożarcie!

Olbrzym odwrócił się, chwycił chłopca za ramię i okręciwszy go, pchnął w błoto.

Bryony puściła się pędem, ślizgając się w rozmięklej ziemi.

Rzuciła się na nadzorcę, jeszcze zanim zdążył poderwać chłopca na nogi.

- Nie! - krzyknęła, wieszając mu się na ramieniu. - Nie! To się stało przypadkiem!

Nadzorca postąpił jej mordercze spojrzenie.

- Akurat - wydyszał, odpychając ją. - Odczep się ode mnie, wywołoko!

- Nie. To jeszcze chłopiec. I dobrze pan wie, że nie wolno panu bić zesłanych służących.

To była prawda. Pan mógł bić swego wolnego służącego, a mąż mógł bić żonę. Pan mógł zamęczyć zesłańca pracą na śmierć albo przekazać go sądowi, by okaleczono go chłostą za najmniejsze przewinienie. Lecz ani panu, ani jego nadzorcy nie wolno było uderzyć skazańca.

Will Carver ścisnął nadgarstek Bryony tak mocno, że omal nie krzyknęła z bólu. Puściła jego ramię, a wtedy pchnął ją tak, że wyśladowała w błocie, po czym zbliżył się do chłopca.

- Niech pan tego nie robi - odezwał się Gideon. Pomógł Bryony wstać, lecz ani na chwilę nie oderwał wzroku od Carvera. Jego twarz pod piegami była zupełnie biała.

- Myślisz, że mnie powstrzymasz, Irlandczyku? Tak? Ha! Taki sam z ciebie kurdupel jak z niego! - Rzucił kpiące spojrzenie Gideonowi, po czym odwrócił się do niego tyłem, zacisnął tłustą dłoń na koszuli Quincy'ego i zmusił chłopca do wstania.

- Niech pan tego nie robi!

Carver odwrócił się z jadowitym uśmiechem na twarzy, lecz uśmiech zamarł na jego wargach, kiedy zobaczył Gideona trzymającego widły wymierzone prosto w jego pierś.

- Ośmielasz się mi grozić? - Jego brzydka twarz nabiegła krwią, tylko stare cięcie od szabli białało na sinym policzku. - Już ja dopilnuję, żebyś zawisł za to na szubienicy, Irlandczyku.

- Nie robi pan tego. - Bryony podała rękę Quincy'emu, bo chwiał się i wyglądał, jakby za chwilę miał upaść. - Żaden z panów tu się nie popisał. Najlepiej będzie o wszystkim zapomnieć.

Carver spojrział na nią, przeniósł wzrok na Gideona, a potem wpatrzył się w nią przekrwionymi oczami. Podniósł swój kapelus

i mocno trzepnął nim o udo, by zrzucić grubą warstwę błota i nawozu.

- Nie zapomnę tego - powiedział. - Nie zapomnę. - Wcisnął kapelusz na głowę i poszedł w stronę stodoły.

Quincy chwiał się, zachowując pozycję pionową chyba tylko siłą woli.

- To nie był przypadek - przyznał się buńczucznie.

- Wiem - powiedziała Bryony. - Ale to było bardzo nierozsądne. - Zawahała się na chwilę, po czym uśmiechnęła się promiennie. - Bardzo nierozsądne i wspaniałe.

Hayden skierował zmęczonego gniadosza na podwórze i zobaczył ją stojącą w drzwiach kuchni.

Wyglądała tak, jakby coś zbierała i trzymała w uniesionym białym fartuchu. Na odgłos końskich kopyt, kłapiących w błocie i stukających o kamienie, odwróciła się.

Miała na sobie starą brązową suknię. Nie nakryła głowy czepkiem i gęste włosy w kolorze mahoniu okalały jej twarz i spływały kędziorami na ramiona. Nawet mdłe światło pochmurnego dnia nie odbierało im blasku.

Zobaczył, że jej piękne oczy zwięziły się w oczekiwaniu i nadziei, a potem pojawił się w nich błysk rozpoznania i jej twarz rozjaśniła się radością jak opromienione słońcem pole po deszczu.

Opuściła poły fartucha, z którego wysypały się zielone liście, i pobiegła ku niemu przez podwórze. Ktoś krzyknął coś na powitanie, ale Hayden się nie odwrócił. Patrzył tylko na nią.

Zeskoczył z konia, czując dziwną lekkość w sercu, której nie doświadczał od dłuższego czasu. Bryony była taka piękna, z zaróżowionymi policzkami i rozchylonymi wargami, a on tak bardzo się za nią stęsknił... Podbiegła do niego, zatrzymując się w ostatniej chwili. Z trudem zwalczył w sobie chęć porwania jej w ramiona i okręcenia się z nią w dzikim wirze.

- Wrócił pan. - Nadal uśmiechała się promiennie, ale powróciło onieśmienie, ostrożność, zapewne spowodowane tym, co zaszło między nimi przed jego wyjazdem.

- Wróciłem - powiedział z prostotą.

Później tego wieczoru siedział na krześle na werandzie, palił cygaro i patrzył, jak Bryony wali miotłą w dywanik zawieszony na linie, którą zamocowała pomiędzy dwiema kolumnkami. Simon leżał za nim na kocu i głośno chichotał, uszczęśliwiony, bawiąc się sznurem kolorowych grzechotek, które Hayden przywiózł z Sydney.

Niebo wciąż było zachmurzone, ale z północy wiał ciepły wiatr, zapowiadający zmianę pogody. Hayden przesunął krzesło i wypuścił tytoniowy obłoczek, patrząc, jak dym rozwiewa się w powietrzu. Stęsknił się za tymi spokojnymi chwilami z synem.

I za Bryony.

Znów na nią spojrział. Wciąż miała w rękach miotłę, ale stała nieruchomo i patrzyła na niego.

Spuściła wzrok i walnęła miotłą o dywanik tak mocno, że omal nie spadł z linki.

- Simonowi bardzo podobają się te grzechotki, które mu pan przywiózł.

- Tak - powiedział, przyglądając się rytmicznemu kołysaniu jej bioder przy trzepaniu dywanu.

Miał nadzieję, że znów na niego spojrzy, ale się tego nie doczekał.

- Przywiozłem też coś dla ciebie - powiedział w końcu.

Odwróciła głowę i rozchyliła wargi, zaskoczona.

- Naprawdę? Co to jest?

Popatrzył na jej pięknie wykrojone usta i ogarnęło go silne pożądanie. Pragnął jej.

Boże, aż drżał z ochoty. Spędził prawie miesiąc z dala od niej, próbował zaspokoić swoje żądze z innymi kobietami, ale to niczego nie zmieniło. Wciąż jej pragnął.

Jeśli wkrótce mu się nie odda, chyba umrze z niespełnienia.

- Pokażę ci - powiedział.

Bryony po raz ostatni z całej siły trzepnęła miotłą w dywan. Usłyszała odgłos odsuwanego krzesła. Hayden wstał. Słyszała,

jak wszedł do domu, zostawiając otwarte drzwi, i bez oglądania się za siebie wiedziała, kiedy wrócił; tak silnie reagowała na jego obecność. Miała wrażenie, że między nimi przeskakuje potężna, niebezpieczna iskra.

Odstawiła miotłę i odwróciła się. Stał za nią, trzymając jakąś paczkę owiniętą w brązowy papier. Uśmiech pogłębił zmarszczki mimiczne na jego twarzy, tak że wyglądał niemal chłopięco.

Wyciągnęła ręce, ale nie podała jej paczki, tylko uśmiechnął się szerzej.

- Musisz najpierw skończyć trzepanie dywanu.

- Już skończyłam. - Wyrwała paczkę z jego rąk. - Co to jest? - zapytała. Przysiadła na skraju werandy i odwinęła papier. Ręce trzęsły jej się z emocji.

- To suknia. Jestem ci jedną winien, pamiętasz?

Znieruchomiała na wspomnienie pierwszego dnia, w którym zdarł z niej suknię. Przypomniała sobie szum deszczu, bębnienie kropel o dach i syk mokrych drzew w kominku. Pamiętała jego długie, szczupłe palce zaciskające się na jej staniku i rozrywające suknię, a potem dotyk jego dłoni, rozpalonych i groźnych.

Opadły ją również i inne wspomnienia. Przypomniała sobie ciężar jego ciała na swoim, smak i natarczywość jego warg, zmuszających ją do rozchylenia ust, mrowienie i rozkoszny ból w dole brzucha. Przeżazona, oderwała się od tych myśli i skupiła na rozpakowywaniu podarunku.

Zobaczyła suknię. Nie była to jednak robocza suknia dla służącej, tylko elegancka suknia damy, uszyta z delikatnego beżowego muślinu, z ciemnozielonymi kokardami na bufiastych rękawach i wysokim stanie. W paczce były również pantofelki, miękkie, ciemnozielone trzewiki, delikatne przezroczyste pończochy oraz halka i koszulka z batystu.

Upłynęło już wiele czasu, odkąd mogła cieszyć się tak wspańnymi, pięknymi ubraniami, że przycisnęła je do siebie, uszczęśliwiona.

- N...nie wiem, co mam powiedzieć.

- Włóż je.

Popatrzyła na niego. Przystał się uśmiechać. Miał napiętą

twarz, jego oczy pałały. Wyglądał wręcz groźnie. Usłyszała, jak mężczyźni mieszkający w chatach krzyczą coś do siebie. Rozległ się śmiech, po czym drzwi którejś chaty zamknęły się z trzaskiem. Szybko zapadał zmierzch. Drzewa gumowe nad rzeką majaczyły w oddali, mroczne i tajemnicze. Byli sami, a wkrótce miała zapasć noc. Popatrzyła na ubrania. Ogarnął ją strach i gniew.

- Dlaczego pan mi to kupił?

Zmrużył oczy.

- Panowie są zobowiązani do kupowania ubrań swoim służącym.

Wolno pokręciła głową.

- Nie tego rodzaju ubrań.

- Co sobie pomyślałaś? - zapytał surowym tonem. - Że kupiłem ci to wszystko, żeby cię przekupić? Skusić, żebyś została moją kochanką?

Właśnie tak myślała. Przez chwilę wpatrywała się w niego z przerażeniem w oczach. Otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale się nie odezwała. Znów wytworzyło się między nimi napięcie.

Oparł się o kolumnkę werandy i zapatrzył na wstęgę rzeki wijącą się pomiędzy ciemnymi drzewami. Bryony zauważyła błysk ognia i zdała sobie sprawę, że zapalił kolejne cygaro. W ciszy słyhać było, jak wydmuchuje dym. Oboje zapatrzyli się na smugę dymu unoszącą się na tle wieczornego nieba.

- Nie kupiłem tego z tych powodów, Bryony - powiedział. Odwrócił się i spojrział na nią. W gęstniejącej ciemności jego oczy były tylko ciemnymi punkcikami i nie potrafiła wyczytać z nich żadnych emocji.

- W takim razie dlaczego pan to zrobił? Bo było panu mnie żal? Nie potrzebuję pańskiej litości.

- To nie litość. To... - Głęboko zaciągnął się cygarem. - Och, do diabła! - Wypuścił cienką smuzkę dymu. - Tak rzadko się uśmiechasz. Chciałem dać ci coś, co wywoła uśmiech na twojej twarzy.

Zupełnie nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Jego słowa głęboko ją wzruszyły.

Przyjęła suknię, ale nie była w stanie zmusić się do jej włożenia.

Dwa dni później zaskoczył ją, proponując, że zbuduje dla niej mleczarnię.

Była w kuchni i rozgrzewała żelazko, by wyprasować koszulę, kiedy usłyszała, że ją woła. Szybko wytarła dłonie w fartuch, podeszła do drzwi i stanęła jak wryta.

Stał w kręgu światła popołudniowego słońca. Podwinął rękawy koszuli na mocnych, opalonych ramionach, odchylił kapelusz do tyłu. Niewiarygodnie niebieskie oczy błyszczały z emocji.

Przyrowadził brązową krowę na postronku. Na widok Bryony krowa zadarła głowę i zaryczała: muuuuu!

- Zanim zadam sobie trud, by wybudować ci mleczarnię - powiedział, opierając dłonie o biodra - chcę się przekonać, że sobie poradzisz.

Przyjęła wyzwanie.

- Proszę ją przywiązać, a ja zaraz przyniosę stołek i wiadro.

Potrzebne jej przedmioty znajdowały się w kuchni, ale musiała umyć wiadro, tak że wróciła dopiero po kilku minutach. Uwiązał krowę i skrępował jej nogi, po czym oparł się o ceglany mur kuchni i skrzyżował ręce na piersiach. Stał w swojej charakterystycznej pozycji, z biodrami lekko wypchniętymi do przodu.

- Gdzie jest jej cielę? - zapytała, stawiając stołek przy boku zwierzęcia. Krowa odwróciła łeb i popatrzyła na nią podejrzliwie.

- W zagrodzie za stodołą.

Postawiła wiadro na ziemi pomiędzy tylnymi nogami krowy. Zwierzę kopnęło wiadro, lecz natychmiast je podniosła.

- Czy ktoś kiedykolwiek doił tę krowę?

- Tak. - Uśmiechnął się. - Postanowiłem być dla ciebie miły.

Bryony chwyciła wymię. Krowa zastrzygła uszami.

Rozległ się odgłos uderzeń strumienia mleka o wiadro. Bryony już dawno nie doiła krowy, a poza tym nigdy nie robiła tego regularnie, udało jej się jednak wykonać zadanie. Odetchnęła z ulgą, kiedy wiadro było pełne i mogła wstać.

Przyłożyła dłonie do kręgosłupa i wygięła plecy. Po chwili zdała sobie sprawę, że w tej pozycji jednocześnie wypina piersi.

Natychmiast opuściła ręce. Hayden zdążył już jednak popatrzeć rozplamionym wzrokiem na stanik jej szarej roboczej sukni.

- W magazynie zauważyłam odstojniki i cedzidło - powiedziała, wzmagając czujność. - Gdyby mógł pan kogoś posłać...

- Sam je przyniosę - powiedział niemal ostrym tonem i odszedł.

Stała na werandzie, rozlewała mleko do odstojników i nakrywała je wilgotnymi ściereczkami, kiedy wrócił Hayden, odprowadziwszy krowę do obory. Oparł się o kolumnę werandy i patrzył na Bryony.

- Gdzie bratanica sir Edwarda Peytona nauczyła się doić krowy?

- Nauczyłam się od matki - powiedziała, nie patrząc na niego. - Mój dziadek miał kawałek ziemi, ale mama zaczynała jako pomoc kuchenna. Mama zawsze powtarzała, że na tym świecie ludzie mają dobre i złe okresy w życiu i powinnam być przygotowana na różne sytuacje. Proroctwo słowa, prawda?

Zamyśliła się na chwilę.

- Wuj nie chciał, żeby mój ojciec się z nią ożenił, mimo że dostała cały majątek po swoim ojcu. - Starannie wygładziła ściereczkę na jednym z pojemników. - Uznał, że jest niegodna Peytona z Peyton Hall, oficera Królewskiej Marynarki.

Hayden patrzył na jej dumnie uniesioną głowę.

- Ale jednak się z nią ożenił.

- Tak.

- Musiał ją bardzo kochać.

Znieruchomiała.

- Tak, bardzo ją kochał. Ich miłość... cudownie było ich obserwować. Chyba żadne z nich nie potrafiłoby żyć bez drugiego, więc może to dobrze, że... - Przełknęła z trudem ślinę. - Oni razem utonęli. Kiedy miałam trzynaście lat.

Patrzył na jej lekko zadarty nos, zaróżowione policzki, zmysłowe wargi.

- Czy jesteś do niej podobna?

- Do mamy? - Uniosła wzrok.

- Tak.

Popatrzyła w jego oczy i natychmiast odwróciła wzrok, spłoszona.

- Odziedziczyłam po niej cerę i włosy. Ale czy jestem do niej podobna... Nie wiem. Była bardzo piękna. I pełna życia. Zawsze myślałam, że promienieje radością życia. - Jej wargi wygięły się w smutnym uśmiechu. - To mama dała mi imię Bryony. Kochała biały i czarny przestęp, rośliny dziko rosnące koło żywopłotów w Konwalii. Mówiła, że dała mi to imię, ponieważ urodziłam się, kiedy owocowały, a chciała, żebym była wolna i piękna jak te przydrożne pnącza.

Głos lekko jej się załamał. Odwróciła się od odstożników i podeszła na skraj werandy. Zapatrzyła się na okrywające się purpurą górskie szczyty w oddali.

- Wuj nie cierpiał mojego imienia, tak jak nie znosił mojej mamy. Kiedy moi rodzice umarli i musiałam z nim zamieszkać, mówił, że jestem jak dzika koza, którą trzeba poskromić. Robił, co tylko mógł, żeby mu się to udało.

Hayden podszedł do niej, walcząc z chęcią wzięcia jej w ramiona i ukojenia bólu.

- Ale mu się nie udało - powiedział cicho.

Odwróciła się.

- Nie. - Wieczorny wiatr uniósł jej mieniący się ogniście ciemny kosmyk włosów i zatrzepotał nim o jej pobladłą twarz. - Trzeba było do tego małżeństwa i więzienia.

Wsunął zbłąkany kosmyk włosów za jej ucho.

- Nie - powiedział i delikatnie pogładził ją po policzku. - Twoje imię wciąż doskonale do ciebie pasuje.

18

Prace przy budowie mleczarni rozpoczęły się nazajutrz wczesnym rankiem.

Kiedy zmywała naczynia po śniadaniu, mężczyźni już kopali dół pod fundamenty. Ze względu na upały, panujące latem w Nowej Południowej Walii, połowa mleczarni miała znajdować się pod ziemią, a ściany z bali miały być wzmocnione warstwą gliny grubą na dwie stopy.

Przez cały dzień co jakiś czas Bryony patrzyła, co dzieje się na budowie. Kiedy po południu Simon zasnął i wyszła na dwór, zobaczyła, że Hayden dołączył do mężczyzn pracujących przy kładzeniu kory na dachu w warstwę izolacyjną o grubości czterech stóp.

Miał na sobie tylko koszulę i spodnie. Biały materiał, ciemny od potu, przywarł do ciała, opinając mięśnie. Wilgotne kędziory opadały mu na kark. Nawet ciemne włosy na odsłoniętych przedramionach błyszczały od potu.

Na chwilę przerwał pracę, by zdjąć kapelusz i wierzchem dłoni otrzeć pot z czoła. Światło słoneczne błyszczało na jego ciemnych włosach i odbijało się od kropelki potu spływającej mu po policzku.

Był wysoki, silny i tak bardzo męski, że patrząc na niego poczuła niemal bolesne pragnienie. Stała pod gorącym australijskim słońcem, obserwując go, świadoma reakcji swego ciała, obrzmienia piersi i wrażliwości skóry. W tej chwili była w cał-

kowitej zgodzie ze sobą, doskonale zestrojona z całym światem, z Haydenem... pragnęła go tak bardzo, że żałowała, iż nie ma innego charakteru, że nie jest kobietą, która z radością, bez oporów zostałaby jego kochanką. Kobieta, która nie ma pojęcia o dumie i zasadach, za to dobrze zna pożądanie i powolne, rozkoszne cieszenie się pogrążonym w niej głęboko mężczyzną.

Nagle odwrócił się, opuścił rękę i popatrzył na Bryony.

Ich spojrzenia się spotkały. Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie. Potem wolno unióś kapelusz i włożył go na głowę. Szerokie rondo zasłoniło jego oczy, tak jakby chciał schować przed nią swoje myśli i uczucia.

Patataj, patataj, pojedziemy w piękny kraj... - Bryony delikatnie podrzuciła Simona na kolanach. Zaśmiał się, zachwycony. Kolejny podskok skwitował głośnym zaczerpnięciem powietrza w rozbawieniu. Tym razem również Bryony się roześmiała. - Patataj, patataj...

Urwała usłyszawszy jakieś krzyki dochodzące z podwórza. Zdążyła już dobrze poznać codzienne odgłosy w gospodarstwie. Coś się musiało stać.

Uniosła Simona, oparła go o biodro i wyszła na werandę.

Will Carver wpadł na podwórze na swym dużym siwym koniu i gwałtownie się zatrzymał. Za koniem, na krótkim sznurze przymocowanym do siodła, co chwila się potykając, biegł związany mężczyzna. Kiedy nadzorca zatrzymał się, mężczyzna upadł.

Bryony usłyszała stukanie butów o kamienne płyty werandy. To St. John wyszedł z domu. Zdążył się już umyć i przebrać, ale jego czysta koszula była jeszcze rozpięta, a włosy opadały wilgotnymi kędziorami na opaloną szyję.

- Co się stało, Will? - zapytał, zapinając koszulę.

- Ano to. - Carver odwiązał jakieś zawiniątko wiszące u siodła i wyciągnął z niego żelazny pręt z literami Q&J na końcu. - Przyłapałem go na gorącym uczynku, kapitanie. Rozpalił już ognisko, a jeden z pańskich cielaków miał związane nogi. Był z nim jeszcze drugi. Udało mu się uciec, ale wcześniej go rozpoznałem.

Hayden podszedł do mężczyzny leżącego na ziemi. Bryony widziała go już kilka razy, zazwyczaj w towarzystwie Quincy'ego, ale nie znała go bliżej.

- Jennings - powiedział St. John, patrząc na mężczyznę tak groźnym wzrokiem, że Bryony przeniknęła zimny dreszcz. - Czy masz coś na swoją obronę?

Mężczyzna wstał. Jego pierś unosiła się w rytm ciężkich oddechów. Był tak zakrwawiony, że Bryony nie byłaby w stanie stwierdzić, gdzie znajdują się rany.

- Nie mam nic do powiedzenia na swoją obronę, kapitanie - wydyszał z trudem.

- Nie zaprzeczasz oskarżeniu?

- Nie zaprzeczam.

Nastąpiła chwila ciszy, w czasie której nikt ze zgromadzonych na podwórzu nie odezwał się ani słowem. Hayden zwrócił się do nadzorcy.

- Zamknij go w areszcie. Jest już za późno, żeby jechać z nim do Green Hills. - Powiódł wzrokiem po twarzach mężczyzn stojących przed chatami. - Gideon, weź kilku ludzi, odwieźcie go do aresztu i dopilnujcie, żeby się umył. McDuff i Butler, weźcie konie i jedźcie z Carverem na poszukiwania tego drugiego.

- Dopadniemy sukinsyna, kapitanie. - Carver splunął na ziemię.

Hayden popatrzył na Carvera wymownym wzrokiem.

- Masz tylko go tu przywieźć, Will. Żywego.

Dwaj mężczyźni wymienili spojrzenia, które Bryony zaczynała już rozumieć. Nadzorca skierował konia w stronę stajni.

- Tak, proszę pana.

Bryony zbiegła ze schodów, ogarnięta dziwnym przeczuciem.

- Kto to jest? - zapytała. - Kim jest ten drugi mężczyzna?

Przez chwilę miała wrażenie, że Hayden jej nie odpowie, lecz po chwili odwrócił się, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z jej obecności.

- Quincy. Tym drugim mężczyzną jest Quincy.

Will Carver nienawidzi Quincy'ego. Dobrze pan o tym wie. Jak pan może mu wierzyć? - zapytała.

Hayden siedział przy biurku i naprawiał pióro. Noc była wyjątkowo ciepła i parna, więc miał na sobie tylko spodnie. Lampa naftowa oświetlała połowę jego twarzy, pozostawiając drugą w cieniu.

- To nie jest kwestia zaufania do Carvera - odpowiedział. - Czego ode mnie chcesz, Bryony? Mam zabrać cię do magazynu, żebyś mogła to usłyszeć sama od Quincy'ego? On temu nie zaprzecza.

Zawahała się, stojąc z ręką opartą o framugę drzwi jego pokoju. Simon już spał, w domu panowała cisza. Zazwyczaj unikali przebywania w swoim towarzystwie po zachodzie słońca, lecz tego wieczoru napięcie pomiędzy nimi było pełne gniewu i chłodu.

Niespokojnie poruszyła palcami w kieszeni fartucha, ale ani na chwilę nie opuściła wzroku.

- Co pan ma zamiar z nim zrobić?

Ostrożnie odłożył pióro, wstał i podszedł do niej.

- Jutro zabieram ich do Green Hills, do sądu. A dlaczego o to pytasz?

Poczuła ściskanie w żołądku.

- Powiedział mi pan, że nie karze chłostą swoich służących. Zatrzymał się tuż przed nią i przyjrzał się jej badawczo.

- Tym razem nie chodzi o zbiegłą świnię ani nawet o kozę, z której ktoś bezprawnie zrobił sobie obiad. Rozumiesz, o co tu chodzi? Jenningsowi w przyszłym roku kończy się kara. Zamierza wykorzystać moje cielęta i jagnięta do założenia swojego stada. Ci mężczyźni...

- Quincy nie jest mężczyzną. Jest jeszcze chłopcem.

Stał tak blisko, że widziała cień jednodniowego zarostu na jego policzkach i zmarszczki mimiczne od śmiechu, pamiątkę wielu szczęśliwych lat spędzonych z Laurą. Odwróciła wzrok.

- Quincy jest wystarczająco dojrzały, żeby napytać sobie dużych kłopotów.

- Ale...

Gwałtownie się odwrócił i rzucił jej spojrzenie, które odczuła

jak cios pięścią w żołądek. Widziała szybko bijący puls w zagłębieniu jego szyi. Opanowywał się z najwyższym trudem.

- Już dość, Bryony.

- Ale...

Jego oczy zaiskrzyły się złością.

- Dosyć!

Poczuła dławienie w gardle. Był silny, nieprzystępny, bywał też bardzo okrutny. Patrząc na jego twarz oświetloną ciepłym, żółtym światłem lampy, pomyślała, że potwornie go nienawidzi.

Rano Bryony nie była w stanie patrzeć na wyjazd St. Johna z mężczyznami. Czekwała, aż odgłos kół wozu i końskich kopyt umilkł w oddali, po czym weszła do salonu i sięgnęła po harfę Laury. Chociaż muzyka trochę ją uspokoiła, nie przyniosła prawdziwego ukojenia, postanowiła więc zająć się pracą w ogrodzie Laury. Spędziła tam cały dzień.

Sadziła właśnie lawendę, kiedy przywieziono Quincycy'ego i Jenningsa. Wstała i drżącą dłonią strzepnęła ziemię ze starej sukni. Starła się nie śpieszyć, ale kiedy na podwórzu zobaczyła tylko Haydena St. Johna na dużym gnidoszu i Willa Carvera powożącego, jak jej się wydawało, pustym wozem, puściła się pędem.

Była już w połowie podwórza, kiedy Gideon chwycił ją i odwrócił twarzą do siebie.

- Nie patrz tam, Bryony.

- Dlaczego mam nie patrzeć? - Chwyciła go za koszulę. - O Boże, Gideon! Co on im zrobił? Gdzie oni są?

- Leżą w wozie.

- W...

Odwróciła się. Paru mężczyzn wynosiło dwa bezwładne ciała z wozu. Z początku zdawało jej się, że Quincy i Jennings zostali powieszani, ale śmierć na szubienicy nie powodowała potwornych obrażeń i była stosunkowo szybka, tymczasem ci mężczyźni musieli wiele wycierpieć i byli straszliwie zmasakrowani. Ich ubrania były ciemne i sztywne od krwi.

- Puść mnie, Gideonie -poprosiła stanowczym, opanowanym głosem.

Uwolnił ją. Powoli, z uniesioną głową, przeszła przez podwórze, przyciskając jednak dłonie do brzucha, by powstrzymać mdłości.

Hayden podał wodze konia jednemu ze swoich ludzi. Miał nieobecny, napiętą twarz, chłodny wzrok. Był dla niej kimś obcym, odstręczającym.

Podeszła do niego.

- Kazał ich pan wychłostać.

Zacisnął szczęki.

- Tak.

- Ile razy? Ile dostali batów?

- Jennings dostał trzysta.

Drgnęła, jakby jeden z tych razów spadł na jej plecy.

- A Quincy?

Zamierzał odejść, ale chwyciła go za ramię.

- Ile dostał Quincy?

Czuła jego twarde mięśnie pod rękawem eleganckiego surduta. Miała wrażenie, że trzyma gorący koniec żelaznego pręta Jenningsa do cechowania bydła. Powoli się odwrócił i popatrzył na nią karzącym, gniewnym wzrokiem. Puściła jego ramię.

Pochylił się jednak nad nią. Był tak blisko, że miała wrażenie, iż za chwilę przewierci ją rozszardzonym wzrokiem.

- Idź do domu. Natychmiast.

- Ile...

Mocno chwycił ją za ramiona.

- Nie jesteś moją żoną, Bryony - powiedział cichym, lecz groźnym tonem, który zabołał ją bardziej niż żelazny uścisk. - Nie jesteś nawet moją kochanką, chociaż wątpię, czy jest tu jakiś mężczyzna, który tak nie uważa. Nie masz prawa o nic mnie wypytywać, nie mówiąc już o kwestionowaniu moich decyzji. A teraz jazda do domu.

Puścił jej ramiona, odwrócił się gwałtownie i odszedł. Znieruchomiła. Po chwili zmusiła się do odwrócenia się i powoli, sztywno, z uniesioną głową ruszyła w stronę domu.

Przełknęła ślinę, starając się opanować ból i gniew.
Dopiero na werandzie poczuła gorące łzy na policzkach.

Quincy dostał siedemdziesiąt pięć batów.

Powiedział jej to w końcu Gideon, kiedy tego wieczoru przyszedł do kuchni, by przynieść wodę i drzewo.

Ugniatała właśnie ciasto na podpłomyk dla St. Johna. Zesztywniała, czując się, jakby jakaś istotna jej część została jej zabrana.

Gideon przez chwilę przyglądał się jej spokojnie.

- Nie masz racji, Bryony... nie rozumiesz.

Walnęła pięścią w ciasto, żałując, że nie jest to surowa, urodziwa twarz Haydena St. Johna.

- A skąd wiesz, co myślę?

- Myślisz, że kapitan niczym nie różni się od innych... takich jak sir D'Arcy Baxter.

- Bo się nie różni!

- Tak uważasz? Bryony, gdyby Jennings i Quincy należeli do Baxtera, już by nie żyli... albo byłiby w drodze do karnej kolonii, takiej jak ta na wyspie Norfolk, a życie tam, zdaniem wielu ludzi, jest gorsze od śmierci.

- To sąd, a nie pan, wydaje wyrok.

- Oczywiście. Ale jak myślisz, dlaczego kapitan sam pojechał do Green Hills, a nie wysłał ich do sądu z Willem Carverem?

Wzruszyła ramionami.

- Chciał zyskać pewność, że sąd nie każe ich powiesić. I tylko dzięki niemu ci dwaj leżą teraz w swojej chacie, lecząc plecy, a nie owinięci korą, na dnie jakiegoś bezimiennego grobu.

Włożyła podpłomyk do piekarnika i postawiła go na rozżarzonych węglach.

- W ogóle nie musiał wysłać ich do sądu - powiedziała, rzucając płonące węgle na pokrywę.

- Tak? A co miał zrobić? Pozwolić, żeby wszyscy, którym przyjdzie na to ochota, kradli jego krowy i owce?

- Do diabła, Quincy ma zaledwie czternaście lat. Nie jest

doroślým męzczyzną. Nie obchodzi mnie, ile cieląt ocechował ani ile uwiódł słuźących - dodała, podnosząc koszyk, do którego zbierała rośliny na sałatkę. - To tylko chłopiec.

Gideon otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale w końcu pokręcił głową w odwiecznym geście męskiej bezradności wobec kobiecego sposobu myślenia.

Hayden wygodnie rozsiadł się w swoim krześle na honorowym miejscu przy stole, rozprostował nogi, rozpiął kamizelkę i sięgnął po kryształowy kieliszek. Wypił łyk i oparł dłoń z kieliszkiem o udo. Otwarta butelka porto, stojąca na stole, była już prawie pusta.

Pokój pogrążony był w mroku. Hayden nie zapalił świec, które Bryony postawiła na stole. Jedyne źródło światła stanowiły łagodne promienie zachodzącego słońca, sączące się do wnętrza przez koronkowe firanki na oszklonych drzwiach.

Odwrocił głowę, usłyszawszy pisk zaskoczenia. Bryony gwałtownie zatrzymała się tuż za progiem. Nie odważyła się wcześniej przyjść i sprzątnąć ze stołu, czekała, aż zapadnie zmierzch. Przypuszczała, że nie chciała go tu zastać.

Stała z ramionami splecionymi na piersiach i popatrzyła na niego jak na straszliwego potwora. Jej podkrążone oczy wydawały się bardzo ciemne w zbielełej twarzy.

Przyglądał się jej długo i natarczywie, po czym uniósł kieliszek i opróżnił duszkiem.

- Jestem źle wychowany - powiedział, obracając w palcach pusty kieliszek. - Powiniennem być już zwolnić pokój.

Nie odezwała się. Wlał pozostałe w butelce wino do kieliszka i powoli objął Bryony wzrokiem. Miała na sobie brązową roboczą suknię. Fartuch, związany w szczupłej talii, był poplamiony wodą, w której zmywała naczynia, a czepek słuźącej skrywał piękne włosy.

Zmarszczył czoło.

- Dlaczego zawsze nosisz te szpetne czepek?
- Ponieważ mi pan kazał.

Czyżby? To było bardzo nierozsądne posunięcie z jego strony.

- W takim razie przestań je nosić.

- Tak... proszę pana - powiedziała, ale nie zdjęła go.

Powoli wstał, z kieliszkiem w rękę. Cofnęła się w stronę drzwi. Wybuchnął gorzkim śmiechem.

- Czy ty naprawdę myślisz, że mam zamiar zrobić ci krzywdę?

Oddychała szybko, z wysiłkiem. Patrzył na jej unoszące się i opadające piersi, żałując, że nie jest mężczyzną, za jakiego najwyraźniej go uważała, gdyż wtedy mógłby z nią zrobić to, na co miał ochotę.

Powoli pokręciła głową.

- Nie wiem. Nie wiem, do czego jest pan zdolny.

Zaklął siarczyście i podszedł do okna. Podwórze było ciche i puste w gasnącym świetle dnia.

Wcale nie był dumny z tego, co zrobił dzisiejszego dnia, ale nie miał zamiaru się do tego przyznawać ani jej, ani nikomu innemu. Chociaż nienawidził kary chłosty, stanowiła ona część systemu, w którym żył. Jeśli miał panować nad zbieraniną złodziei, rozbójników i irlandzkich buntowników, nie mógł rezygnować z tego rodzaju kary, skoro popełnione zostało przestępstwo, za które zwyczajowo ją stosowano. Zadbał o to, by jego ludzie otrzymali jak najłagodniejszy wyrok, i o to, by smagano ich najstarszą z dostępnych dyscyplin. A potem był świadkiem, jak wymierzano karę, widział każdy cios.

Uniósł kieliszek i wypił wino. Miał wrażenie, że splukuje tym metaliczny zapach krwi, który go przepełniał. Kiedy opuścił kieliszek i obejrzał się za siebie, Bryony nie było już w pokoju.

Rano wyjechał z domu bez śniadania. W drodze na pole pogryzał suszoną wołowinę. Bryony zrobiła swoje pierwsze masło i ser, ale nie potrafiła się tym cieszyć. Nie wiedziała też, czy kapitanowi smakowały nowe produkty, ponieważ ze sobą nie rozmawiali.

Wieczorami stał na werandzie, palił cygaro i wpatrywał się w dolinę, a ona stawiała obiad na stole i szybko wychodziła

z jadalni. Po obiedzie zmywała naczynia na werandzie, mając za towarzysza jedynie Simona. Starła się sobie wmówić, że wystarcza jej radosne dziecięce gaworzenie dobiegające z wyłożonej kocem skrzyni i że nie brakuje jej niepokojącej obecności ojca malca.

Jednak leżąc w łóżku wieczorami i wsłuchując się w stukot jego butów na kamiennych płytach werandy, kiedy wracał z obchodu stajni, nie miała wątpliwości, że sama się oszukuje.

Przesunęła dłonią po prześcieradle, mając wrażenie pustki w ogromnym łóżu, dojmująco odczuwając swą samotność. Od dnia, w którym go poznała, wiedziała, że jest człowiekiem zdolnym do okrucieństwa. A chociaż nie mogła znieść myśli o tym, co zrobił, rozumiała, że musiał tak postąpić.

Codziennie rano posyłała dzban świeżego mleka do chat, dla Jenningsa i Quincy'ego. Tego wieczoru Quincy sam odniósł dzban.

Wciąż był blady i poruszał się z wystudiowaną ostrożnością osoby, która wie, że szybko pożałuje każdego szybszego lub śmielszego ruchu. Bryony była bardzo zaskoczona odkrywszy, że Quincy nie ma do kapitana żalu o chłostę. Wprost przeciwnie, był mu głęboko wdzięczny za to, że uchronił go od szubienicy, na którą, jak uważał, zasłużył sobie swoim przewinieniem. A kiedy wyraziła przekonanie, że nie należy karać chłostą nastolatka, dosłownie się na nią wściekł.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Że nie jestem mężczyzną? Że nie potrafię znieść chłosty? Co sobie myślisz? Że krzyczałem? Nie krzyknąłem ani razu. Zachowałem się jak mężczyzna. Kapitan dobrze wie, że jestem mężczyzną, nawet jeśli ty nie wiesz. - Wyrzuciwszy z siebie te słowa, wykuśtykał z kuchni, zostawiając ją z absurdalnym z pozoru podejrzeniem, że jest dumny z powodu ran na swoich plecach.

Żyła w dziwnym świecie mężczyzn. Nie rozumiała go, a pod wieloma względami jej się nie podobał. Obróciła się na bok i wpatrzyła w drzwi garderoby dzielącej sypialnie.

„Nie masz prawa o nic mnie wypytywać”.

Powiedział to cichym tonem, tak żeby mężczyźni zgromadzeni

na podwórzu nie słyszeli jego słów. Wszyscy jednak przerwali swoje zajęcia, by obserwować, co się dzieje. Aż się wzdrygnęła na wspomnienie tego upokorzenia.

Pomyślała, że na pewno nigdy nie potraktowałby tak Laury. No ale Laura była prawdziwą damą. Nigdy nie pozwoliłaby sobie na to, by przeciwstawić się mężowi na podwórzu, na oczach innych mężczyzn. Prawdopodobnie Laura w ogóle nigdy nie przeciwstawiła mu się w żadnej sprawie.

„Nie jesteś moją żoną, nie jesteś nawet moją kochanką”. Jego słowa były jak sztylet wymierzony prosto w jej serce. Nie, nie była jego żoną i nie chciała zostać jego kochanką. Nie miała do niego żadnych praw. Była po prostu jego służącą.

Służącą, która popełniła głupi, niebezpieczny błąd - zakochała się w swoim panu.

Bolesny szloch wydarł się z jej piersi, kiedy uzmysłowiła sobie, że w końcu ujawniła tę straszliwą prawdę przed samą sobą. Już samo pożądanie byłoby wystarczająco fatalne, jak jednak mogła dopuścić do tego, by się w nim zakochać? W pełni zdawała sobie sprawę, że to nie ma sensu. Nigdy nic nie wyniknie z tej miłości. Mężczyźni tacy jak Hayden St. John nie żenią się ze skazanymi kobietami.

A Bryony nigdy nie zostanie niczyją kochanką.

Jlrewniana chata stojąca na środku poręby prażyła się w południowym słońcu. Roje owadów unosiły się w upalnym powietrzu. Czarne papugi krzyczały coś do niej z potężnego białego eukaliptusa na skraju gęstwiny.

- Louisa! - zawołała Bryony, przenosząc Simona na ramię i przechodząc przez oświetloną słońcem porębę. - Jesteś tam? Louisa? Pomyślałam, że... Och!

W drzwiach chaty stanął Will Carver. Miał na sobie tylko brudne płócienne spodnie wepchnięte w sznurowane buty. Jego naga zapadnięta pierś i wystający brzuch były chorobliwie białe i pokryte siwiejącymi ciemnymi włosami, lśniącymi od tłuszczu skapującego z żeberka, które nadzorca właśnie jadł. Wysysał

szpik z kości, nie odrywając wzroku od Bryony. Po chwili rzucił kością w chudą kurę grzebiącą w ziemi i wytarł ręce w spodnie.

Bryony wiedziała już, że chociaż Louisa nosi nazwisko Willa Carvera, nie jest jego żoną. Zauważył Louise, kiedy zdjął jej pęta z rąk w dniu, w którym została przyprawiona na pokład statku wiozącego również i jego do nowego miejsca przeznaczenia. Niecały tydzień później złapał ją na schodach prowadzących pod pokład i zgwałcił. Jednak w najbliższym porcie kupił jej ładną żółtą wstążkę, a po przybyciu do Sydney zadbał o to, by została mu przydzielona. Odtąd zawsze już byli razem.

- Przepraszam - powiedziała Bryony, przystanąwszy w pewnej odległości od niego. - Szukam Louisy.

- Nie ma jej tutaj.

Nie przestawał zuchwale się jej przyglądać. Patrzył na nią inaczej niż pozostali ludzie St. Johna. Większość mężczyzn uważała zesłane kobiety za dziwki. Nawet jeśli wcześniej nie były prostytutkami, panujący tu system z pewnością nie został ustanowiony po to, by strzec kobiecej cnoty. Bryony dobrze wiedziała jednak, że w oczach świata nie miało znaczenia, czy kobieta stoczyła się z wyboru, czy na skutek złego traktowania. Jeśli nie była dziewicą albo żoną, była dziwką.

Ale chociaż pozostali mężczyźni w Jindabyne mogli uważać ją za dziwkę, to większość z nich przypuszczała, że jest kochanką Haydena St. Johna, a w związku z tym znajduje się poza ich zasięgiem. Z Willem Carverem rzecz miała się inaczej. Nie przypuszczała, by z jego strony groziło jej jakieś niebezpieczeństwo. Żywił zbyt wielki szacunek do kapitana, żeby się na coś odważyć, jednak przyglądał się jej w jakiś niepokojący sposób... jakby wiedział, że znajduje się poza jego zasięgiem, ale mimo to czekał na swoją kolej.

Przesunęła Simona tak, że trzymała go teraz przed sobą jak tarczę.

- To nic ważnego - powiedziała, zamierzając odejść. - Gdyby mógł jej pan powiedzieć, że...

- Jest na cmentarzu - odezwał się, sprawiając, że przystanąła. - To tam, na grzbiecie wzgórza, kilkaset stóp nad linią tych

drzew. Możesz tam pójść, jeśli masz ochotę. - Skinął głową w stronę eukaliptusów o twardej korze.

- Dziękuję. - Zawahała się na chwilę, po czym skierowała się w stronę drzew. Carver stał w drzwiach chaty, przyglądając się Bryony, dopóki nie zniknęła mu z oczu.

Szła wydeptaną ścieżką. Louisa zapewne codziennie chodzi na cmentarz, skoro wydeptała taką ścieżkę, pomyślała Bryony, ogarnięta smutkiem.

Usłyszała Louise, zanim ją zobaczyła. Louisa śpiewała, co zaskoczyło Bryony, ponieważ jeszcze nigdy nie słyszała, by przyjaciółka coś nuciła. Gdy podeszła bliżej, zdała sobie sprawę, że Louisa śpiewa kołysankę.

- Spij, śpij, kochanie, niech cię tuli miękkie pośłanie...

Bryony usłyszała dźwięk dzwoneczków i zobaczyła Sarah biegnącą wokół drzew i zbierającą kwiatki. Pomachała do niej ręką. Dzieczynka uśmiechnęła się i odwzajemniła pozdrowienie.

- Śpij, śpij, kochanie, niech cię tuli miękkie pośłanie...

Louisa uniosła wzrok, zauważyła Bryony i uśmiechnęła się szeroko.

- O, Bryony. Przyszłaś zobaczyć moje dzieci? Właśnie poprawiałam im pościel.

Bryony rozejrzała się dookoła. Cmentarzyk znajdował się na terenie rozległego karczowiska. Ktoś, prawdopodobnie Hayden St. John, niedawno ogrodził go schludnymi białymi palami. W rogu cmentarza stał duży marmurowy pomnik. Bryony przystanęła przed nim.

S. P. Laura Beaumont St. John, ur. 28 sierpnia 1781, zm. 26 maja 1808. Ukochana żona Haydena Seymoura St. Johna. Córnica...

Wolała dalej nie czytać napisów na nagrobku Laury. Nie chciała myśleć o niej jako o Laurze, która nie mogła już usłyszeć wiatru szeleszczącego w drzewach gumowych, czuć zapachu ziemi i traw ani ciepła dziecka, słodko śpiącego z główką tuż przy szyi Bryony.

Trudno było jej też spokojnie myśleć o tym, że Hayden przychodzi tu i pogrąża się w smutku po stracie pięknej, delikatnej żony.

Szybko przeszła w stronę innych grobów. W kilku z nich spoczywali zesłańcy, którym nie dane było dożyć końca kary. Lecz największe wrażenie wywarł na Bryony widok czterech maleńkich grobów, którymi tak troskliwie opiekowała się Louisa Carver.

Leżały w rzędzie. Dzieci zesłanej złodziejki z Dublina nie miały marmurowych nagrobków, ale w każdą mogiłkę była wbita deska z imieniem i nazwiskiem oraz wiekiem. Literę ktoś wypalił troskliwą ręką. Każdy z maleńkich grobów był okryty korą i deszczułkami, przywodzącymi na myśl surowe łóżka, które Bryony widziała w chacie Louisy.

Ziemia wokół grobów była wyplewiona z chwastów i omieciana. Louisa miała ze sobą miotłę. Bryony pomyślała, że biedna matka musi przychodzić tu codziennie, jako że wokół grobów nie było ani jednego źdźbła trawy. Ziemia była ubita tak mocno, jak klepisko w chacie Louisy.

- Tu leży mój pierworodny, Nathan - powiedziała Louisa. - Tu moja Mary, a obok niej Thomas. A to jest mój maleńki Joseph. - Mówiła to tak, jakby przedstawiała stojące obok niej żywe, zdrowe dzieci.

Bryony poczuła ciarki na plecach.

- Poprosiłam Willa, żeby zrobił im takie nakrycia na łóżeczka. Nie mogłam znieść myśli, że śpią na deszczu. Lubię, jak świeci słońce. Słońce grzeje im buzie. Nie mogłam pozwolić na to, żeby mokły na deszczu.

Złotowłosa Sarah podbiegła do nich tanecznym krokiem, dzwoniąc dzwoneczkami, i położyła bukiet kwiatów na grobie Mary. Wcześniej zebrała już kwiaty dla Thomasa i Josepha.

- Kazałam pochować je tak, żeby zostało miejsce jeszcze dla dwóch osób - powiedziała Louisa, patrząc na córeczkę, zbierającą kwiaty dla Nathana. - Gdyby coś się stało mojej Sarey...

- Och, Louise Nie wolno ci tak myśleć. - Bryony pomyślała, że powiedziała coś bardzo nierozsądnego, bo cóż ta biedna kobieta mogła poradzić na to, że ciągle o tym myślała?

- Gdyby kiedykolwiek coś się stało mojej Sarey, rzucę się do rzeki i położę się tu, obok moich dzieci.

Bryony z przerażeniem przyjrzała się Louisie.

Zawsze uważała ją za niezwykle silną osobę. Louisa przeszła wszystko najgorsze, co może spotkać kobietę, i przeżyła. Zresztą nie tylko przeżyła, w pewien sposób wydawała się kwitnąć.

A jednak gdzieś w głębi duszy Louisa Carver oszalała.

Bryony przeraziła się, że jeśli jej życie nadal będzie wypełniał żal po utracie Philipa i lęk o Madeline, może jej się przydarzyć to samo.

19

Popołudniowy wiatr unosił przejmujące dźwięki Suity nr 1 e-moll Bodina de Boismortier. Hayden sam dokonał aranżacji utworu na flet i harfę, tyle że teraz grała jedynie harfa. Harfa Laury.

Hayden przystanął i kurczowo zacisnął dłoń na kolumnie werandy, czując dławienie w piersi i ból serca. Przez chwilę miał wrażenie, że śni lub że dźwięki powstają tylko w jego wyobraźni.

Nie byłby jednak w stanie wyobrazić sobie tak grającej Laury. Jego żona była utalentowana i odebrała staranne muzyczne wykształcenie, jednak ten, kto grał teraz na jej harfie, wydobywał muzykę z najgłębszych pokładów duszy.

Cicho wszedł do domu, chociaż kobieta siedząca przy harfie Laury była tak pochłonięta graniem, że nie usłyszałaby go, nawet gdyby wjechał do holu na swym gniadoszu. Zatrzymał się w drzwiach salonu. Miała rozpuszczone włosy, opadające jej na plecy kaskadą ciemnych, mieniących się ognisicie kędziorów. Na ten widok ogarnęło go pragnienie, by unieść tę burzę włosów z jej szczupłych ramion, a potem pozwolić im opaść tak, by spływały między jego palcami.

Grała z głową odchyloną do tyłu, z zamkniętymi oczami, wprawnie dotykając strun. Na jej twarzy malowała się tęsknota połączona z uniesieniem. Pomyślał, że chyba jeszcze nigdy nie wyglądała tak pięknie.

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, po czym jak najciszej przeszedł do swojego pokoju, by wyjąć flet, którego nie dotykał od sześciu miesięcy.

U słyszała dźwięk fletu, wysokie, czyste i słodkie tony. Znieruchomiła i otworzyła oczy.

Hayden popatrzył na nią swymi niewiarygodnie niebieskimi oczami znad błyszczącego srebrnego instrumentu, lecz nie zagrał fałszywie ani jednej nutki. Spływały ku niej, delikatne jak filigran, kuszące, uwodzicielskie.

Bezwiednie znów dotknęła strun palcami, popłynęła muzyka. Nie odrywając od siebie oczu, prowadzili rozmowę wzrokiem, delikatnymi, kołyszącymi ruchami ciała, porozumiewali się za pomocą muzyki.

Niskie, zmysłowe tony przeplatały się z wysokimi, czystymi. Bez słów przechodzili od jednego fragmentu do drugiego; czasami to ona zaczynała jakiś kawałek, później znów on, zdarzyło się nawet, że zaczęli grać równocześnie. Słowa były im niepotrzebne. Dobrze wiedzieli, co przeżywają, i teraz wyrażali ból i cierpienie za pomocą muzyki, dzielili się swoimi doznaniem, koili się nawzajem.

Grali, dopóki pokoju nie wypełniły długie cienie i Quincy nie zapukał do drzwi.

- Bryony? Co ty tam robisz? Rozpaliłem ogień, ale jeśli się nie pośpieszysz, to kapitan nie dostanie obiadu przed nocą. Bryony?

Hayden przestał grać na flecie, Bryony opuściła ramiona. Popatrzyli na siebie z uśmiechem.

Hayden stał oparty o framugę drzwi i palił cygaro, przyglądając się Bryony, która siedziała na krześle i szyła nocną koszulę dla Simona.

- Myślałam, że się pan na mnie rozgniewa - powiedziała, wpatrując się w ścieg. - Powiedział pan, żebym jej nie ruszała.

Uniósł cygaro, głęboko się zaciągnął, po czym wypuścił smugę niebieskawego dymu.

- Nie spodziewałem się, że umiesz grać na harfie. Przyznaj się, grasz w ciągu dnia, kiedy nie ma mnie w domu?

Nie odpowiedziała, ale zdradził ją rumieniec.

- Ha - powiedział, grożąc jej cygarem. - Przynajmniej masz w sobie tyle przyzwoitości, żeby się zaczerwienić.

Jej policzki przybrały jeszcze bardziej szkarłatną barwę. Hayden pomyślał, że Bryony wygląda teraz bardzo pięknie. Promienie zachodzącego słońca rzucały ciepły blask na jej twarz. Bardzo brakowało mu tych wspólnie spędzanych wieczorów, rozmów, ulotnych uśmiechów, które czasem pojawiały się na jej twarzy. Zdawał sobie sprawę, że bardzo ją zranił, zarówno ukaraniem dwóch służących, jak i tym, co jej powiedział. Miał ochotę jej to wszystko wyjaśnić, przyznać się, że sam cierpiał z powodu tego, co musiał zrobić, i że bardzo żałował potem słów, które wypowiedział do niej tamtego dnia na podwórzu.

Chciał powiedzieć jej tak wiele, lecz była jego służącą, a on jej panem, i chociaż on pragnął zmienić charakter tej znajomości, nie chciała o tym słyszeć. Palił więc w milczeniu cygaro, wsłuchując się w świergot srokaczy w oddali.

Często teraz grywali razem wieczorami, po tym jak Bryony posprzątała po obiedzie i położyła Simona spać. Kiedy była ładna pogoda, Hayden wynosił dla niej harfę i krzesło na werandę i grali, dopóki słońce nie zaszło za niebieskawe szczyty gór, a rzeka nie zmieniała się w srebrzystą wstęgę błyszczącą pomiędzy drzewami.

Był to jednak niebezpieczny zwyczaj, spędzali bowiem teraz coraz więcej czasu razem po zapadnięciu zmierzchu, czego dawniej tak starannie unikała.

Którejś szczególnie ciepłej nocy jak zwykle grał w samej koszuli, tego dnia mokrej od potu i brudnej po całym dniu spędzonym na polach, jako że trwały przygotowania do żniw. Wrócił do domu późno i nie miał czasu przebrać się przed obiadem. W końcu na chwilę odłożył flet, zaklął pod nosem i zdjął koszulę.

Podmuchy wieczornego wiatru owiały przyjemnym chłodem jego tors. Znów uniósł flet i zaczął grać menueta Purcella. Nagle zdał sobie sprawę, że Bryony na niego patrzy.

Oddychała szybko i płytko, jej piękne brązowe oczy wyrażały niewysłowioną tęsknotę, kiedy wodziła wzrokiem po nagim torsie i ramionach pokrytych potem. Zorientowawszy się, że zauważył jej zainteresowanie, natychmiast odwróciła wzrok i skupiła się na muzyce, jednak co jakiś czas przyłapywał ją na ukradkowych spojrzeńkach rzucanych w jego stronę spod przy-mkniętych rzęs.

Ogarnęło go tak silne pożądanie, że musiał odłożyć flet.

Natychmiast przestała grać.

- Co się stało? - zapytała. Jej twarz wyrażała zaskoczenie, ale oczy... ach, jej oczy błyszczały tą samą gorączką, która trawiła i jego.

- Nic. - Odwrócił się, nie chcąc, by się zorientowała, co się z nim dzieje. - Jutro zaczynamy żniwa, czeka nas ciężki dzień. Zaraz odniosę harfę.

A ego wieczoru Hayden przewracał się na łóżku przez wiele godzin, aż wreszcie koc i prześcieradło wyglądały jak skręcony sznur owinięty dookoła zgrzanego, nagiego ciała. W końcu zaklął i zrzucił je z łóżka.

Leżał samotny w ciemności, ciężko oddychając i przypominając sobie jej wygięte nadgarstki, kiedy trącała struny harfy, uniesione piersi, gdy odrzucała włosy za ramię, błysk we wzroku, którym wędrowała po jego nagim torsie.

Ciągle powracało do niego wspomnienie wyrazu jej oczu. W ciągu minionych miesięcy wielokrotnie na niego patrzyła, lecz w przeszłości w jej oczach zawsze kryła się czujność, jakby zdawała sobie sprawę z jego męskiej siły, ale się jej bała.

Tego wieczoru nie widział w jej oczach strachu, wyłącznie pragnienie.

Popatrzył w stronę jej pokoju. Jeśli to prawda, jeżeli rzeczywiście już dłużej się go nie bała, oznaczało to, że mógł teraz do

niej pójść. Wyobrażał sobie, jak Bryony wygląda leżąc w łóżku, z piersiami wyłaniającymi się z dekoltu koszuli i włosami w kolorze mahoni, z miedzianymi pasmami, rozsypanymi na poduszce. Oczami wyobraźni ujrzał, jak podchodzi do niej, delikatnie unosi nocną koszulę i dotyka jej nagich ud, rozchylających się dla niego. Ten obraz był tak żywy, że Haydena przeniknął dreszcz.

A jeśli się mylił? Co by było, gdyby wszedł do jej sypialni, a Bryony wciąż byłaby zdecydowana trzymać go na dystans w imię zasad i kobiecej godności? Gdyby poszedł do niej teraz, pragnąc jej tak mocno, nie byłby w stanie się powstrzymać, nawet gdyby go nie chciała, gdyby z nim walczyła. Musiałby ją osiąść.

Jęknął, wyszedł z łóżka, otworzył drzwi i okiennice. Była pogodna, spokojna noc. Wsłuchał się w dzwonienie cykad, w szelest wiatru w gałęziach nadrzecznych eukaliptusów.

Musiał mocno zacisnąć dłonie na krawędzi drzwi, by pozostać w swym pokoju, wystawiając nagie ciało na łagodne poddmuchy rzeckiego nocnego powietrza, i nie otworzyć innych drzwi, prowadzących do pokoju, w którym Bryony spała w łóżku jego zmarłej żony.

W długie, upalne dni mężczyźni przebywali na polach aż do zmroku. Hayden St. John towarzyszył im, pracując ciężiej niż ktokolwiek inny. Niemal wszyscy mieszkańcy farmy zostali przydzieleni do pracy przy żniwach, jako że pszenicę trzeba było nie tylko ścinać, ale i związać w snopy, które potem należało przewieźć na klepisko i wymłócić. Wtedy palono pola, by dla odmiany obsiać je kukurydzą.

Kiedy ludzie Haydena pracowali na polach, Bryony i Simon całymi dniami przebywali sami w gospodarstwie. Nawet Quincy przestał pomagać jej w ogrodzie dwa razy w tygodniu. Zazwyczaj Bryony nie przeszkadzała ta samotność, ale tego dnia była dziwnie niespokojna.

Przywiązała do siebie Simona chustą i poszła nad potok, by

zebrać pierwsze strąki fasoli, którą zasiała. Było gorąco i jej twarz szybko pokryła się potem zmieszanim z kurzem. Powietrze było dziwnie nieruchome, wiatr nie szeleścił liśćmi eukaliptusów, nawet ptaki umilkły. Ciągłe oglądała się przez ramię, przeczesując wzrokiem gęstwinę drzew. Przekonywała się w myślach, że zachowuje się nierozsądnie, że wszystkiemu jest winna pogoda, duszna i pochmurna, jednak to nie pomagało. W końcu uniosła kosz i skierowała się w stronę domu.

Zobaczyła ich, kiedy dochodziła do kuchni. Sześciu aborygenów stało przed jedną z chat z tyłu podwórza. W cieniu obok nich leżały cztery chude, zaniedbane psy.

Z niepokojem przyjrzała się mężczyznom. Widywała teraz aborygenów na tyle często, że było jej wstyd, ilekroć przypominała sobie, jak uciekała przed tubylcem. Aborygeni regularnie przychodzili na podwórze ostrzyć noże i toporki na tarczy szlifierskiej, tak jak robił to teraz jeden z nich, albo nakłaniali Haydena do pozbycia się worka kukurydzy.

Jednak nigdy nie była pozostawiona sama z tak liczną ich grupą jak teraz. Postawiła kosz z fasolą na stole kuchennym i położyła Simona w jego łóżeczku w domu. Zbliżała się pora dojenia krów, więc chociaż wcale nie miała ochoty na udanie się w koniec podwórza, gdzie stali aborygeni, musiała to zrobić.

Czuła na sobie ich wzrok, kiedy prowadziła dwie krowy do urządzenia trzymającego ich łby w czasie dojenia i wiązała im nogi. Miała nadzieję, że kiedy skończy dojenie, aborygenów już tu nie będzie, ale wciąż stali na podwórzu. Z ciężkim westchnieniem odniosła mleko do mleczarni i wróciła po krowy.

Kiedy prowadziła je do zagrody, jeden z psów, który wydawał się mocno spać pod chatą, nagle wstał. Uniósł głowę, jakby wyczuwając wiatr czy cokolwiek innego, czego zapach mu się zdecydowanie nie spodobał. Obnażył kły, a z jego gardła dobył się głęboki, chrapliwy warkot.

Bryony popatrzyła na niego z niepokojem. Zbliżył się do niej i znów zawarczał. Jego zachowanie stało się wskazówką dla innych psów, które wstały i zaczęły warczeć.

Bryony nie zatrzymała się. Już je mijała, kiedy jeden z psów

na nią skoczył. Nie miała pojęcia, czy celem jego ataku miały być krowy, czy ona. Zobaczyła jego przerażające, dzikie oczy i obnażone kły. Gwałtownie zamachnęła się postronkiem i trafiła psa w nos. Zawył i natychmiast odbiegł w kąć podwórza.

Czarnoskóry mężczyzna przestał ostrzyć toporek. Wszyscy aborygeni patrzyli na nią nieruchomym wzrokiem. Jeden, szczególnie potężnie zbudowany, z brzydką blizną na ramieniu, podszedł do niej i uderzył ją pięścią w głowę. Upadła twarzą w piach, puszczając postronki. Krowy odbiegły z głośnym rykiem.

Powoli się podniosła. Dzwoniło jej w uszach, nie była w stanie wstać. Siedziała więc w piachu, trzymając się za głowę i patrząc na stojących nad nią mężczyzn.

W czasie całego zajścia nikt się nie odezwał. Mężczyzna, który ją uderzył, chrząknął, jakby z zadowoleniem. Powiedział do mężczyzny z toporkiem coś, czego nie zrozumiała, i odszedł. Mężczyzna z toporkiem postąpił krok w jej stronę...

Bryony w jednej chwili odzyskała siły.

- Hayden!

Szybko wstała i uciekła, drąc się wniebogłosy. Wiedziała, że prawdopodobnie St. John jej nie usłyszy, niemniej jednak wykrzykiwała jego imię, pędząc w stronę domu. Nie wiedziała, co ma teraz robić, nie mogła jednak uciec w inną stronę, zostawiając tu Simona.

Nie zdążyła dobiec do domu. Nie zdołała dotrzeć nawet do werandy, kiedy jeden z aborygenów złapał ją z tyłu i zmusił do zatrzymania się. Odwróciła się, zaczęła kopać i gryźć z całej siły, lecz w końcu na niej usiadł i przygwoździł jej ręce do ziemi.

Nie był szczególnie potężny ani młody. Kiedy otworzył usta, zauważyła, że stracił już większość zębów.

- *Ba-eel, ba-eel* - powiedział. - Niedobrze biec do pana. Ty krzyczeć do pana, pan przyjdź tu i zabić wszyscy. Niedobrze.

Bryony wzięła głęboki oddech i znieruchomiała. Powoli zaczynało do niej docierać, że nic więcej się już nie wydarzy. Mężczyzna, który na niej siedział okrakiem, powtarzał tylko:

- *Ba-eel, ba-eel*. Niedobrze krzyczeć do pana, bo pan zabić wszyscy.

Popatrzyła w stronę chat, lecz mężczyzn już tam nie było, jakby rozplynęli się w popołudniowym powietrzu, razem ze swoimi psami.

Tubylec, który na niej siedział, odwrócił głowę, jakby coś usłyszał. Zaczekał jednak jeszcze kilka minut i dopiero później zszedł z niej i pobiegł w stronę rzeki.

Dopiero wtedy Bryony usłyszała tętent kopyt.

Hayden zobaczył czarnoskórego mężczyznę biegnącego od strony gospodarstwa i ogarnęło go śmiertelne przerażenie. Jak dotąd udawało mu się utrzymywać dobre stosunki z aborygenami, głównie dzięki temu, że szanował tych ludzi i ich kulturę, co rzadko zdarzało się Europejczykom. Wiedział jednak, że dochodząc swych krzywd, zarówno biali jak i czarni mieli skłonność do zemsty na pierwszym przedstawicielu innej rasy, który nawinął się pod rękę. Niejeden niewinny osadnik na tych terenach kończył życie z roztrzaskaną głową w odwecie za akt wrogości popełniony przez kogoś innego.

A Bryony i Simon byli sami w domu.

Wjechał w podwórze w dzikim galopie i gwałtownie się zatrzymał, ujrawszy Bryony powoli podnoszącą się z ziemi.

- Gdzie jest Simon? - krzyknął, nie zsiadając z konia, by w razie potrzeby natychmiast udać się w pogoń.

- W domu. - Skinęła głową w stronę domu i zaczęła otrząpywać spódnicę.

- Dzięki Bogu. - Zeskoczył z konia. - Co tu się stało? Dlaczego ten aborygen uciekał?

- Było ich sześciu, mieli psy - powiedziała, strząsając piach ze spódnicy. - Pies chciał mnie ugryźć, więc go uderzyłam. Wtedy jeden z aborygenów uderzył mnie w głowę i upadłam. Potem myślałam, że chcą mnie zabić, ale oni chyba tylko się bali, że o wszystkim panu powiem. Co znaczy *ba-eell*

Uniosła wzrok i dopiero wtedy zobaczył jej twarz. Była biała jak mleko, z wyjątkiem brzydkiego siniaka tworzącego się na jej skroni.

- Cholera! - zaklął. Bryony się zachwiała, więc wzięła ją na ręce i zaniósł do domu. Kopnięciem otworzył drzwi do salonu i położył ją na obitej jedwabiem kanapie. Usiłowała wstać, mówiąc coś o brudnej sukni, ale pchnął ją z powrotem na kanapę. - Leż spokojnie - polecił. - Niedługo wrócę.

Chyba po raz pierwszy sprawiała wrażenie zadowolonej z tego, że może spełnić jego polecenie. Zamknęła powieki i otworzyła je dopiero, kiedy przyklęknął obok i przyłożył jej chłodną, wilgotną ściereczkę do czoła.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się do niego drżącymi wargami i podniosła dłoń do czoła, ale natrafiła na rękę Haydena, trzymającą ściereczkę.

Było to przypadkowe dotknięcie, które jednak wznieciło w nim ogień i uzmysłowiło, jak blisko niej się znajduje. Czuł zapach rozgrzanej ziemi i rozgrzanego ciała kobiety i miał wrażenie, że ten zapach przenika do jego krwi i gwałtownym pulsowaniem rozchodzi się po całym ciele. Jej rozchylone wargi wciąż drżały po tym, co przeżyła. Popatrzył na jej usta. Wystarczyło tylko pochylić się niżej, by poznać ich smak.

Tłumiąc przekleństwo, wstał i odszedł parę kroków. Boże, wystarczyło, że jej dotknął, a całe jego ciało napięło się, stwardniało, domagając się spełnienia.

- Nie powinnaś była uderzyć ich psa - powiedział, opierając się o framugę, by popatrzeć na ołowiane niebo. - Aborygeni nie lubią, kiedy dotyka się ich psów.

Bryony uniosła się na łokciu.

- Dobrze, że mi to pan powiedział. Następnym razem dam się pogryźć jakiemuś kundlowi.

Popatrzył na nią przez ramię i natychmiast tego pożałował. Siedziała teraz, zakurzona, rozczochrana i niezwykle pociągająca. Pamiętał jej dotyk, kiedy niósł ją do domu, jej głowę ufnie spoczywającą na jego ramieniu. Z najwyższym trudem powstrzymywał chęć ponownego wzięcia jej w ramiona, tyle że tym razem w swoim łóżku.

- Nie będzie następnego razu. - Powiedział to tonem ostrzejszym, niż zamierzał. - Zadbam o to, żebyś już nigdy nie została

sama w domu. Nie chodzi tylko o aborygenów. Rozbójnicy, zesłańcy zbiegli do buszu, są dużo groźniejsi od tubylców. - Przez chwilę przyglądał jej się uważnie. - Umiesz obchodzić się z bronią? - spytał.

- Tak - odpowiedziała, przyglądając mu się, zaskoczona. - A dlaczego pan pyta?

Wyprostował się.

- Weź z kuchni jakiś stary blaszany kubek i przyjdź pod skałę za domem.

- Ale... dlaczego?

- Zrób to.

Bryony patrzyła, jak Hayden stawia kubek na pniu drzewa, przed stosem kamieni, i wyjmuje zza pasa mały pistolet.

- Trzymam go w szufladzie przy łóżku, jest zawsze naładowany - powiedział. - Ma niewielki zasięg, ale łatwo jest nim celować, a poza tym ma dwie kule, co oznacza, że możesz z niego wystrzelić dwa razy. Gdybyś kiedykolwiek znalazła się w potrzebie, wystarczy wiedzieć, jak celować i jak naciskać spust.

Wzięła od niego pistolet. Był cięższy, niż się spodziewała. Uniosła go obydwoma rękami i starannie wycelowała w kubek. Znajdował się niedaleko, w odległości nie większej niż piętnaście kroków. Głęboko zaczerpnęła tchu, nacisnęła spust...

I chybiła celu.

Popatrzyła na Haydena. Stał z rękami skrzyżowanymi na piersiach, z lekko wysuniętymi do przodu biodrami, i ją obserwował. Zmrużył niebieskie oczy tak, że były tylko szparkami, zacisnął wargi. Wciąż była roztrzęsiona i przerażona, bardzo potrzebowała pocieszenia, tymczasem był obojętny i chłodny jak chyba nigdy dotąd. Nie wiedziała dlaczego.

- Spróbuj jeszcze raz - powiedział.

Odwróciła się w stronę kubka i uniosła pistolet.

Nie trafiła w kubek, kuła uderzyła w pień drzewa.

- Znowu nie trafiłaś.

Jej zdaniem, spisała się całkiem nieźle.

- Robi się ciemno.
- Jest jeszcze wystarczająco dużo światła.

Położyła rękę na biodrze.

- Człowiek jest większy niż kubek.

- Ale kubek się nie porusza, a poza tym nie strzela do ciebie. - Podeszedł do niej i wyjął pistolet z jej dłoni. Lekko dotknął przy tym jej ręki, tymczasem poczuła się tak, jakby pieścił całe jej ciało. Oblała ją fala gorąca.

Znieruchomiał. Wydawało jej się, że wziął głęboki oddech, ale po chwili pomyślała, iż pewnie tylko tak jej się wydawało, ponieważ patrzył na pistolet, który po chwili schował za pas.

- Musisz poćwiczyć - powiedział, idąc po kubek. - Jutro przyślę tu z pola Willa Carvera, żeby z tobą poćwiczył.

- Nie - powiedziała bez zastanowienia.

Odrzucił się i zgromił ją wzrokiem.

- Co, do diabła, ma znaczyć to twoje „nie”?

Sprawił wrażenie rozżłoszczonego nie na żarty, jednak bała się i nie lubiła Carvera tak bardzo, że znalazła w sobie dość odwagi, by udzielić odpowiedzi.

- To znaczy, że nie będę ćwiczyć z Carverem. Nie lubię go.

Podeszedł do niej.

- Będziesz ćwiczyć, jeśli ci to polecę.

Głęboko zaczerpnęła tchu.

- Nie.

Był tak blisko, że czuła żar bijący od jego ciała, jego gniew, pierwotną, męską siłę.

- Zapominasz się, Bryony.

Serce biło jej tak mocno, że wydawało się trząść całym jej ciałem. Z trudem wydobywała słowa ze ściśniętego gardła.

- Czy nie mógłby pan poprosić kogoś innego?

- Nie. -Sprawił wrażenie udręczonego bolesnym napięciem.

Miała wrażenie, że jego skóra zbyt ciasno opina wysokie kości policzkowe. - Inni mężczyźni są skazańcami - powiedział. - Jeśli ktoś przyłapie ich z bronią, grozi im szubienica.

- Przecież ja też jestem skazana.

Kąciki jego warg wygięły się w leciutkim uśmiechu.

- Właśnie. I dlatego masz spełniać moje polecenia. Przyjdiesz tu jutro po południu i będziesz ćwiczyć z Willem Carverem.

Skierował się już w stronę domu, kiedy cicho powiedziała:

- Nie.

Odwrócił się powoli.

- Tak.

Czuła dławienie w piersiach, wyschły jej wargi, więc zwilżyła je czubkiem języka. Natychmiast spojrzła na jej usta.

- A nie mógłby pan wrócić i ze mną poćwiczyć?

Podmuch wiatru załopotał koszulą okrywającą jego muskularny tors. Oczy Haydena rozblęskły pożądaniami.

- Wiesz, dlaczego nie mogę tego zrobić - odpowiedział chrapliwym, udręczonym głosem.

Podniecona, poczuła dziwne ściskanie w żołądku. Zdawała sobie sprawę, że igra z ogniem, nie potrafiła jednak się powstrzymać.

- Dlaczego?

Stał tuż przed nią, tak blisko, że poczuła zapach dojrzałej pszenicy, rozgrzanych pól i podnieconego mężczyzny... jego zapach.

Nagle całe opanowanie, do którego zmuszał się, odkąd tego wieczoru wjechał na podwórze... nie, zdał sobie sprawę, od pierwszego brutalnego starcia na dziedzińcu Fabryki, przysło.

- Dlatego, do diabła, dlatego! - Wsunął rękę w jej włosy i odchylił jej głowę, zmuszając Bryony do spojrzenia mu w oczy. Otworzyła usta, lecz krzyk przerażenia, a może pożądania, został zduszony jego pocałunkiem.

Był to dziki, gorący, głodny pocałunek. Hayden to cofał, to przyciskał swe wargi, owiewając ją gorącym oddechem. Tym gwałtownym, wręcz okrutnym pocałunkiem wyrażał całe swoje pożądanie, miesiące bolesnego oczekiwania. Ten pocałunek miał ją ukarać, onieśmielić.

Otworzyła usta, chcąc zaprotestować, lecz wsunął język pomiędzy jej wargi, wypełniając ją, ostrzegając. To, zdawał się jej mówić, właśnie to chcę z tobą zrobić. Chcę wypełnić sobą twoje ciało, chcę się z tobą połączyć. Chcę cię posiadać, zawładnąć twoim ciałem tak, jak zawładnąłem ustami.

Na chwilę, odurzona, zatraciła się w tym pocałunku. Nie była w stanie odsunąć się od niego. Gorąca krew szaleńczo pulsowała jej w żyłach, cała sytuacja wymykała się spod kontroli. Mocno chwyciła go w pasie, przyciągając do siebie.

Z jego piersi dobył się głuchy jęk. Natarczywie obwodził językiem jej usta i ich ciepłe wnętrza. Wsunął palce w jej włosy, chwycił twarz w dłonie, a pocałunek złagodniał, stał się niemal pieśczośliwy. Po chwili zaczął całować jej policzek, czoło, powieki.

Powoli przesunął się wzdłuż jej szyi, całując ją, liżąc i muskając wargami. Wzniecał w niej ogień. Zadrzała, gdy zacisnęła dłoń na jej piersi, i zaczął ją niecierpliwie ugniatać, by po chwili szarpać sznurówkę jej sukni. Zaklął, chwycił dekolot... Zdała sobie sprawę, że zamierza zedrzyć z niej suknię.

Krzyknęła, przerażona, i chwyciła go za nadgarstek.

Uniósł głowę. Miał oczy zwięzione pożądaniem, oddychał z trudem. Przez chwilę miała wrażenie, że mimo wszystko zedrże z niej ubranie i posiadzie ją tu, na wzgórzu. Zadrzał. Po chwili wykrzywił wargi, zdjął dłonie z jej stanika, chwycił ją za pośladki i przycisnął do swej nabrzmiałej męskości.

- To dlatego muszę trzymać się z dala od ciebie - wydyszał jej do ucha. - Bo tak właśnie na mnie działasz. Czujesz, co ze mną robisz, Bryony? - Przesunął członkiem po jej brzuchu, aż zadrzała w jego ramionach. - Pragnę cię, Bryony. Dobrze wiesz, że cię pragnę. Chcę czuć cię pod sobą, chętną i nagą. Chcę położyć swoje ręce na twoich nagich piersiach i sycić się twoim widokiem. Chcę poczuć twój smak, wszędzie. Chcę rzucić cię w trawę i zagłębić się w tobie, tu, pod gołym niebem. Czy też tego chcesz, Bryony?

Głęboko zaczerpnęła tchu i chciała mu odpowiedzieć, nie mogła jednak wydobyć słów ze ściśniętego gardła.

- Jeśli tego chcesz, Bryony, powiedz mi - powiedział jej do ucha, cicho i zaskakująco łagodnie.- Powiedz mi, proszę.

Popatrzyła w jego niewiarygodnie błękitne oczy i omal nie powiedziała „tak”. Pragnęła go. Całe jej ciało pulsowało pragnieniem, by się w niej znalazł, serce przepełniała miłość. Wie-

działa jednak, że świadomość tego, kim jest, pomogła jej przetrwać aż do tej pory, a kobieta, na jaką została wychowana, nie mogła się zgodzić, by zostać czyjąś kochanką. To, jak bardzo go kochała, nie miało żadnego znaczenia.

- Nie - wyszeptwała, z twarzą ściągniętą bólem.

Zobaczyła rozczarowanie w jego oczach, jego nozdrza rozdymały się z pożądania.

- W takim razie nie baw się więcej tak ze mną, Bryony. Bo jeśli chcesz, żebym siłą złamał twoją godność i zasady, to możesz być pewna, że się tego doczekasz.

Popatrzyła na niego, przerażona. Czy tego właśnie chciała? Czy taką właśnie sytuację usiłowała sprowokować tego wieczoru? Oszołomiona i zawstydzona, wyrwała się z jego ramion i puściła się pędem w stronę domu.

Nie zatrzymała się, dopóki nie zatrzasnęła za sobą drzwi swej sypialni. I nie odwróciła się.

Dopiero później, kiedy leżała w pustym łóżku, samotna i stęskniona, zaczęła się zastanawiać, czy zasady, według których wychowano bratanicę sir Edwarda Peytona, dotyczą również kobiety skazanej i zesłanej do Nowej Południowej Walii.

Nie powrócił już do tematu lekcji strzelania.

Na mocy niewypowiedzianego układu trzymali się z dala od siebie, jako że w swojej obecności cierpieli męki. Przebywanie sam na sam było igraniem z ogniem.

Robiło się coraz upalniej. Chłodne wiatry stawały się z każdym dniem cieplejsze, a w końcu ustały zupełnie, gdy australijskie lato objęło we władanie dolinę Hawkesbury, ani myśląc stąd odejść. Hayden, zajęty żniwami, zapamiętałe oddawał się wielogodzinnej ciężkiej pracy, która przytębiała mu zmysły i zmuszała do przebywania z dala od domu. Bryony przestała nosić halki, lecz mimo to wciąż chodziła wiecznie spocona i otępiała w upale, który mógł przyprawić o omdlenie. Nawet Simon zaczął marudzić i sprawiać kłopoty.

Któregoś dnia, kiedy nie chciał rano zasnąć, Hayden, zapomniawszy czegoś, niespodziewanie wrócił do domu. Bryony cicho śpiewała kołysankę, trzymając dziecko przy piersi, kiedy usłyszała szybkie kroki Haydena w korytarzu. Uniósłszy wzrok, zobaczyła go na progu.

Popatrzył na jej obnażone piersi. Odchylił głowę do tyłu i rozdał nozdrza jak ogier, który wyczuł grzejącą się klacz. Czują jego spojrzenie na skórze tak, jakby jej dotykał. Objęła wzrokiem jego gibkie, silne ciało. Na jego widok zaparło jej dech, tak że nie była w stanie przełknąć śliny. Poczwała, jak pożądanie ogarnia ją gorącą falą.

Ich spojrzenia się spotkały. W pokoju panowała pełna napięcia cisza. Było bardzo gorąco. Czuła, jak kropelka potu spływa jej pomiędzy łopatkami. W końcu Hayden obrócił się na pięcie i wyszedł.

Bryony siedziała, trzymając jego śpiące dziecko, i zastanawiała się, jak długo to może potrwać.

Dwa dni później, kiedy Bryony i Louisa pojechały nad rzekę wyprać ubrania, pogoda niespodziewanie się zmieniła.

Dzień zaczął się upałem, podobnie jak wiele poprzednich. Późnym rankiem słońce świeciło już tak jasno i mocno, że wydawało się wytrawiać niebo z koloru. Bryony stała nad kotłem z wygotowującymi się prześcieradłami. Od ognia bił taki żar, że myślała, iż za chwilę zemdleje.

W pewnej chwili niespodziewanie, jakby znikąd, powiał świeży wiatr, chłodząc jej spoconą twarz. Miała wrażenie, że ktoś otworzył drzwi lodowni. Zdumiona, uniosła głowę.

- A niech to... - wysapała Louisa, prostując się powoli, jako że przy praniu zawsze bolały ją plecy. - Trzy cholerne tygodnie bez wiatru i akurat dzisiaj musiał przyciągnąć deszcz.

Bryony popatrzyła na niebo. Małe kłębki chmur pędziły po ciemniejącym błękitnie nieba, jakby popychane niewidzialną ręką.

- Nie wygląda mi to na deszcz.

- Nie? Obejrzyj się za siebie. - Machnęła ręką w stronę południa.

Bryony odwróciła się. Nad ziemią wisały ciężkie, czarne chmury, groźne i złowrogie niczym wcielenie zła. Z przerażeniem popatrzyła na kotły z bielizną i ubraniami, znajdującymi się na różnych etapach gotowania, prania i płukania.

- Zdażymy skończyć?

- Tak. Ale nie wiem, jak je wysuszymy.

Zaczęły się śpieszyć i w ciągu pół godziny załadowały wszystko na wóz.. Do tego czasu niebo przybrało wygląd szarej ściany, a temperatura obniżyła się o dobre dwadzieścia stopni, lecz na razie nie spadła ani jedna kropla deszczu.

- Chodź, Sarey! - zawołała Louisa. - Musimy już iść.

Sarah podbiegła do nich w podskokach, z naręczami kwiatów. Wiatr rozwiewał jej jasne włosy, dzwoniły dzwoneczki.

- Popatrz, mamusiu - powiedziała, dumnie prezentując stokrotki i inne polne kwiaty. - Zerwałam kwiatki dla Nathana, Thomasa i Josepha. Teraz muszę jeszcze nazbierać kwiatków dla Mary.

- Później zbierzemy kwiatki dla Mary, kochanie. Chcę wywiesić te ubrania, żeby wiatr trochę je podsuszył, zanim lunie deszcz.

- Ale widziałam śliczne żółte kwiatki pod czerwonymi gumowcami przy rzece - upierała się Sarah. - A Mary najbardziej lubiła żółty kolor.

Bryony ukryła uśmiech. Nie wiedziała, jaki był ulubiony kolor Mary, ale była pewna, że Sarah kocha wszystkie odcienie żółtego. Bryony specjalnie dla Sarah zasadziła w ogrodzie żółtą różę, którą Hayden przywiózł z jednej ze swoich wypraw do Green Hills.

- Później, maleńka. - Louisa posadziła protestującą dziewczynkę na wozie.

Po powrocie do domu Bryony położyła Simona do łóżeczka i szybko umocowała sznur pomiędzy kolumnkami werandy, by wywiesić na nim ubrania i bieliznę. Podmuchy wiatru, bardzo już gwałtowne, chłostały i wydymały bieliznę uderzeniami niemile brzmiącymi w uszach jak smagnięcia dziewięciorzemiennych dyscypliny. Walczyła, by wiatr nie porwał czystych ubrań i prześcieradeł. Kiedy nagły poryw wiatru wyrwał jej z rąk koszulę Haydena, która po chwili wylądowała w kurzu, zakłęta i zdjęła wszystkie wywieszane części garderoby i bieliznę. Miała nadzieję, że nie zaczną nieprzyjemnie pachnieć, zanim ustanie silny wiatr, gdyż w przeciwnym razie będzie musiała wyprać wszystko jeszcze raz.

Składała ostatnie prześcieradło, kiedy usłyszała ciche dzwonienie dzwoneczków. Uniosła wzrok, spodziewając się zobaczyć Sarah i Louise, lecz ujrziała tylko Louise, pędzącą niezgrabnymi susami w dół zbocza. W ręku trzymała pas Sarah z małymi srebrnymi dzwoneczkami. Na jej pospolitej twarzy malowało się przerażenie.

- Bryony! Boże, Bryony! - wydyszała, jeszcze w biegu. - Moja Sarey! Siedziała przy domu i bawiła się drewnianymi klockami, które Will zrobił kiedyś dla Thomasa, a ja wieszałam pranie. Byłam pewna, że cały czas sobie siedzi, bo nie słyszałam dzwoneczków. Ale kiedy się odwróciłam, zobaczyłam, że jej nie ma! Zdjęła swoje dzwoneczki, Bryony. Zdjęła je i nie wiem, dokąd poszła!

Bryony przełknęła z trudem, przerażona.

- Louiso, usiądź i chwilę odpocznij. Znajdziemy ją. Nie mogła odejść daleko. Sprawdziłaś, czy nie ma jej na cmentarzu? Miała te kwiaty...

- Już tam byłam. Och, Bryony! Myślisz, że mogła wrócić nad rzekę zerwać kwiatki dla Mary? Tam jest taki stromy brzeg i tak łatwo... - Louisa zawiesiła głos, przyłożyła spracowaną dłoń do ust i kołysała się w krzesle, w przód i w tył.

Bryony ścisnęła ramię przyjaciółki.

- Nic się jej nie stanie, Louiso. Posiedź tu i odpocznij. Pobiegnę do stodoły i poproszę, żeby ktoś pobiegł na pole po ludzi, a potem pójdziemy nad rzekę i jej poszukamy. Znajdziemy ją, nie martw się.

Bryony przebiegła przez podwórze, zadowolona, że od czasu incydentu z psami aborygenów Hayden zadbał, żeby przynajmniej jeden mężczyzna był stale obecny w gospodarstwie. W pustej zagrodzie dla koni znalazła McDuffa, szkolącego swoje charty. Bała się, że wyśmiejemy jej obawy, ale kiedy powiedziała mu, co się stało, bardzo się przejął i popędził w stronę pola, gdzie mężczyźni uwijali się jak w ukropie, by zwieźć jak najwięcej zboża przed deszczem. McDuff aż za dobrze wiedział, że australijski busz ma potworny zwyczaj pochłaniania dzieci. Zbyt wielu maleństw, które oddaliły się od domu, nigdy nie odnaleziono albo odnaleziono za późno.

Bryony pobiegła do domu, chwyciła śpiącego Simona i razem z Louisa udała się w stronę rzeki.

Wiatr dziko kołysał drzewami, wyginając je na tle ciagle, ciemniejącego nieba, gdy zapamiętałe szukały dziecka, biegając w dół i w górę rzeki. Przedzierały się przez podszycie lasu,

wołały Sarah, krzyczały tak głośno, że wkrótce ochrypły, starając się przekrzyknąć odgłosy nadciągającej nawałnicy.

Pod czerwonymi gumowcami nad rzeką znalazły żółte kwiaty przypominające jaskry, ale nie zastały tam Sarah. I wtedy zaczęło padać. Deszcz lunął z bezlitosnego nieba, tak że Bryony musiała naciągnąć chustę na główkę Simona i szybko pobiec z nim do domu.

Do tego czasu mężczyźni zdążyli już przybiec z pola i teraz rozproszyli się po okolicy, przedzierając się przez gęstwinę drzew, krzewów i traw.

Hayden w końcu przyprowadził Louise do domu. Niemal omdlewała z wyczerpania i strachu. Lecz zaledwie Bryony udało się ją namówić, by usiadła na obitej jedwabiem kanapie Laury i napiła się gorącej herbaty, Louisa nagle doszła do wniosku, że Sarah może jakoś odnaleźć drogę do domu, a jeśli w chacie nie zostanie nikogo, pewnie znów gdzieś sobie pójdzie.

Zerwała się z kanapy, zdecydowana wrócić do swej chaty. Nie będąc w stanie jej tego wyperswadować, Bryony w końcu udała się tam razem z nią.

Czekały przez całe popołudnie, słuchając bębnienia deszczu o dach z kory i wycia wiatru. W pewnej chwili Bryony wyszła na podwórze i zebrała zapomniane pranie, lecz Louisa nawet nie zwróciła na to uwagi. Siedziała na stołku przed kominkiem, kołyszając się w przód i w tył, i tuląc do siebie pasek Sarah.

- Dlaczego go zdjęłaś, Sarey? - powtarzała. - Dlaczego? Dlaczego?

Bryony wyłowiła inny odgłos, słyszalny tylko wtedy, gdy na chwilę cichł wiatr i wściekły werbel kropel deszczu. To ryczały krowy, domagając się wydojenia. Otworzyła drzwi chaty, popatrzyła na siekający deszcz i bulgoczące błoto, i zaczęła przeklinać krowy, mleczarnię i Nową Południową Walię. Lecz przede wszystkim przeklinała mężczyzn, bo to przecież oni, kierując się egoizmem, przywozili tu kobiety, by zaspokajały ich męskie chucie i ułatwiały życie. Nie zwracali uwagi na to, o ile w ogóle przychodziło im to do głowy, że przywożąc tu kobiety, skazują je na rodzenie i wychowywanie ich dzieci w ciężkich, surowych warunkach. Trudno było utrzymać je przy życiu nawet w Anglii,

gdzie wokół pełno było kobiet śpieszących z pomocą i radą, i gdzie nikt nie słyszał o pająkach tkających sieć w kształcie lejka ani o węzłach tygrysiach, gdzie nigdy nie było tak gorąco, by mięso gniło w ciągu kilku godzin, i gdzie maleństwa nie oddalały się do buszu, by nigdy stamtąd nie powrócić.

- Idź, Bryony - powiedziała była złodziejka z Dublina, która straciła już czworo dzieci w tym niegościnnym, bezlitosnym kraju. - Idź wydoić krowy.

Bryony popatrzyła na przyjaciółkę. Louisa siedziała skulona na stołku, przesuwając dłońmi po małych dzwoneczkach. Bryony miała wrażenie, że Louisa gwałtownie skurczyła się i postarzała. Miała ochotę uściskać ją, przytulić i zapłakać razem z nią.

Jednak powiedziała tylko:

- Chodź ze mną.

Louisa pokręciła głową.

- Nie, ja tu zostanę, bo Sarey może wrócić w każdej chwili. Możesz mi zostawić Simona, jeśli chcesz.

Lecz Bryony zabrała ze sobą malca. Nie była pewna, czy Louisa będzie w stanie go pilnować.

Kiedy wyszła z mleczarni po napełnieniu i nakryciu odstożników, zobaczyła Haydena na okazałym gniadoszu. Wracał powoli, lecz nie od strony rzeki, tylko od chaty Carverów.

Od razu się domyśliła. Wyczytała to ze sposobu, w jaki siedział na koniu, z groźnego, nieprzeniknionego wyrazu jego twarzy. Już wiedziała.

Stanęła przed mleczarnią, z opuszczonymi rękami, czekając, aż do niej podjedzie. Siekł ją deszcz, smagał wiatr, ale nawet nie zdawała sobie z tego sprawy.

Zeskoczył z konia i rzucił wodze jadącemu za nim mężczyźnie.

- Znalazł ją pan - powiedziała.

- Tak. - Przyjrzał się jej spod zmrużonych powiek, wiedziała jednak, że niczego nie zdoła wyczytać z jej twarzy, ponieważ w tej chwili czuła jedynie pustkę i odrętwienie. - Była po drugiej stronie wzgórza, pod stromą skarpią. Musiała się potknąć i pośliznąć. Uderzyła głową w skałę. Miała... - Urwał na chwilę. Bryony domyśliła się, że zobaczył jasne, miękkie kędziorki

dziecka pociemniałe od krwi. - Zbierała jakieś żółte kwiatki. Miała je w rękę, kiedy ją znaleźliśmy.

Żółte kwiatki. Żółte kwiatki dla Mary. Wróciła, żeby zerwać je na grób siostry. O Boże, pomyślała Bryony.

- Idź do Louisy - powiedział, odwracając się. - Myślę, że nie powinna być teraz sama.

Bryony gwałtownie odwróciła głowę.

- Przecież Will...

- On jeszcze o tym nie wie. Wciąż szuka jej na ławicach piasku w dole rzeki. Posłałem jednego z moich ludzi, żeby go powiadomił.

Chwytiła Haydena za rękę, mocno wpijając w nią palce.

- Powiedział pan Louisie? Zaniósł jej pan martwe dziecko?

- Tak. Po...

Boże! - Uniosła spódnicę i puściła się pędem. Pobiegła jednak nic w stronę chaty, tylko ku rzece. - Louisa! - krzyknęła rozdzierająco, ślizgając się w błocie na podwórzu. - Louisa! - Popędziła w dół trawiastego zbocza. Z trudem łapała powietrze, miała wrażenie, że za chwilę pękną jej płuca, lecz mimo to nie przestawała biec. Wiatr zarzucał jej włosy na oczy, deszcz siekł jej ramiona, mieszając się ze łzami spływającymi po policzkach. - Louisa! - krzyczała co chwila. - Louisa, nie rób tego! Louisa! Nie!

Nie wiedziała, czy Louisa ją słyszy. Na chwilę ją zobaczyła, stojącą na brzegu wielkiego kamienia nad wartkim nurtem rzeki. Zaraz potem Louisa zrobiła krok do przodu i zniknęła w wodzie.

- Louisa, nie! - Bryony wskoczyła do wezbranej rzeki. Była już po kolana w spienionej wodzie, kiedy silne ramiona objęły ją w pasie i uniosły.

- Proszę mnie puścić - wydyszała, usiłując się wyrwać. - Muszę ją uratować! Muszę...

Hayden obrócił ją, chwycił w ramiona i wyniósł ze zdradliwej rzeki.

- Nie, Bryony. Nie. Nie jesteś w stanie jej uratować.

Z wstrząsającym szlochaniem oparła się o jego ciepłe, mocne ramię i pozwoliła, by wyniósł ją z powrotem do świata żywych.

21

- Deszcz skapywał z szarozielonych liści eukaliptusów na spłaszczoną po ulewie trawę, wydając odgłos podobny do drep-tania tysięcy drobnych stopek.

Chmury wisały nisko, ciężkie i przytłaczające, zasłaniając góry oraz wszystko inne, poza niewielką polaną z białym mar-murowym pomnikiem i smutnym rzędem okrytych korą grobów. Jednakże choć Bryony niewiele widziała, wciąż czuła rozległy pusty kontynent rozciągający się wokół niej. Przez chwilę miała wrażenie, że Australia ją osacza... i pożera ją tak, jak pożarła Louise i jej dzieci.

Wilgotna ziemia zadudniła głucho o pokrywy dwóch po-śpiesznie skleconych trumien, jednej dużej, drugiej żałośnie małej. Gideon odmówił *Ojcie Nasz*, ale nie było księdza, który by odprawił prawdziwy pogrzeb, ponieważ zesłani tu Irlandczycy cierpieli nie tylko z braku wolności, ale też pozbawieni zostali duchowego wsparcia swej religii.

Louisa przynajmniej nie musiała już cierpieć. Przez moment Bryony prawie jej zazdrościła.

- Chodź, Bryony - odezwał się Hayden. - Już po wszystkim.

Bryony wyciągnęła rękę.

- Nie, proszę zaczekać. - Z jakiegoś powodu, którego nie umiała wytłumaczyć, musiała odczekać, aż groby będą całkiem zasypane. Potrzebna jej była świadomość ostatecznego końca.

Dopiero kiedy ostatnia łopata ziemi trafiła na grób, Bryony

pochyliła się, żeby złożyć na świeżym kopczyku dwie róże. Żółtą dla Sarah i białą dla Louisy.

Podniósłszy wzrok ujrzała Willa Carvera spoglądającego na rząd grobów. Nie po raz pierwszy przyszło jej do głowy pytanie, co ten człowiek naprawdę czuł do złodziejki z Dublina, którą zgwałcił na pokładzie statku transportowego. Przeżyli razem trzynaście lat, wybudowali dom w nieprzyjaznej dzicy i powołali na świat pięcioro dzieci. Czy ją kochał? Bo przecież nigdy się z nią nie ożenił.

Zatrzymała się przy nim, chcąc powiedzieć coś pocieszającego, ale ich wzajemna wrogość sięgała zbyt głęboko, nawet w chwili żałoby. Potrafiła się zdobyć jedynie na pytanie:

- Okryje pan ich groby korą, prawda?

Odwrocił ku niej siwiejącą głowę; stara blizna po szabli odcinała się biało na tle szpeceniastej brody. Już sądziła, że nie zamierza jej odpowiedzieć, gdy w końcu się odezwał.

- Nie. Zawsze uważałem, że to idiotyczny pomysł. - Ściągnawszy wargi, plunął strumieniem żółtobrazowej tytoniowej śliny na mokrą trawę u jej stóp i odszedł.

Bryony patrzyła za nim, czując w sobie falę wzbierającej niechęci. Jak mógł nie okryć ich grobów? Jak mógł zostawić Louise i jej małą Sarę leżące tu bez żadnej osłony w takim deszczu?

Przed zapadnięciem nocy deszcz wreszcie ustał. Ciepły wiatr z północy odgonił resztki chmur. Potem temperatura wzrosła, wiatr zamarł i ziemia zaczęła parować.

Leżała w łóżku. Chociaż obie pary drzwi i okiennice były otwarte na oścież, ciężkie parne powietrze nawet nie drgnęło. Na którymś z drzew na wzgórzu siedział koala i od wielu godzin bezustannie zawodził. Wydawany przez niego dźwięk brzmiał dokładnie tak, jakby dziecko uczyło się gwizdać. Bryony pomyślała, że jeśli zwierzę wkrótce nie ucichnie, ona niechybnie oszaleje. W oddali zaczął wyc dingo, a zaraz potem do odgłosów nocy monotonnym cykaniem włączyła się para świerszczy. Bryony zakłęta pod nosem, ciskając przez pokój poduszką, i wstała.

Była ciemna noc. Wprawdzie księżyc miał postać jedynie cienkiego bladego sierpa, ale nawałnica wyczyściła niebo z chmur i teraz skrzyło się gwiazdami. A gwiazdy... stanowiły niesamowity widok. Bryony wyszła na werandę z boku domu i stanęła z zadartą głową, obejmując ramionami słupek.

Jednak jest inaczej.

Tamta noc, kiedy stała w świetle obozowego ogniska i patrzyła na gwiazdy w górze, wydała jej się taka odległa. Czuła się wówczas zagubiona, samotna i przestraszona.

Teraz także była zagubiona i samotna, ale z innego powodu.

Oderwała rękę od słupka, przeszła przez werandę i popatrzyła na swój ogródek - zobaczyła śmigające ciemne kształty lotopalańek polujących tam na owady.

Nie potrafiła określić, kiedy przestała uważać ten ogródek za własność Laury i zaczęła uznawać za swój. Pomysł i plan należały bezsprzecznie do Laury, ale to, co istniało w rzeczywistości, było w całości jej zasługą.

Nagle oblała ją fala żaru, jakby tchnienie gorącego wiatru. Tylko że wiatru nie było. Odwróciwszy głowę, stwierdziła obecność męża Laury.

Stał w cieniu swego pokoju. Wiedziała, że sypiał nago. Czasami w nocy, kiedy nie mogła zasnąć, leżała w łóżku rozmyślając o nim, smukłym i nagim, rozciągniętym na pościeli w sąsiednim pokoju.

Teraz był nagi.

Promień srebrzystej poświaty wpadający przez otwarte drzwi spoczął na jego ciele, ukazując każdą wypukłość i każde zagłębienie muskularnej sylwetki. Stał wyprostowany, niczym żywy symbol męskości, cud natury zapierający dech w piersi.

- Co ty tu robisz? - spytał szorstkim, jakby zduszonym głosem.

- Ja... nie mogłam spać. - Mówiła z trudem, bo brakowało jej powietrza. - Nie mogłam przestać myśleć o Louisie i Sarah i... I jest tak gorąco.

Jemu też było gorąco. Kiedy zbliżył się o krok, dostrzegła, że ciemne włosy porastające jego tors są mokre od potu. Gęsto

skręcone wokół brodawek, schodziły pasem w kształcie strzały do brzucha. Odetchnęła głęboko. Próbowwała sobie wyobrazić, jak on wygląda. Ale wyobraźni jej nie starczyło. Nie spodziewała się, że jest aż tak wspaniały.

Poderwała głowę. Pierś jej zafalowała w drżącym, urywanym oddechu. Sama także była zlane potem. Wilgotna koszula kleiła się do ciała, napięta na kragłościach sutków i bioder. Czuła na sobie jego niespokojny wzrok; jeszcze nigdy nie była tak świadoma własnego ciała.

Wezbrała w niej jakaś dziwna słodka tęsknota, aż musiała zagryźć usta, żeby nie wydać z siebie jęku. Uniósł ręce i oparł się o nadproże drzwi. Widziała, jak napinają się ścięgna pod opaloną skórą jego ramion, widziała cień włosów pod pachami i jego twarz, jak również zaskakująco potężny fizyczny dowód jego podniecenia i żar pragnienia bijący z jego oczu. Był taki męski i piękny, i tak bardzo go pragnęła. Zamknął oczy, wbijając paznokcie w drewno. Wydawało jej się, że zadrżał. Patrzyła na bijący puls, mocny i szybki, u nasady jego szyi. Ledwo się powstrzymała przed wyciągnięciem ręki i dotknięciem go w to miejsce.

Czuła na sobie jego gorące, namiętne spojrzenie. Miała wrażenie, że obejmuje ją wzrokiem, wabi, przyciąga do siebie.

- Niech to się stanie, Bryony - powiedział niskim, kuszącym głosem. - Wiesz, że tego pragniesz. Przestań ze mną walczyć. Przestań walczyć ze sobą. I chodź do mnie.

- Nie - odpowiedziała, araczniej chciała odpowiedzieć, bo z jej ust wydobyło się tylko westchnienie. Umysł nakazywał nogom wykonać ruch, lecz one jedynie drżały.

- Chodź. - Opuścił ręce wzdłuż boków, jednocześnie robiąc krok w jej stronę.

- Nie będę pana kochanką - wyrzuciła z siebie zamierającym szeptem. - Nie będę niczyją kochanką.

Widziała tęsknotę w jego oczach. Widziała pragnienie w jego duszy.

- Bryony... - Zbliżył się o kolejny krok.

Odwróciła się na pięcie i uciekła.

Kilka dni później Will Carver poprosił o wolne, żeby móc pojechać do Green Hills i złapać statek do Sydney. Wrócił w towarzystwie bladej, rudowłosej dziewczyny z Kobiecej Fabryki w Parramatta.

Bryony dołała właśnie krowy, kiedy wjechali na podwórze. Prostując plecy, patrzyła, jak dziewczyna ciężko zsuwa się z wierzchowca Willa. Stała z opuszczonymi ramionami w cieniu stodoły i pozostała tam, podczas gdy Will poszedł rozsiodłać konia.

Sprawiła wrażenie zagubionej i wystraszonej nowym otoczeniem. Bryony, najszybciej jak mogła, zakończyła dojenie. Odstawiła wiadra do mleczarni i ruszyła przez podwórze w stronę dziewczyny.

- Witaj! - zawołała, machając do niej z daleka.

Dziewczyna uniosła głowę i dopiero wtedy Bryony się przekonała, jaka jest młoda. Mogła mieć czternaście, najwyżej piętnaście lat. Patrzyła na nią oczyma szeroko otwartymi ze strachu, a na jej policzku ciemniał paskudny siniak.

Bryony zatrzymała się w odległości kilku stóp.

- Witaj. Jestem Bryony Wentworth. Z Konwalii.

Dziewczyna zaleknionym wzrokiem obrzuciła podwórze.

- Ann McBride. Z Glasgow. - Jej głos brzmiał niewiele głośniejszy od szeptu. - Czy ty... ty też należysz do pana Carvera?

Bryony przecząco potrząsnęła głową.

- Nie. Przydzielono mnie kapitanowi St. Johnowi. - Wyciągnęła rękę i ostrożnie odwróciła twarz dziewczyny do światła. - Masz okropnego siniaka - zauważyła cicho, marszcząc brwi. - On ci to zrobił?

Dziewczyna znów rozejrzała się niepewnie po podwórzu, a potem przytaknęła.

- Kiedy ja... kiedy on... - Uniosła ręce, zasłaniając twarz, jakby w ten sposób mogła ukryć wstyd.

Bryony zacisnęła gniewnie usta, żeby nie wyrazić swojej opinii o Willu Carverze. Opanowawszy pierwszy odruch złości, powiedziała:

- Wiesz, że nie ma prawa cię bić. To niezgodne z...

Rozległ się gniewny pomruk i wielka pięść wylądowała na ramieniu dziewczyny z taką siłą, że biedaczka aż się zatoczyła.

- Trzymaj się od niej z daleka - warknął Will Carver, wskazując brudnym, tłustym paluchem na Bryony. - Masz się trzymać z daleka. I lepiej o tym pamiętaj, bo jak jeszcze kiedyś zobaczę, że z nią rozmawiasz, to pożałujesz. - Chwył dziewczynę mocno za chudy łokieć i zwrócił się do Bryony: - Zostaw moją kobietę w spokoju, słyszysz?

Odszedł w stronę swojej chaty, ciągnąc za sobą Ann McBride.

Jak pan może pozwalać Willowi Carverowi na coś podobnego? - oburzyła się Bryony.

Hayden doskonale wiedział, co miała na myśli. Przystanął oparty jedną ręką o słupek werandy i odwrócił się ku niej powoli. Stała przy narożniku domu, wbijając w niego oskarżycielskie spojrzenie. Musiała dopiero co skończyć kopanie w ogródku, bo w jednej ręce trzymała pęk marchwi, a w drugiej łopatę. Zadarty podbródek miała ubrudzony ziemią.

Hayden był zmęczony, brudny i było mu gorąco. Skosili i zwieźli już zboże, ale jeszcze nie zakończyli młócenia, no i cały czas wypalali ścierniska na polach, co przy tym upale stwarzało spore ryzyko.

Niejako wbrew swej woli powiódł wzrokiem po całej jej sylwetce. Chociaż był naprawdę zmęczony, musiał dostrzec, że letnie słońce leciutko zaróżowiło jej policzki i nadało włosom płomienny połysk. Zmęczenie nie przeszkadzało mu też pamiętać, jak wyglądała w świetle księżycy, z burzą rozpuszczonych włosów opadających na nagie ramiona i wilgotną koszulą oblepiającą krągłe biodra. Ogarnęło go podniecenie, nagłe, gwałtowne i wcale nie chciane.

Przeklinając w duchu, wspiął się po stopniach werandy.

- Słyszałaś o nowej kobiecie Willa Carvera, co? - rzucił przez ramię, wchodząc do domu.

Odłożyła łopatę i marchew na ławkę i weszła za nim.

- Ann McBride nie jest kobietą. To jeszcze dziecko. A on ją zgwałcił... i pobił.

Hayden zacisnął szczęki. Jemu też się to nie podobało, ale nic nie mógł poradzić na tę sytuację. Wzruszył ramionami z udawaną obojętnością.

-- To nic moja sprawa, Bryony. Ani twoja.

- Will Carver pracuje dla pana.

- Właśnie. Pracuje dla mnie, nie jestem jego właścicielem. Jest wolnym człowiekiem i ma takie samo prawo do kobiety z Fabryki jak każdy inny mężczyzna z kolonii.

Cały czas podążała za nim, aż znaleźli się w jego pokoju.

- Myślałam, że bicie przydzielonej służącej jest niezgodne z prawem.

Rzucił zakurzony kapelusz na biurko.

Owszem. W Sydney zdarza się, że służący idą do sędziego i składają skargi na swoich panów. Ale tu w buszu jest inaczej. Służący potrzebuje zgody swojego pana, żeby się udać do miasta i zobaczyć z sędzią. Jeśli takiej zgody nie otrzyma, a mimo to się wybierze, może zostać schwytany i wychłostany lub nawet powieszony za ucieczkę. - Zrzucił z siebie przepoconą koszulę i przeciągnął zmęczone mięśnie.

- Ale on ją gwałcił!

- Cóż, w takim razie uznano by ją za de facto żonę, a mężczyznom wolno bić i gwałcić swoje żony. - Sięgnął do paska spodni, posyłając jej umyślnie grubiański umieszek. - Jeśli nie chcesz, żeby cię spotkał podobny los, radzę ci się stąd wynosić i to szybko.

Mimowolnie opuściła wzrok na jego spodnie. Zdążył je rozpiąć do połowy, a skutek rozmyślań o tym, jak wyglądała w wilgotnej koszuli, był aż nadto widoczny. Pwne oczy zrobiły jej się nienaturalnie wielkie, rumieniec na policzkach przybrał głębszy odcień czerwieni.

- To... postawię panu pod drzwiami garnek z gorącą wodą - wydukała, pośpiesznie wycofując się z pokoju.

Patrzył za nią z wolno zamierającym uśmiechem. Postanowił rozmówić się z Willem jeszcze tego wieczoru.

Wątpił jednak, by to cokolwiek pomogło.

Bryony nie była jedyną osobą, którą gniewało to, co Will Carver robił Ann McBride w swojej chacie po drugiej stronie wzgórza. Wyglądało na to, że Quincy również żywo się interesuje losem nieszczęsnej dziewczyny.

Bryony obawiała się jednak, że Quincy'emu to zainteresowanie może nie wyjść na zdrowie.

- Chodzi dziś z podbitym okiem - oznajmił któregoś dnia, przyniósłszy Bryony wodę ze strumienia. - Widziałaś?

Pokręciła głową.

- Rzadko ją widuję. Za każdym razem, kiedy się znajduję w pobliżu, ona przede mną ucieka.

- Pewnie, bo powiedział, że jak ją kiedyś przyłapie na rozmowie z tobą, to spuści jej lanie.

Bryony podniosła wzrok znad garnka z gulaszem.

- Skąd wiesz, Quincy?

- Sama mi powiedziała. Zaglądam tam czasami rano, kiedy już skończę tu robotę. Carvera wtedy nigdy nie ma, a ta biedna dziewczyna potrzebuje pomocy. Ona nie ma pojęcia, jak się zabrać do najprostszych rzeczy.

Coś w tonie jego głosu wzbudziło czujność Bryony.

- Quincy - zaczęła, starając się nie okazywać emocji. - Ty lepiej uważaj. Masz dość kłopotów z Carverem. Nie potrzeba ci więcej.

Chłopak zawadiackim gestem pstryknął w rondo kapelusza, posyłając jej przy tym beztroski uśmiech.

- Och, nie martw się o mnie. Nic mi nie będzie.

Simon leżał rozciągnięty na brzuchu na dywanie. Delikatne -dziecięce rysy ściągał wyraz determinacji.

Bryony odłożyła na bok koszulę, którą właśnie cerowała, i z zaciekawieniem obserwowała malca. Od paru dni był niespokojny, jakby czegoś chciał, ale sam nie wiedział czego. Teraz wpatrywał się z natężeniem w leżącą na ziemi jaskrawoczerwoną drewnianą grzechotkę. Sięgnął po nią, ale kiedy rączka okazała się za krótka, żeby pochwycić zabawkę, cały aż się zatrząsł

z bezsilnej złości. Spróbował jeszcze raz, równie bezskutecznie. Wtedy uniósł się na łokciach i przesunął do przodu najpierw jedno ramię, potem drugie, jednocześnie odpychając się nogami, tak że udało mu się przesunąć nieco naprzód pulchne małe ciało.

Nie pokonał dużej odległości, ani też nie poruszał się zbyt zgrabnie, lecz wystarczyło, żeby tłuste paluszki zacisnęły się na rączce grzechotki. Zadowolony ze swego osiągnięcia, pisał radośnie.

Bryony porwała dziecko w ramiona i okręciła się z nim dookoła, uszczęśliwiona.

- Udało ci się! Naprawdę się udało, Simon. Ty raczkujesz! Ależ z ciebie mądry chłopczyk.

Przytuliła go mocno, żałując, że Haydena nie ma w domu i nie może mu przekazać nowiny. Ale Hayden pojechał do Parramatta, żeby się rozmówić z sir D'Arcym Baxterem w sprawie owiec i miał wrócić dopiero pod koniec tygodnia.

Wciąż tańczyła po pokoju z Simonem w ramionach, kiedy jej uszu dobiegły głosy z podwórza. Głosy rozwścieczonych mężczyzn.

Usadziwszy sobie dziecko na biodrze, wyszła na werandę. Na widok tego, co się tam działo, przerażona mocno przygarnęła Simona do swego boku.

Po wyjściu z chłodnego cienia domu, aż zapiekły ją oczy od słonecznego żaru podwórza. Przed stodołą zebrał się cały tłum. Bryony w przeszłości wiele razy widziała podobne zgromadzenia, żeby natychmiast się domyślić przyczyny.

Wymierzano chłostę.

Ofiara, odarta z ubrania, stała przywiązana do słupka. Był to chłopiec, mały, szczupły i ciemny, a jego obnażone plecy już nosiły ślady po rzemieniu. Świeże ślady.

- Quincy - szepnęła do siebie Bryony.

Utkwiła przerażony wzrok w postawnym człowieku o długich siwiejących włosach, który potrząsał batem z wprawą świadcząca o solidnej praktyce. Will Carver.

- Ty bezczelny mały sukinsynu! - usłyszała wściekły głos. - Myślisz, że możesz bałamucić moją kobietę? Sam się o to

prosiłeś, chłopcze, więc dostaniesz, co ci się należy. - Uniósł ramię, a wybijane metalowymi ćwiekami rzemienie świsnęły w powietrzu i z budzącym grozę kłaśnięciem wylądowały na plecach Quincy'ego.

Chłopiec nawet nie drgnął.

- Obedrę cię ze skóry, łajdaku. Jak z tobą skończę, żadna kobieta z tej kolonii nawet na ciebie nie spojrzy, chyba że z litością.

Bat świsnął ponownie.

Przecież on go zabije, pomyślała Bryony. Widząc zimną, szaloną nienawiść w wykrzywionej twarzy Willa Carvera, nabrała pewności, że nadzorca nie odstąpi od wymierzania rąk, dopóki z przywiązanej do słupa ofiary nie zostanie krwawa miazga. I nie było nikogo, kto by go mógł powstrzymać.

Bat uderzył po raz trzeci.

Z sercem w gardle Bryony wbiegła z powrotem do domu. Położyła Simona do łóżeczka i wpadła do pokoju Haydena.

Pistolet znajdował się w szufladzie nocnego stolika, naładowany i gotowy do strzału, tak jak mówił Hayden. Wyjęła broń z szuflady, zważyła w dłoni i schowała pod fartuchem. Idąc przez podwórze, czuła przez cienką bawełnianą koszulę nieprzyjemny, zimny ciężar.

Słońce paliło ją w plecy. Czuła kropelki wilgoci zbierające się nad górną wargą, czuła, jak sukienka klei się do spoconej skóry. Nikt jej nie zauważył, bo uwaga wszystkich skupiała się na scenie przed stodołą.

Przystanąła tuż za grupą gapiów i uniosła pistolet. Trzymając go w obu rękach, wycelowała w ścianę stodoły, jakieś cztery stopy ponad głowę Willa Carvera. Nie dotykała broni od czasu, gdy zaatakował ją pies aborygenów, więc teraz ręce jej niepokojąco drżały. Ale zagryzła zęby, wstrzymała oddech i nacisnęła spust w chwili, gdy Carver po raz kolejny uniosł bat w górę, żeby uderzyć.

Kula wystrzelona przez Bryony przecięła rzemienie tuż nad zaciśniętą dłonią Carvera.

Strzał byłby zaiste godny podziwu, gdyby właśnie tam mie-

rzyła, ale ponieważ było inaczej, Bryony omal nie zemdląła ze strachu. Udało jej się jednak zachować zimną krew; odciągnęła drugi spust i tym razem wycelowała prosto w pierś oprawcy, który odwrócił się i patrzył na nią z osłupieniem.

Twarz Carvera poblądła ze strachu i zaskoczenia. Odrzucił roztrzaskaną rękojeść bata, jakby się bał, że również może mu eksplodować w dłoni. Jednak kiedy się zorientował, z kim ma do czynienia, wyraz lęku na jego twarzy ustąpił miejsca szyderstwu.

- Zamierzasz mnie zastrzelić, ty mała dziwko? - Poruszył szczęką, a potem ściągnął wargi i splunął w kierunku Bryony strugą ciemnej tytoniowej śliny.

Tłum mężczyzn nagle ucichł i rozstał się, zostawiając puste miejsce pomiędzy Bryony i Willem Carverem, stojącym w odległości piętnastu lub dwudziestu stóp od niej.

- Jeśli będę musiała - odpowiedziała twardo.

Uśmiechnęła się, odsłaniając poźółkłe od tytoniu zęby.

- Będziesz wisieć już za samo to, że we mnie celujesz.

- Więc równie dobrze mogę zabić, nie sądzi pan?

Zastanowił się nad jej słowami.

- Problem w tym, że możesz chybić. I co wtedy? Został ci tylko jeden strzał.

- Trafiłam w bat, który jest znacznie mniejszy niż pan, panie Carver.

Znowu splunął, ale Bryony zauważyła, że zmrużył oczy.

-- Udało ci się przypadkiem.

- Chce pan zaryzykować?

Zastanawiała się gorączkowo, jak wybrnąć z sytuacji. Nie sądziła, by ten człowiek dał się przestraszyć jednym strzałem. Odetchnęła głęboko, usiłując powstrzymać drżenie rąk.

- Niech pan wsiada na konia i zabiera się stąd, panie Carver.

Zaśmiała się, odrzucając głowę do tyłu.

- Ho, ho! Zmusisz mnie, kobieto? A co zrobisz, jak wsiądę na ciebie, zamiast na konia? - Zrobił krok w jej stronę, wykrzywiony w szyderczym uśmiechu. - Słyszałem, że nie podoba ci się to, co robię z Ann McBride. Może byś chciała zająć jej miejsce? Może już ci nie wystarcza usługiwanie kapitanowi, co?

Bryony cofnęła się odruchowo i natychmiast tego pożałowała, bo w oczach nadzorcy pojawił się błysk triumfu. Najwyraźniej uznał, że ją przejrzał. Że nie będzie zdolna go zastrzelić.

Był w błędzie. Woląca wisieć za morderstwo, niż pozwolić się dotknąć temu człowiekowi. Poza tym i tak pewnie groził jej stryzyk za to, co zrobiła. Wiedziała, że ma tylko jeden strzał i nie może sobie pozwolić na chybienie, więc pozwoliła mu się zbliżyć. Ogarnął ją śmiertelny spokój. Z każdym krokiem Carvera pistolet coraz pewniej leżał jej w dłoni.

- Niech ją pan zostawi!

Carver przystanął, zaskoczony, oglądając się na stodołę.

Gideon Shanaghan stał w otwartych wrotach, z widłami w rękach i groźnym wyrazem twarzy.

- Niech ją pan zostawi - powtórzył. - I wynosi się stąd, dopóki jeszcze może.

Rysy Willa Carvera stężały.

- Już raz mi groziłeś widłami, ty mały irlandzki gnojku. Wtedy ci darowałem, ale tym razem nie mam zamiaru. Tym razem oboje będziecie wisieć. Odjadę stąd. Prosto do Green Hills. Tyle że wrócę. Z sędzią.

Skierował się ku stajniom.

- Nie - odezwał się McDuff, stając ramię w ramię z Gideonem. - Lepiej będzie, jak pan tu zaczeka i będziemy pana mieć na oku, dopóki kapitan nie wróci.

- Pewnie - włączył się ktoś inny z tłumu, a po nim następny.

Bryony wiedziała, że najgorsze minęło.

Na razie.

Gwałtownie otwarte drzwi z hukiem uderzyły o ścianę.

Bryony podskoczyła, trafiając igłą w palec, i omal nie wypuściła z rąk koszuli, którą właśnie szyła. Opanowawszy się szybko, starannie zwinęła materiał, odłożyła na stół i wreszcie podniosła wzrok na człowieka w wysokich butach z ostrogami, który stał w progu jej pokoju.

- Wrócił pan - odezwała się głosem, który miał brzmieć pewnie, ale przeszkadzało mu w tym lekkie drżenie.

- Jak widać. - Stał na szeroko rozstawionych nogach, z rękami wspartymi na szczupłych biodrach. - Zechcesz mi wyjaśnić, dlaczego mój nadzorca jest zamknięty w piwnicy?

Nagle zaschło jej w gardle, ale powściągnęła odruch zwilżenia ust językiem.

- Może Gideon mógłby lepiej...

- Nie. Chcę to usłyszeć od ciebie. Ostatecznie to ty odegrałaś główną rolę w tym żalonym przedstawieniu.

Podniosła się z krzesła, stając na dziwnie miękkich nogach, i niepewnym ruchem wygładziła szarą spódnicę.

- Dobrze. - Minęła go z dumnie zadartą głową, choć w środku cała się trzęsała. Ruszył za nią do pociemniałej jadalni ciężkim, dudniącym krokiem. Kiedy się nagle odwróciła, był tak blisko, że omal na niego nie wpadła.

Nie poruszył się, to ona się cofnęła.

- Wszystkie się zaczęło od Quincy'ego - powiedziała.

Dopiero wtedy podszedł do stolika, na którym stała karafka z brandy i kryształowe kieliszki Laury.

- Tak podejrzewałem - mruknął, wyciągając korek.

- Quincy... zainteresował się Ann McBride.

Zerknął na nią, unosząc brew.

- Chcesz powiedzieć, że wziął ją do łóżka? - spytał z krzywym uśmiechem.

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Gdy uświadomiła sobie, że nerwowo splata i rozplata palce, zmusiła się do opuszczenia rąk. - Chyba... zrobiło mu się jej żal.

Zaśmiał się cicho.

- Bez wątplenia. - Bryony patrzyła, jak nalewa sobie brandy do kieliszka. - Rozumiem, że Will Carver nie docenił jego współczucia?

- Kazał przywiązać Quincy'ego do słupa przed stodołą i chłostał go batem. Z pewnością by go zabił. Nie było komu go powstrzymać.

Powoli zatkał karafkę i odstawił ją na miejsce.

- Więc ty go powstrzymałaś. Przy użyciu mojego pistoletu?
- Tak.

Podniósł kieliszek do ust i napił się bez pośpiechu. Przez cały czas nie spuszczał z jej twarzy palącego spojrzenia.

- Zdajesz sobie sprawę, że mogą cię powiesić za to, co zrobiłaś?

- Tak.

Opróżnił kieliszek i sięgnął po karafkę, żeby go ponownie napełnić.

- Will Carver ma się stąd wynieść do jutra rana. Po namowach zgodził się nie wnosić oskarżenia przeciwko tobie i Gideonowi, w zamian za to, że ja nie będę go oskarżała o znęcanie się nad Quincym. A Ann McBride zostanie tutaj.

Bryony odetchnęła z ulgą.

- To, co zrobiłaś, było głupie - mówił dalej. Przez chwilę wpatrywał się w zawartość kieliszka, nie podnosząc go do ust. - Sam mam ochotę złoić ci skórę.

Patrząc na jego ciemny, okryty cieniem profil, po raz pierwszy zauważyła ślad niepokoju, wręcz zatroskania, widoczny w ściągniętym czole, w pogłębionych bruzdach wokół ust. Uświadomiła sobie, że to właśnie z troski brała się jego złość. Z troski o nią. Był zły, ponieważ tym, co zrobiła, naraziła się na niebezpieczeństwo. Był na nią zły, ponieważ mu na niej zależało.

Zależało mu na niej.

Ta myśl wzbudziła w niej ciepłą falę szczęścia. Miłość do tego mężczyzny wypełniła ją całkowicie i niepowstrzymanie. Zawładnęła nią bez reszty, nie pozostawiając miejsca na żadne inne odczucia.

- Ktoś musiał go powstrzymać - powiedziała cicho.

Przeszył ją ciężkim, nieustępliwym spojrzeniem.

- Z tego, co wiem, były tam ze dwa tuziny mężczyzn obserwujących chłostę. Ale uznałaś, że to właśnie ty musisz go powstrzymać?

- Tak.

Zbliżył się wolno, nie odrywając oczu od jej twarzy. Wiedziała, że jej pragnie. Poznała to po jego napiętych rysach, po ogniu

płonącym w niespotykane niebieskich oczach. Podszedł tak blisko, że niemal się dotykali. A potem nagle odwrócił się do niej plecami.

- Wyjdź stąd, Bryony - wykrztusił schrypniętym, jakby umęczonym głosem. - Wynoś się stąd natychmiast.

- Nie.

Odwrócił się gwałtownie.

- Do licha, kobieto! Nie domyślasz się, co chcę ci zrobić? Mam ochotę położyć cię na tym cholernym stole, zedrzyć z ciebie tę brzydką roboczą sukienkę i położyć ręce na twoich nagich piersiach. Pragnę zarzucić sobie na biodra te twoje długie białe nogi i zagłębić się w tobie, wziąć cię... ostro i szybko, natychmiast.

Czuła, jak krew odpływa jej z twarzy, czuła w całym ciele palący żar jego słów.

- Wiem.

Wpatrywał się w nią pociemniałymi oczyma.

- Więc czemu, u licha, jeszcze tu jesteś?

- Bo ja także cię pragnę.

Chwycił ją za włosy i przyciągnął do siebie. Jego przyspieszony, gorący oddech owiewał jej twarz.

- Igrasz z ogniem, Bryony. Nie będziesz w stanie mnie powstrzymać.

Położyła mu dłonie na piersi, zaciskając palce na miękkiej tkaninie koszuli.

- Nie chcę cię powstrzymywać. Ja już płonę.

Nakrywając ustami jej usta, wydał z siebie gardłowy jęk. Całował ją gwałtownie, niecierpliwie, niemal żarłocznie. Tarł wargami o jej wargi, rozgniatał je, pochłaniał. Westchnęła drżąco, chwytając go za głowę, przyciągając do siebie, przywierając do niego całym ciałem, jakby wciąż miała go za mało, jakby wciąż był nie dość blisko.

Długo tłumiona namiętność wybuchła płomieniem, rozpalającym zmysły, doprowadzającym do szaleństwa. Wszędzie na sobie czuła jego ręce, na plecach, biodrach, pośladkach, jakby każdego z tych miejsc chciał dotknąć, naznaczyć. I wszędzie, gdzie jej dotknął, oblewała się żarem.

Oparł ją plecami o stół, unieruchamiając swoim ciężarem, napierając na nią biodrami. Wsunąwszy palce we włosy, odchylił jej głowę do tyłu i przesunął ustami po szyi, do punktu, gdzie pod skórą falowało źródło pulsu. Potem zacisnął dłonie na jej piersiach, ugniatając je przez szorstki materiał sukienki. Wreszcie sięgnął do tasemek przy szyi, próbował je rozwiązać drżącymi z pośpiechu palcami, by w końcu zakląć pod nosem i zerwać je jednym niecierpliwym szarpnięciem.

Znów napełnił dłonie krągłością jej piersi, lecz tym razem dostępu do nagiego ciała broniło mu już tylko cieniutkie płótno koszuli, którą sam jej podarował. Poczuła, że uśmiechnął się z ustami przy jej szyi.

- Ty mała oszustko - wymruczał z rozbawieniem. - Miałś w sobie za wiele dumy, żeby założyć sukienkę, którą ja ci kupiłem, ale to nosisz. - Wstrzymała oddech, kiedy opuszkami kciuków potarł miejsca, gdzie stwardniałe brodawki napinały delikatną tkaninę.

- Nie mogłam ... się powstrzymać. Czasami, kiedy jest ciepło i koszula przykleja się do skóry, wyobrażam sobie, że to dotyk twoich rąk.

Rozwiązał wstążkę przy dekolcie i zsunął jej koszulę z ramion, by wreszcie położyć dłonie na gołej skórze.

- Tak jak teraz?

- Tak - szepnęła. - Tak jak teraz.

Znów dopadł ustami jej ust, łąpczywie i zaborczo. Krawędź stołu wbijała się jej w pośladki, bo napierał coraz mocniej, jakby chciał ją zgnieść swoim ciężarem. Opuścił ręce, sięgając do fałdów spódnicy.

- Powiedz, że tego chcesz. - Jego gorący oddech dosłownie parzył ją w ucho. Podciągnął jej w górę spódnice i halkę. - Powiedz, że chcesz.

- Chcę - wyszeptała posłusznie, pozwalając, by rozsunął jej nogi. - Pragnę cię.

- To dobrze. - Wodził palcami po wrażliwej skórze u zbiegu jej ud. - Bo będziesz mnie miała. - Wydała z siebie stłumiony okrzyk, kiedy odnalazł to najczulsze miejsce i pieszcząc je delikatnie, przyprowadził ją o spazm rozkoszy.

Patrząc jej w twarz pociemniałymi od żądz oczyma, wsunął w nią palec. Zdawało jej się, że nim także wstrząsnął dreszcz.

- Och, Bryony... - Włożył w nią drugi palec, jednocześnie sięgając drugą ręką do rozporka bryczesów. - Jeszcze nigdy nie pragnałem żadnej kobiety tak, jak pragnę ciebie. Nigdy.

Teraz ona opuściła rękę, obejmując ciasno palcami uwolniony z ubrania, nabrzmiały członek. Wydał z siebie westchnienie, które brzmiało dziwnie chrapliwie, jakby ktoś siłą wydarł mu je z piersi. Chwytał ją za biodra i usadził naprzeciw siebie na stole. Kiedy wsunął jej ręce pod pośladki, objęła go w pasie i przyciągnęła do siebie, pomiędzy rozsunięte nogi. Poczują, jak napiera na nią, aksamitnie gładki, napięty i gorący. A zaraz potem był już w niej, wypełniał ją swoją twardą męskością. Przyjęła go z bezwiednym okrzykiem.

Wysunął się z niej prawie całkowicie, żeby zaraz znów się w niej pograżyć, mocniej, głębiej, i znowu, i znowu, coraz szybciej i gwałtowniej. Całował ją przy tym, najpierw w usta, potem w szyję, by wreszcie zatrzymać się wargami na jej piersi. Napierał na nią, tak że w końcu leżała przed nim na stole, z koszulą zsunietą poniżej piersi, z halką zadartą do pasa. Wszędzie na sobie czuła jego ręce, wzrok, usta. Trzymała go za głowę, przyciągając do siebie, wyginając ciało w łuk, żeby jeszcze mocniej się z nim zespolić. Krew pulsowała w niej dziko, zmysły wymykały się spod kontroli.

Unosiła się na fali przyjemności, płynęła do krainy najwyższych zmysłowych doznań. Oplotła go nogami i wciągała w siebie z całych sił, a każde miażdżące pchnięcie zbliżało ją do nieuchronnego spełnienia. Całkowicie poddana władaniu zmysłów, wiła się pod nim, krzyczała, aż wreszcie, drżący i bez tchu, razem dotarli na najwyższy szczyt rozkoszy.

Wsparł się na łokciu, żeby na nią spojrzeć. W półmroku nie była w stanie dostrzec wyrazu jego twarzy. Wolno nakreślił palcem linię od jej podbródka, przez szyję i wgłębienie pomiędzy

nagimi piersiami do miejsca, gdzie zatrzymały go zmięte fałdy opuszczonej do pasa koszuli.

- Jesteś niezwykłą kobietą, Bryony - szepnął.

Przyciągnęła go do siebie, kryjąc twarz na jego ciepłym ramieniu, czując nagły lęk zaprawiony rozpaczą.

Boże, dopomóż, oddała się temu człowiekowi ciałem, sercem i duszą. Ale co mogła od niego otrzymać w zamian? Chwilę przemijającej namiętności? A co potem?

Opuścił głowę na jej piersi. Objął sutek smukłą mocną dłonią, potem obwiodł językiem ciemną aureolę brodawki, by w końcu wziąć ją między wargi.

Kiedy zadrżała przyjemnie zaskoczona, roześmiał się, uszczęśliwiony.

- Czekałem na to od miesięcy. Uświadomiłem sobie nawet, że zazdrozczę Simonowi łatwego dostępu do tego, czego tak bardzo pragnąłem.

Podniósł głowę, żeby móc wzrokiem śledzić pieśczętę dłoni. Bryony poczuła, jak z wypełniającego ją żaru znów zaczynają wstawać płomienie. Poruszyła się, lekko wyginając plecy, przywierając do niego. W odpowiedzi posłał jej przeciągłe spojrzenie spod na wpół opuszczonych powiek.

- Znowu cię pragnę, Bryony- powiedział niskim, jakby zdyszonym głosem. A zaraz potem, unosząc kąciki ust w uśmiechu, dodał: - I nigdy nie będę miał dosyć.

Roześmiała się. I w tej jednej chwili była szczęśliwa.

Była skazaną kochanką Haydena St Johna.

Kiedy pozwalała sobie na rozmyślanie o tym, co zrobiła, ogarniało ją głębokie, dotkliwe poczucie wstydu. Ale nocą, gdy rozganiała jej usta gorącymi, łapczywymi pocałunkami, gdy nakrywał ją swym mocnym, szczupłym ciałem, czuła jedynie niewysłowiona rozkosz i jakiś bolesny rodzaj szczęścia.

Był czułym, niezwykle wprawnym kochankiem i obdarzał ją doznaniem, o jakich nawet nie śniła. Jej pożycie z Oliverem zawsze odbywało się w łóżku, w ciemności, po pośpiesznym zadarciu nocnej koszuli. Pomimo doświadczeń z prostytutkami, Oliver miał bardzo tradycyjne poglądy na temat tego, co może robić z własną żoną.

Ale przecież dla Haydena nie była żoną, tylko kochanką. Kochali się na podłodze, przy ścianie, na fotelach.. a nawet, pewnej niezapomnianej gorącej nocy, w zakolu strumienia, pod osłoną rozgwieżdżonego nieba.

Teraz, kiedy już była jego kochanką, kupował jej różne rzeczy - suknie, buty, halki i cieniotkie batystowe nocne koszule. Powiedziała mu kiedyś ze śmiechem, że nocne koszule są stratą pieniędzy, ponieważ i tak zawsze je z niej ściąga, albo niecierpliwie i w pośpiechu, albo z umyślną, zmysłową powolnością. Lubił sypiać, obejmując zaborczo jej nagie ciało, podobnie jak lubił znajdować ją obok siebie rano, kiedy się budził. W końcu więc Bryony zrobiła trochę miejsca w jednej z jego szaf i przeniosła swoje rzeczy z pokoju Laury.

Wysuwając kolejno szuflady, żeby się upewnić, czy czegoś nie przeoczyła, znalazła szkicownika Laury. Minęło sporo czasu od dnia, gdy je poprzednio oglądała. Wzięła do ręki ten, który zawierał ostatnie rysunki, i zaczęła go wertować, dopóki nie natrafiła na autoportret Laury.

Usiadła, rozkładając szkicownik na kolanach, i wpatrywała się w zmarłą żonę człowieka, z którym teraz sama sypiała. Laura była piękną kobietą, promienną i delikatną. Bryony stwierdziła z bólem, że w porównaniu z nią czuje się prosta i pospolita.

Cóż za głupia myśl, zachnęła się z goryczą. Jak w ogóle mogła się porównywać z kobietą taką jak Laura St. John? Laura była córką wicehrabiego, prawowitą żoną Haydena.

A Bryony była jego kochanką, skazaną za morderstwo.

Chowała szkicownik z powrotem do szuflady, kiedy usłyszała pośpieszne kroki na kamiennej posadzce werandy.

W uchylonych drzwiach ukazała się blada, piegowata twarz Ann McBride. Ann sypiała obecnie w przybudówce obok kuchni i pomagała Bryony w porządkach i praniu. Quincy miał rację, mówiąc, że ta dziewczyna nie ma pojęcia, jak się zabrać do najprostszych rzeczy.

- Boże miłosierny - wydyszała Ann. - Tak mi przykro, Bryony.

Bryony wstała, spoglądając na rudowłosą dziewczynę z coraz lepiej znanym przeczuciem nadciągającej katastrofy. Ann twierdziła, że pracowała jako służąca w Glasgow, zanim ją skazano - niesłusznie, jak się upierała - za próbę zastawienia w lombardzie kompletu haftowanych poduszek do igieł, należących do jej pani. Może mówiła prawdę, bo Bryony zaczynała podejrzewać, że udręczona pracodawczyni Ann uległa pokusie oskarżenia dziewczyny tylko dlatego, żeby się jej pozbyć.

- Co się stało, Ann? - spytała.

- Zostałam otwarte drzwi do mleczarni, kiedy poszłam dziś rano po masło, i teraz te przekłete kury dziobią moje sery!

Hayden wjechał na podwórze akurat w momencie, gdy Bryony, wymachując bojowo miotłą, wkraczała do mleczarni.

Kiedy chciała, potrafiła przeklinać równie płynnie jak każdy inny skazaniec zesłany do Zatoki Botanicznej i właśnie teraz miotła przekleństwa swoim matowym, niemal szorstkim głosem. Ściągnął wodze i z uśmiechem przyglądał się, jak rozgania na wszystkie strony przeraźliwie rozgdakany drób.

Wszyscy uważali te kury za własność Bryony, ponieważ to ona je karmiła i zbierała jajka. On jednak wiedział, że Bryony ich nienawidzi i wcale go nie zdziwiło, że z niemal dziką zawziętością ciska miotłą, biorąc odwet za każde złośliwe dziobnięcie i każde zmarnowane jajko.

Jedna z kur, szczególnie dokuczliwa, ale wydajna w znoszeniu jaj, którą Bryony z niewyjaśnionych nigdy powodów nazwała Eunice, wyróżniała się spośród swoich siostr niespotykaną zadziornością. Zamiast uciekać z gdakaniem i trzepotem piór, Eunice stanęła w drzwiach mleczarni, pogardliwie wysuwając głowę. Długa chuda szyja wygięła się w pałąk, a paciorki oczu bez mrugnięcia patrzyły na Bryony. A potem znienacka Eunice rzuciła się na swoją żywicielkę.

Bryony zręcznie schwyciła atakującą kurę i jednym ruchem ukreśliła jej pierzastą szyję.

- Ha! Masz za swoje, ty głupi zarozumiały ptaku! - zawołała triumfalnie, wychodząc po schodach mleczarni z martwą kurą w ręce.

Ann omal się nie zachłysnęła.

- Bryony! Zabiłaś swoją najlepszą noskę!

Hayden wybuchnął śmiechem.

Bryony gwałtownie odwróciła głowę. Późne letnie słońce zapaliło ogniste błyski we włosach okalających jej twarz gęstwiną kędziorów. Miała zaróżowione policzki, blask zwycięstwa w oczach i pierś falującą przy każdym zdyszonym oddechu. Wpatrywał się w nią z zamierającym na ustach uśmiechem, zdumiony, że nawet w starej roboczej sukience, z martwą kurą w dłoni, wzbudza w nim nieodparte pożądanie. Miał ochotę natychmiast porwać ją w ramiona i zanieść do łóżka.

Podeszła do niego z ogniem w oczach, potrząsając gniewnie bitym ptakiem.

- Cholerne kury! Weszły do mleczarni i podziobały wszystkie moje sery.

Powoli zsunął się z siodła. Staneła tuż przed nim, wymachując mu przed nosem zdechłą kurą.

- Potrzebuję kurnika! Mam już dość szukania jajek po całym tym cholernym podwórzu i potykania się o te cholerne kury w kuchni, przy każdym cholernym kroku. A w zeszłym tygodniu jakiś cholerny dingo zakradł się w nocy na podwórko i porwał tę białą kurę, którą sama odchowalam od pisklęcia. Gdyby zabrał tę tu Eunice... - jeszcze raz potrząsnęła zniecierpliwionym ptakiem - ...wcale bym nie żałowała. Ale potrzebuję kurnika!

- Dlaczego nazwałaś ją Eunice?

- Co? - Powoli opuściła rękę i znieruchomiła.

- Skąd się wzięło to imię, Bryony? Kto to jest Eunice?

Nagle wyparowała z niej cała złość i zapalczywość, a ich miejsce zajął smutek.

- Moja ciotka. Eunice jest moją ciotką... żoną mojego wuja Edwarda. To ona... ma Madeline.

Chciała się odwrócić, żeby odejść, ale położył jej dłoń na ramieniu.

- Każę moim ludziom od razu zabrać się za budowę kurnika - obiecał.

Chciał powiedzieć, że dałby jej wszystko, czego by tylko zapragnęła, gdyby to ją mogło uszczęśliwić.

Ale nie powiedział.

Hayden siedział na krześle w ogrodzie czytając „Sydney Gazette” i paląc cygaro, podczas gdy Bryony pracowała przy swoich ziołach. Mimo swobodnej pozy, wcale nie był rozluźniony, bo co chwila musiał się zrywać, żeby ratować Simona, który na przemian spadał z werandy albo próbował zjadać różne paskudztwa znalezione w trakcie odkrywania ogrodu.

- Zaczynam żałować, że w ogóle nauczyłem się raczkować - wyznał Hayden, pochylając się nad synem, żeby wydłubać z jego zaciśniętej piąstki jakiegoś robaka.

Bryony odpowiedziała śmiechem. Zauważył, że ostatnio częściej się śmiała. Nie tylko w łóżku, kiedy jej dotykał i ją pieścił. Czasami był skłonny uwierzyć, że jest szczęśliwa... dopóki nie przyłapał jej smutnego dalekiego spojrzenia. Wiedział, że myśli wtedy o Madeline.

- Pilnuj tylko, żeby tego nie jadł, dobrze? - Uśmiechnęła się ciepło do malca, siedzącego na środku żwirowej ścieżki i napełniającego kamykami starą puszkę, którą mu dała do zabawy.

Hayden odchrząknął. Próbował odczytać listę osób, na które w Sydney czekały listy do odebrania, i musiał po raz trzeci zaczynać od początku. Nagle zastanowiło go jedno z wydrukowanych nazwisk. Odłożywszy gazetę na bok, spozjrzał poważnie na Bryony.

- Bryony.

- Tak? - Klęcząc na ziemi, pracowicie wrywała chwasty.

- Tu jest wymienione twoje nazwisko. W Sydney czeka na ciebie list.

Przestała pracować, ale nie uniosła głowy. Widząc, jak nagle pobladła, domyślił się, co ją trapi. Był dopiero luty. Niemożliwe, żeby list, który wysłała „Lady Laura”, tak szybko dotarł do Anglii, więc ten, który nadszedł, w żaden sposób nie mógł być odpowiedzią. A sądząc po kilku uwagach Bryony na temat wuja, Hayden wątpił, by sir Edward Peyton napisał do swojej wykletej bratanicy bez powodu.

Haden podszedł do Bryony, uklęknął obok niej na ziemi i obejmując ją w pasie, przytulił do siebie, próbując dodać otuchy.

- Nie zakładaj z góry, że to złe wiadomości, Bryony. - Dotknął ustami jej rozjaśnionych słońcem włosów.

Jednak nic, cokolwiek by powiedział lub zrobił, nie mogło powstrzymać drżenia wstrząsającego jej ciałem.

Minęło pięć dni, zanim wreszcie Gideon wrócił z Sydney. Pojechał konno do Green Hills, żeby tam wsiąść na statek. Miał jednak inne sprawy do załatwienia dla Haydena, więc Bryony czekała niespokojnie dzień za dniem.

Była akurat w pokoju Simona, układając wyprane ubranka, kiedy zobaczyła przez okno Gideona wjeżdżającego na podwórze. Widziała, jak Hayden wychodzi ze stajni. Obserwowała, jak dwaj mężczyźni rozmawiają ze sobą, stojąc w cieniu stodoły. Widziała, jak niewielka biała paczuszka przechodzi z rąk do rąk. I jak Hayden powoli idzie przez zalane słońcem podwórze.

Patrzyła, patrzyła i patrzyła. Miała wrażenie, że opuściła własne ciało i z boku obserwuje swoje życie, rozgrywające się przed jej oczyma.

Wyszła Haydenowi na spotkanie. Wyciągnęła rękę po list, wzięła kopertę bez słowa i zaniosiła ją do salonu. Nie była w stanie usiąść. Stojąc na środku pokoju, drżącymi dłońmi przełamała pieczęć, zastanawiając się w duchu, czy ten list do reszty zmiążdży to, co pozostało z jej serca.

Szybko przebiegła wzrokiem zapisaną stronę. List sir Edwarda Peytona był krótki i okrutnie bezosobowy.

Droga Pani Wentworth.

Pani list wysłany z Cape Town nadszedł dziś rano. Poinstruowałem służbę, że każda następna korespondencja nadesłana przez osoby podpisujące się Bryony Wentworth ma być zniszczona bez otwierania, ponieważ nie mam już bratanicy o tym nazwisku. Madeline, ma się rozumieć, została powiadomiona o niedawnej śmierci jej matki i jestem przekonany, że Pani zrozumie, iż jakiegokolwiek dalsze próby nawiązania z nią kontaktu przez Panią mogą tylko zaszkodzić wszystkim zainteresowanym.

Bryony miała poczucie, że cała krew odpłynęła jej z ciała, pozostawiając ją zimną i martwą. Przeczytała list trzykrotnie, jakby nie potrafiła się zmusić do uwierzenia w jego treść. A potem wolno i dokładnie zmieła w dłoniach pojedynczy, sztywny od soli arkusik.

- Bryony?

Podniosła wzrok, ale choć rozchyliła wargi, głos nie chciał się wydobyć z jej gardła.

Hayden wyjął jej z ręki zmięty papier i zaczął starannie go

rozprostowywać, podczas gdy Bryony podeszła do okna i niewidzącym wzrokiem patrzyła na błyszczącą w słońcu rzekę. Tym razem Hayden ze złością zmiażdżył w dłoni list sir Edwarda i klnąc siarczyście, cisnął na puste palenisko kominka.

- Madeline nie umarła - odezwała się głucho Bryony. - To ja umarłam.

Odwróciła się plecami do okna, kurczowo przyciskając do siebie splecione ręce.

- Do diabła, Bryony. - Podeszedł do niej, otoczył ją ramionami i przytulił, ale ona nadal zaciskała ręce, wbijając palce w ciało, jakby się bała, że jeśli puści, może się rozsypać na kawałki.

Odsunął ją od siebie i trzymając za ramiona lekko potrząsnął.

- Nie umarłaś, Bryony, tylko dlatego, że ten drań nie chce cię znać.

- Czuję się tak, jakbym była martwa.

- Wszyscy czasami czujemy się martwi w środku. A Bóg jeden wie, że masz ku temu więcej powodów niż inni. Ale nie jesteś martwa. - Pełnym czułości gestem przyłożył dłonie do jej policzków i przesunął kciukiem po ustach. - Jesteś najbardziej, najcudowniejszą żywą kobietą, jaką w życiu znałem.

Wargi jej drżały pod jego dotykiem, ale kiedy znowu ją do siebie przygarnął, już się opierała.

- Bryony - szepnął z ustami w jej włosach. - O Chryste, wiem, że nic nie mogę na to poradzić, ale chciałbym. Bardzo bym chciał.

Odchyliła głowę, żeby spojrzeć w zatroskaną, ukochaną twarz.

- Możesz mnie przytulić - szepnęła, przyciągając go do siebie. - I kochać się ze mną - dodała, niemal dotykając ustami jego ust. - Och, Hayden, proszę... kochaj się ze mną. Teraz.

Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni.

Później leżeli nadzy, spleceni ze sobą, w popołudniowym upale, przy zaciągniętych przed słońcem zasłonach.

Mówiła mu o rzeczach, o których nigdy wcześniej nawet nie wspominała. O swoim życiu z matką i ojcem w domu nad zatoką Cadgwith. O szarych, nieszczęśliwych latach w Peyton Hall.

O dniu, kiedy odebrano jej Madeline, podczas gdy „Indispensable” szykował się do wypłynięcia w morze.

- Pamiętam pewną kobietę ze statku - powiedziała, skulona w opiekuńczym uścisku Haydena, z głową na jego ramieniu. - Zjawiała się jako jedna z ostatnich i kiedy przyprowadzili ją na nabrzeże, miała przy sobie dwoje dzieci. Chłopca w wieku około sześciu lat i dziewczynkę, nie więcej niż dwuletnią. - Musiała przerwać, żeby głęboko zaczerpnąć tchu, nim była w stanie mówić dalej: - Słyszałam, że kobietom, które znajdowały się poza swoją parafią, zabierano dzieci i zostawiano je w dokach, ponieważ nie przyjmował ich dom dla ubogich. Ale nigdy w to nie wierzyłam, dopóki nie zobaczyłam, jak tę kobietę odrywają od jej dzieci i krzyczącą z rozpaczony wciągają na pokład.

Bryony położyła mu rękę na piersi i bezwiednie obwodziła palcami wypukłe zarysy mięśni.

- Kiedy odpływaliśmy, te dzieci wciąż stały na nabrzeżu, obejmując się nawzajem, i patrzyły za nami. Nigdy nie zapomnę tego widoku. Ich matka oczywiście odchodziła od zmysłów. Trzymali ją związaną pod pokładem przez kilka dni. Kiedy ją wreszcie wypuścili, od razu podbiegła do barierki i wyskoczyła za burtę.

Hayden gładził ją delikatnie po włosach, żałując, że musi tego słuchać. Wiedział jednak, że musiała to z siebie wyrzucić. Że odczuwała tę potrzebę od miesięcy.

- Byłam wtedy na pokładzie. - Bryony z trudem przełknęła ślinę. - Nigdy nie zapomnę jej twarzy, wykrzywionej niewyobrażalnym cierpieniem. Rzucono jej linę ratunkową, ale nawet na nią nie spojrzała. A potem... potem się uśmiechnęła. Cały czas się uśmiechała, kiedy namoknięte spódnice wciągały ją pod wodę. Pamiętam, jak w tamtym momencie strasznie jej zazdrościłam. Tak bardzo tęskniłam za Madeline, że nie wyobrażałam sobie, jak będę dalej żyć z tym bólem. Pamiętam, jak z całej siły przyciskałam ręce do brzucha, pragnąc, żeby Philip mnie kopnął, żeby mi przypomniał, że żyje we mnie, więc i ja muszę żyć, jeśli już nie dla siebie, to dla niego.

Hayden chwycił ją za ramiona i położył na sobie. Gładził ją czule po plecach i biodrach, podziwiając w duchu jej niezwykłą siłę i dzielność.

Kiedy ją ujrzał po raz pierwszy, tamtego deszczowego, smutnego poranka w Parramatta, właśnie straciła to, co uważała za jedyny powód do życia. A jednak żyła dalej. Znosiła ból, poniżenie i upokorzenie, przetrzymała wszystko i jeszcze znalazła w sobie siłę, żeby mu się przeciwstawiać, kiedy czuła taką potrzebę. Jakimś cudem udało jej się stworzyć tu dla siebie nowe życie.

A przy okazji zbudowała też nowe życie dla niego i dla Simona.

Chciał jej powiedzieć, co o niej myśli. Jak bardzo ją podziwiał i szanuje, i jak wiele zaczęła dla niego znaczyć. Wiedział jednak, że nigdy nie znajdzie odpowiednich słów, by to wszystko wyrazić. Więc tylko pochylił się nad nią z czułością.

I całym sobą wyraził to, co czuł.

Simon miał dziesięć miesięcy, kiedy postawił swoje pierwsze kroki.

Od tygodni próbował wstawać, za każdym razem pewniej trzymając się na nogach. I wreszcie, jednego gorącego letniego wieczoru, kiedy siedzieli razem na werandzie, z nadzieją wychekując na chłodniejszy powiew znad rzeki, ostatecznie zdecydował, że będzie chodził.

Bryony siedziała pochylona nad szyciem i klnąc w duchu usiłowała rozplatać zasupłaną nitkę, kiedy Hayden powiedział cicho:

- Bryony.

Podniosła wzrok. Ujrzała na jego twarzy uśmiech, na widok którego zawsze robiło jej się ciepło wokół serca. Skinieniem wskazał na Simona.

Odwrociła głowę, żeby spojrzeć na jego syna. Simon siedział na ostatnim stopniu werandy. Kołysał się do przodu i do tyłu i radośnie uśmiechnięty do nich obojga gulgotał, jakby chciał powiedzieć: „Patrzcie na mnie”. A potem stanął na swych pulchnych nóżkach i ruszył przed siebie.

Zrobił cztery sztywne kroki, nim się zachwiał i klapnął na solidnie opakowaną pupę. Bryony i Hayden natychmiast znaleźli się przy nim. Hayden ze śmiechem podniósł synka wysoko, ponad głowę, a Bryony klaszcząc w dłonie zawołała:

- Och, jaka szkoda, że Laury tu nie ma i nie może go zobaczyć!

Hayden wolno opuścił dziecko; śmiech zamarł mu na ustach.

Nigdy nie rozmawiał z nią o Laurze, nigdy nawet nie wymówił imienia żony w jej obecności. Z początku uważała, że skoro od śmierci Laury upłynęło tak niewiele czasu, mówienie o niej jest dla niego po prostu zbyt bolesne. Później zaczęła podejrzewać, że milczenie na jej temat bierze się z poczucia winy z powodu tego, co on i Bryony robili każdej nocy w jego wielkim, rzeźbionym łóżku.

- Bardzo... przepraszam - wydukała. - Nie wiem, czemu to powiedziałam, tylko że to taki cudowny moment i nie mogłam się oprzeć myśli, jakie to smutne, że Laura... że jego matka tego nie widzi.

Laura. To imię jakby zawisło między nimi i ich rozdzieliło. Hayden się nie odezwał. Podał jej syna Laury i odszedł przed siebie, w gęstniejący mrok.

Pełny księżyc wisiał wysoko na niebie, rzucając pasmo srebrnej poświaty na ciemną podłogę. Bryony ześliznęła się z łóżka i na palcach podeszła do otwartych drzwi.

Stał odwrócony do niej plecami, oparty ramieniem o słup werandy, ze wzrokiem utkwionym w odległych wzgórzach. Widziała czerwony koniuszek cygara, rozżarzony, kiedy się zaciągał, i bledszy, kiedy opuszczał rękę wzdłuż uda.

Zawahała się w progu. Przepełnione miłością serce biło jej niespokojnie. Gdyby był jej mężem, podeszłaby do niego bez obaw. Ale nie był jej mężem, był jej panem. Bo chociaż stanowili parę kochanków, pełniła także rolę jego służącej. Ich układ w istocie przedstawiał się niejednoznacznie. W łóżku byli kochankami, nieomylnie odgadującymi wzajemnie swoje potrzeby i pragnienia. Ale poza łóżkiem Bryony czasami miewała poczucie strasznej niepewności co do ich wzajemnych relacji.

Musiał ją usłyszeć, bo wolno odwrócił głowę. Patrząc na nią spod zmrużonych powiek, wypuścił długi strumień dymu.

- Powinnaś spać.

- Nie mogę spać, kiedy cię nie ma w łóżku.

Znów zapatrzył się na wzgórze w oddali.

- Bardzo ci jej brakuje? - odważyła się spytać.

Zesztywniał, ale i tak do niego podeszła. Obejmując go w pasie, przywarła policzkiem do jego szerokich pleców.

- Znalazłam jej portret, wiesz, w jej rzeczach. Była bardzo piękna.

Podniósł cygare do ust i zaciągnął się głęboko. Myślała, że nie zamierza jej odpowiedzieć, kiedy się odezwał:

- Nie powinienem był jej tu przywozić. Nie czuła się tu dobrze. Nienawidziła tego miejsca.

- Myślę, że się go bała - powiedziała Bryony, przypominając sobie obrazy posępnych gór i eukaliptusów o smutno obwisłych konarach. - Ale to chyba nie była nienawiść.

- Nienawidziła za to, że było takie, jakie było. Za błoto, muchy i upał. Ale jeszcze bardziej nienawidziła go za to, czym nie było. Nie było Anglią. - Znów zaciągnął się dymem cygara, wykrzywiając usta w niewesołym uśmiechu. - Najbardziej brakowało jej najprostszych rzeczy. Widoku ceglanych kominów, wznoszących się ponad gęstymi koronami dębów i kasztanów. Dźwięku kościelnych dzwonów w czyste niedzielne poranki. Zawsze narzekała na panującą tu pustkę i ciszę. Wszystko było dla niej zbyt nowe, zbyt dzikie, zbyt inne.

- A przecież podobało jej się w Indiach, prawda?

Wzruszył ramionami.

- Indie były... hmm, pełne atrakcji, dobrze wyszkolonej służby i nieustających wydarzeń towarzyskich, podczas których spotykała ludzi, z jakimi obcowała przez całe życie.

Bryony stanęły przed oczyma obrazy Laury, przedstawiające oficerów w eleganckich mundurach i panie w modnych sukniach. Przyjęcia na świeżym powietrzu. Pikniki. Śniadych, uniżonych służących.

- A Nowa Południowa Walia... - podjął. - Nowa Południowa

Walnia jest surowa, tak jak zamieszkujący ją ludzie. Nawet Sydney. Większość z tutejszych oficerów nie znalazłaby dla siebie miejsca w lepszych jednostkach i bardzo niewielu z nich sprowadza tu swoje żony. Ogromna większość zadawała się kochankami wybranymi spośród skazanych. I nie wprowadzają ich do towarzystwa.

Skazane kochanki. Kobiety takie jak ja, pomyślała Bryony, czując palący rumieniec wstydu na policzkach. Kobiety, które mogły dzielić z mężczyzną łóżko, ale nigdy nie mogły sobie pozwolić na zasiadanie z nim do stołu... przynajmniej nie w towarzystwie dam takich jak Laura St. John.

- To nie znaczy, że się skarżyła — powiedział, odrzucając niedopałek. - Tylko stała się milcząca, nerwowa. Wszystko było ponad jej siły: pogoda, brak odpowiedniego zaopatrzenia, służące, które właściwie nie były służącymi, tylko złodziejkami nie mającymi pojęcia o praniu, uprawianiu ogrodu czy ugotowaniu przyzwoitego posiłku. A ona zupełnie nie wiedziała, jak je czegokolwiek nauczyć. Czasami wracając do domu zastawałem ją siedzącą wpokoju i płaczącą bezgłośnie z rozpacz. - Odwrócił się w objęciach Bryony, żeby jej spojrzeć w twarz. - Ona nie była taka jak ty. Poddawała się rozpacz.

- Ja też rozpaczam - powiedziała cicho Bryony.

- Tak. Ale ty się nie poddajesz.

Patrzyła ponad ramieniem Haydena na wierzchołek wzgórza, próbując dopasować jego słowa do tego, co sobie wyobrażała. Zawsze sądziła, że Laura St. John przyjechała do tego obcego kraju z własnej woli. Ale jaki miała wpływ na decyzję męża o osiedleniu się tutaj? Na swój sposób była, tak samo jak Bryony, więźniem Nowej Południowej Walii. Wiecznie myślącym o domu, tęskniącym za miejscami i ludźmi, których opuścił. I w końcu umierającym tutaj.

- Ona się nie poddała, Haydenie. Ona... umarła.

Odsunął się od niej z ciężkim westchnieniem.

- Ona nie umarła tak po prostu, Bryony. Ja ją zabiłem. Złożyłem w niej swoje nasienie, chociaż wiedziałem, że tak naprawdę wcale tego nie chciała, chociaż już poroniła jedno dziecko, chociaż wiedziałem, że boi się kolejnej ciąży. Trzymałem

się od niej z daleka na tyle, na ile byłem w stanie, ale... - Odrzucił do tyłu głowę, mocno zaciskając powieki. - O Boże, Bryony... Na swój sposób ją zabiłem, tak samo, jak ty zabiłaś Olivera.

- Nie - szepnęła głosem szorstkim od bólu.

- Ależ tak. Gdybym się z nią nie ożenił, żyłaby dotąd szczęśliwie w Anglii.

- Nie możesz tego wiedzieć, Hayden. Poza tym, zgodziła się za ciebie wyjść. Zgodziła się wyjechać z tobą z Anglii.

Zbliżyła się do niego, a on przytulił ją do piersi i ukrył twarz w jej włosach.

- Błagała mnie, żebym ją zabrał do domu. Nie minęło pół roku naszego pobytu tutaj, kiedy zapragnęła wracać do Anglii. Ale poprosiłem ją, żeby poczekała jeszcze rok. Miałem nadzieję, że po roku wszystko nie będzie jej się wydawało takie obce. Jindabyne się ucywilizuje. Planowałem rozbudowę domu, żeby bardziej przypominał to, do czego była przyzwyczajona. Ale przed końcem roku już nie żyła.

- Czy pod koniec tamtego roku wróciłbyś do Anglii, gdyby nadal tego chciała?

- Wróciłbym. Ale chyba bym tego nie zniósł. - Zacisnął palce w jej włosach i odchylił jej głowę, by móc spojrzeć w oczy. Podniósł się lekki wietrzyk, zaszeleścił suchymi liśćmi na werandzie i przyniósł ze sobą zapach eukaliptusów, kangurzej trawy i bezkresnych przestrzeni. Zapach Australii.

Ujrzała w oczach Haydena blask, przebijający przez grube pokłady cierpienia i poczucia winy. Pomyślała, że on spogląda w przyszłość.

- Tu jest moje miejsce - powiedział cicho. - W Anglii tak naprawdę nigdy nie czułem się u siebie. Może dlatego, że się tam nie urodziłem. Kiedy rodzice wysyłali mnie tam do szkoły, wcale nie chciałem jechać. Dorastałem marząc o dniu, kiedy znów stamtąd wyjadę. Z początku myślałem o powrocie do Indii Zachodnich albo do Kanady, ale im więcej wiedziałem o Australii... - Wodził dłońmi w górę i w dół po jej plecach. - Tu się tworzy coś wspaniałego, Bryony, mimo że kolonia nie miała najlepszych początków. Chcę w tym uczestniczyć. Pragnąłem

tu być, żeby wnieść swój wkład w rozwój tej ziemi. - Magiczne światło w jego oczach przygasło. - Ale nie kosztem życia Laury.

Dotknęła jego policzka wewnętrzną stroną dłoni.

- O czym myślisz? Obwiniasz się, bo po śmierci Laury byłeś w stanie tu zostać? - Zacisnął palce na jej włosach tak mocno, że aż ją zabolalo, lecz mówiła dalej: - Ona też musiała pragnąć dzieci, Haydenie. Musiała chcieć Simona, nawet jeśli się bała tego, co ją czeka przy porodzie. Ja chciałam Philipa, chociaż tak strasznie się bałam. Na tydzień przed moim porodem inna kobieta na statku powiła dziecko, tylko że ona nie przeżyła. - Bryony zamilkła. Do końca życia miał ją prześladować głuchy plusk ciała tamtej kobiety, uderzającego o powierzchnię wody. - Tak bardzo się bałam. I czułam się straszliwie samotna.

Przytulił ją do piersi, a ruchy jego palców stały się delikatniejsze, przypominające pieszczotę.

- Czasami się dziwię, jak kobiety wytrzymują z tak samolubnymi, nieczułymi istotami jak my, mężczyźni. - Pogładził ją po szyi. - Czerpiemy rozkosz z waszych ciał, czerpiemy radość i dumę z dzieci, którymi nas obdarzacie, a większość z nas nie bierze pod uwagę bólu i ryzyka, jakie dla nas ponosicie. - Przesunął dłoń niżej, pomiędzy jej piersiami aż do brzucha. - Przecież już mogłem cię zapłodnić. - Czuła jego ciepły oddech na skórze za uchem. - Czy ta możliwość cię przeraża?

Bryony nakryła dłonią jego dłoń i przycisnęła.

- Nie. - I nie do końca było to kłamstwem. Mieć jeszcze jedno dziecko... dziecko Haydena... Na samą tę myśl oblała się żarem pragnienia.

Była prawie pewna, że już nosi w sobie jego dziecko. Zastanawiała się, czy to nie jest odpowiednia chwila, by mu powiedzieć. Ale poczuła na szyi jego gorące usta, a jego dłonie zaczęły błądzić po całym jej ciele, budząc cudowne dreszcze.

- O Boże, Bryony... - westchnął. - Nigdy nie mam cię dosyć.

Przyłgnęła do niego rozpaczliwie.

- To dobrze - powiedziała przez ściśnięte gardło. - Nigdy nie miej mnie dosyć.

Był kwiecień i noce na tyle zimne, by Bryony z radością witała ciepło kominka, w którym Hayden co wieczór rozpałał w ich pokoju, nim poszli do łóżka. Jednakże do południa słońce grzało zaskakująco mocno, a trawa na zboczach wzgórz była złocistobrazowa, spragniona odświeżających zimowych deszczów.

Mimo chłodnych nocy, Bryony na próżno wypatrywała jesiennych barw w otaczającym ich buszu. Dni stały się krótsze, wiatr przynosił zapach palonego drewna, na niebie pojawiały się ptaki, lecz dziwny szarozielony krajobraz nie znał ognistych czerwieni, pomarańczy i żółcień. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jej brakuje koloru w tutejszej przyrodzie, dopóki któregoś dnia Hayden nie zrobił jej niespodzianki, przywożąc cały wóz dobrze jej znanych sadzonek - jesionów, kasztanowców, dębów i wiązów.

Ze śmiechem rzuciła mu się na szyję, na co odpowiedział szybkim, lecz zaskakująco czułym pocałunkiem.

- To tylko drzewa, Bryony. A zachowujesz się, jakbym ci podarował skrzynię pełną klejnotów.

- Bo podarowałeś - powiedziała z twarzą ukrytą na jego piersi.

Kiedy nieco później tego samego dnia kłęczała w ogrodzie, utwardzając ziemię wokół świeżo posadzonego kasztanowca, podniósłszy głowę zauważyła, że Hayden przygląda jej się,

stojąc na werandzie. Odchyliła się na pięty i osłoniła dłonią oczy, żeby lepiej widzieć. Zdażyła go już dobrze poznać. Po skupionym wyrazie jego twarzy i sztywno wyprostowanych ramionach poznała, że ma do powiedzenia coś, co jej się nie spodoba.

- O co chodzi? - spytała, kiedy opuściwszy werandę zbliżył się do niej zwirową ścieżką. Jesienne słońce grzało ją w plecy, zapach świeżo skopanej ziemi odurzał.

Stanął tuż przed nią. Zobaczyła, że trzyma w ręce cygaro. Zapalił je, nim odpowiedział.

- Właśnie przybył posłaniec z wiadomością. Będziemy mieli towarzystwo.

- Towarzystwo? - Rozgniewał ją piskliwy ton własnego głosu.

- Sir D'Arcy Baxter. Chce się przekonać na własne oczy, jak postępuje moja hodowla owiec.

- Aha.- Uznała, że mogłoby być gorzej. Ten człowiek mógłby przywieźć ze sobą żonę i córkę. Widząc zmarszczki na czole Haydena, domyśliła się, że nie usłyszała jeszcze całej nowiny. - Przywozi ze sobą żonę i córkę, tak?

Przytaknęła skinieniem.

- I nie sądzę, żeby one też chciały rozmawiać o owcach. - Zaciągnął się mocno, po czym wypuścił długi strumień dymu. - Z paru niezbyt subtelnych aluzji, jakie wygłosiła wiosną lady Priscilla, wnoszę, że bardziej ją interesuje małżeństwo. Małżeństwo jej córki.

Bryony poczuła, jak ziemia usuwa jej się spod nóg, co dziwnie przypominało nieznośne kołysanie „Indispensable” podczas sztormu.

- Masz na myśli Amandę?

Znów pokiwał głową.

- Niestety, ponieważ są już w drodze, raczej nie będę mógł ich powstrzymać.

Pod eukaliptusem przemknęła walabia zmierzająca w kierunku strumienia. Bryony przyglądała się zwierzęciu w milczeniu, czując, jak krew odpływa jej z twarzy. Chyba nic nie mogło dobitniej określić jej rzeczywistej pozycji.

Podniosła się na nogi, starannie wycierając ręce w fartuch.

- No cóż, zatem może mi powiesz, jak wygląda zwyczajowa procedura w takich wypadkach? Sądzę, że musiało być dość precedensów, zważywszy na rosnącą liczbę zesłanych kochanek wśród oficerów Korpusu Nowej Południowej Walii. Jaka szkoda, że nigdy nie poznałam Hetty Abrahams, bo mogłabym zasięgnąć u niej rady. Z tego, co wiem, żyje w konkubinacie z majorem Johnstonem już od... ilu? Piętnastu? Czy może dwudziestu lat? Powiedz mi, co Hetty - i jej ośmioro dzieci - robi, kiedy przychodzisz do majora z wizytą? Usługuje ci przy kolacji? Czy może znika?

- Bryony, nie jestem zainteresowany Amandą Baxter.

Chciał ją wziąć w ramiona, ale mu się wyrwała. Popatrzyła na niego dopiero z odległości jakichś pięciu stóp.

- A gdzie oni, do diabła, będą spali? - rzuciła ostro.

- Sir D'Arcy i jego żona mogą spać w pokoju Simona, dla Amandy możemy wstawić łóżko do garderoby, a Simon może spać z nami.

- Z nami? Nie mogę spać z tobą, kiedy Baxterowie będą w tym domu! W przybudówce za kuchnią jest wolne łóżko. Pościelę je i tam będę spała.

- Nie ma mowy. - Dwoma długimi krokami zbliżył się do niej. - Do licha, Bryony, nie wstydę się, że dzieliś ze mną łóżko.

- Och, Haydenie - chlipnęła, wieszając się na jego ramieniu. - Czy ty nie rozumiesz? Sama za siebie się wstydę.

Nie zasiądę do kolacji z tymi ludźmi - oświadczyła Bryony, umykając na drugi koniec łóżka.

Miała na sobie białą suknię z cieniutkiego muślinu, haf-towanego w żółto-zielony kwiecisty wzorek, odpowiednio do-brane boletki i żółto-białe satynowe pantofelki. Prezentowała się nienagannie, kiedy wcześniej tego popołudnia stanęła obok Haydena na werandzie, żeby powitać sir D'Arcy'ego, wytworną lady Priscillę oraz ich piękną córkę Amandę. Jednak czując na sobie znaczące spojrzenia pań, Bryony stwierdziła w duchu, że

wolałaby być ubrana w swoją brązową lub szarą roboczą sukienkę, ponieważ nic nie mogło bardziej wymownie świadczyć o tym, że jest kochanką Haydena, niż ten drogi strój, który miała na sobie.

- Owszem, zasiądziesz - syknął. Patrzył na nią kamiennym wzrokiem. - Jak sądzisz, co zamierzam zrobić? Zmusić cię, żebyś jadła w kuchni? To mój dom, do licha. Nie zabierałbym cię do jej domu, oczekując, że zaprosi cię do swego stołu, ale ostatecznie to ona postanowiła tu przyjechać.

Wiedziała, że nie mówił tego, by ją dotknąć. Ale czuła się dotknięta. Dotknęła do żywego.

- Nie przyjechaliby tutaj, gdyby wiedzieli, że występuję oficjalnie jako twoja kochanka - powiedziała cicho. - Słyszałam, jak lady Priscilla mówiła to do sir D'Arcy'ego. Twierdziła, że można zrozumieć mężczyznę, który raz na jakiś czas, czy nawet regularnie, zadaje się ze służącymi, jeśli nadal traktuje je jak służące, którymi są w istocie. Ale zupełnie co innego, gdy wybiera sobie jedną z nich i w dodatku spoufala się z nią także poza łóżkiem.

Wargi mu zadrżały, jakby z trudem próbował powstrzymać uśmiech.

- Nie mogła tak powiedzieć.

Być może w innych okolicznościach Bryony także uznałaby to za zabawne, ale w tym momencie bynajmniej nie było jej do śmiechu.

- Powiedziała. Przypomniała mu, że jej ojciec był szlachcicem z Devonshire...

- To do niej podobne.

- ...i że niezależnie od obyczajów panujących wśród oficerów tej kolonii, z urodzenia i wychowania jest damą i mimo że twój ojciec był wicehrabią, wolałaby raczej umrzeć, niż rzec choćby jedno słowo do jakiegś upadłej istoty, która nie dość, że została zesłana jako więzień do tej kolonii, to jeszcze rozkłada nogi przed każdym mężczyzną, który obieca jej kupić ładną sukienkę lub wstążkę do włosów.

- Naprawdę powiedziała coś takiego? - Rozbawienie zniknęło

bez śladu, zastąpił je lodowaty, zacięty wyraz twarzy. - To się da załatwić.

Odwrócił się na pięcie i już był przy drzwiach, lecz Bryony go uprzedziła, szybko omijając łóżko.

- Hayden, nie. - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Rozumiem, jak ona się czuje, i ty też powinieneś ją zrozumieć. Jak by się zachowała Laura, gdyby ją posadzono przy stole z jakąś skazaną za złodziejstwo dziwką? Jak ty byś się zachował, gdyby ktoś ją na to naraził?

Chwyił ją w pasie i oparł o drzwi. Zbity z tropu, na nią przelał kipiącą w nim złość.

- Do cholery, nie jesteś dziwką skazaną za złodziejstwo!

- Ona nie wie, kim jestem. Nic o mnie nie wie...

- Więc nie powinna cię osądzać.

- ...poza tym, że jestem skazana i zgodziłam się zostać twoją kochanką. Co więcej potrzebuje wiedzieć?

Puścił ją, dotykając czołem jej czoła. Jego oddech stał się szybszy, urywany.

- Jakbyś mogła mnie powstrzymać tamtej pierwszej nocy. Położyłem cię na tym cholernym stole i po prostu wziąłem.

- Och, Haydenie. Nawet nie próbowałam cię powstrzymać. Nie chciałam cię powstrzymać. - Przywarła do jego ust długim, zachłannym pocałunkiem. — Proszę, nie każ mi siadać do kolacji z tą złośliwą kobietą - powiedziała cicho, zarzucając mu ręce na szyję. - Nie dbam o to, co ona o mnie myśli. Po prostu źle się czuję w jej obecności.

Delikatnie dotknął wargami jej ust.

- Dobrze. - Sięgnął do wstążki przy dekolcie sukni i zaczął ją rozwiązywać. - Ale ze względu na ciebie, nie na nią. - Nakrył dłońmi jej obnażone piersi. - A teraz będę się zadawał z moją służącą, tu, na tych drzwiach. - Sięgnął niżej, żeby unieść ozdobiony falbaną dół jej pięknej sukni. - Jeśli nie będę się z nią później spoufalał, według opinii córki szlachcica z Devonshire wszystko będzie w najlepszym porządku.

Bryony wprawdzie zdołała się wykręcić od wspólnej kolacji, ale musiała podać herbatę, jako że trudno było zaufać Ann McBride, że się nie potknie i nie obleje znakomitych gości zawartością pięknych chińskich filiżanek Laury. Tylko nieprześciennej zręczności Haydena należało zawdzięczać, że podczas kolacji waza z zupą nie wyśladowała na kolanach sir D'Arcy'ego, ponieważ Hayden zabronił Bryony usługiwania przy stole. I tak był wystarczająco nieszczęśliwy, że sama zajęła się gotowaniem.

Nalewanie herbaty było jednak znacznie szlachetniejszym zajęciem. Bryony, dobrze wyedukowana w tej materii przez ciotkę Eunice, wywiązała się z tego obowiązku tak sprawnie, że lady Priscilla aż uniosła brwi, choć nadal nie odzywała się do skazanej kochanki kapitana St. Johna. Ani ona, ani jej córka nawet nie podziękowały, kiedy Bryony wręczyła im filiżanki.

Zaraz potem Bryony chciała opuścić pokój, ale Hayden chwycił ją za ramię i usadził obok siebie na sofie, pod zgorszonym spojrzeniem lady Priscilli.

Siedziała sztywno wyprostowana, zakłopotana swoją sytuacją, muslinową suknią, którą miała na sobie, nadskakiwaniem mężczyzny, który siedział obok... którego niedawny dotyk wciąż czuła na całym ciele.

Lady Priscilla uniosła filiżankę i błyskając do Haydena najpromienniejszym ze swoich uśmiechów zagadnęła:

- Należy żałować biednego Thorntona, nie sądzi pan?

Hayden zmierzył nieproszonego gościa chłodnym spojrzeniem.

- A co się stało Thorntonowi?

- Ma stanąć przed sądem wojskowym. Nie wiedział pan? Głupiec ożenił się z tą swoją kobietą... tą, która przypłynęła na „Earl Cornwallis”, jak mi się zdaje... i miał czelność próbować ją wprowadzić do towarzystwa. - Pociągnęła łyk herbaty i odstawwszy filiżankę na spodeczek, dodała: - Zostanie zdegradowany, ma się rozumieć.

Bryony wyczuła napięcie Haydena. Lady Priscilla przeniosła wzrok na harfę Laury i westchnęła, co zapewne miało wyrażać współczucie dla zmarłej właścicielki.

- Jaka szkoda, że nie ma pan fortepianu, kapitanie St. John.

Obecna tu moja droga Amanda mogłaby nam coś zagrać. Zawsze to przyjemnie posłuchać wieczorem muzyki, zgadza się pan ze mną?

- Całkowicie. Cóż za doskonały pomysł - rzekł Hayden z chytrym uśmieszkiem. - Obecna tu pani Wentworth zagra nam na harfie. Prawda, pani Wentworth?

To właściwie wcale nie było pytanie, bo już ją podniósł z sofy mocnym uściskiem za łokieć. Próbowwała się wymawiać, ale usadził ją na krzesło przy instrumencie.

- Graj, do cholery, zanim uduszę tę sukę i mnie też skazą za morderstwo - powiedział do niej cicho, wykorzystując moment ściągania pokrowca z harfy.

Spojrzała mu w oczy i dostrzegła w nich nie tylko rozbawienie. Także coś, co napełniło jej duszę miłym ciepłem. Coś, *co* pozwoliło jej dla niego zagrać i wytrzymać do końca tego koszmarnego wieczoru.

Sir D'Arcy Baxter spędził następny ranek z Haydenem, oglądając jego stado oraz rozprawiając o owcach, wełnie i nowych sposobach odchowu jagniąt. Potem oznajmił, że lady Priscilla chciałaby spędzić wieczór u przyjaciół w Green Hills i rozsądnie wywiózł żonę i córkę wkrótce po obiedzie.

- Czy on jeszcze kiedyś cię odwiedzi? - spytała Bryony, kiedy Hayden wszedł na werandę po odprowadzeniu gości.

- Baxter? Oczywiście. Ale następnym razem z pewnością będzie sam. Wiele rzeczy mi się nie podoba w tym człowieku, ale jedno muszę mu przyznać: nie wtrąca się w moje prywatne sprawy. Zresztą, Bóg jeden wie, że nie jestem żadnym wyjątkiem w tej kolonii.

- Zatem tylko panie nie chcą się spoufalać ze skazanymi kochankami?

- Tak mi się zdaje. Chociaż nawet Baxter mógłby się oburzyć, gdyby któryś z oficerów zaczął się publicznie afiszować ze swoją kochanką.

Chciał wejść do domu, ale go zatrzymała.

- Jak ten, który ma stanąć przed sądem wojskowym za poślubienie skazanej kobiety?

Odwrócił się powoli.

- Owszem. O co ci chodzi, Bryony?

- Chcę tylko wiedzieć, na czym stoję. Bo nie nadażam ze zrozumieniem niektórych subtelności tego kolonianego protokołu.

- Akurat. - Podeszedł do niej. - Ty wszystko rozumiesz, Bryony.

Wciągnęła głęboko powietrze.

- A co z dziećmi z tych nietypowych związków?

- Zwykle są uznawane przez ojców. Dlaczego pytasz? - Nie doczekawszy się odpowiedzi, położył jej ręce na ramionach i przyparł ją do ściany domu. Poczwała, jak krawędzie cegieł wbijają się jej w łopatki. - Dlaczego? Co próbujesz mi powiedzieć?

- Ludzie z podwórza się gapią.

Obejrzał się szybko przez ramię, po czym wciągnął ją za sobą do jadalni.

- Powiedz.

- Naprawdę muszę?

Puścił ją nagle i cofnął się, jakby go uderzyła. Przyglądał jej się uważnie, ale nie potrafiła odgadnąć jego myśli.

- Z tego, co mówiłaś tamtej nocy, myślałem, że będziesz zadowolona - odezwał się wreszcie.

Bezwiednie przycisnęła rękę do brzucha.

- Jestem. A przynajmniej byłam. Do wczoraj. Wiedziałam, że chcę jeszcze jednego dziecka... twojego dziecka. Ale chyba się wcześniej nie zastanowiłam, co to oznacza. - Odwróciła się od niego. - Żyjemy tu w izolacji od świata. Tylko ty, ja i Simon. No i jeszcze Ann, Gideon i twoi ludzie, oczywiście. Ale tu nikt nie patrzy na mnie krzywo, nikt nas nie potępia. Przez nikogo nie czuję się jak dziwka nosząca w łonie bękart. A przecież nią jestem.

- Nie mów tak. - Chwycił ją za ramię i siłą odwrócił do siebie. Dopiero wtedy dostrzegł łzy, które starała się ukrywać.

Natychmiast opuściła go złość. - Och, do licha... nie płacz, skarbie. - Objął ją czule. - Nie płacz. Zaopiekuję się tobą, Bryony. Wiesz o tym. Zawsze się będę opiekował tobą i naszym dzieckiem.

Wiedziała, że mówi prawdę, ale choć jego zapewnienia przyniosły jej ulgę, jednak nie wystarczyły. Chciała, żeby jej powiedział, że jest w jego życiu najważniejsza i że nigdy jej nie opuści ani nie odeśle. Chciała, żeby jej powiedział, że ją kocha. Pragnęła to usłyszeć tak bardzo i tak beznadziejnie, jak sama go kochała. Ale wiedziała, że to nigdy nie nastąpi.

Była jego skazaną kochanką i na zawsze miała pozostać tylko tym i niczym więcej.

Tej nocy zaczęło padać.

Przez całą noc deszcz bębnił o pokryty gontem dach. Wiatr wył i szalał wokół domu, wciskał się przez okna i przez szpary pod drzwiami.

Padało przez wiele dni. Wyschnięta, spieczona ziemia była tak twarda, że nie nadażała z wchłanianiem wilgoci. Woda spływała z otaczających ich wzgórz coraz szerszymi potokami.

A rzeka Hawkesbury przybierała, przybierała i przybierała.

Bryony wyszła na werandę i otulając się polami płaszcza przed zimnym wiatrem, patrzyła na rzekę, niewiarygodnie szeroką, głęboką i zdradliwie szybką.

- Louisa mówiła mi, że rzeka może przybrać tak, że dojdzie prawie pod dom. Nie wierzyłam jej wtedy.

Hayden przystanął obok niej. Był w nieprzemakalnej kurtce i rękawicach.

- Nikt nie wierzy, dopóki na własne oczy nie ujrzy powodzi. Tylko dzięki Louisie i Billowi Carverowi wybudowałem dom tak wysoko. Z początku tam planowałem go postawić. - Wskazał miejsce, znajdujące się teraz jakieś pięć stóp pod wodą.

Spojrzała na niego i natychmiast serce zabiło jej mocniej. Stał u jej boku, wysoki i silny. Nagle przebiegł ją dreszcz lęku.

- Wolałabym... wolałabym, żebyś nie wychodził.

Przyciągnął ją do siebie.

- Nic mi nie będzie - zapewnił, muskając wargami jej włosy. - Ale wielu rodzinom woda zalała domy, a nie mają dość rozsądku, żeby je opuścić, kiedy jeszcze mogą.

Pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Przygotowałam koce i mnóstwo gorącej wody.

Nie była jednak w stanie go puścić, więc w końcu musiał ją od siebie oderwać niemal siłą, żeby móc odejść.

Kobieta kurczowo uczepliła się dachu chaty jedną, zdrętwiałą od zimna ręką, a wolnym ramieniem próbowała utrzymać przy sobie dwoje małych, trzęsących się ze strachu dzieci.

Hayden podpłynął łodzią najbliższej, jak się dało.

- Podaj mi dzieci! - zawołał do niej, przekrzykując ryk wzburzonej wody i wycie wiatru.

- Nie mogę! - zatkała kobieta. Deszcz ściekał strugami po jej zbielejącej twarzy. - Nie mogę!

- Musisz!

- Jeśli przestanę się trzymać dachu, żeby podać jedno, wypuszczę drugie i sama się ześliznę! - Miała w oczach przerażenie graniczące z szaleństwem.

- Ona chyba ma rację - wtrącił się Gideon, z trudem utrzymując łódź na powierzchni rwącego nurtu. - Pewnie tak wisi od wielu godzin.

- Cholera jasna - zaklął Hayden. - Dobrze. Trzymaj się, to ja tam wejdę! - zawołał do kobiety.

Gideon spojrzał na niego z osłupieniem.

- Kapitanie! Nie zamierza pan chyba tam wychodzić?

- A co innego, do cholery, mogę zrobić? - warknął Hayden, ściągając najpierw kurtkę, a potem buty. - Mam ich tu zostawić, żeby utonęli?

- Ale... cała chata może się zawalić w każdej chwili!

Jakby na potwierdzenie jego słów, nadwerżona konstrukcja gwałtownie zadrzała.

- Pilnuj łodzi i bądź gotowy odebrać dzieci i kobietę, kiedy ci je podam.

Chata zakołysała się groźnie pod jego ciężarem. Na czworakach posuwał się wzdłuż kalenicy dachu. Uświadomił sobie, że się poci mimo zimnego wiatru i deszczu. Mokra gonty były zdradliwie śliskie; przeszło mu przez myśl, że jeśli dorwie kiedyś człowieka, który zbudował ten dom tak blisko rzeki, osobiście drania utopi.

Miał wrażenie, że jego droga do nieszczęsnej kobiety trwa całe wieki, a powrót z pierwszym dzieckiem do Gideona jeszcze dłużej. W chwili, gdy odebrał od matki drugie dziecko, usłyszał krzyk Gideona:

- Niech pan uważa!

Odwrocił głowę. Zdążył dostrzec olbrzymi pień czerwonego eukaliptusa niesiony przez wściekle rwącą wodę. A zaraz potem drzewo uderzyło w chatę i cała konstrukcja rozpadła się pod nim na kawałki. Straciwszy oparcie, w ostatniej chwili zanurkował w spienioną rzekę.

Próbował się obrócić na plecy, żeby chronić własną głowę i chłopca, którego trzymał w uścisku. Działał instynktownie, bo wszystkie jego myśli skupione były w tej chwili na Bryony.

Bo jak, u diabła, miał się opiekować nią i ich nienarodzonym dzieckiem, jeśli będzie martwy.

Ty uparty, cholerny głupcze!

Te słowa, wypowiedziane łamiącym się głosem, dotarły do świadomości Haydena w chwili, gdy czuła dłoń położyła mu na czole chłodny okład.

- Sama bym cię chętnie zabiła, gdybyś już nie był półżywy.

Hayden wykrzywił usta w próbie uśmiechu, ale nagle nieznośny ból przeszył mu czaszkę. Nie był w stanie otworzyć oczu.

- To nie twoja zasługa, że w ogóle jeszcze żyjesz, ty dumny... - Zamilkła, jakby szukała w myślach wystarczająco mocnej obelgi, ale jakoś nie mogła jej znaleźć.

- Skoro jesteś na mnie taka wściekła, Bryony, to dlaczego płaczesz? - Zaskoczyło go brzmienie własnego głosu, słabe i drżące, jak machanie skrzydeł umierającej ćmy.

Otworzywszy wreszcie oczy, ujrzał jej śliczną twarz, opuchniętą i mokną od płaczu, pochylającą się nad nim. Nie odpowiedziała, tylko chlapiąc potrząsnęła głową.

Sięgnął do jej policzka, żeby obetrzeć łzy, ale rękę miał tak samo słabą i drżącą jak głos. Bryony chwyciła jego dłoń i przycisnęła do serca niczym cenny skarb. Próbował usiąść, żeby ją przytulić, ale ogarnęła go słabość, od której aż pociemniało mu w oczach, i opadł z powrotem na posłanie.

- Właściwie co mi się stało? - spytał, doszedłszy nieco do siebie. - Strasznie mnie boli głowa. Pamiętam tylko tę cholerną kłódę płynącą prosto na mnie.

- Gideon mówił, że chata się rozleciała po zderzeniu z piem i musiałeś dostać w tył głowy którąś z belek.

- A dziecko?

- Ma się dobrze. Zdołałeś je utrzymać, dopóki Gideon nie wciągnął cię do łodzi. Dzieci śpią przed kominkiem w salonie.

- A co z matką?

Bryony ze smutkiem pokręciła głową.

- Chryste. - Zacisnął powieki, żeby odegnać widok zbielełej twarzy tamtej kobiety i jej przerażonych oczu. - Mam ochotę udusić jej męża.

- Nie możesz. On już nie żyje. Jeden z tych chłopców powiedział mi, że mieli starszą siostrę. Zsunęła się z dachu, zanim ty przypłynąłeś, i ojciec próbował ją ratować.

- Chryste - powtórzył, otwierając oczy. - Bryony...

- Cicho. - Zamoczyła kompres w świeżej wodzie. - Nie powinieneś tyle mówić.

Czuł zapach lawendy i waleriany; pomyślał na wpół przytomnie, że zapewne pochodzą z jej zielnego ogródka.

- Chcę, żebyś za mnie wyszła, Bryony.

Znieruchomiała z mokrym płótnem w dłoniach. Przez chwilę siedziała w milczeniu, ledwie oddychając. A potem uśmiechnęła się niepewnie.

- Ta belka musiała cię uderzyć mocniej, niż sądziliśmy. - Szybko zmieniła mu okład na czole.

Pochwyił jej rękę, nim zdążyła ją cofnąć.

- Mówię poważnie, Bryony. Dziś sobie uświadomiłem, że gdyby mi się coś stało, odeślą cię prosto do Fabryki. A kiedy dziecko skończy trzy lata, odbiorą ci je i umieszczą w sierocińcu. Nie mogę do tego dopuścić.

Rysy zastygły jej w dziwnym wyrazie, jakby zmrożone. Spodziewał się, że będzie zadowolona. Ostatecznie wszystkie kobiety pragnęły wyjść za mąż, czyż nie? Szczególnie jeśli już nosiły dziecko swojego mężczyzny. Więc dlaczego przyglądała mu się w taki sposób?

Wysunęła dłoń z jego uścisku i wstała z łóżka.

- Prześpij się, Haydenie.

Próbował zrozumieć, o co jej chodzi, ale głowa tak strasznie go bolała, że w końcu usłuchał polecenia i zasnął.

Bryony siedziała przed kominkiem, obserwując żółto-niebieski języczek ognia oblizujący grube, poczerńiałe polano. Na zewnątrz hulał wiatr i trwała ulewa.

- Bryony?

Spojrzała w stronę łóżka. Śniada, urodziwa twarz Haydena odcinała się wyraźnie na tle śnieżnej bieli poduszki. Wpatrywał się w nią poważnymi oczyma.

- Jak się czujesz? - spytała, siląc się na lekki ton. - Mam tu trochę ciepłej zupy, na wypadek gdybyś zgłodniał. I trochę...

- Bryony, podejdź tu.

Nie ruszyła się z miejsca.

- Do licha, Bryony, jeśli tu nie podejdziesz, to ja będę musiał wstać i podejść do ciebie, a ponieważ głowa mnie boli jak diabli, nie będę w najlepszym nastroju, jak już do ciebie dojdę.

Wstała, nalała do miseczki trochę zupy i przyniosła ją do łóżka.

- Odstaw tę zupę na stół i usiądź przy mnie.

Wciąż trzymała miseczkę w zeszywniałych dłoniach.

- Powinieneś coś zjeść.

- Zjem. Odstaw zupę na stół i usiądź.

- Nie cierpię, kiedy tak mną dyrygujesz. Czuję się wtedy jak...

- Służąca? Chcę, żebyś była moją żoną, Bryony.

Odstawiła zupę, ale nadal stała sztywno obok łóżka.

- Nie - powiedziała, kręcąc głową na boki. - Ty nie chcesz, żebym była twoją żoną, ty chcesz zabezpieczyć przyszłość swojemu dziecku.

- Na jedno wychodzi.

- Wcale nie.

Bardziej zaskoczony niż rozgniewany chwycił ją za rękę.

- Co próbujesz mi powiedzieć, Bryony? Że nie chcesz za mnie wyjść?

Nie, nie to chciała mu powiedzieć. Raczej o coś go prosiła. Prosiła, żeby jej powiedział, że chce ją poślubić, ponieważ tego

pragnie. Chciała, żeby jej powiedział, że ją kocha. Żeby jej powiedział...

Skarciła się w duchu za głupotę, lecz mimo to rzekła:

- Nie możesz się ożenić ze skazaną. To by cię zrujnowało.

- Jak tego oficera, o którym mówiła lady Priscilla? - Potrząsnął głową. - Ja wystąpiłem z wojska, czyżbyś zapomniała?

- Więc może nie postawią cię przed sądem wojskowym, ale i tak będziesz napiętnowany.

- To nie ma znaczenia. Przynajmniej w sytuacji, kiedy chodzi o twoją przyszłość, o przyszłość naszych dzieci.

Niezupełnie to pragnęła usłyszeć.

Przyciągnął ją na łóżko obok siebie.

- Jako skazana, będziesz musiała zwrócić się do sekretarza kolonii o zgodę na małżeństwo, ale w tym przypadku to będzie tylko formalność. A potem, jako moja żona, będziesz mogła dostać warunkowe zwolnienie. Co oznacza, że nawet gdyby mi się coś stało, Bryony, będziesz mogła nadal tu mieszkać z dziećmi. Będziesz bezpieczna, Bryony, podobnie jak one.

Położyła się przy nim, chowając twarz w zagłębieniu jego ramienia, żeby nie mógł odgadnąć jej myśli. Zwolnienie warunkowe. Poza ułaskawieniem, to właśnie było największym marzeniem każdej skazanej, ponieważ pozwalało jej mieszkać i pracować tam, gdzie chciała, dopóki orzeczona kara nie dobiegnie końca i nie otrzyma zaświadczenia, że jest wolna. Nie licząc groźby utraty tego przywileju w wyniku złego prowadzenia się, było porównywalne z odzyskaniem wolności.

Bryony z trudem przełknęła, czując niespodziewany ucisk w gardle. Zwolnienie warunkowe, małżeństwo z mężczyzną, którego kochała, ojcem jej nienarodzonego dziecka... Jak mogła być tak zachłanna, żeby pragnąć jeszcze więcej? Jak mogła być tak zachłanna, by pragnąć jego miłości?

- Skłamałbym, gdybym ci powiedział, że nie będziemy napiętnowani. - Przesunął palcami po jej włosach. - Szczególnie ty. Wojskowi i osadnicy, którzy przybyli tu jako wolni ludzie, są bardzo dumni i nieprzystępni. Nie ma znaczenia, jakie człowiek miał wykształcenie czy pochodzenie, zanim został tu zesłany,

albo ile pieniędzy zarabia jako wyzwolony, bo dla tych pierwszych zawsze będzie zesłanym i nigdy nie zechcą się z nim zadawać. Och, mogą robić z nim interesy lub nawet leczyć u niego swoje żony, jak w przypadku doktora Williama Redferna, ale nawet nie postanie im w głowach, żeby zaprosić do swego domu na kolację kogoś takiego jak Simeon Lord czy Andrew Thompson. - Zaśmiała się cicho. - Czyż to nie zakrawa na farsę, że lady Priscilla pozwoliła Williamowi Redfernowi odebrać poród jednego ze swoich dzieci, ale nigdy nie napiłaby się z nim herbaty?

- Ale zmusiłaś ją, żeby się napiła ze mną. Nigdy ci tego nie wybaczy.

- Pewnie nie. Bryony... - Chwytał ją za podbródek i zmusił, żeby na niego spojrzała. - Spodziewałem się, że to cię ucieszy. Sądziłem, że tego pragniesz.

Wyciągnęła rękę, żeby mu odgarnąć z czoła ciemny kosmyk. Wyraz zagubienia na jego przystojnej męskiej twarzy boleśnie ścisnął ją za serce. Mówił o małżeństwie, ale nawet jednym słowem nie wspomniał o miłości, ponieważ tego uczucia nie mógł jej dać. Jego miłość należała do Laury i została pogrzebana razem z nią.

Był mężem Laury. Bryony wiedziała, że nawet gdyby się z nią ożenił, nadal pozostałby mężem Laury, już na zawsze. Nigdy tak naprawdę nie należałby do niej.

Ale przecież zależało mu na niej. Zależało mu na tyle, by znieść wykluczenie z towarzystwa i ożenić się z nią, żeby zapewnić bezpieczną przyszłość jej i dziecku.

Zmrużył oczy.

- Czy powodem jest to, co się stało wcześniej, z Oliverem? Ja będę dla ciebie dobrym mężem, Bryony, obiecuję.

Położyła mu palec na ustach.

- Nie - zapewniła. - Wiem, że w niczym nie przypominasz Olivera. - Pocałowała go mocno. A potem, patrząc mu prosto w oczy, powiedziała: - Chcę wyjść za ciebie, Haydenie.

Ciepły uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- To dobrze - rzekł krótko, aż poczuła się rozbawiona tą męską zarozumiałością. - Trochę czasu zejdzie na robienie

porządków po powodzi, ale najszybciej, jak się da, popłyniemy do Sydney, żeby załatwić wszystko, co niezbędne. - Przyciągnął ją do siebie na długi, namiętny pocałunek. - Ale nie mogę obiecać, że przestanę tobą dyrygować - dodał po chwili zastanowienia.

- Nie uwierzyłabym ci, nawet gdybyś obiecał - odpowiedziała ze śmiechem, który szybko ucichł, stłumiony kolejnym pocałunkiem.

Nie, Simon, nie możesz zejść - powiedziała Bryony do dziecka wierzącego się i kopiącego w jej ramionach. - Przeszkadzałbyś marynarzom.

- Niech Ann go potrzyma - poradził Hayden, stając obok niej przy barierce.

Bryony odszukała wzrokiem Ann McBride, która biegła z jednej strony statku na drugą, próbując ogarnąć wszystkie widoki, kiedy przepływali wokół Heads do Port Jackson. Sama chichotała i krzyczała jak podekscytowane dziecko, a rozwierzona ruda czupryna powiewała jej na wietrze.

- Boję się, że z emocji mogłaby go wypuścić za burtę.

Hayden parsknął śmiechem.

- Chyba masz rację... o ile nie wypadłaby razem z nim. Teraz, kiedy już nie karmisz piersią, mogłaś zostawić go z nią w domu. Ostatecznie przyjechaliśmy tu, żeby się pobrać.

Bryony oparła się plecami o Haydena i natychmiast poczuła, jak otacza ją czułym uściskiem. Wiatr targał jej włosy, zimno szczypało w policzki, ale dzień był słoneczny, więc morze i niebo lśniły tym szczególnym, czystym blaskiem, charakterystycznym dla Australii.

Przed oczyma stanął jej tamten pamiętny dzień, sprzed niespełna roku, kiedy przyплыnęła do zatoki Sydney. Wówczas też było zimno, a przy tym ciemno i deszczowo. Nisko wiszące, groźne chmury zasłaniały okoliczne wzgórza, pogrążając zatokę w ponurej szarości i odbierając jej całe piękno. Czuła się wtedy taka samotna, samotna i przestraszona. Stała u progu niepewnej,

beznadziejnej przyszłości, z rozpaczą tuląc w ramionach umierające dziecko.

Zamrugnęła, próbując odgonić kłujące łzy. Kochany mały Philip, tak niedługo należał do niej. Potarła policzkiem gładką, rumianą buzię Simona, wdychając głęboko słodki, niemowlęcy zapach. Wspomnienie własnego utraconego dziecka miało na zawsze pozostać w jej pamięci, ale obecność Simona łagodziła nieco ból, jaki zawsze towarzyszył myślom o Philipie i Madeline.

Życie toczy się dalej, pomyślała spoglądając na zalane słońcem zbocza, które po deszczach wzbierały świeżą zielenią i niosły *kolonii* nowe życie, w miejsce zabranego przez powódź. Życie toczy się dalej. Nawet kiedy człowiekowi wydaje się to niemożliwe, nawet kiedy człowiek wcale tego nie chce, ono toczy się dalej.

Oparła sobie Simona na biodrze, odruchowo przykładając rękę do brzucha, co jej się ostatnio często zdarzało. Nosiła w sobie nowe życie. Nowe dziecko. Nie mogło zastąpić dzieci, które los jej odebrał, ale podobnie jak Simon, to nowe dziecko miało ująć jej bólu po stracie tamtych. A już wkrótce Bryony postanowiła porozmawiać z Haydenem o sprowadzeniu Madeline do Nowej Południowej Walii. Nie wiedziała wprawdzie, co robi, jeśli wuj Edward nie zgodzi się przysłać dziewczynki, ale musiała spróbować. Już wcześniej kusiło ją, by spytać o to Haydena, jednak do tej pory brakowało jej śmiałości, żeby poruszyć tę kwestię. Teraz miała zostać jego żoną i postanowiła, że z nim porozmawia. Nawet jeśli jej nie kochał, i tak miała być jego żoną.

Mewa przeleciała tuż koło barierki. Simon wyciągnął rączkę, a potem zagulgotał ze złością, kiedy nie udało mu się jej złapać.

- Już dobrze - odezwał się Hayden, odbierając od Bryony rozkapryszonego malca. - Chodźmy popatrzeć na marynarzy, żeby Bryony mogła trochę odetchnąć.

Poszedł w kierunku Gideona, który stał na dziobie statku. Patrząc, jak idzie skąpany w słońcu, z synem bezpiecznie siedzącym na jego zgiętym ramieniu, uświadomiła sobie, że kocha tego mężczyznę aż do bólu. Był wspaniałym człowiekiem. Pragnął jej i dbał o nią, nawet jeśli nie mógł jej pokochać. Miała tyle szczęścia, tyle szczęścia...

Nagle wszystko wokół pociemniało, bo chmura zakryła słońce. Była to niewielka, kłębiasta biała chmurka, jedna z wielu płynących wysoko po niebie. Jednak wystarczyła, by odebrać dniu ciepłą promienność i wzbudzić zimny dreszcz na plecach Bryony.

Nagle zaczęła się bać, może dlatego, że w jej życiu wydarzyło się zbyt wiele strasznych rzeczy. Teraz bała się, że to świeżo odnalezione szczęście nie potrwa długo, że zostanie jej odebrane.

Po krótkiej chwili znów ukazało się słońce i świat odzyskał poprzedni blask. Bryony stała przy barierce, obserwując zabudowania Sydney, i drżała od wewnętrznego chłodu.

siedziała w fotelu przed kominkiem, szyjąc czapeczkę dla nowego dziecka i podziwiając grę rzucanych przez ogień złocistych cieni na szlachetnej twarzy Haydena.

Znajdowali się w jednym z gościnnych pokoi gospody „Pod Trzema Rybakami”. Przez szerokie okno widać było rozświetloną słońcem zatokę. W pokój u nic się nie zmieniło. Tylko oni byli inni.

- Jestem rano umówiony z sekretarzem kolonii - powiedział Hayden, rozpierając się wygodnie na krześle i wyciągając przed siebie długie nogi. - Mogłem po prostu złożyć podanie, ale pomyślałem, że lepiej będzie spokać się z nim osobiście. Tak czy inaczej pewnie trochę potrwa, zanim dostaniemy zgodę. Powinnaś mieć dość czasu na uszycie sobie ślubnej sukni.

- Nie potrzebuję jeszcze jednej nowej sukni. - Starannie przeciągnęła nitkę w ozdobnym ściegu. - Mam ich tyle.

Uśmiechnął się rozbawiony.

- Bzdury. Każda kobieta powinna mieć nową suknię na swój ślub. - Nagle zmrużył oczy, wpatrując się w nią niepewnie, jakby wiedział, że coś jest nie w porządku, ale nie potrafił odgadnąć co. - Bryony, chyba tego chcesz? Bo nie wyglądasz na szczęśliwą.

Odłożyła na bok robótkę, podeszła do niego i uklękła u jego stóp.

- Jestem szczęśliwa, Haydenie- zapewniła biorąc go za ręce. - Tylko... nie mogę się pogodzić z myślą, że dla ciebie to małżeństwo jest dramatem.

Chwycił ją mocno za ramiona i posadził sobie na kolanach.

- Nie mów tak, do licha. Nawet nie waz się tak myśleć. Za drobniejsze oszczerstwo wyzwiałbym mężczyznę na pojedynek, więc też z całą pewnością nie będę od ciebie wysłuchiwał takich rzeczy.

Bryony, śmiejąc się, zarzuciła mu ręce na szyję.

- Więc co zrobisz, Haydenie? Wyzwiesz mnie na pojedynek za obrażanie twojej żony?

- Jeśli będę musiał.

- Ha! - Przyłgnęła do niego zalotnie. - W takim razie ja mam prawo wyboru broni?

- Hmm, to mogłoby być interesujące - powiedział, lecz wybrała akurat ten moment, żeby pieścić mu ucho, więc głos mu się nieco łamał.

Z uśmiechem pogładziła ciepłą skórę na jego szyi.

- Przychodzi mi do głowy kilka możliwości. - Zsunęła dłoń wzdłuż guzików koszuli.

Chwycił ją za rękę, kiedy dotarła do zapięcia spodni.

- Lubieżna niewiasto. - Podniósł jej dłoń do ust i ucałował wewnętrzną stronę. - Coś mi się zdaje, że małżeństwo z tobą będzie całkiem przyjemne. - Gdy zgięła palce i przejechała nimi po jego pełnych wargach, jęknął. - Dosyć. - Podniósł się, odsuwając ją od siebie. - Bo spóźnię się na przyjęcie.

- Przyjęcie? - Żartobliwy nastrój opuścił ją bez śladu.

- Zostałem zaproszony na kolację do siedziby gubernatora. - Przyglądał jej się uważnie z lekko zmarszczonymi brwiami. - Uznałem, że w tych okolicznościach nierozsądnie byłoby odmówić.

Odwrociła się, żeby nie widział wyrazu jej twarzy. Musiał się jednak domyślić, co czuła, bo podszedł do niej i od tyłu otoczył ją ramionami.

- Przykro mi, Bryony.

Ponieważ ona, ma się rozumieć, nie była zaproszona. Nawet gdyby już była jego żoną, i tak by jej nie zaproszono.

Kobieta taka jak ona nigdy nie mogła liczyć na zaproszenie do domu gubernatora.

Ś wiece przy ołtarzu zamigotały, a potem strzeliły płomieniem, rzucając długie chłodne cienie na niski sufit i bielone ściany kościoła. Poranek był szary i pochmurny, a kościelne okna tak małe i tak wysoko umieszczone, że do mrocznego wnętrza wpadało niewiele dziennego światła. W zimnym powietrzu wisiał ciężki zapach stęchlizny. Bryony, ubrana w nową suknię z błękitnego jedwabiu, haftowanego w maleńkie różowe pączki, stała drżąca u boku swego przyszłego męża.

- To miejsce przypomina mi więzienie - szepnęła, pochylając się ku niemu.

Hayden objął ją w pasie i opuszczając głowę tak nisko, że jego ciepły oddech załaskotał ją w ucho, odpowiedział:

- Bo to jest więzienie. Co niedzielę spędzają tu zesłańców, żeby zbawiać ich dusze... czy im się to podoba, czy nie.

- A...men.

Stojący przed nimi na podwyższeniu, stosownie odziany wniebny Richards odchrząknął, wbijając w nich palące spojrzenie. Był wysokim, chudym mężczyzną o długim, zakrzywionym na końcu nosie i kwaśnym wyrazie twarzy. Być może zawsze tak wyglądał, choć Bryony podejrzewała, że jego cierpka mina raczej odzwierciedla opinię o ceremonii, którą miał odprawić.

Hayden zabrał rękę z jej talii i starał się zachować odpowiednio poważną pozę. Ksiądz otworzył modlitewnik, jeszcze raz odchrząknął i zaczął czytać.

- Umiłowani, zebraliśmy się tutaj, żeby przed obliczem Boga i w obecności tego zgromadzenia...

Bryony mimowolnie obejrzała się na puste rzędy ławek. Oprócz nich jedynymi osobami obecnymi w kościele byli Ann McBride i Gideon Shanaghan, zmuszeni do wystąpienia w roli świadków. Dr William Redfern zamierzał wziąć udział w uroczystości, ale w ostatniej chwili został wezwany do odebrania porodu w Kobiecej Fabryce.

Bryony przeniosła wzrok na mężczyznę stojącego u jej boku i poczuła bolesny ucisk w żołądku. Nieobecność znajomych Haydena St. Johna świadczyła wymownie o tym, jak postrzegano ich małżeństwo. Ale jeśli nawet Hayden żałował szlachetnego odruchu, który kazał mu poślubić ciężarną kochankę bez względu na towarzyskie konsekwencje, nie dawał tego po sobie poznać. Stojąc przed ołtarzem w eleganckim ubraniu, sprawiał wrażenie całkiem zadowolonego z siebie. Jakby wyczuwając jej zatroskane spojrzenie, odwrócił lekko głowę i uśmiechnął się do niej pokrzepiająco.

- Święty węzeł małżeński... został ustanowiony nie po to, by go lekceważyć - usłyszała wolno cedzone słowa wielebnego i zauważyła, że patrzył prosto na Haydena. - Ani nie po to, by zaspokajać cielesne żądze i zachcianki.

Hayden zmarszczył czoło, a Bryony musiała zagryźć usta, żeby nie parsknąć śmiechem.

- Węzeł małżeński... - powiedział ksiądz z namaszczeniem i jego słowa dudniły w pustym kościele niczym pomruki gromu...został ustanowiony do płodzenia dzieci.

Znów zawiesił głos, tym razem wbijając niechętnie spojrzenie w brzuch Bryony. Wprawdzie sute fałdy sukni skrywały jej nieco powiększone łono, lecz mimo to oblała się rumieńcem. Stojący obok niej Hayden zeszytniał.

- Ponadto - ciągnął niestrudzenie duszpasterz - został ustanowiony dla zapobiegania rozpucie i cudzołóstwu. Żeby osoby, które nie posiadały daru wstrzemięźliwości, mogły się łączyć i dzięki temu pozostać nieskalane...

Hayden odchylił głowę do tyłu i kiedy wielebny Richards znów urwał, żeby przeszyć pana młodego inkwizytorskim wzrokiem, pan młody odpowiedział spojrzeniem, pod którym ksiądz aż się skurczył. Ręka trzymająca modlitewnik wyraźnie zdrząła.

- Wzywam was oboje - podjął już szybciej - byście, jeśli

wiecie o jakiegokolwiek przeszkodzie, dla której nie możecie być legalnie połączeni świętym węzłem małżeńskim, teraz ją wyjawili. Bo trzeba wam wiedzieć, że ci wszyscy połączeni inaczej, niż Słowo Boże zezwala, przed Bogiem połączeni nie są, a ich małżeństwo jest nieważne.

Znowu zamilkł i tym razem nawet zimny wzrok Haydena nie zmusił go do kontynuowania, dopóki nie minęła odpowiednio długa chwila. Choć gdzie indziej ta część ceremonii przebiegała dość pośpiesznie, w Nowej Południowej Walii kładziono na nią szczególnie nacisk. Wielu żołnierzy i skazanych zostawiało prawowitych współmałżonków w Brytanii, więc bigamia była w kolonii prawie tak samo powszechna jak cudzołóstwo.

Wielebny odczekał tyle czasu, ile uznał za niezbędne do poruszenia ich sumień. A ponieważ żadne się nie odezwało, tylko oboje wpatrywali się w niego wyczekująco, w końcu zwrócił się do Haydena:

- Czy bierzesz sobie tę kobietę za żonę, aby żyć z nią zgodnie z prawem Bożym w świętym węzle małżeńskim? Czy przyrzekasz ją kochać, wspierać, szanować i trwać przy niej w zdrowiu i w chorobie, wyrzekając się wszystkich innych, dopóki śmierć was nie rozłączy?

Spojrzenie Haydena spoczęło na Bryony. Jeden kącik ust drgał mu w dziwnym uśmiechu. Wciągnął głęboko powietrze, aż widać było, jak unosi się jego szeroka pierś, i rzekł:

- Przyrzekam. - Mocny głos odbił się echem w więziennej ciszy kościoła.

Kiedy nadeszła kolej Bryony, radość tak mocno ścisnęła ją za gardło, że powtórzyła przysięgę ledwie słyszalnym, zduszonym szeptem.

- Kto oddaje tę kobietę za żonę temu mężczyźnie?

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy, po czym z podziwu godną przytomnością umysłu Gideon poderwał się z miejsca, chwycił rękę Bryony i podał ją duchownemu.

Krzywiąc się z dezaprobaty dla nie dość wytwornego stroju Irlandczyka, wielebny Richards szybko przekazał dłoń panny młodej jej przyszłemu mężowi.

- Proszę powtarzać za mną.

Hayden porozumiewawczo uściśnął palce Bryony.

- Ja, Hayden Seymour St. John - zaczął wyraźnie, obejmując ją czułym, niemal pieścizotliwym spojrzeniem - biorę sobie ciebie, Bryony Peyton Wentworth, za żonę, żeby cię odtąd kochać i szanować, na dobre i na złe, w bogactwie i w biedzie, w zdrowiu i w chorobie, dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Z powagą, nieśpiesznie, Bryony powtórzyła te same słowa.

Ksiądz wyczekująco podsunął modlitewnik.

Hayden sięgnął do kieszonki kamizelki, wyjął małą złotą obrączkę wysadzaną drobnymi perełkami i położył na otwartym modlitewniku, by ksiądz ją poświęcił. Potem wielebny Richards sięgnął po obrączkę, żeby ją oddać Haydenowi, ale nim zdążył zacisnąć na niej palce, modlitewnik gwałtownie przechylił się na jedną stronę. Obrączka ześliznęła się na ziemię i potoczyła do stóp Haydena.

- Panie Litościwy - rozdarła się z ławki Ann McBride. - Obrączka! Upuścił obrączkę. Niech nas Bóg zachowa, to znak. Zły znak.

Hayden schylił się i podniósł obrączkę z podłogi. Po czym zupełnie spokojnie, jakby nic się nie wydarzyło, ujął lewą rękę Bryony i patrząc jej głęboko w oczy, powiedział:

- Przyjmij ode mnie tę obrączkę na znak mojej miłości i wierności małżeńskiej. W imię Ojca... - Opuściwszy wzrok na jej dłoń, dotknął obrączką czubka palca wskazującego. - I Syna... - Zrobił to samo ze środkowym palcem. - I Ducha Świętego... - Wsunął obrączkę na właściwe miejsce, wrócił spojrzeniem do twarzy Bryony i zakończył: - Amen.

Ta chwila, rozciągnięta w czasie, była szczególnie uroczysta i podniosła. Głos kapłana jakby przycichł, stał się jedynie tłem dla ich wzajemnego, poczynionego przed Bogiem wyznania. Jakby wszystko inne nagle przestało istnieć, Bryony każdym zmysłem chłoneła obecność ukochanego mężczyzny, który stał przy jej boku i trzymał w obu dłoniach jej dłoń, jak coś najcenniejszego na świecie.

Dopiero po jakimś czasie dotarł do niej surowy głos księdza.

- ...i ogłaszam was mężem i żoną, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

Zobaczyła uśmiech na twarzy Haydena. Cudowny uśmiech satysfakcji, radości i obietnicy, który dobywał się z głębi jego błyszczących, kryształowoniebieskich oczu, marszczył szczupłe, opalone policzki i rozchyłał pełne zmysłowe usta.

I zapierał jej dech w piersiach.

W kominku gościnnego pokoju trzaskał ogień. Bryony siedziała w fotelu z wysokim oparciem. Miała lekko pochyloną głowę i zamknięte oczy, jakby spała. Blask płomieni zmieszany ze światłem świec płonących w kinkietach kładł złociste cienie na jej gładkich policzkach.

Hayden został niespodziewanie wezwany do jakiejś sprawy nie cierpiącej zwłoki i zajęło mu to o wiele więcej czasu, niż się spodziewał. Ostrożnie, żeby jej nie obudzić, zamknął za sobą drzwi. Nawet nie drgnęła. Oparty o ścianę, z rękami skrzyżowanymi na piersi, stał i patrzył na swoją żonę.

Nadal miała na sobie tę błękitną suknię, którą kazała sobie uszyć na ślub, z podniesionym stanem i głębokim dekoltem, odsłaniającym piękną długą szyję oraz, nieznacznie, lecz kusząco, krągłości piersi. Włosy miała skromnie upięte w węzeł na czubku głowy, tak samo jak rano, kiedy stała obok niego w kościele. Tylko że teraz kilka luźnych kosmyków spływało jej miękko wzdłuż policzka.

Przypomniał sobie inny wieczór, sprzed niespełna roku, kiedy wszedł do tego samego pokoju i zobaczył ją przed kominkiem, z odkrytymi pięknymi piersiami i burzą rozwichrzonych włosów wokół twarzy.

Zaprzagnął ją znowu ujrzeć taką jak wtedy.

Nie odwracając się, sięgnął do tyłu i przekręcił klucz w zamku. Na ten dźwięk rzęsy jej zatrzepotały, a potem otwarła oczy. Leniwy, zmysłowy uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Długo cię nie było.
- Nie chciałem, żeby to tyle trwało.

Zauważył na jej kolanach otwartą książkę. Zamknęła ją i odłożyła na bok.

- Chodź do mnie - zachęciła.

Nie ruszył się z miejsca.

- Rozpuść włosy.

Bez słowa uniosła ręce, szeroko rozstawiając łokcie, i jedną po drugiej wyciągnęła spinki. Bujne, płomienne pukle opadły jej na ramiona, mieniać się złotem i miedzią. Potrząsnęła głową, uwalniając ostatnie kosmyki. Hayden stał oparty o drzwi i patrzył na nią, czując, jak w łędźwiach wzbiera mu ciepłe mrowienie.

- Teraz suknia - powiedział nienaturalnie niskim głosem. - Zdejmij suknię.

Oczy zaokrągliły jej się ze zdziwienia, ale posłusznie rozwiązała wstążki przy szyi i w pasie. Nie odrywając wzroku od jego twarzy, wolno opuściła najpierw jeden rękaw, potem drugi, odsłaniając nagie ramiona. Następnie, unosząc się lekko, zsunęła suknię z bioder i pozwoliła, by lśniąca błękitną kaskadą opadła na podłogę.

Poza butami i pończochami miała na sobie jedynie skąpą halkę i koszulę z cieniutkiego batystu, ściągniętą przy szyi błękitną satynową wstążką.

- Koszula. Opuść ją.

Rozwiązała wstążkę i opuściła górę koszuli, odsłaniając kształtne piersi przed blaskiem ognia i jego wzrokiem.

Głośno wciągnął powietrze.

- Chcesz, żebym jeszcze coś z siebie zdjęła? - Odchyliła się na oparcie fotela, posyłając mu uwodzicielski uśmiezek.

- Jeszcze nie teraz. - Odepchnął się od drzwi i podszedł do niej, zdejmując po drodze kapelusz i surdut. Odrzucił je niedbale na stół pod oknem. - Jeszcze nie. - Rozluźnił krawat, a potem sięgnął do guzików kamizelki.

Patrząc szeroko otwartymi, błyszczącymi oczyma, jak się do niej zbliża, witała go słodkim uśmiechem rozchylonych ust. Uświadomił sobie nagle, że nigdy w życiu nie znał tak zrównoważonej i tak jawnie zmysłowej kobiety. Od dnia, kiedy po raz pierwszy mu się oddała, nigdy nie okazywała wobec niego nieśmiałości czy wahania. Pragnęła go z tą samą gorącą niecierpliwością, z jaką on jej pragnął, i wcale się tego nie wstydziła. Wprost nie mógł uwierzyć, że teraz była jego żoną.

Zdarł z siebie krawat i kamizelkę, rozpiął górny guzik koszuli. Klękając przed nią, położył ręce na jej kolanach, a następnie

wolno przeciągnął palcami wzdłuż zewnętrznej strony ud, po biodrach, po miękkiej wypukłości zaokrąglonego dzieckiem brzucha. Zatrzymał dłonie na jej żebrach, sięgając kciukami w zagłębienie między piersiami.

Westchnęła, podnosząc wzrok na jego twarz. W głębi jej oczu widział pożądanie, czuł, jak drży pod jego dotykiem, jakby jej piersi w napięciu czekały na dobrze znane pieścizoty.

- Pamiętam, jak pierwszy raz wszedłem do tego pokoju i zobaczyłem cię przy kominku. - Musnął aksamitną skórę sutków. - Wyglądałaś tak samo. Z włosami rozpuszczonymi wokół twarzy, błyszczącymi w świetle płomieni. Miałaś otwartą koszulę, piersi na wierzchu. Boże, jak bardzo cię pragnąłem.

Rozchyliła usta, nie wydając z siebie żadnego dźwięku.

- Chciałem położyć ręce na twoich piersiach. O, tak. - Objął jej piersi rozpostartymi palcami.

Oddychała szybko, z wysiłkiem. Czuł, jak jej klatka piersiowa unosi się i opada. A w jej oczach pojawił się ten niezwykły żar, na widok którego potrafił myśleć tylko o łóżku.

- Pragnąłem się z tobą kochać, tam na podłodze, przed kominkiem.

- Wiem - szepnęła.

- Skąd wiedziałaś? - spytał z niepewnym uśmiechem.

Wyciągnęła rękę i pogładziła go leciutko po policzku.

- To widać po twojej twarzy. Naprawdę - zapewniła ze śmiechem, kiedy pokręcił głową niedowierzająco. - Masz wtedy taki szczególny wyraz oczu. Jakby trochę senny, a jednocześnie napięty. I rysy robią ci się bardziej ostre. Poza ustami... - Przesunęła dłoń niżej. - Bo usta robią się pełne. Miękkie. - Powiodła palcem po dolnej wardze. - Gotowe do całowania. Tak jak teraz.

Polizał czubek jej palca.

- Pocałuj mnie - poprosił szeptem, zdejmując dłonie z jej piersi i przygarniając ją do siebie.

Uniosła drugą rękę i także delikatnie przyłożyła do jego policzka. Następnie pochyliła głowę i musnęła ustami jego wargi. Zastygł w oczekiwaniu.

Cofnęła głowę na tyle tylko, by zająrzeć mu w oczy. Była poważna, oczy płonęły jej uczuciem.

- Kocham cię, Haydenie.

Wyznanie było tak niespodziewane, że aż się zachnął. Otworzył usta, ale zaraz nakryła mu je palcami, nie pozwalając się odezwać. Dobrze się stało, bo nie miał pojęcia, co powiedzieć.

Ku jego zaskoczeniu, uśmiechnęła się trochę kwaśno.

- Nie rób takiej przestraszonej miny, Haydenie. Nie musisz nic mówić. Po prostu kocham cię od tak dawna i tak trudno mi było trzymać to w środku. Wcześniej nie wypadało mi tego mówić. Ale teraz... Przecież to dobrze, jak kobieta kocha swego męża?

Cień troski pojawił się w postaci zmarszczki między jej ściągniętymi brwiami. Wygładził ją pocałunkiem.

- Przecież obiecałaś mnie kochać i szanować, nie pamiętasz? - rzucił, siląc się na lekki ton. Jednakże wybrał niefortunne słowa, bo przypomniały mu, że i on powtarzał tę samą przysięgę. Tylko że on, wypowiadając je, myślał o tej miłości, jaką obdarzał ją każdej nocy w łóżku.

A w jej błyszczących oczach widział coś więcej.

Przyciągnęła go do siebie trzymając za głowę, aż ich usta prawie się zetknęły.

- Pocałuj mnie - szepnęła.

Jej głos, niski, jakby stłumiony, przyzywał go i uwodził. Skwapliwie spełnił prośbę. Z cichym jękiem przywarła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję, przycisnęła kolana do jego bioder, napałał piersiami na jego tors. Przez cienki materiał koszuli wyczuwał stwardniałe brodawki. Bezwiednie wodził rękami po jej plecach, w górę i w dół, ani na moment nie uwalniając jej ust.

Pocałunek stawał się coraz bardziej gwałtowny, wręcz zachłanny, jakby chciał ją w siebie wchłonąć, jakby nie mógł się nią nasycić.

Oderwał się od niej na tyle tylko, by ściągnąć jej koszulę przez głowę, by nic nie broniło mu dostępu do nagiej skóry. Chciał jej dotykać wszędzie naraz. Pleców, ramion, piersi. Zagarnąć ją całą, bo teraz cała należała do niego. Nie była już tylko jego skazaną kochanką, lecz żoną. Jego żoną.

Miała urodzić jego dziecko, które już dojrzewało w jej brzuchu. A w następnych latach miał w niej posiać więcej swoich dzieci.

Synów, którzy urosną silni, na tyle silni, żeby wybudować sobie domy w tej wielkiej dziczy. I córki. Córki, które będą piękne i także silne. Jak ich matka.

Chwycił ją za biodra i przyciskając mocno do siebie uniósł z fotela, a potem ułożył na podłodze przed kominkiem.

Łagodna poświata bijąca od ognia oblewała ciepłym złotym blaskiem gładką skórę jej nagich ramion i piersi. Leżała wyciągnięta na plecach, patrząc na niego z tym czułym, namiętym uśmiechem, który znał tak dobrze. Kiedy się nad nią pochylił, szarpnęła lekko za przód jego koszuli.

- Ściągnij to z siebie - poprosiła głosem drżącym z niecierpliwości.

Przysiadając na piętach, wyciągnął koszulę ze spodni i zerwał ją z siebie przez głowę, rozpiawszy ledwie parę górnych guzików. Potem, nieskrępowany jej spojrzeniem, zaczął rozpinać spodnie. Musiał się podnieść, żeby zdjąć buty i skarpetki, a w końcu ściągnąć resztkę ubrania. Przez cały czas nie przestawała na niego patrzeć.

- Jesteś piękny - szepnęła, dotykając jego torsu rozpostartymi dłońmi, kiedy się znowu nad nią pochylił. - Jesteś taki piękny, że czasem brak mi tchu, kiedy na ciebie patrzę.

- Mężczyźni nie są piękni - zauważył ze śmiechem.

Patrzyła na niego poważnymi, szeroko otwartymi oczyma.

- Ty jesteś.

Odgarnął wijące się dziko kędziory i pocałował ją w czoło.

- To ty jesteś piękna - powiedział, wspierając się na łokciu. Przesunął wierzchem dłoni od jej policzka przez szyję, dolinę między piersiami, do brzucha.

Wstydliwie zakryła rękami lekko zarysowaną krągłość.

- Robię się gruba.

Z uśmiechem odsunął jej rękę, żeby się dostać do guzików halki.

- Zrobisz się jeszcze grubsza.

Uniosła pośladki, żeby mógł ją uwolnić od halki.

- Nie przeszkadza ci to? - spytała.

Zaskoczony nutą niepokoju w jej głosie, podniósł wzrok, przerywając ściąganie z niej butów i pończoch.

- Uważam, że jesteś piękna, Bryony - powtórzył. - Dla mnie zawsze będziesz piękna.

- Nawet taka? Z wielkim brzuchem?

- Zwłaszcza taka.

Uklęknął między jej nogami i zawisł nad nią półleżąc, z głową na wysokości jej piersi, owiewając ją ciepłym oddechem.

Poczuła na skórze wilgotną pieśczętę języka. Westchnęła bezwiednie, odrywając plecy od podłogi i wyginając ciało w łuk. Przyjął jej skwapliwość zduszonym śmiechem, po czym z nie mniejszą ochotą zajął się jej piersiami, biorąc do ust nabrzmiałą brodawkę.

Choć był bardzo podniecony, zmusił się do panowania nad swym pożądaniem. Współżył z tą kobietą kilkaset razy od czasu, gdy została jego kochanką. Ale to było co innego, bo po raz pierwszy mieli się połączyć jako mąż i żona.

Pieścił ją więc niespiesznie, dotykając każdego miejsca, nie omijając żadnego najszybszego zakamarka, napawając się jej zapachem i smakiem, odkrywając na nowo kobietę, która odtąd była jego żoną. Powoli zmierzał do celu, wiele uwagi i starań poświęcając płatkom uszu, łukowi szyi, aksamitnej wrażliwej skórze po wewnętrznej stronie rąk. Wreszcie, gdy była już gotowa, gdy całe jej ciało zdawało się tego domagać, wsunął jej dłonie pod pośladki i uniósł ją lekko, by językiem i ustami zrobić to, co lubiła najbardziej.

Zacisnęła palce w jego włosach, przyciskając go do siebie z całych sił. Uwielbiał stłumione, zmysłowe dźwięki, jakie wydawała z siebie podczas ich zbliżeń. Potem język ustąpił miejsca palcom. Ułożył się nad nią, żeby móc widzieć jej twarz, zaciśnięte powieki, lekkie odchylenie głowy do tyłu, kiedy pieśczętą doprowadzał ją do stanu, gdy wszystkie doznania nabierają tej niemal bolesnej intensywności, nim w końcu eksplodują gejerem rozkoszy, a potem rozplyną się po ciele falami spełnienia.

Z sercem przepełnionym niewysłowioną czułością patrzył na jej rozchyłone usta i ciało wyprężone niczym struna harfy. A potem, kiedy rozluźniona, z wciąż zamkniętymi oczyma, opadła na podłogę, wtulił twarz w jej włosy, wdychając głęboko słodki kobiecy zapach.

- Haydenie - szepnęła, kiedy oderwał wargi od jej ust, żeby ucałować powieki, policzki, czubek nosa.

Wsunął się w nią, oparty na łokciach, by móc cały czas widzieć wyraz jej twarzy. Ujrzał czułość i namiętność. I miłość. Aż zadrżał, nagle dziwnie spokojniały. Poczuł, że musi dać jej coś w zamian.

Więc dał jej swoje ciało. Objęła go w pasie nogami i zaciskając palce na jego ramionach, krzyknęła, kiedy targnęły nią cudowne dreszcze. Coraz trudniej mu było nad sobą panować, powstrzymać to, co zbliżało się nieuchronnie, przemożnie, ostatecznie. Wreszcie wszedł nią ostatnim mocnym pchnięciem i zastygł z głową zadartą do tyłu, zamkniętymi oczyma, wstrząsany spazmem niewypowiedzianej rozkoszy.

Czuł jej dłonie błędzące po jego śliskich od potu plecach. Otworzył oczy i spojrzał na nią. Uśmiechała się, ale wargi jej drżały, a oczy lśniły wilgocią, która przypominała łzy.

Pochylił się i delikatnie, czule przesunął wargami po jej ustach.

- Co się stało? - zapytał, przyglądając się jej z niepokojem. - Czemu płaczesz?

Pokręciła głową, uśmiechając się przez łzy, zarzuciła mu ręce na szyję i przyciągnęła go do siebie.

- Jestem po prostu szczęśliwa, Haydenie. Po prostu bardzo szczęśliwa.

Ułożył się na boku, nadal cielesnie z nią połączony, i przygarnął ją mocno do piersi. Wtuliła się w niego, ukrywając twarz na jego ramieniu. Wyciągnął dziwnie drżącą dłoń, żeby ją pogłaskać po włosach, ukoić i pocieszyć.

Przyciskał ją do siebie, dopóki ich oddechy nie stały się bardziej miarowe, serca nie nabrały spokojniejszego rytmu. Wciąż jednak nie opuszczało go jakieś nowe, budzące lęk uczucie. I nagle zrozumiał, co czuje.

Spokój. I szczęście.

- Bryony? - odezwał się cicho.

- Tak? - wymruczała, nie odsłaniając twarzy.

- To dobrze, że mnie kochasz.

Pozostali w Sydney jeszcze przez parę tygodni. Hayden musiał załatwić kilka interesów, którymi nie miał czasu zająć się podczas długiej, pracowitej jesieni i wczesnej zimy w Jindabyne. Wychodził codziennie, żeby rozmawiać z innymi osadnikami o liniach hodowlanych i cenie wełny oraz właścicielami statków o taryfach i ograniczeniach importowych. Bryony odwiedziła w tym czasie rządowe składy, żeby zamówić niezbędne dostawy dla gospodarstwa. A ponadto, ulegając naciskom Haydena, wybrała dla siebie kilka nowych strojów.

- Przecież mam suknię ślubną - powiedziała, kiedy po raz pierwszy poruszył ten temat. - Nie potrzebuję żadnych nowych ubrań.

Siedział wówczas na niskim stołku przed kominkiem w ich sypialni w gospodzie, a ona krzątała się, robiąc porządki. Chwyił ją za rękę, przyciągnął do siebie i posadził sobie na kolanach.

- Ale będziesz potrzebowała - zapewnił z uśmiechem, przesuając donią po jej rosnącym brzuchu.

Poprosiła więc krawcową, która szyła jej suknię na ślub, żeby jeszcze raz odwiedziła ją w „Pod Trzema Rybakami”. Ponownie udała się do składu bławatnego, żeby obejrzeć bele muslinu i serży. I musiała znosić niezliczone przymiarki, poprawki i uwagi na temat swojej „interesującej sytuacji”.

- Zrobię tu z przodu dodatkową zakładkę. - Szczupła, siwo-włosa krawcowa, z ustami pełnymi szpilek, uklękła przed Bry-

ony. - Będzie pani musiała ją rozpruć, kiedy dziecko stanie się większe. - Wbiła w materiał kolejną szpilkę. - U góry też wyszyłam szerszą plisę. Bo też pewnie trzeba będzie trochę popuścić.

Bryony przesunęła dłonią po biodrze, wygładzając muślin, który sama wybrała. W przeszłości zawsze czuła się nieswojo, wręcz zawstydzona, za każdym razem, kiedy Hayden kupował jej ubrania. Spodziewała się, że teraz, kiedy nie była już jego kochanką, tylko żoną, będzie inaczej.

Jednak ta dziwna niepewność pozostała i zapewne brała się nie tylko z ich poprzedniego, w końcu już nieaktualnego układu. Była żoną Haydena. Poślubił ją, stojąc przed Bogiem i wielbnym Richardsem. Co noc dochodziło między nimi do cielesnego zbliżenia i co dzień większe było rosnące w jej brzuchu jego dziecko. A mimo to...

Mimo to miała poczucie, że Hayden nie należy do niej w pełni. Nie zdołała nawet z nim porozmawiać o sprowadzeniu z Konwalii Madeline. Ilekroć zamierzała poruszyć ten temat, w ostatniej chwili ogarniała ją wstyd, bo nie chciała sprawiać wrażenia, że stawia mu żądania. Uważała, że nie ma prawa niczego się od niego domagać.

Wołanie dobiegające z ulicy przed gospodą przerwało jej rozmyślenia.

- Bryony! - Zza okna dobiegł podniecony głos Gideona. - Bryony, chodź szybko. Już tu jest. Jest tu!

Nie zważając na rozsypujące się szpilki i cmokanie poirytowanej krawcowej, Bryony szybko przeszła przez sypialnię i otworzyła okno.

- Gideon? - Wychyliwszy się przez parapet, ujrzała na ulicy Irlandczyka przeskakującego niecierpliwie z nogi na nogę. Przytrzymując jedną ręką kapelusz na głowie, wygiął szyję, żeby spojrzeć w górę. Bryony aż się roześmiała na widok radości bijącej z jego pocziwego oblicza.

- O czym ty mówisz? - zawołała. - Niby co jest tutaj?

- „Lady Laura”. Wróciła. Kapitan przysłał mnie po ciebie. On jest już w porcie.

- „Laura”? - Bryony wychyliła się jeszcze bardziej, wyteżając wzrok skierowany na zalaną słońcem zatokę, gdzie jakies pół

tuzina zakotwiczonych statków kołysało się na wodzie. Zdołała dostrzec wydęte wiatrem białe żagle jednostki handlowej, unoszącej się i opadającej na falach w drodze do brzegu. - Jesteś pewien, że to „Laura”?

- Jasne. Widziano, jak przepływała wokół Heads. Musiała się bardzo śpieszyć, skoro dotarła tak szybko.

Bryony popatrzyła na ożywioną twarz Irlandczyka.

- Z Mary i chłopcami? Przyplływają właśnie nią?

- Jeszcze nie wiem. Ale jeśli tak, to moja Mary pierwsza zejdzie z pokładu. Chodź szybko, Bryony. Lada chwila będą rzucać kotwicę.

- Idź przodem - poradziła mu Bryony, sięgając do tasemek na plecach. - Muszę się najpierw wydostać z tej sukni. Powiedz kapitanowi, że przyjdę najszybciej, jak będę mogła.

- Powiem! - zawołał Gideon i popędził w stronę zatoki.

Jakieś dwadzieścia minut później Bryony dołączyła do rozmianego, gwarne go tłumu śpieszącego do rozgrzanych słońcem doków. Mewy krążyły nad głowami ludzi, pokrzykując i zataczając w powietrzu koła. Jasnowłosego chłopiec, bosy, odziany tylko w przykrótkie porcięta, minął ją biegiem, wydzierając się:

- Statek przyplynał! To „Laura”!

Teraz i ona zobaczyła „Laurę”, już zakotwiconą. Nie był to szeroki, staroświecki statek, jakie kursowały między Europą a Indiami, lecz zgrabna, dobrze zbudowana jednostka, zaprojektowana z myślą nie tylko o jak największej ładowności, ale i szybkości. Obity miedzią kadłub wdzięcznie tańczył na lazurówobłękitnej wodzie zatoki, a trzy potężne maszty kołysały się leniwie na tle bezchmurnego nieba.

Bryony rozejrzała się po ludzkiej ciżbie i niemal natychmiast dostrzegła wysoką, smukłą sylwetkę swego męża. Stał w pewnej odległości od niej, prawie na skraju zatłoczonego nabrzeża. Rozmawiał z jakimś człowiekiem o usztywnionej solą siwej brodzie i charakterystycznej postawie marynarza. Zauważywszy ją, szybko skinał rozmówcy i ruszył w jej stronę.

Wymijając gromady gapiów zebrane tuż przy brzegu, zmierzał ku niej z uśmiechem na ustach i błyszczącymi radością oczyma.

- Widziałaś? - zapytał stając u jej boku.

- „Laurę”? - Bryony odwzajemniła uśmiech. Serce wezbrało jej miłością, jak zawsze na jego widok. - Owszem, jest piękna.

Wybuchnął śmiechem.

- Nie, nie miałem na myśli statku. - Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą do miejsca, gdzie tuż przy wodzie stał Gideon. - Chodź, zobacz.

Gideon, osłaniając oczy przed błyskiem wody, obserwował pasażerów przesiadających się z „Laury” na łódź, która miała ich dowieźć do brzegu. Nagle wydał z siebie radosny okrzyk i wyrzucił kapelusz wysoko w powietrze.

- Są tu! - Porwał Bryony w objęcia i zaczął z nią wirować, aż zakreśliło jej się w głowie. - Już tu są!

Puścił ją gwałtownie i dla odmiany zaczął podskakiwać, tak blisko brzegu, że bała się, czy nie wpadnie do wody.

- Jest moja Mary! I chłopcy, obydwaj! - Głos mu się załamał ze wzruszenia i przez chwilę w milczeniu tylko patrzył poprzez wodę. - Och, Bryony. Widzisz, jacy są duzi?

Słona morska bryza targała włosami Bryony, przyklejając jej do twarzy luźne kosmyki. Wyciągnęła rękę, żeby je odgarnąć i zaczepić za uchem i nagle brakło jej tchu, kiedy dokładniej przyjrzała się łodzi, zmierzającej wolno do brzegu.

Śmiech i nawoływania tłumu jakby nagle przycichły, stały się odległe, podobnie jak krzyki mew i plaśnięcia wiosel o wodę.

Pośrodku łodzi siedziała postawna, ładna kobieta z warkoczami upiętymi wokół okrągłej, uśmiechniętej twarzy. Po obu bokach miała chłopców o piegowatych buziach i uszach odstających niczym flagi od masztu podczas wietrznego dnia. Obydwaj uśmiechali się i machali rękami tak samo jak ich matka. A na kolanach Mary Shanaghan siedziała mała dziewczynka. Mała dziewczynka o złocistych włosach, która wcale nie machała.

- Madeline - szepnęła Bryony. Odruchowo wyciągnęła ręce, chwytając Haydena za kłapy surduta. Z niedowierzaniem spojrzała w jego oczy, rozjaśnione ciepłym uśmiechem. - Mój Boże,

Hayden - wykrztusiła ledwie słyszalnym szeptem. - Posłałeś po Madeline.

- Owszem - odrzekł krótko, obejmując ją w pasie.

Przytuliła policzek do szerokiej piersi męża.

- Czemu mi nie powiedziałaś?

Hayden parsknął śmiechem.

- Cholernie trudno mi było utrzymać to w tajemnicy. Ale nie miałem pewności, czy twój wuj pozwoli jej wyjechać, więc nie chciałem wzbudzać w tobie nadziei, byś nie przeżyła rozczarowania, gdyby „Laura” przypląnęła bez niej.

Bryony pokręciła głową, nie odrywając policzka od ciepłego, bezpiecznego oparcia.

- Wuj Edward tak naprawdę wcale nie chciał zatrzymać Madeline. Zrobił to tylko z poczucia obowiązku, bo nie miał innego wyjścia. Jestem pewna, że skwapliwie wykorzystał okazję, by się pozbyć mojej córki. Ale... - Odchyliła w końcu głowę, żeby mu spojrzeć w oczy. - Musiałeś po nią posłać już na wiosnę, zanim... zanim... - Przełknęła z trudem. - Dlaczego to zrobiłeś?

Ujął jej twarz w swoje szczupłe, mocne dłonie.

- Żeby cię uszczęśliwić, Bryony. Zawsze chciałem cię uszczęśliwić.

Miłość do niego wypełniała ją bez reszty, niemal dławiała.

- Uszczęśliwiłeś mnie.

Nic nie powiedział, ale w jego oczach pojawił się nowy błysk, ciepły i czuły. A potem odwrócił wzrok, ruchem głowy wskazując zbliżającą się łódź.

- Zaraz przybiją do brzegu.

Bryony zakręciła się w miejscu, chwyciła obiema rękami fałdy długiej spódnicy i pobiegła na spotkanie córki.

- Madeline! - wołała raz po raz, gnając z całych sił w stronę miejsca lądowania. Potknęła się o jakąś nierówność podłoża, lecz ani na moment nie spuściła wzroku ze sztywnej, drobnej figurki na łodzi. - Madeline! - krzyczała. - Och, dobry Boże, Madeline!

Wybiegła najdalej, jak się dało, i stojąc na końcu mola, drżąca, niepewna, patrzyła, jak płynie ku niej dziecko, którego mogła już nigdy nie zobaczyć. Łzy radości spływały jej gęsto po

policzkach, kiedy tam stała, machając obiema rękami na powitanie.

W końcu ramiona opadły jej wzdłuż boków, a uśmiech zamarł na wargach, ponieważ Madeline siedziała nieruchomo na kolanach Mary Shanaghan i patrzyła na nią obojętnie. Na dziecięcej twarzyczce nie było widać żadnych uczuć. Absolutnie żadnych.

Dziób łodzi uderzył o nabrzeże, marynarze wyskoczyli na ląd. Bryony stała bez ruchu i ze ściśniętym sercem patrzyła, jak jeden z marynarzy bierze dziewczynkę na ręce i przenosi ją na brzeg.

Bryony uklękła na wytrawionych przez wiatr i wodę deskach mola i czując dławienie w gardle, wpatrywała się w dziecko, które podeszło i stanęło naprzeciw niej.

Uświadomiła sobie z bólem, że to nie ta sama Madeline, którą zachowała w pamięci. Nie tamto uroczne roześmiane dziecko, które lubiło się bawić nad zatoką Cadgwith. Ale też nie szczuplutka zagubiona trzylatka, rozpaczliwie lgnąca do matki w więzieniu w Penzance.

Ta Madeline, stojąca przed nią sztywna i niechętna w porcie Sydney, była starsza, starsza o znacznie więcej niż te półtora roku, jakie minęło od czasu, gdy Bryony widziała ją ostatni raz. Jej twarzyczka była nienaturalnie poważna, jakby wcale nie była dzieckiem. A od całej postaci biła jakaś zimna wyniosłość, przerażająca u tak młodej istoty.

Przechyliwszy głowę na bok, dziewczynka czujnie przyjrzała się Bryony.

- Pani Shanaghan mówi, że jesteś moją matką.

Bryony stała z rękami bezradnie opuszczonymi wzdłuż boków, podczas gdy nade wszystko w świecie pragnęła przytulić do piersi to nieszczęśliwe, ukochane dziecko. Jednakże jawna niechęć widoczna w całej postawie Madeline mówiła jej, że ulegając temu odruchowi, popełni straszny błąd.

- Tak, Madeline. Jestem twoją matką - powiedziała drżącym głosem, z uśmiechem, który kosztował ją wiele wysiłku.

Mina dziewczynki nadal nie zdradzała żadnych emocji.

- Pani Shanaghan mówi, że jacyś źli ludzie zabrali cię ode mnie i że wcale nie chciałaś mnie zostawić, bo bardzo mnie kochasz.

Bryony poczuła bolesny uścisk w gardle. Bezwiednie wyciągnęła ku dziecku drżące ręce.

- Och, Madeline. Bardzo cię kocham. I tęskniłam za tobą. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo za tobą tęskniłam.

W nagle zmrużonych oczach dziewczynki pojawiła się podejrzliwość i gniew, pogłębiając jeszcze cierpienie Bryony.

- To dlaczego po mnie nie wróciłaś? Czekałam i czekałam, ale ty nie przyjechałaś.

Jak jej wytłumaczyć, myślała Bryony gorączkowo. Co miała powiedzieć tej zagniewanej małej istocie, którą spotkała krzywda trudna do udźwignięcia nawet przez dorosłą osobę i która zachowała dziecięco naiwną wizję świata jako miejsca, gdzie wszystko zależy od woli i chęci człowieka.

Bryony przełknęła ślinę, ale jej głos i tak brzmiał chropawo, kiedy się odezwała:

- Chciałam przyjechać. Naprawdę chciałam. Ale nie mogłam, skarbie. Nie pozwolili mi. - Nie mogąc się dłużej powstrzymać, Bryony wyciągnęła rękę i delikatnie pogładziła piękne złote loki spływające Madeline na ramiona.

Dziewczynka wzdrygnęła się i zrobiła krok do tyłu, unikając dotyku matki.

- Nie wierzę ci! - krzyknęła. Zaciskając pięści, cała się trzęsła od nagle uwolnionych emocji. - Gdybyś chciała przyjechać, tobyś przyjechała.

- Madeline, nie...

Bryony znów chciała wyciągnąć do dziecka ramiona, ale poczuła na łokciu lekki ostrzegawczy uścisk Haydena. Stał za nią, serdeczny i oddany, jak opoka, lecz Bryony mimo to miała wrażenie, że coś w niej umiera.

Powoli, chwiejnie podniosła się na nogi. Hayden objął ją w pasie, oferując milczące wsparcie. Przeszło jej przez myśl, że gdyby nie on, pewnie by upadła.

- Pani Shanaghan mówi, że muszę z tobą pójść - powiedziała Madeline z drżącym podbródkiem, z nieznośnie suchymi oczyma. - Ale ja nie chcę. Wolę pójść z nią i z Patrykiem, i z Seanem.

Bryony poczuła, jak przeszywa ją na wskroś ból, jakiego

jeszcze nigdy nie zaznała. Dosłownie brakło jej tchu. Dosyć się w życiu nacierpiała, poznała straszny, oślepiający ból utraty. Ale to było coś jeszcze gorszego. I spadło na nią tuż po nieoczekiwanej radości, która uskrzydlała ją zaledwie przed kilkoma minutami.

Półprzymotnie spojrzała w stronę, gdzie Gideon klęczał na nabrzeżu, z oczyma zaciśniętymi w niemej modlitwie dziękczynnej, trzymając w ramionach swoich synów. Nad jego głową napotkała zatroskany wzrok Mary Shanaghan.

- No i widzisz, Madeline - odezwała się Mary łagodnie. - A nie mówiłam, że wszyscy razem pojedziemy do Jindabyne?

- Wcale nie chcę z nią jechać! Nigdy! - zawyła Madeline, podbiegając do żony Gideona i wczepiając się kurczowo w fałdy jej spódnicy.

Ż ust Bryony wydarł się bolesny jęk. Hayden przytulił ją i pocieszająco ucałował w czubek głowy.

- Ona dojdzie do siebie, Bryony - powiedział dziwnie zduszonym głosem. - To trochę potrwa, ale w końcu wszystko się ułoży. Musisz w to wierzyć.

Ukryła spłakaną twarz na jego piersi.

- Co ja jej zrobiłam? Co ja jej zrobiłam?

Dwa dni później wyruszyli z powrotem do Jindabyne.

Przez całą drogę wzdłuż wybrzeża, a potem w górę rzeki, synowie Gideona Shanaghana krążyli po statku naprzykrzając się marynarzom i wydając radosne okrzyki, ilekroć dostrzegli zabłąkanego kangura lub krzykliwe stado papug podrywające się do lotu.

Natomiast Madeline stała przy barierce sztywno wyprostowana, z milczącą wyniosłością obserwując wolno mijane złociste plaże i egzotyczne oliwkowozielone kępy eukaliptusów. Bryony próbowała z nią rozmawiać o Nowej Południowej Walii, o gospodarstwie nad rzeką Hawkesbury, które obecnie było ich domem. Madeline słuchała jej z szeroko otwartymi, objętnymi oczyma, ale sama się nie odzywała.

To był niewesoły powrót do domu.

Bryony stała na werandzie, patrząc, jak Madeline i dwaj chłopcy Shanaghanów gonią się wokół chat robotników.

Tylko w takich chwilach, w towarzystwie synów Gideona i Mary, dziewczynka zdawała się nieco odżywać. Na mgnienie oka pękała twarda skorupa, pod którą się chroniła, i Bryony dostrzegła przebłyśki tamtej dawnej córeczki.

Madeline zaśmiała się, kiedy Patrick klepnął ją w ramię. Ten odgłos wzbudził w Bryony przemożną, dojmującą tęsknotę. Natychmiast skarciła się w duchu, zawstydzona. Powinna się przecież cieszyć tym, co miała - odzyskaniem utraconej córki, domem, mężem, którego kochała ponad życie.

Westchnęła ciężko, wracając w myślach do dni najczarniejszej rozpaczki, kiedy los zabrał jej wszystko, czego istota ludzka potrzebuje do życia. Miała świadomość, że spotkało ją wielkie szczęście. A mimo to dręczyła ją i przerażała ta jedna niezaspokojona potrzeba.

O kamienną posadzkę werandy brzęknęła ostroga, a zaraz potem Bryony poczuła, jak obejmuje ją mocne ciepłe ramię męża. Uczepiła się go z całych sił, pragnąc, żeby ją kochał tak, jak ona jego kochała.

- Wygląda na zadowoloną - powiedział, wskazując na Madeline, która stała oparta o ścianę chaty i z twarzą ukrytą w zgięciu ramienia odliczała głośno:

- ...cztery, pięć, sześć...

- Tak, kiedy nie jest ze mną - odparła Bryony i westchnęła.

Przez chwilę trwali w milczeniu, wtuleni w siebie.

- Bryony... - zaczął wreszcie Hayden.

- Wiem - przerwała mu szybko. - Wiem, że minęło zaledwie parę tygodni. Tylko że... - Trudno jej było wydobyć z siebie głos. - Tak strasznie się boję, że ona mi nigdy nie wybaczy. Że między nami już nigdy nie będzie tego, co było dawniej.

- ...dziewięć, dziesięć. Gonię!

Razem patrzyli, jak roześmiane dzieci odbiegają w odległy kąt podwórza.

- Wydaje mi się, że to ja jestem częścią problemu - powiedział Hayden z zadumą.

Spojrzała na niego z ukosa. Miał ściągnięte brwi, a w oczach

powagę i zatroskanie. Nagle zrobiło jej się wstyd. Uznała swoje wcześniejsze rozterki za rozczulanie się nad sobą.

- Co masz na myśli? - spytała, zaglądając w pociągła, przystojną twarz męża.

- Myślę, że ona mnie nie lubi - powiedział, wciąż zapatrzony w oddalające się dzieci. - Ma mi za złe to, że jestem z tobą. - Czułym, nieśpiesznym gestem pogładził Bryony po plecach. - Czy Madeline próbowała z tobą rozmawiać na temat ojca?

- Nie - odpowiedziała po krótkim zastanowieniu.

- I nie wydaje ci się to dziwne?

Zimny wiatr z południa uderzył ich ostrym, wilgotnym podmuchem.

- Ona wie, że jej ojciec nie żyje.

- Tak, ale powiedziano jej, że ty także umarłaś, nie pamiętasz? I nagle okazało się, że żyjesz. Może spodziewała się tu znaleźć także Olivera. Może jest zła, bo zamiast niego ja tu jestem.

- Ale Oliver nie żyje. Teraz ty jesteś moim mężem.

Hayden położył dłoń na wypukłości jej brzucha.

- Ona nie ma jeszcze pięciu lat, Bryony. To zbyt wiele, wymagać od niej, żeby rozumiała, kim wszyscy dla siebie jesteśmy. Ty, Oliver, ja, ona, Simon, dziecko, które nosisz.

Bryony ujęła smagłą dłoń Haydena w obie ręce. Poczuła dotyk jego ust we włosach, tuż nad uchem i przepełniła ją miłość do męża. Nie gorąca i gwałtowna jak zazwyczaj, lecz tym razem łagodna, ciepła i spokojna.

Wystarczająco ciepła, by stopić lód samotności w jej duszy. I niosąca ze sobą dość spokoju, by ukoić lęk w jej sercu.

Przynajmniej na chwilę.

Po lipcu nastał sierpień i nad Hawkesbury zapanował niezwykle dotkliwy chłód. Deszcz padał bez przerwy. Mężczyźni przeklinali chmury i martwili się o zbiory. Kobiety wzdychały i usiłowały suszyć pranie przy ogniu tłącym się niechętnie na paleniskach.

Hayden kazał miejscowemu murarzowi wybudować dla Bryony kuchenny piec.

Przed południem, kiedy stał w kuchni, sprawdzając postęp robót, nagle zjawiła się Madeline.

- Co tu budujesz? - spytała. Przyglądała mu się czujnie, stojąc w progu. W jej głosie wrogość górowała nad zaciekawieniem, a kiedy się ku niej zwrócił, ujrzał niechęć, znikającą za maską obojętności, która tak martwiła jej matkę.

Zimowe światło było mdłe, a powietrze wilgotne i przesycone cierpkim zapachem palonego drewna. Dziewczynka miała na sobie mocne skórzane buty i czerwony płaszcz z grubej wełny, którego połami szarpał zimny wiatr. Jednak żałośnie ściągnięty wyraz twarzy dziecka nie miał nic wspólnego z panującym chłodem. Włosy spadały jej swobodnie na ramiona, piękne jedwabiste włosy w kolorze złota. Bryony mówiła mu, że Ołiver miał takie włosy. Ale oczy dziewczynki miały głęboki odcień brązu, a długą zgrabną szyję i mocny zarys szczęki także odziedziczyła po matce.

Ogarnęło go współczucie dla tego biednego, zagubionego dziecka. Współczucie i coś jeszcze. Coś, co wynikało z uczuć, jakie żywił wobec jej matki. Kiwnąwszy głową murarzowi, podszedł do Madeline.

- To będzie piec - wyjaśnił jej, stając koło drzwi. Cofnęła się kilka kroków na podwórze i tam przystanęła. - Twoja mama chce mieć porządny piec, żeby móc wypiekać prawdziwy chleb i ciastka. Lubisz ciastka?

Nie odpowiedziała, tylko wciąż wpatrywała się w niego wielkimi brązowymi oczyma. W końcu, wskazując uniesionym podbródkiem na powstającą konstrukcję, spytała:

- Dlaczego kuchnia jest osobno, a nie w domu, tam gdzie powinna?

Hayden oparł stopę na pniu, który służył za prowizoryczne siedzisko.

- Właściwie z dwóch powodów. Przede wszystkim dlatego, że latem robi się tu tak gorąco, że nikt nie chce mieć w domu dodatkowego źródła ciepła. A poza tym musimy uważać, żeby

nie zaproszyć ognia. Znacznie bezpieczniej jest mieć kuchnię z dala od głównych pomieszczeń domu.

Odwróciła się do niego bokiem, więc pomyślał, że zamierza odejść, nie mówiąc nic więcej. Wtedy zniemacka wbiła w niego wrogie spojrzenie spod zmarszczonych brwi.

- Mama mi powiedziała, że nosi w brzuchu twoje dziecko.

Był tak zaskoczony, że aż noga ześliznęła mu się z podparcia. Wyprostował się, odwzajemniając nieugięte spojrzenie.

- Tak, to prawda.

- Drugie dziecko mojej mamy miało tego samego tatę co ja. Miało na imię Philip.

- Zgadza się. - Hayden czuł się coraz bardziej nieswojo. Zerknął w stronę domu, ale nigdzie nie było nawet śladu Bryony.

- On umarł - oznajmiła Madeline.

Hayden nie był pewien, czy dziewczynka ma na myśli dziecko, czy swego ojca.

- Tak, umarł - przyznał niepewnie. - Przykro mi.

- Pamiętam mojego tatę. Czytał mi różne historie i zabierał mnie ze sobą, kiedy szedł do wsi.

- Wygląda na to, że był miłym ojcem. - Nie bardzo się to zgadzało z tym, co wiedział o Oliverze Wentworcie od Bryony, ale zapewne Madeline wolała pamiętać ojca takiego, jakiego pragnęła, niż takiego, jaki był w istocie.

U Madeline nastąpił niespodziewany wybuch furii. Rzuciła się na zaskoczonego Haydena, waląc go po brzuchu zaciśniętymi piąstkami i krzycząc:

- Nie chcę, żebyś ty był moim tatą! Chcę, żeby wrócił mój prawdziwy tata!

Chciał objąć szczupłe rozedrgane ramionka i przytulić ją serdecznie, ale uciekła przed nim, nie pozwalając się dotknąć.

Oddychała ciężko. Zimny wiatr wdarł się pod czerwony płaszcz i wydał go na plecach. Dziewczynka chwyciła rozchylone poły i otuliła się mocniej. Przez chwilę przyglądali się sobie w milczeniu, a potem, wciągnąwszy głęboko powietrze, wyrzuciła z siebie ze złością:

- Wolałabym, żebyś ty umarł zamiast niego. - Głos jej się

załamał, przechodząc w żałosne chlipanie. Odwróciła się na pięcie i pobiegła do domu.

Oszklone drzwi jadalni otwały się nagle i na werandę wyszła Bryony, trzymająca za rękę Simona. Widząc matkę, Madeline zawahała się, ale szybko skręciła do chaty, którą Hayden podarował Shanaghanom.

Nawet przez szerokość błotnistej podwórza Hayden widział smutek ściągający rysy Bryony, kiedy Madeline zmieniła kierunek, żeby od niej uciec. Patrzyła za biegnącą dziewczynką, dopóki nie zatrzęsnęły się za nią drzwi chaty.

Widział, jak pierś Bryony unosi się i opada w ciężkim, bolesnym westchnieniu. Wezbrał w nim gniew, kiedy zdał sobie sprawę, że jego żona musi cierpieć znacznie bardziej, niż daje po sobie poznać. Ale ten gniew nie był skierowany przeciwko Madeline, ponieważ w stosunku do niej czuł jedynie bezradne, ściskające za gardło współczucie.

Bryony pochyliła się, żeby wziąć Simona na ręce. Patrzył, jak tuli jego synka, jak stara się ukryć ból rozdzierający jej serce. Wiedział, że nigdy jej nie wyjawি nienawistnych słów, które Madeline dopiero co rzuciła mu w twarz. I nie powie o tym, co się działo w umęczonej duszy jej córki.

Czas. Wciąż powtarzał Bryony, że Madeline potrzebuje czasu. Czasu, żeby się przyzwycząić, żeby dojść do siebie.

Tylko że pewne rany nigdy się nie zblizniały. I nagle przejął go lęk, że właśnie takie są rany na duszy Madeline.

Tydzień później jakiś nieznamy mężczyzna zjawił się na podwórzu.

Dzień był wyjątkowo piękny, powietrze zimne, lecz czyste, a bezchmurne niebo miało odcień kobaltowego błękitu. Hayden pracował wraz z grupą swoich ludzi przy przebudowie płotu obok stodoły. Bryony, Mary Shanaghan i Ann McBride zapakowały na wóz wszystkie dzieci oraz wielką stertę prania i udały się nad rzekę.

Hayden przerwał pracę i oparty łokciami na górnej poprzeczce ogrodzenia patrzył, jak przybysz wjeżdża na podwórze i rozgląda się po otoczeniu.

Na dorodnym kasztanowym wierzchowcu siedział dżentelmen przeciętnego wzrostu i budowy. Jego butelkowozielony płaszcz, sądząc po kroju, musiał pochodzić od któregoś z najlepszych krawców w Londynie. Na krawacie rzucał się w oczy wyszukany węzeł, a lśniące buty z cholewami miały białe czubki i ozdobne chwosty. Gdyby nie błoto oblepiające końskie nogi aż po pachwiny, mógłby uchodzić za dandysa, który się wybrał na przejażdżkę po Hyde Parku.

Wiał zimny wiatr. Hayden stał w samej koszuli, przyklejonej do spoconych pleców. Nagle przesadził płot i ruszył w stronę gościa.

- Mogę w czymś pomóc?

Mężczyzna na koniu odwrócił głowę. Hayden zauważył, że jest młody, nie skończył jeszcze trzydziestu lat. Miał urodziwą twarz o delikatnych rysach i złociste kręcone włosy.

- Szukani Haydena St. Johna. - Sposób mówienia świadczył o dobrym pochodzeniu i wykształceniu. I słychać w nim było minimalny ślad kornwalijskiego akcentu.

Hayden zatrzymał się kilka stóp przed jeźdźcem i przyglądał mu się, stojąc na szeroko rozstawionych nogach, z rękami wspartymi na biodrach. Wpatrywał się w złociste włosy nieznajomego i czuł mrowienie wzbierającego niepokoju.

- Ja się nazywam St. John.

Mężczyzna wytrzeszczył oczy, ale zaraz grzeczność kazała mu ukryć zdziwienie. Praca na padoku nie należała do czystych, a Hayden już dawno zrzucił z siebie surdut i krawat. Wprawdzie nosił koszulę i spodnie z lepszego materiału niż ubrani w więzienne stroje jego ludzie, ale był uwalany błotem, a na rękawie miał rozdarcie, które Bryony dopiero miała mu zaszyć.

Bryony...

Nieznajomy zsunął się z siodła. Mierzyli się nawzajem wzrokiem przez odległość dziesięciu stóp, która ich dzieliła. Od strony wzgórza za domem dobiegł ich śmiech kukabury, długi, chrapliwy i brzmiący dziwnie szyderczo.

- A ja się nazywam Wentworth -oznajmił przybysz. -Oliver Wentworth. Rozumiem, że jest tu moja żona.

Wóz z wypraną bielizną podskakiwał i kołysał się na nierównej, trawiastej drodze prowadzącej znad rzeki do domu. Bryony rozstawiła szeroko nogi, starając się zachować równowagę na twardej drewnianej ławce, równocześnie trzymając w ramionach wijącego się Simona. Dzień był słoneczny, lecz chłodny, a świeże ostre powietrze umalowało zdrowym rumieńcem buzie wszystkich dzieciaków.

- Powinnaś omijać wyboje na drodze, mamó - zauważył Patrick Shanaghan po szczególnie wysokim podskoku, od którego spadł mu z głowy kapelusz. - A nie celować prosto w nie.

Jego matka, trzymająca łejce w mocnych zręcznych dłoniach, prychnęła:

- To nie jest żadna droga, chłopcze. To wybój na wyboju.

Bryony usłyszała chichot Madeline i zdążyła odwrócić głowę na czas, by dostrzec jej rozbawioną minę.

Bryony sama się uśmiechnęła. Ogarnęło ją tak rzadko doznawane uczucie spokoju i szczęścia. Zadarłszy wysoko głowę, patrzyła na strzępki białych chmur przepływające po błękitnym niebie. Pomyślała, że w takich chwilach jest coś szczególnie kojącego. Kiedy kobiety pracują razem, a ich dzieci śmieją się i dokazują. Ptaki śpiewają słodko w konarach drzew. Wezbrana po deszczach rzeka opływa wzgórze głębokim, szybkim nurtem.

- Wygląda na to, że kapitan ma gościa - powiedziała Ann McBride, unosząc rękę do czoła, żeby osłonić oczy przed słońcem.

Bryony gwałtownie odwróciła głowę, lecz zdołała zauważyć jedynie postać zsiadającą z konia, nim wóz wjechał między zabudowania gospodarcze, zasłaniając niżej położoną część podwórza.

- O, nie - jęknęła, daremnie próbując wolną ręką upchnąć pod czepek niesforne włosy. Goście! A ona miała ich powitać w starej roboczej sukience i nakryciu głowy godnym służącej.

Zatrzymali się na słońcu przy stodole. Bryony podała Simona Ann McBride.

- Chciałabym się jakoś niepostrzeżenie dostać do domu - szepnęła do Mary, schodząc z wozu.

Mary z uśmiechem spojrzała na zachlapane wodą ubranie Bryony.

- Rzeczywiście, bardziej przypominasz pomywaczkę niż żonę gospodarza. - Kiwnęła głową w stronę podwórza. - A ten, co przyjechał, wygląda na eleganta.

Bryony zachichotała. A potem przeniosła wzrok na mężczyzn stojących naprzeciw siebie na podwórzu i uśmiech zamarł jej na ustach.

Hayden stał na szeroko rozstawionych nogach, z dłońmi wspartymi na biodrach, tak że palcami dotykał rękojeści noża przytroczonego do uda. Był odwrócony do niej plecami, więc nie widziała jego twarzy.

Ten drugi wydawał się przy nim drobny. Miał na sobie dobrze skrojony płaszcz i modny kapelusz z podwiniętym rondem, nasunięty nisko na czoło. Widziała go z boku, ale w jego postawie i sposobie trzymania głowy było coś znajomego...

Poczuła, że serce zaczyna jej walić głuchymi, powolnymi uderzeniami.

- Mary - powiedziała ściszym głosem do żony Gideona. - Mary, zabierz stąd Madeline. Zabierz ją stąd szybko i pilnuj jej.

Mary Shanaghan spojrzała na nią ze zdziwieniem, ale niezwłocznie spełniła jej prośbę.

Bryony ruszyła na środek podwórza, z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Poruszała się sztywno, jakby była stara lub chora. Nieznajomy odwrócił się. Słońce rozświetliło złociste kędziory,

uwypukliło rysy twarzy tak doskonałe, że mogły budzić zachwyt w każdej kobiecie.

- Oliver... - wykrztusiła ledwie słyszalnym szeptem.

Potknęła się, przystając w miejscu jak wmurowana, niezdolna myśleć, niezdolna nawet oddychać. Chłodny wiatr szarpnął jej spódnicą, zaszeleścił gałęziami drzew porastających wzgórze za domem. W powietrzu unosił się zapach cytrynowych eukaliptusów i świeżo skoszonych pól - zapach Australii. Wpatrywała się w człowieka, który w innym czasie i w innym miejscu był jej mężem. I jedyna myśl, jaka kołatała jej się w głowie, brzmiała: „To niemożliwe. Niemożliwe”.

Oliver. Oliver żywy. Dobry Boże, to znaczyło, że go nie zabiła. A skoro go nie zabiła, to znaczyło, że jest wolna.

Serce wypełniła jej wdzięczność do losu i nieopisana radość, a zaraz po nich lęk, lęk tak głęboki i przerażający, że omal jej nie zadławił. Przeniosła wzrok na Haydena. Uświadomiwszy sobie, że może go stracić, poczuła w środku nieznośny ból, tak silny, że niemal zgięła się wpół. Hayden był jej mężem, nosiła w sobie jego dziecko, a mimo to mogła go stracić. Ponieważ jej mąż, jej dawny mąż, żył.

- Boże - wyszeptła zmartwiałymi ustami. - O Boże, nie.

- Bryony? - Oliver zrobił krok w jej stronę. Miał zatroskaną minę, jakby nie był pewien, jak ona się zachowa na jego widok.

Patrzyła na kiedyś dobrze znajome rysy i czuła... Nic nie czuła.

- Oliver. -Bezskutecznie próbowała się uśmiechnąć. -Oliver, ty żyjesz.

Zaśmiał się głośno.

- Tak witasz męża, którego nie widziałaś dwa lata? - Porwał ją w ramiona i dotknął jej ust wilgotnym pocałunkiem.

Wykręciła głowę, równocześnie próbując go od siebie odpchnąć.

- Oliver, proszę. Jak to możliwe? Gdzie się podziewałeś?

Puścił ją i odstąpił o krok.

- Gdzie się podziewałem? - powtórzył marszcząc brwi.

Zerknąwszy na Haydena, stwierdziła, że przygląda jej się

z napięciem. Wyciągnął z kieszeni kamizelki cygaro i wetknął między zęby.

- Jeśli dobrze rozumiem - zaczął, pozornie skupiając całą uwagę na zapalaniu cygara - Bryony została zesłana za zabicie męża. - Wypuścił kłęb białego dymu i dopiero wtedy zwrócił zimne spojrzenie na twarz Olivera. - Więc czemu pan nie jest martwy?

- Właściwie niewiele brakowało, dzięki mojej obecnej tu pięknej żonie. - Te słowa zostały wypowiedziane żartobliwym tonem i towarzyszył im uśmiech, ale Bryony pobladła. Zapomniała już, jaki Oliver potrafi być okrutny. - Załoga francuskiego statku kręcącego się przy brzegu dostrzegła mnie w ostatniej chwili, kiedy już byłem pewien, że dłużej nie utrzymam się na powierzchni. Wyciągnęli mnie.

- Byłeś we Francji? - spytała. - Jako więzień?

Oliver odpowiedział jej twardym spojrzeniem.

- Przecież trwa wojna, zapomniałaś?

Bryony poczuła, że coś ją zaczyna ścisnąć w gardle. Zawsze wiedziała, kiedy Oliver kłamie. No, może nie zawsze, bo na początku tak nie było. Ale nie potrzebowała wiele czasu, by się nauczyć rozpoznawać te drobne znaki, które go zdradzały. To ledwie wyczuwalne skrzywienie ust, to wpatrywanie się w oczy, które w istocie prowokowało do podejrzliwości. Zapewne między innymi dlatego przez lata stracił tyle pieniędzy na hazard, ponieważ jego klasycznie piękna twarz była po prostu zbyt łatwa do rozszyfrowania.

- Kiedy cię wypuścili, Oliverze? - spytała cicho.

Wysunął nieco dolną szczękę, podnosząc głos do tonu świętego oburzenia, jak zwykle, kiedy podawała w wątpliwość jego prawdomówność.

- A jakież to, u diabła, ma znaczenie?

- Ma ogromne znaczenie, gdy znikasz na dwa lata, a ja zostaję zesłana za to, że cię zabiłam.

Westchnął głośno.

- Bryony, przyjechałem tak szybko, jak tylko mogłem. Nim wróciłem do Konwalii, ty zostałaś już deportowana. Nie było tak łatwo, jak ci się zdaje, oficjalnie anulować twój wyrok czy

zgrupować wszystkie dokumenty potrzebne do twojego zwolnienia.

- Ma je pan przy sobie, oczywiście - wtrącił Hayden.

Bryony widziała, jak spojrzenie Olivera na moment przenosi się na Haydena, a potem wraca do niej.

- Oczywiście.

Zwolnienie. Bryony aż zadrżała z podniecenia, słysząc to słowo. Wolność. Nie zwolnienie warunkowe, ze wszystkimi jego ograniczeniami i nieustającym ryzykiem przypadkowego odwieszenia, lecz prawdziwa wolność. Niemal bała się w nią uwierzyć.

Oliver sięgnął do kieszeni płaszcza i pokazał kilka arkuszy papieru, zwiniętych razem w rulon.

- Zapewniam, że wszystko jest w porządku. - Podał dokumenty nie jej, lecz Haydenowi. - Więc wygląda na to, że będzie pan musiał sprawić sobie nową służącą - dodał, kiedy Hayden zajęty był przeglądaniem papierów. - I nową kobietę do łóżka.

Hayden raptownie poderwał głowę. Bryony zobaczyła niebezpieczny błysk w jego zmrużonych oczach. Spokojnie, bez pośpiechu złożył dokumenty i schował je do kieszeni.

- Myśli pan, że nie wiem, co pan z nią robił? - rzucił Oliver szyderczo. Nozdrza mu drgały, mina wyrażała pogardę i obrzydzenie. - Wprawdzie jestem w tej zapadłej kolonii zaledwie od paru dni, ale to wystarczy, żebym usłyszał, co się tu dzieje. - Chwytał Bryony za ramię. Pąsowiejąc z nagłej złości, wbił wzrok w jej wydatny brzuch. - Spójrz na siebie - syknął. - Nie dość, że włożył ci między nogi, to jeszcze spłodził z tobą swojego bękarta!

- Puść ją! - Głos Haydena, zimny i groźny jak cięcie szabli, przerwał obelżywą wypowiedź Olivera. - Zamknij swą plugawą gębę i zabieraj od niej ręce.

Oliver zachnął się ze złością.

- Ona jest moją żoną, do diabła - wycodził. - Jeśli zechcę, mogę ją nawet pobić, a ty...

Pięść Haydena trafiła prosto w podbródek, tak że Oliver wyleciał w powietrze i opadł plecami na kamienie.

- Mogła być twoją żoną w przeszłości, draniu. Ale już nią

nie jest. Teraz jest moją. I jeśli jeszcze kiedyś ją tkniesz, przysięgam na Boga, że cię zabiję.

Oliver usiadł. Dotykając niepewnie podbródka, kilka razy poruszył szczęką, a potem sięgnął po kapelusz, który wylądował obok niego. Dopiero wtedy odchylił głowę i spojrzął na swego przeciwnika.

- Jej wyrok został uchylony - powiedział Oliver, wyraźnie akcentując każde słowo, jakby podejrzewał, że Hayden może go nie dość jasno zrozumieć. - Czy ci się to podoba, czy nie, ona nie jest już twoją służącą.

- Moją służącą? - powtórzył Hayden z niedowierzaniem. - Od wielu miesięcy nie jest moją służącą. Jest moją żoną.

- Żoną? - Oliver zaśmiał się drwiąco, przenosząc wzrok na Bryony. - Nie marnowałaś czasu, pani wdowo, co?

O tak, zdażyła zapomnieć, jak podły potrafi być Oliver.

- Tylko że ty nie jesteś wdową, pani Wentworth. - Wcisnął kapelusz na głowę. - Jesteś zamężna ze mną. - Podniósł się na nogi i rozejrzał po podwórzu. - Gdzie jest Madeline? Każ ją przyprowadzić.

Dopiero teraz Bryony dostrzegła ludzi zebranych w wyczekującym milczeniu przed chatami, koło stodoły, w drzwiach stajni. Ann McBride stała na werandzie, z Simonem uczepionym jej ramienia. Tylko Mary Shanaghan i Madeline nigdzie nie było widać.

Oliver patrzył na Bryony z nieprzyjemnie zaciśniętymi ustami. Bryony nie widziała u niego wcześniej tego wyrazu twarzy i pomyślała, że jednak przez te dwa lata się zmienił. Bardzo się zmienił.

- Słyszysz, co mówię, do diabła? Kazałem ci ją tu sprowadzić. Wyjeżdżamy. - Wyciągnął rękę, żeby chwycić Bryony za ramię.

Nie zdażył jej dotknąć, bo dłonie Haydena zacisnęły się na kłapach jego nienagannie skrojonego zielonego płaszcza i niemal podniosły go z ziemi.

- Powiedziałem, żebyś trzymał od niej rękę z daleka. - Głos Haydena był nienaturalnie cichy i spokojny, a w jego oczach pojawiły się nieznanne dotąd groźne błyski.

Ten człowiek potrafi zabić, pomyślała Bryony. Już zabił.

- Teraz cię puszczę, a ty wsiądziesz na swojego konia i stąd odjedziesz. Zrozumiano?

Jedno należało Oliverowi przyznać - nigdy nie był tchórzem. Hayden mógł być większy, silniejszy i zdecydowanie bardziej wprawny w sztuce walki, ale Oliver nie zamierzał się poddać. Wytrzymując lodowate spojrzenie Haydena, powiedział:

- Odjadę.

Hayden puścił go i odstąpił o krok.

Oliver z wystudiowaną starannością wygładził kłapy płaszcza i poprawił krawat.

- Odjadę- powtórzył. Chwycił wodze swojego kasztana i wspiął się na siodło. - Ale nie dalej niż do Green Hills. I wróć. Z sędzią i oddziałem wojska, jeśli będzie trzeba. - Gotowy do drogi, obejrzał się przez ramię na Bryony. - Ty i Madeline wracacie ze mną do Konwalii. Czy chcecie, czy nie. - Ścisnął boki konia piętami i opuścił podwórze.

W domu było zimno, zimno i cicho. Mizerne ciepło zimowego słońca nie zdołało się przedrzeć przez grube ściany. Hayden przykucnął przed kominkiem w ich sypialni, rozgrzebując żelaznym pogrzebaczem resztki węgla pozostałe na palenisku od rana. Bryony stała nieruchomo w pewnej odległości od niego, tępo zapatrzona w przeciwległą ścianę, obejmując się ciasno ramionami.

Przyjrzał jej się z ukosa. Nie poruszyła się, nie popatrzyła na niego, nie wyrzekła ani słowa.

- Powiedz coś, do licha. - Zabrzmiało to głośniejszym i ostrzej, niż sobie życzył. Rzuciła mu spłoszone spojrzenie. Miał ochotę krzyknąć. Dlaczego? Dlaczego nie chciała na niego patrzeć? Przecież nie mogła mieć wątpliwości, czego on pragnie.

- Co teraz zrobimy? - zapytała wreszcie cicho.

Odłożył pogrzebacz na palenisko i sięgnął po garść podpałki. Czuł, jak serce podchodzi mu do gardła, ale musiał zapytać, musiał wiedzieć, czego się ma spodziewać.

- To chyba zależy od tego, czego ty chcesz

- Hayden...

Usłyszał w jej głosie cierpienie i ze wstydem musiał przyznać, że to odkrycie go ucieszyło. Przypomniawszy sobie pewien wieczór, dawno temu, kiedy stał na skraju werandy, podziwiał miękki owal jej policzka skapanego w księżycowym świetle i tak bardzo pragnął wziąć ją w ramiona i pójść z nią do łóżka. „Bardzo go kochałaś?”, spytał wtedy. A ona odpowiedziała: „Kochałam go”. To wspomnienie tkwiło w nim jak cień. Ostro i raniąco.

Wrzucił podpałkę do kominka i patrzył, jak zajmuje się płomieniem. W resztkach węgla musiało być więcej żaru, niż sądził. Wziął do ręki niewielkie polano, lecz nim je dorzucił do ognia, obejrzał się na kobietę stojącą pośrodku pokoju nieruchomo, jakby zmieniała się w kamień. Musiał spytać, bo musiał wiedzieć.

- Sądziłem, że się ucieszysz ze spotkania z nim.

- Cieszę się, że on żyje. - Zdjęła z głowy czepek i odłożyła na stojącą w pobliżu skrzynię. - Cieszę się, że nie będę musiała już żyć ze świadomością, że go zabiłam. - Przeczesała włosy palcami. - Ale to nie znaczy, że cieszę się ze spotkania.

Hayden dołożył do kominka następną szczapę. Snop iskier poszybował do komina.

- Czy to jakaś różnica?

Zmarszczyła brwi, bliska wybuchu.

- O co ty mnie pytasz? Czy się cieszę, że przyjechał tu, żeby mnie stąd zabrać?

- Owszem. Właśnie o to pytam. - Oparł ręce na kolanach i spojrzał jej prosto w oczy. Całe ciało wypełnił mu lęk, bolesny i dławiący, ale musiał powiedzieć to, co miał do powiedzenia.

- Jesteś wolna, Bryony. Możesz wyjechać. Możesz wrócić do Konwalii, tak jak zawsze pragnęłaś. Już mnie nie potrzebujesz.

Widział, jak otworzyła, a potem zamknęła usta, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Przez dłuższą chwilę tylko na siebie patrzyli.

- Czy to powinno coś zmienić?

- A nie zmienia?

Całą wieczność czekał na odpowiedź. Widział jej ściągnięte brwi, pierś falującą w ciężkim oddechu.

- Dla mnie czy dla ciebie?

- Na litość boską! - Poderwał się na nogi i stanął przed nią z bezradnie opuszczonymi ramionami. - Dla ciebie.

Pokręciła głową z dziwnym uśmiechem, błakającym się w kącikach ust.

- Haydenie, moje pragnienia się nie zmieniły. - Podeszła do niego i położyła mu dłonie na piersi. - Kocham cię. Chcę być twoją żoną. Chcę tu zostać i pomóc ci stworzyć dom w tym dzikim, cudownym miejscu. Dom dla ciebie i dla mnie, dla Simona i Madeline, i dla tego dziecka i wszystkich innych dzieci, które planowaliśmy mieć razem. - Przeniosła dłonie na jego barki i przechyliwszy na bok głowę, wpatrywała się w niego z napięciem. W jej ciemnych oczach czaiło się coś, co mogło być strachem. - Tego pragnę, Haydenie. - Nie odrywając oczu od jego twarzy, dodała: - A teraz powiedz mi, czego ty pragniesz.

Pochylił się i dotknął jej ust drżącymi wargami. Potem zamknął oczy, dotykając czołem jej czoła.

- Jak możesz pytać, czego ja pragnę? - powiedział szorstkim, zdławionym głosem. Wsunął palce w jej włosy, jednocześnie kciukami muskając policzki. - Jak możesz pytać?

Dostrzegł lśnienie wilgoci na jej rzęsach i uświadomił sobie, że to łzy.

- Dużo ze sobą rozmawiamy - powiedziała cicho. - Ale zawsze były sprawy, o których nie mówiliśmy. Zawsze uważaliśmy, żeby o nich nie wspominać. - Na jej policzkach pojawił się cień rumieńca. Opuściła wzrok.

Ujął ją za podbródek, zmuszając, by znów spojrzała mu w oczy. Ich twarze znajdowały się tak blisko siebie, że niemal się dotykały. Oddechy stapały się w jeden oddech.

- Bryony...

Czekała, zastygła w bezruchu, na to, co miał jej powiedzieć.

- Kocham cię, Bryony. Wiem, że powinienem był ci to powiedzieć wcześniej, ale musisz mi wierzyć, że nigdy nie kochałem żadnej kobiety tak, jak kocham ciebie. Nie, posłuchaj - powiedział szybko, kiedy zaskoczona próbowała zaprzeczyć. - Wiem, że myślisz o Laurze. Kochałem Laurę, ale między nami zawsze czegoś brakowało. Podczas gdy z tobą... - Zaciśnął palce

w jej włosach, szukając odpowiednich słów. - Przy tobie niczego mi nie brakuje. Ale jeśli cię stracę... - Głos mu się załamał. Bezradnym gestem dotknął jej ust. Nie potrafił się zmusić do dokończenia zdania. W końcu wziął głęboki wdech i wyrzucił z siebie: - Nie mogę cię stracić, Bryony. Zrobię wszystko, ale nie pozwolę, żeby Oliver Wentworth ani ktokolwiek inny mi cię odebrał.

Ukryła twarz na jego ramieniu, obejmując go w pasie tak mocno, że aż się trzęsła.

- Niech nam Bóg pomoże, Haydenie. Czy Oliver może to zrobić? Czy może mnie zmusić, żebym do niego wróciła?

- Gdybyśmy się nie pobrali, pewnie by mógł. - Gładził ją po plecach, napawając się cudownym ciepłem bijącym od jej ciała. - A teraz... nie jestem pewien.

- Ale nasze małżeństwo jest nieprawomocne - szepnęła, z twarzą wciąż wtuloną w jego koszulę. - Jest... - Słyszała w jej głosie przerażenie. - To jest bigamia.

Potrząsnął głową.

- Nie, nie sądzę. - Odsunął ją od siebie na tyle, by spojrzeć jej w oczy. - Oliver był uznany za zmarłego, Bryony. To musi mieć jakie znaczenie.

Patrząc w jej rozszerzone źrenice, pełne lęku, miłości i troski, zastanawiał się, jak w ogóle mógł w nią wątpić, jak mógł nie być pewien, czego pragnęła.

- A jeśli to nie ma znaczenia? - spytała.

Miał ochotę powiedzieć: „To wówczas sam zabiję tego drania”, ale tego nie powiedział. Przygarnął ją do siebie, żeby nie widziała wyrazu jego twarzy. - Będziemy walczyć, Bryony. Nie pozwolę, żeby mi cię odebrał.

Oparła mu policzek na piersi.

- Nie rozumiem, dlaczego chce mnie zabrać. To niepodobne do Olivera, żeby chciał przyjąć z powrotem żonę, którą inni mężczyźni... dotykali. W dodatku osobiście przebył po mnie taki kawał drogi do Nowej Południowej Walii. Jak on mógł sobie na to pozwolić?

Hayden oparł podbródek na czubku jej głowy.

- Nie wygląda na człowieka, który miałby pójść do więzienia

za długi. Ciekaw jestem, czym się naprawdę zajmował przez ostatnie dwa lata.

- Co masz na myśli? - zdumiała się Bryony.

- Nie sądzę, żeby został wyłowiony przez francuski okręt wojenny. Już prędzej bym uwierzył w szmuglerow. A jeśli zadawał się ze szmuglerami, to rozumiała jest zarówno jego dwuletnia nieobecność, jak i nagły przyływ dostatku, nie uważasz?

- Tak, rzeczywiście. Ale to nie wyjaśnia, dlaczego pragnie mojego powrotu.

- Myślę, że jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć prawdy - stwierdził Hayden, zaciskając złowrogo szczęki.

Przez twarz Bryony przebiegł cień niepokoju.

- Co zamierzasz zrobić?

- Jutro rano pojadę do miasta, żeby się rozmówić z panem Oliverem Wentworthem. Wycisnę z niego odpowiedź. Czy zechce mi jej udzielić, czy nie.

Quincy wsunął klaczy do pyska wędzidło, a potem, przeciągając lejce przez uchwyty chomąta, spojrzął ponad końskim grzbietem na Bryony.

- Czy kapitan na pewno wie, że się wybierasz do Green Hills?

Nie podniosła wzroku, zajęta wygładzaniem rękawiczek na palcach.

- Oczywiście, że wie. Myślisz, że bym się tam wybierała, gdyby nie wiedział?

- Owszem.

Spojrzała wreszcie w domyślne brązowe oczy Quincy'ego i westchnęła głośno.

- No dobrze. Nie wie. Sam ma zamiar jechać do Green Hills jutro rano.

- Więc ty jedziesz dziś po południu, bo się boisz, że jak znowu dorwie tego twojego męża, to go zabije.

Bryony przytaknęła skinieniem.

- Może jak mi się uda wcześniej spotkać z Oliverem, porozmawiać z nim spokojnie, wyjaśnić różne sprawy, to zgodzi się

zostawić nas w spokoju. - Zerknęła niepewnie w stronę rzeki, gdzie Hayden z kilkoma swoimi ludźmi pojechał przegnać stado z najniższej położonych terenów. Od kilku dni nad górami zbierała się paskudna burza, i Hayden poważnie obawiał się nagłej powodzi.

- Pośpiesz się, Quincy. Ktoś może tędy przechodzić, zobaczyć nas i wspomnieć o tym kapitanowi.

Quincy sprawdził uprząż.

- Pewnie nie wrócimy przed zmrokiem. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę? - Odwrócił się, żeby spojrzeć na dalekie, przesłonięte chmurami szczyty. - A jeśli ta burza przesunie się nad dolinę...

- Quincy.

- Dobrze już, dobrze - mruknął. - Jestem gotów.

Hotel Buckingham Arms w Green Hills, przycupnięty wysoko nad brzegiem rzeki, był żałosną, parterową budowlą w stylu kolonialnym, z dziwaczną werandą przyczepioną od frontu.

Oliver wyglądał przez wąskie, podwójnie szklone drzwi wychodzące z jego pokoju prosto na ową werandę. Dosłownie parę stóp poniżej hotelu, od miejsca gdzie kończyła się ulica, biegła błotnista ścieżka. Kilka spłowiiałych do szarości belek tworzyło prowizoryczny podest i schody prowadzące po stromym brzegu do mola na rzece.

Oliver wydał nozdrza w grymasie obrzydzenia. Cóż za niechlujna dzicz, pomyślał, spoglądając ponad skromnymi zabudowaniami wsi na nierówne pola i rozpościerający się za nimi busz. Trwająca już od pewnego czasu zima nasyciła otoczenie wilgocią, a mimo to wszystko wydawało się zeschłe i na wpół martwe, jakby bezlitosne słońce padające na ten kontynent przez wiele miesięcy w roku wypaliło z ziemi wszelką świeżość, wszelkie życie. Pomyślał o schludnych ulicach i cudownie zielonych polach Brytanii i wezbrała w nim niecierpliwość, żeby załatwić sprawę i wynosić się stąd jak najprędzej.

Wóz ciągnięty przez parę zgrabnych siwków wyjechał zza zakrętu drogi, przyciągając jego uwagę. Na drewnianej ławce,

obok szczupłego ciemnowłosego młodzieńca, siedziała jakaś kobieta. Miała na sobie suknię i kamizelkę o zadziwiająco modnym kroju, uszyte z materiału, który wyglądał na drogą niebieską serżę. Pełne kragłe piersi sterczały jej dumnie. Oliver uśmiechnął się pod nosem - zawsze miał dobre oko do koni i pięknych kobiet.

Nagle wóz przystanął, kobieta odwróciła głowę, przyglądając się fasadzie hotelu, i wtedy Oliver rozpoznał swoją żonę.

Poprzedniego dnia nie uwierzył, kiedy ten człowiek, St. John, oświadczył, że się z nią ożenił. Możliwe, że z nią sypiał i ją zapłodnił. Ale żenić się? Oliverowi nie wydawało się to prawdopodobne.

Jednakże na wypadek, gdyby rzeczywiście tak było, poprzedniego wieczoru zadał sobie trud odszukania półżywego, pijanego prawnika, który został zesłany za defraudację. Oliverowi nie spodobało się to, co usłyszał od starego opoja.

Okazało się bowiem, że jeśli Bryony naprawdę powtórnie wyszła za męża, nie popełniła zwykłej bigamii, jak początkowo sądził. Wyglądało na to, że fakt uznania pierwszego męża Bryony za zmarłego miał tu istotne znaczenie. Stary głupiec był zbyt pijany, żeby mieć pewność, który z dwóch mężów Bryony zostanie uznany za prawowitego, ale stwierdził, że jeśli drugie małżeństwo rzeczywiście zostało zawarte, wówczas pozycja Olivera może się okazać, delikatnie mówiąc, wątpliwa.

Kiedy właściciel hotelu wprowadził Bryony do pokoju i zamknął za nią drzwi, Oliver poczuł dreszcz niepokoju bliskiego paniki.

Jej suknia była bez wątpienia nowa i w tym zakazanym kącie świata musiała kosztować majątek. Włosy miała zwinięte w węzeł na czubku głowy i nakryte eleganckim kapeluszem. Nie wyglądała na więźniarkę ani nawet na służącą. Wyglądała na żonę bogatego człowieka.

Nie przewidział takiej komplikacji. Niewielu mężczyzn byłoby skłonnych przyjąć z powrotem żonę po przejściach, jakich bez wątpienia musiała przez te dwa lata doświadczyć, niezależnie z jakich powodów. Oliver oczekiwał, że doceni jego wielko-duszość, będzie mu wdzięczna i okaże pokorę. Nie przypuszczał, że może go nie potrzebować i nie chcieć.

Patrząc na nią, stwierdził w duchu, że choć znajoma, jest jakaś... inna. Zawsze była przystojną dziewczyną, na tyle atrakcyjną, żeby się w niej zakochać, nawet gdyby nie wniosła do małżeństwa Cadgwick Cove House i otaczających go cennych akrów ziemi. Teraz jednak w jej ślicznych brązowych oczach pojawił się nowy rodzaj mądrości i ślad wielkiego cierpienia, a linia ust i podbródka wyrażała siłę.

- Oliverze - odezwała się pierwsza. Zauważył, że przygląda mu się jakby z obawą, i przeklął się w duchu za swoją niezręczność. Najwyraźniej poprzedniego dnia ją przestraszył, uznał więc, że odtąd musi działać bardziej ostrożnie. Zawsze była niezależnie myślącą kobietą, trudną do manipulowania, a nie mógł sobie pozwolić na to, by ją do siebie zrazić.

Wyciągając powitalnie obie ręce, przybrał na twarz czarujący uśmiech.

- Bryony. - Po momencie wahania podeszła bliżej i podała mu dłonie. Był na tyle mądry, by nie naciskać na nic więcej. Ucisnął lekko jej palce i zaraz puścił. - Może się czegoś napijesz? - zapytał uprzejmie.

- Nie, dziękuję. - Szybkim, trochę nerwowym ruchem ściągnęła rękawiczki. - Ale jeśli ty masz ochotę, proszę, nie krępuj się.

- Skoro nie masz nic przeciwko temu. - Wziął do ręki karafkę z maderą. Z sali jadalnej dochodziły stłumione męskie głosy i śmiechy. Jednak w pokoju, gdzie się znajdowali, panowała niezręczna cisza, nie licząc bulgotu wina napełniającego szkło. Podniósłszy wzrok, Oliver stwierdził, że Bryony obserwuje go uważnie. - Cieszę się, że przyszedłeś - powiedział, unosząc kieliszek. - Chciałem pow rozmawiać z tobą sam na sam, a nie wiedziałem, jak to zorganizować.

Zacisnęła dłonie przed sobą.

- Oliverze, przyszedłem ci powiedzieć, że nie chcę już być twoją żoną.

Znieruchomiał z kieliszkiem podniesionym do ust. Z trudem zmusił się do przełknięcia wina.

- Jestem ci wdzięczna za to, że mnie odnalazłeś i zrobiłeś wszystko, co było konieczne, bym odzyskała wolność. Ale zbyt

wiele się wydarzyło, Oliverze. Zbyt wiele się zmieniło. Nie mogę wrócić.

Głośno odstawił kieliszek na stół. Ogarnęła go irytacja tak wielka, że musiał bardzo się starać, by nie wybuchnąć ślełą furią.

- Rozumiem, że to musiał być dla ciebie wstrząs, Bryony. Przez te wszystkie miesiące myślałaś, że nie żyję, a tu nagle zjawiam się cały i zdrowy. Ale z czasem, zwłaszcza jeśli wrócimy do Anglii, będziesz...

Pokręciła głową.

- Oliver, ja nie wracam. Rozumiesz? Stworzyłam tu sobie nowe życie. Ta osoba, którą byłam kiedyś... ona już nie istnieje.

Odetchnął głęboko, próbując się uspokoić i ogarnąć sytuację.

- Nadal jesteś na mnie zła. - Odwrócił się do okna, nerwowo przesuując w palcach łańcuszek zegarka. - Za Flory Dickens. Mogę ci wyjaśnić...

- Doprawdy? Może zamiast tego wyjaśnisz, dlaczego tak długo przestawałaś z tymi szmuglerami?

Odwrócił się, zaskoczony.

- Szmuglerami? Kto mówił o szmuglerach?

- A co sobie wyobrażałaś? Miałam uwierzyć, że wyłowił cię francuski okręt wojenny, który akurat, korzystając z ciemnej bezksiężycowej nocy, wśliznął się do zatoki Cadgwick, żeby cię szukać?

Nozdrza jej drgały w grymasie pogardy. Chryste. Zawsze była sekutnicą, a dwa ostatnie lata z pewnością nie poprawiły jej charakteru.

- Więc co, według ciebie, miałem robić? - rzucił z ironią. - Raczej się utopić, niż skorzystać z pomocy tak nieodpowiednich wybawców?

- Nie musiałaś z nimi zostawać!

- Och, doprawdy? - Zbliżył się do niej ze złością. - Pozwól, że coś ci powiem. Szmugiel stał się diabelnie dochodowym interesem, odkąd Napoleon nałożył tę swoją blokadę. Wiesz, jakie miałem długi.

- Nie wiedziałam. Ale się przekonałam. Nigdy ci nie przyszło

do głowy, żeby się zainteresować losem swojej rodziny, kiedy we Francji gromadziłeś fortunę?

Ściągnął usta, wydając z siebie głośne westchnienie.

- Nie mogłem wiedzieć, że oskarżono cię o moją śmierć.

- Cholernie dobrze wiedziałeś, że zostawiasz za sobą jedynie długi! Cadgwick Cove House zostało zajęte i sprzedane, jeszcze zanim stanęłam przed sądem.

Kiedy zaczęła tak przeklinać? Nie pamiętał, żeby z ust Bryony padło kiedykolwiek jakieś ostrzejsze wyrażenie.

- Prawdopodobnie i tak by zostało zajęte. - Uniósł kieliszek i jednym haustem wychylił całą zawartość. - Gdybym nie spadł z tego urwiska, i tak bym niechybnie skończył w więzieniu za długi. Byłem w potrzasku, Bryony. W sytuacji bez wyjścia. Spłukany do centa. Poza tym - dodał, sięgając po karafkę, żeby znów dolać sobie wina - wiedziałem, że kiedy zniknę, twój wuj Edward się tobą zajmie.

- Wuj Edward? Mój wuj Edward rozmawiał ze mną tylko raz, odkąd uciekłam, żeby wyjść za ciebie. Widziałam się z nim tylko raz, kiedy przyszedł do więzienia, żeby mi odebrać Madeline.

Nie lubił myśleć o niej i Madeline w więzieniu. Ale nie miała powodu patrzeć na niego tak, jakby tylko on ponosił winę, ponieważ tak nie było. Zawsze próbowała go wpędzić w poczucie winy za rzeczy, które wcale nie były jego winą. W przypiływie urazy gwałtownie odstawił karafkę.

- Do licha, nie wiedziałem, że zostałeś zesłana, więc nie zachowuj się tak, jakbym mógł w jakiś sposób temu zapobiec.

Patrzyła na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

- Byłam w ósmym miesiącu ciąży, z twoim dzieckiem, kiedy mnie wsadzono na „Indispensable”.

Wpatrywał się w nią, niezdolny wykrztusić choćby słowa.

- To był chłopiec, Oliverze. Miałeś syna. Dałam mu na imię Philip, po twoim ojcu. Miał ciemne włosy, jak ja, ale najpiękniejsze roześmiane szare oczy, jakie sobie można wyobrazić. Był takim słodkim dzieckiem, chociaż cały czas niedomagał i żył zaledwie... - Głos uwiązał jej w gardle. Musiała głęboko odechnąć, by móc mówić dalej. - Chociaż żył zaledwie pięć

miesiący. Jak wiele myśli mu poświęciłeś, Oliverze? Ile myślałeś o każdym z nas, kiedy szmuglowałeś francuską brandy i zabawiałeś się z francuskimi prostytutkami?

- Bryony... Przykro mi. Ale to nie była moja wina.

Chciał ją wziąć w ramiona, lecz cofnęła się przed nim.

- Więc czyja to była wina? Czyja?

- Do licha, przede wszystkim twoja! To ty zepchnęłaś mnie z tego cholernego urwiska. Tak! Może powinienem był bardziej się starać dowiedzieć, co się z tobą dzieje. Może powinienem wrócić wcześniej. Ale zadałaś sobie kiedyś pytanie, dlaczego tego nie zrobiłem? Zawsze tak cholernie chętnie krytykowałeś mnie jako męża. A zastanowiłaś się kiedyś, jaką ty jesteś żoną? Spójrz na siebie - syknął, mierząc ją drwiącym spojrzeniem. - Przyjeżdżam tutaj, spodziewając się, że wybawię cię z piekła. Cóż, nie wyglądasz, jakbyś żyła w piekle, Bryony. Wyglądasz, jakbyś się tu całkiem nieźle bawiła.

- Przeszłam przez najgorszy rodzaj piekła.

- Czyżby? Chcesz powiedzieć, że nie podobała ci się rola nałożnicy Haydena St. Johna?

Wzdrygnęła się, jakby ją uderzył.

- Hayden St. John jest moim mężem.

- Nie. - Chwytał ją za ramiona. - On nie jest twoim mężem, u diabła. Ja nim jestem.

Ujrawszy w jej oczach strach i gniew, przeklął się w duchu za porywczosć.

- O Jezu, Bryony, tak mi przykro. - Znowu próbował ją przytulić. - Nie masz pojęcia, jak mnie dręczy myśl o tym, przez co musiałaś przejść w ciągu tych dwóch lat. Wiem, że uważasz mnie za samolubnego, bezdusznego drania, ale ja... ja tak cię kocham. Wiem, że się kłócimy, że potrafisz mnie doprowadzić do furii, a czasami nawet nie mam ochoty cię widzieć. Ale cię kocham, Bryony. Jesteś dla mnie wszystkim. Bez ciebie jestem niczym, wiesz o tym. Jesteś dla mnie więcej niż tylko żoną. Nie mogę cię stracić, bo tego nie przeżyję. Nie mogę. A tak się boję, że cię stracę.

Stała przed nim sztywno wyprostowana, lecz zauważył, że lekko zmarszczyła brwi w wyrazie zatroskania.

- Oliverze, proszę cię, spróbuj zrozumieć. To, co kiedyś było między nami, już nie istnieje. Ty... - Urwała, z niepokojem spoglądając w kierunku drogi.

Oliver także usłyszał to, co ona. Szybkie tupanie dzieciennych stopek o podłogę werandy. I zaraz potem niespokojny głos młodego mężczyzny.

- Wracaj tu, ty mała...

Zewnętrzne drzwi otwały się gwałtownie i do pokoju wpadła Madeline. Miała na sobie bładoniebieski muślinową sukienkę, a na niej fartuszek, niegdyś zapewne biały, ale teraz brudny i wymięty oraz obklejony czymś, co podejrzenie przypominało siano.

Ciemnowłosy młodzieniec ukazał się tuż za nią i przystanął w progu.

- Przepraszam cię, Bryony. Musiała się ukryć z tyłu wozu, nim wyjechaliśmy z Jindabyne, i czekała, aż będę odwrócony plecami, żeby się wymknąć. Zobaczyłem ją dopiero, jak była już na werandzie.

- W porządku, Quincy. - Bryony z troską patrzyła na dziecko. - Zostaw ją.

Młodzieniec posłał Bryony ostre spojrzenie i wyszedł.

Madeline stała spłoszona przy drzwiach, oddychając ciężko, patrząc na Olivera spod zmrużonych powiek.

- Czy to prawda? Ty jesteś moim tatą?

Oliver uniósł brwi w udawanym zdziwieniu.

- Czy to może być Madeline? - Podeszedł do dziewczynki i przykucnął, żeby ich twarze znalazły się na tej samej wysokości. - No no, ale duża wyrosłaś. - Ujął ją pod brodę. - I taka słiczna.

Doświadczenie podpowiadało mu, że żadna kobieta w wieku od dwóch do dwudziestu dwóch lat nie oprze się komplementowi okraszonemu czarującym uśmiechem. Madeline zachichotała. Jej wesołość szybko jednak znikła bez śladu, kiedy rzuciła gniewne, oskarżycielskie spojrzenie na matkę.

- Mówili mi, że moja mama cię zabiła.

Słyszał, jak Bryony wstrzymuje oddech.

- No cóż - zaczął wolno, starannie dobierając słowa. - Twoja mama w istocie poważnie mnie zraniła. Tak poważnie, że trochę musiało potrwać, nim poczułem się na tyle dobrze, żeby po ciebie przyjechać. Ale teraz tu jestem.

Oliver w ostatniej chwili zdążył powstrzymać dziecko przed zarzuceniem mu brudnych rączek na szyję i tym samym zniszczeniem nowego surduta.

- Nie wyjedziesz i nie zostawisz nas znowu, prawda tato? Powiedz, że już nigdy nas nie zostawisz.

- Już nigdy nie wyjadę i nie zostawię was znowu, kochanie. - Ponad głową Madeline patrzył w oczy Bryony. - Jesteś moją córką. - Te słowa, choć wypowiedziane do dziecka, tak naprawdę skierowane były do matki. - Nikt nie ma prawa mi cię odebrać. Razem wracamy do domu, do Kornwalii.

Oliver widział, jak krew odpływa z twarzy Bryony, kiedy dotarło do niej w pełni znaczenie tego, co usłyszała. Niezależnie od legalności każdego z jej małżeństw, Oliver nadal pozostawał ojcem Madeline i jako ojciec miał władzę absolutną. Jeśli chciał zabrać dziecko ze sobą z powrotem do Kornwalii, Bryony w żaden sposób nie mogła mu w tym przeszkodzić. Musiała albo jechać z nimi, albo na zawsze rozstać się z córką.

Ostatnie dwa lata mogły zmienić Bryony, lecz Oliver dobrze wiedział, że nic nie mogło jej zmienić aż tak bardzo. Nie miało znaczenia, jak bardzo jest zakochana w Haydenie St. Johnie, ponieważ nigdy by nie pozwoliła, żeby znów odebrano jej Madeline.

Miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Zwyciężył. I nawet nie musiał wspominać o pieniądzach wuja Edwarda.

Proszę, zaczekaj na werandzie - zwróciła się Bryony do Madeline.

- Ale...

- Rób, co ci każe - przerwała córce. Zabrzmiało to znacznie ostrzej, niż chciała.

Dziewczynka niechętnie wycofała się ku drzwiom, z ociąganiem nacisnęła klamkę, a na koniec, nim wreszcie wyszła na zewnątrz, przystanąła w progu, żeby posłać matce nienawistne spojrzenie.

- Dlaczego to zrobisz? - Bryony natarła na Olivera.

Podniósł pusty kieliszek i spokojnie odstawił go na tacę.

- Co zrobiłem?

- Obiecałeś zabrać ją do domu i zostać z nią. Wiesz, że tak się nie stanie.

- Ależ stanie się. - Wziął do ręki karafkę z maderą i wyciągnął korek. - Ty możesz tu zostać ze swoim nowym mężem, jeśli tak ci się podoba. Ale Madeline wraca ze mną do Kornwalii.

Bryony poczuła w piersi ból, jakby ktoś ją uderzył. Uświadomiła sobie, że ten ból jest mrozącym kości, ogłuszającym strachem.

- Ale... dlaczego?

- Dlaczego? - Nalał wina do kieliszka. - Madeline jest moją córką. - Odwrócił się do Bryony, trzymając kieliszek w dłoni. - Moim jedynym żywym dzieckiem. To oczywiste, że chcę ją mieć przy sobie.

W Bryony wezbrała fala nienawiści, tak wielkiej i morderczej, że niemal ją dławiła.

- Nie opowiadaj bajek. - Machnęła ręką przed sobą, jakby chciała odegnąć jego słowa. - Zapominasz, Oliverze, że dobrze cię znam. Wciąż pamiętam, jak mi mówiłeś, że chociaż dosyć lubisz Madeline, twoje uczucie do niej jest, jak sam to nazwałeś, czymś ogólnym i nieokreślonym, I nie wymaga jej stałej obecności.

Pociągnął łyk madery.

- Tak powiedziałem?

- Owszem!

- Może się zmieniłem.

- Rzeczywiście, zmieniłeś się. Ale nie w ten sposób. - Przyjrzała mu się zmrużonymi oczyma. - Dlaczego tak bardzo chcesz mojego powrotu? Co może być dla ciebie aż tak ważne, że posłużyłeś się groźbą zabrania ode mnie Madeline, żeby to osiągnąć?

Opróżnił kieliszek do dna i odwrócił się, żeby znów go napełnić.

- Mylisz się, moja droga. Chcę Madeline, nie ciebie. Tylko wielkoduszność każe mi powiedzieć, że ty także możesz z nami jechać, jeśli chcesz.

W pokoju zapanowała paskudna, dźwięcząca w uszach cisza.

- Chodzi o pieniądze, tak? - odezwała się w końcu Bryony. Znieruchomiał z uniesioną w górę karafką.

- Mój Boże - zawołała. - Miałam rację! Chodzi o pieniądze. Ale jak...

Zaśmiał się cicho, odstawiając karafkę na tacę.

- No dobrze. - Stanął z nią twarzą w twarz. - Powiem ci. Dlaczegoż by nie? Dzięki wujowi Edwardowi.

- Wujowi Edwardowi? - powtórzyła zaskoczona Bryony.

- Nie żyje. Zginął w pożarze domu, w Londynie. Razem ze swoją ukochaną żoną Eunice i ich jedynym synem dziedzicem. - Oliver oparł się o stół. - Tragiczna historia.

- Richard także? - Bryony wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Nigdy nie była blisko ze swym kuzynem, ale myśl

o jego śmierci była przytłaczająca. Potrząsnęła głową, próbując uporządkować skłębione myśli. -I co sobie wyobrażasz? Że wuj Edward mnie zostawił cały swój majątek? To śmieszne. Powiedział, że dla niego nie istnieje.

- I tak było rzeczywiście. - Oliver pociągnął kolejny łyk wina. - To Madeline odziedziczyła wszystko.

Bryony patrzyła na niego całkiem oszołomiona.

- Więc dlatego ci na niej zależy... i udajesz, że zależy ci też na mnie? Dla pieniędzy?

- Ujęłaś to brutalnie, ale dość trafnie.

- Zabierz je sobie.

Wyprostował się, nagle poważniejąc.

- Co takiego?

- Dobrze słyszałeś. Weź pieniądze. Możesz je zatrzymać. Tylko wyjedź stąd i zostaw nas w spokoju.

Wykrzywił usta w brzydkim, kpiącym uśmiechu.

- Bardzo jesteś hojna, moja droga. Niestety, pieniądze nie należą do ciebie. Należą do Madeline.

Bryony czuła w piersi nieznośny ucisk, ledwie mogła zaczerpnąć powietrza.

- Nie pozwolę ci jej zabrać - wyrzuciła z siebie niskim, wibrującym od złości głosem.

- Obawiam się, że nie masz wielkiego wyboru. Możesz wrócić z nami do Kornwalii. Albo możesz tu zostać ze swoim nowym mężem... i na zawsze pożegnać się z dzieckiem.

Żadne z nich nie usłyszało, że drzwi na werandę uchyliły się, i nie zobaczyło, że Madeline stoi w progu, obserwując ich przez szparę szeroko otwartymi oczyma.

Bryony wpatrywała się w Olivera, jakby go widziała, tak naprawdę, po raz pierwszy w życiu.

- Nie mogę uwierzyć, że mogłam być tak głupia, żeby się w tobie zakochać - powiedziała z dumnie uniesionym podbródkiem. Miała wrażenie, że całe ciało wypełnia jej odraza do tego człowieka. - Wolałabym raczej wrócić do roli skazanej, niż znów być twoją żoną.

Widziała, jak podnosi rękę, więc się uchyliła. Ale nie była

dość szybka. Jego dłoń z głośnym klaśnięciem wylądowała na jej policzku.

Chłopiec siedział na ławce wozu, rozparty w niedbałej pozie, z kapeluszem zsuniętym nisko na czoło.

- Quincy. - Głos Haydena był wprawdzie cichy, ale rozległ się tuż przy uchu. Quincy aż podskoczył. Na widok złości Haydena w jego brązowych oczach pojawił się strach.

- Powinienem cię obedrzeć ze skóry za ten wybryk - powiedział Hayden, zatrzymując wielkiego gniadego wałacha obok wozu. - Ale wiem, że robiłeś tylko to, co ci kazała. Gdzie ona jest?

Quincy kiwnięciem głowy wskazał na hotel.

- Z tym swoim mężem. Wymyśliła, że może jej się uda namówić go, żeby wyjechał i zostawił ją w spokoju.

Nagły krzyk sprawił, że równocześnie odwrócili głowy. Mała złotowłosa dziewczynka wybiegła z jednego z hotelowych pokoi. Przebiegła przez werandę i zeskoczyła na błotnistą drogę, o mało nie wpadając pod kopyta rozpędzonego zaprzęgu, który wyminął ją w ostatniej chwili.

- Madeline!

Hayden usłyszał rozpaczliwe wołanie Bryony, kiedy już pędził drogą na swoim wierzchowcu. W biegu porwał na ręce kopiające, wydzierające się dziecko, po czym szybko skręcił do wozu i oddał je pod opiekę Quincy'emu.

- Pilnuj jej - polecił stanowczo.

Zawróciwszy konia, ujrzał Bryony, stojącą na skraju werandy i patrzącą w jego stronę z przerażeniem w oczach. Obiema rękami trzymała się za brzuch. Był na nią wściekły za to, że w taki sposób wymknęła się do miasta, i bez wątpienia tę wściekłość było po nim widać. Jednakże nic, nawet to, że Madeline cudem uniknęła wypadku, nie tłumaczyło wyrazu udręki na jej twarzy.

Zeskoczył z siodła i kilka razy owinał wodze wokół słupka werandy. Ostrogi zazgrzytały o kamienie. Kiedy się zbliżył,

Bryony szybko odwróciła głowę, jakby się bała jego wzroku albo...

Wyciągnął rękę, chwycił ją za podbródek i spojrzał na nią. Lewy policzek był spuchnięty i już zaczynał zmieniać kolor.

Hayden zacisnął zęby.

- Wentworth ci to zrobił? Tak? - Dwukrotnie powtórzył pytanie, nie doczekawszy się od razu odpowiedzi.

- Proszę zabrać ręce od mojej żony - rozległ się gniewny głos.

Oliver stał w otwartych drzwiach, przesuając w długich smukłych palcach trzciniową laskę zakończoną główką z kości słoniowej. Hayden zacisnął dłoń na ramieniu Bryony, zmuszając ją, żeby stanęła za nim.

- Sądziłem, że już wszystko omówiliśmy wczoraj - powiedział.

- To było wczoraj. A dziś dama zmieniła zdanie.

Hayden odwrócił się, rzucając pytające spojrzenie na pobladałą twarz Bryony.

- Powiedz, że on kłamie.

Podniosła na niego oczy pełne bólu i tęsknoty. Hayden natychmiast poczuł w żołądku zimną kulę strachu.

- On... - Przełknęła z trudem. - Jeśli z nim nie pojedę, zabierze ode mnie Madeline.

Hayden wziął głęboki oddech, nim spytał:

- Dlaczego?

Bryony drżącą dłonią odgarnęła z czoła zabłąkany kosmyk włosów.

- Wuj Edward nie żyje. Wszystkie swoje pieniądze zostawił Madeline.

Hayden przeszył Olivera pogardliwym spojrzeniem.

- Chcesz odebrać matce dziecko dla pieniędzy?

Dłoń Wentwortha przerwała monotonną podróż tam i z powrotem wzdłuż laski.

- Madeline jest także moją córką, czyżbyś zapomniał?

Hayden musiał zacisnąć dłonie w pięści, żeby się powstrzymać przed zaciśnięciem ich na szyi Olivera.

- W porządku, podaj swoją cenę.

Wentworth unióś brwi, jakby się poczuł obrażony.

- Słucham?

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Spłacę cię. Ile to będzie kosztowało?

Oliver wygiął usta w ironicznym uśmiešku.

- Więcej, niż posiadasz.

Ich spojrzenia się spotkały; przez chwilę nieruchomo patrzyli sobie w oczy, po czym Hayden przeniósł wzrok na Bryony.

- Weź Madeline i czekajcie na mnie w hotelu - polecił. - Nie będę... - Widząc, że Bryony otwiera szeroko oczy i rozchyła usta w bezgłośnym krzyku, odwrócił się na pięcie akurat na czas, by uniknąć ciosu długim, zabójczym sztyletem, który był ukryty w trzonku laski.

Hayden chwycił Olivera za poły surduta i odchylił się do tyłu. Pociągnięty przez przeciwnika i dodatkowo rozpedzony siłą własnego ataku, Oliver przekoziółkował po stromym brzegu w stronę rzeki. Hayden szybko zrzucił z siebie wierzchnie okrycie i ruszył za nim po zboczu. Oliver, turlając się, zgubił sztylet w wysokiej trawie. Jednak szybko poderwał się i wymierzył kopniaka prosto w szczękę Haydena.

Ten zachwiał się, a potem spuszczoną głową trafił przeciwnika w brzuch, znów wywracając go na ziemię. Obaj stoczyli się po brzegu i wpadli do płytkiej wody.

Nagle powietrzem i ziemią zatrzęsł głuchy łomot, przypominający odległe dudnienie potężnych bębnow. Hayden widział, jak Oliver gwałtownie odwraca głowę i z niepokojem spogląda w górę rzeki, ale sam nie od razu się zorientował, skąd pochodzi ów dziwny hałas.

I nagle przyszło olśnienie. To był odgłos fali powodziowej, która zmierzała ku nim rzeką, niosąc ścianę wody zebranej wysoko w górach.

Fala zwała się w dolinę, gęsta od szlamu i skalnego gruzu. Olbrzymie, wyrwane z korzeniami drzewa, kłębowiska gałęzi, martwe sztuki bydła i owiec, zagarnięte przez żywioł, tworzyły morderczy taran, niszczący wszystko na swej drodze.

Stojąc na werandzie, Bryony z przerażeniem patrzyła, jak spieniona brązowa łapa śmierci nakrywa obu mężczyzn, szczeniów ze sobą w walce na płyciźnie obok mola.

- Hayden! - zawołała z rozpaczą.

Podbiegła na skraj urwistego brzegu i tam przystanąła, bezradnie trzymając się za brzuch, obejmując swe nienarodzone dziecko.

Wyglądało na to, że obaj mężczyźni niemal równocześnie zdali sobie sprawę z zagrożenia. Rozdzielili się i osobno zaczęli wdrapywać na strome, trawiaste zbocze. Hayden był już prawie na górze, kiedy Oliver się potknął i upadł, natychmiast ześlizgując się na brzuchu z powrotem w dół ku wodzie, mimo rozpaczliwego czepiania się wystających kęp trawy i krzaków.

Bryony widziała, jak Hayden zatrzymuje się z wahaniem, a potem zawraca.

- Chwyć mnie za rękę! - zawołał, zbliżając się do spadającego Olivera i wyciągając do niego ramię.

- Idź do diabła! - krzyknął w odpowiedzi Oliver. Udało mu się podnieść na nogi, ale zaraz znów upadł i zsunął się niżej.

- Nie bądź gupi! - wrzasnął Hayden, zerkając w górę rzeki. - Nie ma czasu. Złap mnie za rękę.

Rzeka runęła na nich z niepokonaną, szaleńczą siłą i szybkością. Bryony otworzyła usta w bezgłośnym krzyku przerażenia, kiedy zwały wody uderzyły o szare deski pomostu. Prymitywna konstrukcja z rozdzierającym trzaskiem rozpadła się na kawałki, niczym trafiona z armaty. Połamane belki wyleciały w powietrze, a potem opadły, natychmiast porwane przez rozszalały nurt.

W miejscu, gdzie przed chwilą znajdowali się dwaj mężczyźni, teraz widać było jedynie dziko spienioną brunatną wodę.

- Hayden! - Rzeka zagłuszyła rozpaczliwy krzyk Bryony. Nogi się pod nią ugięły, opadła na kolana w trawę. Na pochylonych ramionach czuła ciepło słonecznych promieni, słyszała czysty, słodki śpiew jakiegoś ptaka nawołującego w oddali.

Jak przez mgłę widziała obok siebie Quincy'ego i Madeline uczeponą jego szyi. Nagle Quincy wskazał coś wyciągniętą ręką i zawołał:

- Jest tam!

W sercu Bryony odżyła nadzieja, niemal odbierając jej dech. Część schodów i kilka belek mola ocalało po miazdzącym uderzeniu fali i teraz sterczały z kłębiącej się wody. Hayden trzymał się jednej z nich. Mokre ciemne włosy oblepiały mu czaszkę.

Dopiero w tym momencie Bryony zauważyła, że na brzegu zebrali się ludzie.

- Dajcie linę! Tutaj, jednym końcem przywiązać do słupa! - rozbrzmiewały wokół niej wołania. W powietrze poszybowała pętla. Widziała, jak Hayden wyciąga rękę i ją łapie. Woda wciąż szybko przybierała, a nurt pędził groźnie.

Bryony patrzyła, jak puścił belkę, wstrzymała oddech, kiedy lina się napięła. Prąd wody szarpał Haydenem, próbował go porwać. Potykając się i ślizgając, wolno posuwał się w górę po brzegu, teraz zanurzonym pod wodą, by w końcu znów stracić grunt pod nogami i runąć w odmęty. Wirująca kipiela zamknęła się nad jego głową.

- Nie! - krzyknęła Bryony. Pochyliła się, jakby sama chciała wskoczyć do rzeki, ale Quincy chwycił ją mocno za ramiona i trzymał. Zobaczyła, że Hayden znów zdołał stanąć na nogach i jakimś cudem obwiązał się liną w pasie. Kłujący ból w piersi uświadomił jej, że od dłuższego czasu wstrzymuje powietrze w płucach. Zaczęła oddychać głęboko, raz po raz tracąc i odzyskując nadzieję.

- O, cholera - szepnął Quincy.

Bryony zauważyła, że chłopiec patrzy w górę rzeki. Oderwała wzrok od Haydena, który powoli, lecz dość pewnie, wspinał się po brzegu, i odważyła się zerknąć w stronę gór.

I zobaczyła kolejną falę, zbliżającą się ku nim ze straszliwą szybkością.

- Boże, nie! - wydarło jej się z gardła.

Drugie uderzenie nastąpiło, kiedy Hayden był jeszcze w połowie drogi. Widziała, jak osunął się na kolana. Ludzie stojący na brzegu wyteżyli siły, żeby go wyciągnąć. Pozbierał się jeszcze raz i nadludzkiem wysiłkiem wydostał się nad powierzchnię rwącej masy.

- Haydenie! - Bryony podbiegła i przywarła do niego z całych sił. Lodowata woda moczyła jej suknię, ściekała do butów. - Dzięki Bogu, dzięki Bogu - powtarzała w kółko. Dotykając drżącymi dłońmi jego mokrych policzków, na oślep całowała go po całej twarzy.

Nagle coś kazało jej się odwrócić i spojrzeć na rzekę. Zobaczyła jedynie wzburzone mętne fale sunące szybko w dal i wreszcie znikające z oczu.

I ani śladu Olivera.

Nie mogła uwierzyć w jego śmierć.

Już raz była pewna, że Oliver spoczął w głębinach, a okazało się, że jednak zdołał przeżyć. Tym razem, żeby uwierzyć w jego śmierć, musiała na własne oczy zobaczyć ciało.

Fala powodziowa napływała przez trzy dni, występując ponad wysokie brzegi rzeki, zalewając fanny i osady, zabierając żywy inwentarz, budynki i pechowych kolonistów, którzy nie zdążyli przed nią uciec. Ale czwartego dnia najgorsze minęło.

Od Barrenjoey po Long Reef plaże pełne były dobytku ludzi, którzy przybywszy tu z Anglii próbowali sobie ułożyć nowe życie nad brzegami rzeki, której jeszcze nie zdążyli poznać i zrozumieć. Martwe świnię i bydło, ramy łóżek i porozbijane okna, wszystko leżało wymieszane ze stosami siana, rozmokłej kukurydzy i poskręcanych, wymazanych błotem strzędów wełny i muślinu. W niektórych miejscach zagarnięte przez wodę rzeczy zaścielały plażę tak gęsto, że w ogóle nie było widać piasku, a ograbieni przez żywioł biedacy ściągali z daleka, żeby przeszukiwać rumowisko, ratując, co się tylko dało.

W ten sposób odnaleziono ciało mężczyzny o złocistych włosach, mężczyzny, którego żona nie chciała uwierzyć w jego śmierć, dopóki nie zobaczy ciała. Owinięto go w zabłocone płótno i zawieziono w górę rzeki, żeby mogła go pochować na małym cmentarzyku na wzgórzu powyżej domu Haydena St. Johna.

Obok grobu pierwszej żony Haydena St. Johna, Laury.

Epilog

Marzec 1811

Łagodny wiatr szeleścił suchymi liśćmi drzew gumowych nad rzeką. To był spokojny wiatr, wiejący od południa. Wiatr, który szeptem zapowiadał ożywcze deszcze, coraz krótsze dni i dymy jesiennych ognisk.

Bryony odłożyła narzędzie do spulchniania ziemi i wyprostowała się. Wzdychając z zadowoleniem, wystawiła twarz na miękkie podmuchy, żeby ochłodzić zroszone potem czoło i policzki. Lato było długie i gorące, ale zbiory okazały się dobre. Życie było dobre.

Jej uwagę przyciągnął gulgoczący śmiech. Z uśmiechem popatrzyła w stronę, skąd dochodził. Panna Sophie St. John, która ukończywszy rok, pewnie trzymała się na nogach, podreptała do swojego przyrodniego brata i przyrodniej siostry, siedzących na świeżo skopanej grządce.

- Chcesz błotnego ciasta? - spytała Madeline, podsuwając jej blaszaną miskę wypełnioną po brzegi brunatną ziemną papką.

- Ciasta - powtórzyła Sophie, wyciągając pulchną rączkę.

Twarz Madeline rozjaśnił uśmiech zachwyty.

- Powiedziała „ciasta”. Słyszałaś, mamó? Powiedziała „ciasta”!

Bryony spojrzała na starszą córkę i jak zawsze serce wypełniła jej radość, że ma ją przy sobie. Przysięgła sobie, że zawsze będzie doceniać dary losu, nawet te najmniejsze. Bo wszystkie są cenne. I tak łatwo je stracić. Bo nic nie jest człowiekowi dane raz na zawsze.

Uśmiech Madeline był promienny jak samo słońce. Przez pewien czas, zwłaszcza w ciągu tych kilku strasznych tygodni po śmierci Olivera, Bryony obawiała się, że dziecko może nigdy nie dojść do siebie po tym, co przeżyło. Ale zagubienie i smutek,

które towarzyszyły Madeline przez pierwsze miesiące pobytu w Nowej Południowej Walii, w końcu ustąpiły, a na ich miejsce wrócił śmiech i dawny urok dziecka, jakie Bryony pamiętała z czasów spędzonych nad zatoką Cadgwick.

- Ciasta -powtórzyła jeszcze raz Sophie, trochę niewyraźnie.

- O rety... - Bryony rzuciła się ku niej z wyciągniętymi ramionami.

Ale Sophie była szybsza. Zanurzyła rączkę w błotnym cieście Madeline, a potem rozsmarowała je sobie na całej buzi.

Bryony porwała dziecko w objęcia.

- Błotne ciasta nie nadają się do jedzenia, skarbie - wyjaśniła z rozbawieniem, próbując ręką fartucha zetrzeć najgorszy brud. - Twarzą też nim nie malujemy.

Simon także zachichotał. Radosny śmiech całej trójki splótł się ze stukaniem młotków, beczaniem owiec na wzgórzach i krakaniem papug, przelatujących po niebie całym stadem. Poprzedniej zimy dom powiększył się o piętro, a teraz Hayden postanowił dobudować północne skrzydło. Nowe murowane ściany sięgały już ponad głowę Simona.

Jeden młotek ucichł i budowniczy wszedł na werandę. Wysoki mężczyzna o szerokich ramionach, szczupłych biodrach i długich nogach. Bryony powitała go uśmiechem. Jak zwykle na widok męża twarz pojaśniała jej ze szczęścia, a serce wypełniło gorące uczucie miłości. Poślubiła go jeszcze raz, żeby mieć absolutną pewność, że odtąd naprawdę jest jej mężem.

Patrzyła, jak schodzi z werandy na ogrodową ścieżkę. Ciepłe, złociste promienie słońca kładły się łagodnym blaskiem na jego szlachetnych, wyrazistych rysach. Żwir chrząścił pod podeszwami jego wysokich butów. Na widok buzi Sophie zmrużył w uśmiechu jaskrawoniebieskie oczy.

- A to co? - spytał, wyciągając rękę, żeby zetrzeć resztki błota, które Bryony przeoczyła. - Wyglądasz jak ostatni żebrak.

- Co to jest żebrak? - zainteresował się Simon, spoglądając z dołu na ojca.

- Żebrak to ktoś, kto jest biedny i w ogóle nie ma pieniędzy - odpowiedziała Bryony.

- My nie jesteśmy żebrakami, prawda? - włączyła się do

rozmowy Madeline. Wstała, otrzepując siedzenie rękami jeszcze brudniej szymi od sukienki. - Quincy mówi, że jestem bogatą kobietą, jeszcze bogatszą niż tata. - Zerknęła pytająco na Haydena. - Czy to prawda, tato? Jestem bogata?

Hayden i Bryony wymienili rozbawione spojrzenia.

- Bogata? - powtórzył Hayden, odsłaniając zęby w uśmiechu. - Nie tylko bogata. Bardzo bogata. - Pochylił się i nie zważając na zabłocone ręce i sukienkę, wziął dziewczynkę na ręce. - Pamiętasz Peyton Hall?

Madeline objęła Haydena za szyję i wtuliła się w niego z całych sił.

- Nie - odpowiedziała szybko.

Bryony dostrzegła cień w brązowych oczach dziewczynki i ledwie zauważalne zaciśnięcie ust, świadczące o tym, że Madeline musiała jednak coś sobie przypominać.

- To wielki dom, który teraz należy do ciebie. Znajduje się w Konwalii. Wiesz, że urodziłaś się w Kornwalii? Pewnego dnia wybierzemy się tam z wizytą i obejrzymy go sobie.

- Naprawdę?! - wykrzyknął Simon z przejęciem. Jego zielone oczy zrobiły się okrągłe z emocji. - Popłyniemy „Laura”?

- Owszem. - Hayden spojrzał z zadumą na Bryony. - Kiedy wasza mama będzie gotowa.

Poprawiwszy sobie Sopię na biodrze, Bryony zwróciła się w stronę rzeki. Nurt był płytki i powolny po suchych miesiącach lata. Przypomniała sobie tamto popołudnie sprzed lat, kiedy słońce grzało mocno, a rzeka płynęła tak samo spokojnie i niewinnie. Louisa powiedziała jej wówczas o powodziach, które podnoszą w rzece poziom wody tak, że podchodzi niemal pod dom.

- Tam jest Sean! - zawołał nagle Simon, podrywając się na równe nogi i wskazując na podwórze. - Chodź, Madeline. - Pobiegli trzymając się za ręce, zostawiając Sophie, która złościła się i wierciła, dopóki Bryony nie postawiła jej na ziemi. Uwolniona z objęć matki natychmiast podreptała do porzuconych przez rodzeństwo łopatek i misek, z zachwytem rozsiadając się na grządce. Bryony obserwowała ją nieco podejrzliwie, ale nic nie wskazywało na to, by Sophie miała ochotę spróbować kolejnej porcji błotnego ciasta.

Hayden stanął za plecami żony, objął ją w pasie i przytulił do swego mocnego, szczupłego ciała. Przez chwilę stali w milczeniu. Z głową opartą bezpiecznie na ramieniu męża, rozkoszując się ciepłym dotykiem jego dłoni, Bryony słuchała łagodnego szumu rzeki, zmierzającej powoli, lecz nieuchronnie, ku morzu. Poczwała, jak wypełnia ją cudowne, głębokie poczucie spokoju.

- Pamiętam, czytałam kiedyś... że los można porównać do nurtu rzeki, który niesie nas ku przeznaczeniu.

Przesunął dłońmi po jej bokach w leniwej pieszczocie.

- I wierzysz w to? - spytał, odwracając ją do siebie i patrząc jej w oczy spod na wpół opuszczonych powiek.

Zastanowiła się, a potem zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie. - Koniuszkami palców dotknęła jego opalonych policzków, myśląc o najprostszych życiowych radościach. Takich jak śmiech dziecka. Urok słonecznego popołudnia. Miłość dobrego człowieka. O prostych sprawach, które nadawały życiu wartość. - Myślę, że los bardziej przypomina przyływy i odpływy morza. Czasem możemy coś dostać, a czasem stracić. Możemy być uratowani. - Urwała, by po chwili dodać: - Albo unicestwieni.

Wiatr przyniósł im soczysty aromat świeżo skoszonego siana i ciepły zapach zaoranej ziemi. Mocniejszy podmuch rozwiął Bryony włosy, rzucając kilka luźnych kosmyków na twarz. Hayden nawinał je sobie na palce i delikatnie odgarnął do tyłu.

- Ty mnie uratowałeś - powiedział cichym, jakby zduszonym głosem. Leciutko pogładził ją po policzku. - Swoją odwagą, siłą i miłością. Cieszę się...

Nie kończąc, odwrócił głowę, żeby spojrzeć na srebrny pas rzeki wijącej się w dolinie. Samotna papuga o żółtym czubie wzbijała się z pobliskiego eukaliptusa. Ciężkie skrzydła łopotały w gorącym powietrzu, błyskając niczym białe żagle na czystym błękitnym niebie.

- Z czego się cieszysz, Haydenie? - spytała cicho.

Powrócił wzrokiem do jej twarzy. I ujrzała miłość bijącą z głębi jego niebieskich oczu i radość, która uniosła mu kąciki ust w czułym uśmiechu.

- Cieszę się, że los dał mi ciebie.

Ona także chciała się uśmiechnąć, ale nakrył jej usta pocałunkiem.